

# Śmierć w Wiedniu

*A Death in Vienna*

**Daniel Silva**

przełożył

Jędrzej Burakiewicz

*Książkę dedykuję tym, którzy nie pozwalają  
spocząć mordercom i ich wspólnikom; mojemu  
przyjacielowi i wydawcy Neilowi Nyrenowi;  
oraz, jak zawsze, mojej żonie Jamie i moim  
dzieciom Lily i Nicholasowi.*

*Gdzie drwa rąbia, tam wióry lecą*

*- i nie da się tego uniknąć.*

Gruppenführer SS Heinrich Müller, szef Gestapo

*Nie jesteśmy skautami. Gdybyśmy chcieli być  
skautami, wstąpilibyśmy do tej organizacji.*

Richard Helms, były dyrektor CIA

# Część pierwsza

*Człowiek z Café Central*

Biuro trudno znaleźć, ale o to właśnie chodzi. Znajduje się na końcu wąskiej, krętej uliczki w dzielnicy Wiednia znanej raczej z nocnego życia niż tragicznej przeszłości. Nad wejściem widnieje mała, niepozorna mosiężna tabliczka z napisem Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych. Za to zainstalowany przez nikomu nieznaną firmę z Tel Awiwu system zabezpieczeń robi wrażenie. Znad drzwi spogląda groźnie kamera. Nikt nie wejdzie do środka bez listu polecającego i nie umówiwszy się wcześniej na wizytę. Goście przechodzą przez czuły magnetometr. Dwie poważne, rozbijająco piękne dziewczyny, Rebeka i Sarah, sprawnie przeszukują torebki i walizki.

Gość jest prowadzony przygotowującym o klaustrofobię korytarzem wzdłuż rzędu stalowoszarych szafek na dokumenty do dużego, wysokiego, typowo wiedeńskiego pokoju z jasną posadzką i półkami uginającymi się pod ciężarem niezliczonych tomów i teczek. Nieporządek nadaje pomieszczeniu akademicką atmosferę i jest ujmujący, chociaż niektórych niepokoją zielonkawe kuloodporne szyby wychodzących na ponure podwórko okien.

Pracującego tam niechlujnego człowieka właściwie się nie dostrzega. To jego szczególna umiejętność. Czasem, gdy wchodzisz, stoi na bibliotecznej drabinie i szuka jakiejś książki. Zwykle jednak siedzi przy biurku, otoczony dymem z papierosa, i patrzy na niebotyczny stos papierów i segregatorów. Przez chwilę jeszcze kończy zdanie lub notatkę na marginesie jakiegoś dokumentu, po czym wstaje i wyciąga w twoim kierunku drobną dłoń, a jego brązowe oczy spoglądają na ciebie z roztargnieniem. Gdy wymieniacie uścisk dłoni, mówi skromnie: Eli Lavon, chociaż i tak cały Wiedeń wie, kto kieruje Biurem Roszczeń i Dochodzeń Wojennych.

Gdyby Lavon nie cieszył się tak dobrą reputacją, jego wygląd - wiecznie pobrudzona popiołem koszula, wytarty i wystrzępiony bordowy sweter z łatami na łokciach - mógłby niepokoić. Niektórzy sądzą, że brakuje mu środków na utrzymanie; inni myślą, że jest ascetą, może nawet z lekka niespełna rozumu. Pewna potrzebująca pomocy w odzyskaniu mienia od szwajcarskiego banku kobieta doszła do wniosku, że ma on raz na zawsze złamane serce. Jak inaczej wytłumaczyć to, że nigdy się nie ożenił? A ten wyraz głębokiego smutku, gdy myśli,

że nikt go nie widzi? Goście snują różne przypuszczenia, ale skutek jest zwykle ten sam. Większość ludzi łączy do Lavona w obawie, że zaraz rozplynie się w powietrzu.

Gestem zaprasza cię na wygodną kanapę. Mówi dziewczynom, żeby nie łączyły rozmów, po czym przykłada do ust kciuk i palec wskazujący. „Poprosimy kawę”. Poza zasięgiem słuchu dziewczyny kłócą się, czyja kolej. Rebeka to Izraelka z Hajfy, ma oliwkową cerę i czarne oczy, jest porywcza i uparta. Sarah, bogata amerykańska Żydówka z programu badań nad Holocaustem prowadzonego przez uniwersytet w Bostonie, jest bystrzejsza niż Rebeka i przez to cierplivsza. Nie powstrzyma się przed użyciem wybiegu albo nawet czystego kłamstwa, by wykręcić się od obowiązków będących według niej poniżej jej godności. Kapryśna, ale uczciwa Rebeka łatwo daje się wyprowadzić w pole i to zwykle właśnie ona ponuro stawia na stoliku srebrną tacę, po czym wychodzi obrażona.

Lavon nie ma ustalonego sposobu prowadzenia spotkań. Pozwala gościowi narzucić przebieg rozmowy. Nie ma nic przeciwko pytaniom osobistym i jeśli go o to poprosić, wyjaśnia, jak to się stało, że jeden z najbardziej utalentowanych izraelskich archeologów postanowił zająć się badaniem niedokończonych spraw Holocaustu, a nie strudzonej ziemi własnego kraju. Ale na tym kończy się jego chęć opowiadania o swojej przeszłości. Nie mówi gościom, że krótko na początku lat siedemdziesiątych pracował dla cieszących się złą sławą tajnych służb Izraela; nie wspomina też, że wciąż uważa się go za najlepszego specja od terenowej inwigilacji, jakiego kiedykolwiek wyszkolił wywiad. Ani o tym, że dwa razy do roku, gdy odwiedza Izrael, żeby spotkać się ze swoją starą matką, udaje się do chronionego jak twierdza budynku w północnej części Tel Awiwu, by podzielić się swoją wiedzą z następnym pokoleniem szpiegów. W wywiadzie wciąż nazywają go Duchem. Jego mentor, Ari Szamron, często powtarzał, że Eli Lavon potrafi zniknąć w momencie, gdy podaje ci dłoń. To nie było dalekie od prawdy.

Przy gościach mówi niewiele, tak jak milczał, śledząc ludzi dla Szamrona. Jest nałogowym palaczem, ale umie się powstrzymać, jeśli dym przeszkadza rozmówcy. Poliglota, wysłucha cię niezależnie od tego, jakim mówisz językiem. W jego spojrzeniu widać współczucie, ale można też dostrzec ustawiające się na swoim miejscu fragmenty układanki. Woli nie zadawać pytań, dopóki gość nie przedstawi sprawy do końca. Ceni swój czas i szybko podejmuje decyzje. Wie, kiedy może pomóc, a kiedy należy zostawić przeszłość w spokoju.

Jeśli przyjmie zlecenie, poprosi o niewielką kwotę potrzebną do sfinansowania wstępnej fazy dochodzenia. Robi to z wyraźnym zakłopotaniem i jeśli nie możesz zapłacić, zrezygnuje z należności. Większość środków czerpie od ofiarodawców, ale dochodzenia

wojenne nie są zyskownym przedsięwzięciem i Lavon regularnie cierpi na brak gotówki. Źródła finansowania stanowią przedmiot sporów w pewnych kręgach Wiednia, w których Lavon ma opinię sponsorowanego przez międzynarodową społeczność żydowską, wiecznie stwarzającego problemy intruza, który lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. W Austrii jest wiele osób, które wolałyby, żeby Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych na dobre zaprzestało działalności. To przez tych ludzi Lavon chroni się za zielonym kuloodpornym szkłem.

Pewnego śnieżnego wieczoru na początku stycznia Lavon siedział samotnie w biurze pochylony nad stosem teczek. Tego dnia nie miał gości. Co więcej, od wielu dni nie umówił się z nikim, gdyż pochłaniała go jedna sprawa. O siódmej przez drzwi zajrzała Rebeka.

- Jesteśmy głodne - powiedziała z typowo izraelską bezpośredniością. - Kup nam coś do jedzenia.

Imponująca pamięć Lavona nie obejmowała zamówień na posiłki. Nie podnosząc wzroku znad papierów, zamachał długopisem, jakby stawiał w powietrzu litery: Napisz, co chcecie, Rebeko.

Chwilę później zamknął teczkę i wstał. Wyjrzał przez okno, obserwował osiadające spokojnie na czarnym bruku dziedzińca płatki śniegu. Włożył płaszcz, dwa razy owinął szyję szalikiem, na przeredzone włosy wsunął czapkę. Zszedł na dół do holu, gdzie pracowały dziewczyny. Biurko Rebeki zastawione było murem niemieckich teczek wojskowych. Sarah, wieczna studentka, siedziała ukryta za stosem książek. Dziewczyny kłóciły się jak zwykle. Rebeka chciała coś z serwującego jedzenie na wynos hinduskiego baru po drugiej stronie Kanału Dunajskiego; Sarah miała wielką ochotę na spaghetti z włoskiej knajpy na Kartnerstrasse. Lavon, nie zwracając na nie uwagi, obejrzał nowy komputer stojący na biurku Sarah.

- Kiedy to się tu pojawiło? - zapytał, przerywając debatę.

- Dzisiaj rano.

- Po co nam nowy komputer?

- Bo stary kupiłeś jeszcze za Habsburgów.

- Czy wyraziłem zgodę na zakup nowego komputera?

W pytaniu nie kryła się nagana. Biurem zarządzały dziewczyny. Podsuwały Eliemu pod nos dokumenty, które zwykle podpisywał bez czytania.

- Nie, Eli, nie wyraziłeś zgody na zakup. Za komputer zapłacił mój ojciec.

Lavon uśmiechnął się.

- Twój ojciec jest hojnym człowiekiem. Przekaż mu moje podziękowania.

Dziewczyny wznowiły dyskusję. Jak zwykle, Sarah wygrała. Rebeka sporządziła listę i zagroziła Lavonowi, że przypnie mu ją do rękawa. Wsunęła mu papierek do kieszeni płaszcza i lekko popchnęła Eliego w stronę drzwi, żeby wreszcie poszedł.

- I nie wstępuj nigdzie na kawę - powiedziała. - Umieramy z głodu.

Wyjść z budynku Biura Roszczeń i Dochodzeń Wojennych było prawie tak trudno, jak do niego wejść. Lavon wstukał rząd cyfr w klawiaturę na ścianie obok drzwi. Gdy odezwał się mechanizm otwierający zamek, pociągnął klamkę i wszedł do komory bezpieczeństwa. Zewnętrzne drzwi nie otwierały się, jeśli wewnętrzne nie były zamknięte przez co najmniej dziesięć sekund. Lavon przyłożył twarz do kuloodpornego szkła i rozejrzał się.

Po drugiej stronie, u wylotu wąskiej uliczki, ukryta w cieniu stała postać o szerokich ramionach, ubrana w kapelusz i długi płaszcz. Eli Lavon nie umiał chodzić po ulicach Wiednia, ani zresztą żadnego innego miasta, nie sprawdzając szczegółowo, czy nikt go nie śledzi, i nie zapamiętując twarzy, które widział zbyt często w zbyt wielu różnych sytuacjach. Choroba zawodowa. Nawet patrząc z dużej odległości i w kiepskim świetle, zorientował się, że stojącego po drugiej stronie ulicy człowieka widział kilka razy w ciągu paru ostatnich dni.

Zaczął systematycznie przeszukiwać pamięć, jak bibliotekarz wertujący katalog książek, póki nie znalazł odnośników do poprzednich spotkań. „Tak, tam. Judenplatz, dwa dni temu. To ty mnie śledziłeś, kiedy wyszedłem z kawiarni po spotkaniu z dziennikarzem ze Stanów”. Wrócił do katalogu i trafił na drugi odsyłacz. Okno baru przy Sterngasse. Ten sam mężczyzna, bez kapelusza, spoglądający obojętnie znad kufla pilznera na Lavona idącego pośpiesznie przez iście biblijny potop po wyjątkowo paskudnym dniu w pracy. Odszukanie trzeciego skojarzenia zajęło Eliemu dłuższą chwilę, ale udało się. Tramwaj numer dwa, wieczorny ruch. Wiedeńczyk o czerwonej twarzy, cuchnący bratwurstem i brzoskwiniowym sznapssem, przyciska Lavona do drzwi. Kapelusz znalazł miejsce siedzące, czyścił biletem paznokcie. Lavon pomyślał wtedy, że pewnie lubi czyścić różne rzeczy. Może ma to związek ze sposobem, w jaki zarabia na życie?

Odwrócił się i wcisnął guzik domofonu. Żadnej odpowiedzi. No, dziewczyny. Nacisnął jeszcze raz i spojrzął przez ramię. Mężczyzna w kapeluszu i płaszczu zniknął.

Po drugiej stronie odezwał się głos. Rebeka.

- Już ci się udało zgubić listę, Eli?

Lavon przycisnął kciukiem guzik.

- Wychodźcie! Szybko!

Chwilę później usłyszał na korytarzu tupot. Pojawiły się dziewczyny, oddzielone od



Lavona szklaną ścianą. Rebeka spokojnie wstukwała kod. Sarah stała cicho obok, wzrok miała utkwiony w oczach Lavona, rękę trzymała na szybie.

Nie pamiętał odgłosu eksplozji. Rebeke i Sarah objęła kula ognia, po czym obie zmiotła fala uderzeniowa. Drzwi wyleciały na zewnątrz. Lavon, uniesiony w powietrze niczym zabawka, z szeroko rozrzuconymi ramionami i plecami wygiętymi w łuk jak u akrobata, czuł, jak koziółkuje w powietrzu. Nie pamiętał uderzenia. Wiedział tylko, że leży plecami na śniegu wśród gradu potłuczonego szkła.

- Moje dziewczyny - wyszeptał, odpływając powoli w ciemność.

- Moje piękne dziewczyny.

Nieduży kościół w kolorze terakoty, zbudowany na planie krzyża greckiego, należał do biednej parafii w *sestiere Cannaregio*. Konserwator przystanął pod tympanonem o pięknych proporcjach i wygrzebał z kieszeni sztormiaka pęk kluczy. Otworzył wzmocnione metalem dębowe drzwi i wślizgnął się do środka. Policzki owiało mu chłodne, ciężkie od wilgoci i starego wosku powietrze. Przez chwilę stał nieruchomo w półświatle, po czym przeszedł do znajdującej się po prawej stronie kaplicy Świętego Hieronima.

Poruszał się lekko i bez wysiłku. Sprawiał wrażenie szybkiego i zwinnego jak kot. Miał pociągłą twarz, ostry podbródek i wąski nos, który wyglądał jak wyrzeźbiony w drewnie. Jego kości policzkowe były szerokie, a w zieleni niespokojnych oczu krył się ślad rosyjskich stepów. Krótko ostrzyżone czarne włosy przyprószała na skroniach siwizna. Nic w tej twarzy nie wskazywało na to, skąd pochodził konserwator, a jego zdolności językowe pozwalały mu z tego korzystać. W Wenecji był znany jako Mario Delvecchio. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało zupełnie inaczej.

Ołtarz zasłaniało przykryte brezentem rusztowanie. Konserwator, łapiąc się aluminiowych rurek, wdrapał się cicho na górę. Podest zastał w takim stanie, w jakim zostawił go poprzedniego popołudnia: pędzle i paleta, barwniki i podkład. Włączył baterię fluorescencyjnych lamp. Obraz, ostatnie wielkie malowidło Giovanniego Belliniego, błyszczał w intensywnym świetle. Po lewej stronie stał święty Krzysztof z siedzącym mu na ramionach Dzieciątkiem Jezus. Naprzeciwko - święty Ludwik z Tuluzy z pastorałem w ręku i mitrą na głowie. Ramiona okrywał mu ozdobny złoto-czerwony płaszcz. Ponad nimi, na drugim planie, na tle poprzecinanego szarobrazowymi chmurami intensywnie niebieskiego nieba siedział pochylony nad *Księgą Psalmów* święty Hieronim. Każdy oddzielony od reszty, sam w obliczu Boga. Ich izolacja wydawała się tak zupełna, że patrzenie na nią prawie sprawiało ból. Obraz był zdumiewający jak na dzieło osiemdziesięcioletniego człowieka.

Konserwator stał bez ruchu przed wyniosłym paneau niczym czwarta postać nakreślona wprawną ręką Belliniego. Pozwolił myślom odpłynąć w głąb krajobrazu. Po chwili rozprowadził na palecie podkład Mowolith 20, dodał barwnik i rozcieńczył mieszankę

arcosolvem, póki nie uznał, że konsystencja i intensywność są odpowiednie.

Znowu spojrzął na obraz. Ciepło i bogactwo kolorów doprowadziły historyka sztuki Raimonda van Marlego do wniosku, że dzieło z pewnością wyszło spod ręki Tycjana. Konserwator uważał, że, z całym szacunkiem, van Marle się mylił. Zajmował się dziełami obu artystów i znał pociągnięcia ich pędzli tak dobrze, jak zmarszczki na własnej twarzy. Ołtarz w kościele Świętego Jana Chryzostoma był autorstwa Belliniego, i tylko Belliniego. Poza tym w okresie, gdy malowidło powstało, Tycjan desperacko próbował zastąpić Belliniego na stanowisku najważniejszego malarza w Wenecji. Konserwator szczerze wątpił, by Giovanni poprosił młodego, krnąbrnego Tycjana o wykonanie tak ważnego zlecenia. Gdyby van Marle odrobił pracę domową, oszczędziłby sobie wstydu i nie wygłaszał tak niedorzecznych opinii.

Konserwator założył powiększające szkła firmy Binomag i skupił się na różowej tunice świętego Krzysztofa. Obraz ucierpiał na skutek zaniedbania, gwałtownych zmian temperatury i nieprzerwanej niszczącej obecności dymu z kadzideł i świec. Szaty Krzysztofa straciły wiele z pierwotnego blasku i były poorane bruzdami *pentimenti*, przebijającymi się na powierzchnię. Konserwator uzyskał zgodę na przeprowadzenie intensywnej restauracji. Jego zadaniem było przywrócenie obrazowi pierwotnej świetności. Wyzwanie polegało na zrobieniu tego tak, by malowidło nie wyglądało na kiepską podróbkę. Krótko mówiąc, starał się pozostawić wrażenie, że retusz był autorstwa samego Belliniego.

Pracował w samotności przez dwie godziny. Ciszę przerywał jedynie stukot kroków na zewnątrz i grzechot podnoszonych aluminiowych żaluzji zasłaniających witryny sklepowe. Zakłócenia zaczęły się dopiero o dziesiątej wraz z przybyciem sławnej weneckiej czyszcicielki ołtarzy Adrianny Zinetti. Wsunęła głowę za zasłonę i życzyła konserwatorowi miłego poranka. Rozzłoszczony, podniósł szkła powiększające i spojrzął na dół, za krawędź podestu. Adrianna ustawiła się tak, że nie mógł uniknąć gapienia się przez dekolt bluzki na jej nadzwyczajne piersi. Konserwator skinął poważnie głową i patrzył, jak dziewczyna ze zwinnością kota wspina się na swoje rusztowanie. Adrianna wiedziała, że mieszkał z inną kobietą, Żydówką ze starej dzielnicy żydowskiej, ale mimo to flirtowała z nim przy każdej okazji, tak jakby jeszcze jedno wymowne spojrzenie albo kolejne „przypadkowe” dotknięcie mogło złamać jego linię obrony. Zazdrościł jej prostoty w spojrzeniu na świat. Adrianna kochała sztukę, weneckie jedzenie i hołdy mężczyzn. Niewiele więcej ją obchodziło.

Następny pojawił się młody konserwator Antonio Politi. Miał ciemne okulary i wyglądał na skacowanego; gwiazda rocka przychodząca na kolejny niechciany wywiad. Antonio nie zadał sobie trudu, by życzyć konserwatorowi miłego ranka. Ich niechęć była

wzajemna. W renowacji kościoła Jana Chryzostoma Antoniowi przypadł w udziale główny ołtarz autorstwa Sebastiana del Piombi. Konserwator uważał, że chłopak nie był jeszcze gotowy do zajmowania się takim dziełem, i co wieczór przed opuszczeniem kościoła potajemnie wspinał się na podest Antonia, by sprawdzić efekty jego pracy.

Francesco Tiepolo, szef renowacji kościoła Świętego Jana Chryzostoma, przyszedł ostatni - powłócząca nogami, brodata postać, ubrana w luźną białą koszulę i owinięty wokół grubej szyi jedwabny szalik. Na ulicy turyści mylili go z Lucianem Pavarottim. Wenecjanie rzadko popełniali ten błąd, bo Francesco Tiepolo kierował najlepiej prosperującą firmą konserwatorską w całej Wenecji Euganejskiej i ciągle obracał się w tutejszych kręgach artystycznych.

- *Buongiorno* - zawołał Tiepolo, a jego dudniący głos odezwał się echem gdzieś wysoko w centralnej kopule. Chwycił potężną ręką rusztowanie konserwatora i potrząsnął gwałtownie. Ten spojrział zza krawędzi swojego podestu jak gargulec.

- O mało nie zniszczyłeś całej mojej porannej pracy, Francesco.

- I właśnie dlatego kładziemy izolujący podkład. - Tiepolo uniósł białą papierową torebkę. - *Cornetto*?

- Wchodź.

Tiepolo postawił stopę na pierwszym szczeblu rusztowania i podciągnął się. Konserwator słyszał, jak aluminiowe rurki trzeszczą pod znaczącym ciężarem. Francesco otworzył torbę, poczęstował konserwatora migdałowym *cornetto* i sam wziął jedno. Ugryzł i połowa rogalika zniknęła. Konserwator siedział na skraju podestu ze zwieszonymi nogami, a Tiepolo stał przed malowidłem i przyglądał się efektom pracy.

- Gdybym nie wiedział, że to ty, pomyślałbym, że stary Giovanni przyszedł tu w nocy i sam naniósł poprawki.

- O to chodzi, Francesco.

- Wiem, ale niewielu ludzi ma talent, żeby osiągnąć taki efekt. - Reszta *cornetto* zniknęła w jego ustach. Rękawem otarł brodę z cukru pudru. - Kiedy skończysz?

- Za trzy, może cztery miesiące.

- Z mojego uprzywilejowanego punktu widzenia trzy miesiące byłyby lepsze niż cztery. Ale niech Bóg broni, żebym miał popędzać wielkiego Maria Delvecchia. Planujesz jakieś wyjazdy?

Konserwator spojrział na niego gniewnie znad *cornetto* i powoli pokręcił głową. Rok wcześniej został zmuszony do wyjawienia Tiepolowi swojego prawdziwego nazwiska i zawodu. Włoch nie nadużył pokładanego w nim zaufania i nie wspominał o tym żywej duszy,

choć od czasu do czasu, gdy był z konserwatorem sam na sam, prosił go, by powiedział parę słów po hebrajsku. Słynny Mario Delvecchio bowiem naprawdę był Izraelczykiem z doliny Ezdrelon i nazywał się Gabriel Allon.

Gwałtowna ulewa uderzyła w dach kościoła. Ze znajdującego się wysoko w apsydzie kaplicy podestu brzmiało to jak walenie w bęben. Tiepolo błagalnie wznosił ręce ku niebu.

- Kolejna burza. Boże, miej nas w swojej opiece. Mówią, że *acqua alta* może dojść do półtora metra. Jeszcze nie wyschłem po ostatniej. Kocham to miasto, ale nawet ja nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

Tego roku powodzie były wyjątkowo dokuczliwe. Wenecja znalazła się pod wodą pięćdziesiąt parę razy, a zostały jeszcze trzy miesiące zimy. Dom Gabriela zalewało tak często, że musiał zabrać wszystkie rzeczy z parteru i zaczął montować wodoodporne ogrodzenie wokół drzwi i okien.

- Umrzesz w Wenecji jak Bellini - powiedział Gabriel. - A ja pochowam cię pod cyprysem na San Michele, w olbrzymiej krypcie odpowiedniej dla kogoś o tak wybitnych osiągnięciach.

Taka perspektywa zdawała się cieszyć Tiepola, chociaż wiedział, że podobnie jak większość współczesnych weneccjan, będzie musiał ścierpieć poniżenie pogrzebu na stałym lądzie.

- A ty, Mario? Gdzie umrzesz?

- Przy odrobinie szczęścia w wybranym przez siebie czasie i miejscu. Ktoś taki jak ja nie może liczyć na więcej.

- Wyświadczyć mi przysługę.

- Jaką?

Tiepolo spojrzął na zniszczone malowidło.

- Nim umrzesz, skończ ten obraz. Jesteś to winny Giovanniemu.

\*

Syreny powodziowe na szczycie bazyliki Świętego Marka odezwały się parę minut po czwartej. Gabriel pospiesznie oczyścił pędzle i paletę, ale gdy zszedł z rusztowania i przeszedł przez kościół do portalu, ulicą płynęła już woda o głębokości kilkunastu centymetrów.

Wrócił do środka. Jak większość weneccjan, miał kilka par gumowych kaloszy trzymanyh w strategicznych punktach, w każdej chwili gotowych do użytku. W kościele były pierwsze z jego kolekcji. Pożyczył mu je Umberto Conti, wenecki mistrz konserwacji zabytków, u którego odbywał praktyki. Gabriel wielokrotnie już próbował oddać buty, ale

Umberto nie chciał ich przyjąć. „Zatrzymaj je, Mario, razem z umiejętnościami, których ode mnie nabyłeś. Obiecuję, że będą ci dobrze służyć”.

Założył wyblakłe, stare kalosze Umberta i zawinął się w zielone wodoodporne ponczo. Chwilę później brnął w sięgającej po łydki wodzie przez Salizzada San Giovanni Crisostomo niczym ciemnozielona zjawa. Na Strada Nova służby oczyszczania miasta nie ułożyły drewnianych trapów znanych jako *passerelle*. Gabriel wiedział, że to zły znak: prognoza przewidywała wysoki poziom wody i *passerelle* mogłyby odpłynąć.

Gdy dotarł do Rio Terra San Leonardo, woda prawie wlewała mu się górną do kaloszy. Skręcił w boczną uliczkę, zupełnie cichą, jeśli nie liczyć plusku wody, i poszedł nią w stronę prowizorycznej kładki przerzuconej nad Rio di Ghetto Nuovo. Wyrósł przed nim krąg nieoświetlonych kamienic, łatwo zauważalnych, bo wyższych od wszystkich pozostałych weneckich budynków. Przebrnął przez zabagnione przejście podziemne i wyszedł na rozległy skwer. Minęło go dwóch brodatych studentów jesziwy, drepczących przez zalany plac w stronę synagogi. Frędzle *tallit katan* obijały się im o nogawki. Gabriel skręcił w lewo do drzwi z numerem 2899. Na małej mosiężnej tabliczce widniał napis: *Comunità Ebraica di Venezia* - Wenecka Gmina Żydowska. Nacisnął guzik i przez domofon powitał go głos starszej kobiety.

- Mario.

- Nie ma jej.

- Gdzie jest?

- Pomaga w księgarni. Jedna z dziewczyn się rozchorowała.

Wszedł w znajdujące się parę kroków dalej szklane drzwi i zdjął kaptur. Po lewej stronie było wejście do skromnego muzeum dzielnicy; po prawej niewielka, zachęcająca księgarnia, ciepła i jasno oświetlona. Na stołku za ladą siedziała dziewczyna o krótkich blond włosach i w pośpiechu opróżniała kasę, nim zachód słońca uniemożliwi jej przeliczanie pieniędzy. Nazywała się Valentina. Uśmiechnęła się do Gabriela i wskazała ołówkiem duże, zaczynające się od podłogi i sięgające sufitu okno z widokiem na kanał. Pod nim, zbierając szmatą wodę wokół podobno wodoodpornych uszczelek, klęczała na czworakach kobieta. Była uderzająco piękna.

- Mówiłem, że te uszczelki nie wytrzymają - powiedział Gabriel. - To była strata pieniędzy.

Chiara podniosła gwałtownie wzrok. Miała ciemne kręcone włosy, w których błyszczały kasztanowe i brązowe pasemka. Z trudem utrzymywane przez spinkę na karku, rozsypywały się bezładnie na ramionach. Karmelowe oczy połyskiwały złoto. Zmieniały

kolor wraz z jej nastrojem.

- Nie stój tam jak jakiś debil. Chodź tu i mi pomóż.

- Nie sądzisz chyba, że ktoś tak utalentowany jak ja...

Mokry biały ręcznik, rzucony z zaskakującą siłą i celnością, uderzył go w środek klatki piersiowej. Gabriel wyjął szmatę do kubła i klęknął obok dziewczyny.

- W Wiedniu był zamach bombowy - wyszeptała Chiara, przyciskając wargi do szyi Gabriela. - On jest tutaj. Chce się z tobą spotkać.

\*

Przy wejściu do domu nad kanałem chlupotała woda. Gdy Gabriel otworzył drzwi, jej powierzchnia zmarszczyła się. Ocenił zniszczenia, po czym ociężale ruszył na piętro w ślad za Chiara. W salonie panował mrok. Przed oknem zalany strugami deszczu, nieruchomy jak postać na obrazie Belliniego, stał, patrząc na kanał, stary mężczyzna. Ubrany był w ciemny garnitur ze srebrnym krawatem. Łysa głowa kształtem przypominała pocisk; twarz, mocno opalona, pokryta zmarszczkami i bruzdami, przywodziła na myśl kamień na pustyni. Gabriel stanął u jego boku. Mężczyzna nie zareagował, patrzył na podnoszącą się wodę. Na jego twarzy malował się fatalistyczny grymas, jakby obserwował początek potopu mającego zniszczyć nikczemnych ludzi. Gabriel wiedział, że Ari Szamron przybył tu, by powiedzieć mu o śmierci. Śmierć połączyła ich na początku i śmierć pozostała podstawą łączącej ich więzi.

W salach konferencyjnych oraz na korytarzach budynku izraelskich służb wywiadowczych Ari Szamron był postacią legendarną. Przedostawał się na dwory królewskie, wykradał tajemnice tyranom i zabijał wrogów Izraela, czasem nawet gołymi rękami. Największe jego osiągnięcie nadeszło w maju 1960 roku, w podejrzanej dzielnicy Buenos Aires, kiedy wyskoczywszy z tylnego siedzenia samochodu, złapał Adolfa Eichmanna.

We wrześniu 1972 premier Golda Meir poleciła mu znaleźć i zamordować palestyńskich terrorystów, którzy podczas igrzysk olimpijskich w Monachium porwali i zastrzelili jedenastu Izraelczyków. Gabriel, wówczas dobrze zapowiadający się student Akademii Sztuk Pięknych i Wzornictwa Bezalel w Jerozolimie, niechętnie przyłączył się do operacji Szamrona, trafnie ochrzczonej kryptonimem „Gniew Boży”. W opartym na hebrajskim alfabecie leksykonie operacji Gabriel był alefem. Uzbrojony jedynie w beretkę kalibru 0.22 cala po cichu zabił sześciu ludzi.

Kariera Szamrona nie była nieprzerwanym wznoszeniem się na wyżyny. Po drodze trafiały się głębokie doliny i operacyjne pustkowia. Miał reputację człowieka, który najpierw strzela, a potem martwi się o konsekwencje. Jego głównym atutem był wybuchowy temperament. Niektórzy politycy nie mogli znieść nieobliczalności Szamrona. Rabin często unikał jego telefonów, bojąc się tego, co mógł usłyszeć. Peres uznał go za prymitywa i odesłał w niebyt emerytury. Gdy biuro zaczęło upadać, Barak zrehabilitował Szamrona i przekazał mu stery, by naprowadził agencję na dawny kurs.

Oficjalnie był na emeryturze, a jego ukochane biuro znajdowało się w rękach stuprocentowo nowoczesnego, przebiegłego technokraty o imieniu Lew. Ale dla wielu Szamron wciąż pozostawał *Memuneh*, dowódcą. Obecny premier - jego stary przyjaciel i towarzysz w wielu podróżach - nadał Szamronowi niejasny tytuł i powierzył akurat tyle władzy, żeby mógł być uciążliwy. Na bulwarze Króla Saula byli tacy, którzy przysięgliby, że Lew modli się o rychły zgon Szamrona - i że Szamron nie umiera tylko po to, żeby zrobić mu na złość.

Teraz, stojąc przy oknie, Szamron spokojnie opowiedział Gabrielowi wszystko, co



wiedział o wydarzeniach w Wiedniu. Poprzedniego wieczoru w budynku Biura Roszczeń i Dochodzeń Wojennych wybuchła bomba. Eli Lavon leżał w głębokiej śpiączce na oddziale intensywnej terapii w wiedeńskim Szpitalu Ogólnym i w najlepszym razie miał jedną szansę na dwie, że przeżyje. Jego dwie asystentki, Rebeka Gazit i Sarah Greenberg, zginęły w momencie eksplozji. Do zamachu przyznało się tajemnicze ugrupowanie o nazwie Islamskie Komórki Bojowe, odgałęzienie Al-Kaidy, organizacji bin Ladena. Szamron rozmawiał z Gabrielem po angielsku, z tragicznym akcentem. W weneckim domu nad kanałem hebrajski był zabroniony.

Chiara przyniosła do salonu kawę i *rugelach*, po czym usiadła między Gabrielem i Szamronem. Z ich trojga tylko ona formalnie pracowała w biurze. Była *bat lewejha*, a jej obowiązki polegały na udawaniu kochanek lub małżonek funkcjonariuszy terenowych. Jak wszyscy członkowie biura, przeszła kurs walki wręcz i dobrze władała bronią. Fakt, że na końcowym egzaminie ze strzelania dostała więcej punktów niż wielki Gabriel Allon, był źródłem pewnego napięcia w ich domu. Jej tajne zlecenia często wymagały stwarzania pozorów intymności, na przykład okazywania partnerowi uczuć w restauracjach i klubach oraz dzielenia łóżka w hotelach bądź lokalach konspiracyjnych. Oficjalnie związki uczuciowe między agentami i eskortą były zabronione, ale Gabriel wiedział, że ciasne kwatery i stres związany z pracą w terenie zbliżały. Co więcej, kiedyś, w Tunisie, sam miał romans ze swoją *bat lewejha*, piękną Żydówką z Marsylii, Jacqueline Delacroix. Przygoda o mało nie zniszczyła jego małżeństwa. Gdy Chiara wyjeżdżała, Gabriel często wyobrażał ją sobie w łóżku innego mężczyzny. Choć nie ulegał łatwo zazdrości, po cichu wypatrywał dnia, w którym na bulwarze Króla Saula uznają, że praca w terenie naraża Chiarę na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

- Co to tak dokładnie są Islamskie Komórki Bojowe?

Szamron skrzywił się.

- Podrzedni kombinatorzy działający we Francji i paru innych europejskich krajach. Zwykle zadowolają się podpalaniem synagog, profanacją żydowskich cmentarzy i biciem żydowskich dzieci na ulicach Paryża.

- Czy w oświadczeniu było cokolwiek użytecznego dla wywiadu?

Szamron pokręcił głową.

- Tylko zwykłe brednie o cierpieniach Palestyńczyków i zniszczeniu syjonistycznego spisku. Ostrzegają, że będą kontynuować ataki na żydowskie cele w Europie, póki Palestyna nie zostanie wyzwolona.

- Biuro Lavona było jak forteca. Jak posługującemu się na co dzień koktajlami

Mołotowa i farbą w spreju ugrupowaniu udało się podłożyć bombę w Biurze Roszczeń i Dochodzeń Wojennych?

Szamron wziął od Chiary filiżankę.

- Austriacka Staatspolizei nie jest pewna, ale podejrzewa, że ładunek ukryto w komputerze, dostarczonym do biura tego samego dnia.

- Czy mamy wierzyć, że Islamskie Komórki Bojowe były w stanie ukryć bombę w komputerze i przemyścić ją do zabezpieczonego budynku w Wiedniu?

Szamron gwałtownie zamieszał cukier w kawie i powoli pokręcił głową.

- Więc kto to zrobił?

- No właśnie. Chciałbym poznać odpowiedź na to pytanie.

Szamron zdjął płaszcz i podwinął rękawy. Przekaz wydawał się jasny. Gabriel odwrócił wzrok od przymrużonych oczu Szamrona i pomyślał o ostatnim razie, gdy Stary wysłał go do Wiednia. Było to w styczniu 1991 roku. Biuro dowiedziało się, że działający w mieście agent irackiego wywiadu ma zamiar przeprowadzić serię terrorystycznych ataków na izraelskie cele. Miało to związek z pierwszą wojną w Zatoce Perskiej. Szamron rozkazał Gabrielowi obserwować Irakijczyka oraz, gdyby okazało się to konieczne, podjąć kroki zapobiegawcze. Gabriel, nie chcąc po raz kolejny narażać się na długą rozłąkę z rodziną, wziął ze sobą żonę Leah i małego synka Daniego. Ale nie zdawał sobie sprawy, że wpada w pułapkę zastawioną przez palestyńskiego terrorystę Tarika al-Huraniego.

Dopiero po dłuższej chwili zamyślony Gabriel podniósł wreszcie wzrok.

- Zapomniałeś, że Wiedeń to dla mnie miasto zakazane?

Szamron zapalił jednego ze swoich cuchnących tureckich papierosów, a zgaszoną zapalniczkę położył na spodku obok łyżeczki. Podniósł okulary na czoło i skrzyżował ramiona. Wciąż były potężne, hartowana stal pod cienką warstwą obwisłej, spalonej słońcem skóry. Podobnie jak ręce. Tę pozę Gabriel widział wiele razy. Szamron Niewzruszony. Szamron Niezłomny. Stał tak samo, gdy wysłał Gabriela do Rzymu, by po raz pierwszy kogoś zabił. Już wtedy miał swoje lata. Tak naprawdę nigdy nie był młody. Zamiast uganiać się za dziewczynami na plaży w Netanii, dowodził jednostką w Palmach, tocząc pierwszą bitwę w niekończącej się izraelskiej wojnie. Ukradziono mu młodość, w zamian więc ukradł młodość Gabrielowi.

- Zgłosiłem się na ochotnika, żeby pojechać do Wiednia, ale Lew nawet nie chciał o tym słyszeć. Wie, że w związku z naszymi przykrymi przejściami uważają mnie tam za pariasa. Sądzi, że Staatspolizei będzie bardziej skłonna do współpracy z kimś mniej kontrowersyjnym.

- Więc chcesz wysłać mnie?

- Oczywiście nieoficjalnie. - Ostatnimi czasy Szamron nic nie robił oficjalnie. - Ale byłbym dużo spokojniejszy, gdyby ktoś, komu ufam, miał na wszystko oko.

- Mamy w Wiedniu ludzi.

- Ale wszyscy podlegają Lwowi.

- On jest szefem.

Szamron zamknął oczy, jakby Gabriel poruszył przykry temat.

- Lew ma w tej chwili na głowie za dużo innych problemów, żeby poświęcić tej sprawie odpowiednią uwagę. Młody imperator w Damaszku robi się dokuczliwy. Mułowie w Iranie próbują zbudować bombę Allaha, a Hamas zamienia dzieci w ładunki wybuchowe i wysadza je w powietrze na ulicach Tel Awiwu i Jerozolimy. Jeden niewielki zamach w Wiedniu nie może liczyć na uwagę, na jaką zasługuje. Nawet jeśli celem był Eli Lavon.

Współczująco popatrzył na Gabriela znad filiżanki.

- Wiem, że wolałbyś nie wracać do Wiednia, zwłaszcza po kolejnym zamachu, ale twój przyjaciel walczy w wiedeńskim szpitalu o życie. Sądziłem, że chciałbyś wiedzieć, kto go tak urządził.

Allon pomyślał o niedokończonym ołtarzu Belliniego w kościele Świętego Jana Chryzostoma i poczuł, jak wymyka mu się z rąk. Chiara, odwróciwszy wzrok od Szamrona, wpatrywała się w Gabriela intensywnie.

- Jeśli pojedę do Wiednia - odezwał się półgłosem - potrzebna mi będzie tożsamość.

Szamron wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że są sposoby - „oczywiste sposoby, kochany chłopcze” - na pokonanie tak drobnej trudności jak przykrywką. Gabriel spodziewał się takiej odpowiedzi. Wyciągnął dłoń.

Szamron otworzył walizkę i podał mu szarą kopertę. Gabriel wysypał jej zawartość na stół - bilety lotnicze, skórzany portfel, wysłużony izraelski paszport. Zajrzał do środka i zobaczył siebie samego, odwzajemniającego spojrzenie. Jego nowe imię brzmiało Gideon Argow. Zawsze lubił imię Gideon.

- Jak Gideon zarabia na życie?

Szamron kiwnął głową w stronę portfela. Wśród standardowych przedmiotów - kart kredytowych, prawa jazdy, legitymacji z klubu fitness i karty z wypożyczalni wideo - znalazł wizytówkę:

Gideon Argow

Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych

ul. Mendele 17  
92147 Jerozolima  
tel. 542 76 18

Gabriel podniósł wzrok.

- Nie wiedziałem, że Eli miał oddział w Jerozolimie.
- Już ma. Zadzwoń.

Gabriel pokręcił głową.

- Wierzę ci. Czy Lew o tym wie?
- Jeszcze nie, ale mam zamiar mu powiedzieć, kiedy będziesz na miejscu.
- Czyli zwodzimy zarówno Austriaków, jak i biuro. Imponujące, nawet jak na ciebie,

Ari.

Szamron posłał mu uśmiech niewiniątka. Gabriel otworzył okładkę biletów i przestudiował plan podróży.

- Uznałem, że złym pomysłem byłoby, gdybyś poleciał do Wiednia prosto stąd. Rano wrócimy razem do Tel Awiwu - oczywiście siedzimy oddzielnie. Złapiesz popołudniowy lot do Wiednia.

Gabriel wbił spojrzenie w Szamrona. Na jego twarzy malowała się niepewność.

- A jeśli rozpoznają mnie na lotnisku i zaciągną do jakiejś celi, w której znam austriackiej gościnności?

- Oczywiście może się tak zdarzyć, ale upłynęło już trzynaście lat. Poza tym byłeś ostatnio w Wiedniu. O ile pamiętam, rok temu spotkaliśmy się w biurze Eliego w sprawie poważnego zagrożenia życia Jego Świątobliwości papieża Pawła VII.

- Byłem w Wiedniu - przyznał Gabriel, podnosząc fałszywy paszport - ale nie z takiego powodu, a poza tym nie musiałem przejść przez lotnisko.

Gabriel dłuższą chwilę oceniał paszport swoim okiem konserwatora. Wreszcie zamknął go i wsunął do kieszeni. Chiara wstała i wyszła z pokoju. Szamron odprowadził ją wzrokiem, po czym spojrzał na Gabriela.

- Zdaje się, że znowu namieszałem ci w życiu.
- Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?
- Chcesz, żebym z nią porozmawiał?

Gabriel pokręcił głową.

- Przejdzie jej - powiedział. - To profesjonalistka.

W życiu Gabriela były chwile, fragmenty czasu, które prznosił na płótno i wieszał w piwnicy podświadomości. Do tej galerii pamięci dodał Chiarę, taką, jaką widział w tym momencie, skąpaną w sączącym się z latarni za oknem ich sypialni rembrandtowskim światłem, z atlasową kołdrą skłębioną na biodrach, z odsłoniętymi nagimi piersiami. Przeszkodziły mu inne obrazy. Szamron otworzył im drzwi, a Gabrielowi, jak zawsze, nie starczyło siły, by wizję powstrzymać. Był wśród nich Wadal Adel Zwaiter, wychudły intelektualista w kurtce w szkocką kratę, którego Gabriel zastrzelił na klatce schodowej w rzymskiej kamienicy. Był też Ali Abdel Hamidi, który zginął z jego ręki w uliczce w Zurychu, oraz Mahmud, starszy brat Tarika al-Huraniego, którego zabił strzałem w oko w Kolonii, gdy leżał w ramionach kochanki.

Pukiel włosów zsunął się Chiarze na piersi. Gabriel wyciągnął rękę i delikatnie go odgarnął. Spojrzała na niego. Było zbyt ciemno, by mógł zobaczyć kolor jej oczu, ale wyczuł, co myślała. Szamron wytrenował go w odgadywaniu emocji innych ludzi, podobnie jak Umberto Conti nauczył go naśladować dawnych mistrzów. Nawet w ramionach kochanki Gabriel nie potrafił wyłączyć mechanizmu poszukującego oznak zdrady.

- Nie chcę, żebyś leciał do Wiednia - położyła ręce na piersi Gabriela. Jego serce uderzało o chłodną skórę jej dłoni. - To nie jest dla ciebie bezpieczne miejsce. Szamron powinien to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny.

- Szamron ma rację. To było dawno temu.

- Owszem, ale jeśli teraz tam polecisz i zaczniesz pytać o zamach, na pewno natkniesz się na austriacką policję i służby bezpieczeństwa. Szamron wykorzystuje cię, żeby nie wypaść z gry. Nie chodzi mu o twoje dobro.

- Mówisz jak człowiek Lwa.

- Chodzi mi o ciebie. - Pochyliła się i pocałowała go w usta. Jej wargi miały smak kwiatów. - Nie chcę, żebyś leciał do Wiednia. - Po chwili wahania dodała: - Boję się, że cię stracę.

- Przez kogo?

Uniosła kołdrę do ramion i przykryła piersi. Między nimi stanął cień Leah. Chiarze to nie przeszkadzało. Rozmawiała o Leah tylko w łóżku, bo wierzyła, że wtedy Gabriel nie skłamał. Całe jego życie było kłamstwem; jedynie z kochankami pozwalał sobie na szczerość aż do bólu. Mógł kochać się tylko z kobietą, która wiedziała, że zabija ludzi dla swojego kraju. Nigdy nie kłamał na temat Leah. Uważał za swój obowiązek mówić o niej szczerze, nawet kobietom, które zajęły jej miejsce w łóżku.

- Masz pojęcie, jakie to dla mnie trudne? - spytała Chiara.

- Wszyscy wiedzą o Leah. W Biurze jest owiana legendą, tak jak ty i Szamron. Jak długo jeszcze mam żyć, bojąc się, że pewnego dnia dojdiesz do wniosku, że nie możesz tak dłużej?

- Co w takim razie powinienem według ciebie zrobić?

- Ożeń się ze mną, Gabrielu. Zostań w Wenecji i odnawiaj obrazy. Powiedz Szamronowi, żeby zostawił cię w spokoju. Ciało masz pokryte bliznami. Czy nie dość już poświęciłeś dla kraju?

Zamknął oczy. Otworzyły się przed nim drzwi galerii. Niechętnie przeszedł przez nie na drugą stronę i znalazł się na ulicy starej żydowskiej dzielnicy Wiednia, razem z Leah i Danim. Właśnie skończyli obiad, pada śnieg. Leah jest podenerwowana. W barze obok restauracji stał telewizor. Przez cały posiłek oglądali grad irackich rakiet zasypujący Tel Awiw. Leah nie może się doczekać, kiedy wrócą do domu i będzie mogła zadzwonić do matki. Pogania Gabriela, który jak zawsze przeszukuje podwozie samochodu. „Dalej, pospiesz się. Chcę porozmawiać z matką. Chcę usłyszeć jej głos”. Wstaje, przypina Daniego do tylnego siedzenia i całuje Leah. Nawet teraz czuje smak oliwek na jej ustach. Odwraca się i idzie w stronę katedry, gdzie, w ramach przykrywkii, odnawia malowidło ołtarzowe przedstawiające męczeńską śmierć świętego Stefana. Leah przekręca kluczyk. Silnik się krztusi. Gabriel odwraca się i krzyczy do żony, żeby przestała, ale Leah go nie widzi, bo przednia szyba jest przysypana śniegiem. Po raz drugi przekręca kluczyk...

Czekał, aż obrazy ognia i krwi rozpląną się w ciemności. A potem powiedział Chiaryze to, co chciała usłyszeć - kiedy wróci z Wiednia, odwiedzi Leah w szpitalu i wytłumaczy jej, że zakochał się w innej kobiecie.

Twarz Chiary spochmurniała.

- Chciałabym, żeby dało się to załatwić inaczej.

- Muszę powiedzieć jej prawdę - oznajmił Gabriel. - Zasługuje na nią.

- Zrozumie?

Gabriel wzruszył ramionami. Leah cierpiała na psychozę depresyjną. Lekarze sądzili, że w jej pamięci niczym zapętłona taśma wideo odtwarzała się bez przerwy noc zamachu, nie zostawiając miejsca na wrażenia ani dźwięki pochodzące ze świata zewnętrznego. Gabriel często zadawał sobie pytanie, jak Leah zapamiętała go tamtej nocy. Czy widziała tylko, jak odchodzi w stronę wieży katedry, czy też czuła, jak wyciąga z ognia jej osmalone ciało? Pewien był tylko jednego. Leah z nim nie rozmawiała. Nie odezwała się do niego ani słowem przez trzynaście lat.

- Muszę to zrobić - odparł. - Muszę jej powiedzieć. Muszę wyznać prawdę o tobie.

Nie wstydę się niczego, a już na pewno nie ciebie.

Chiara odgarnęła kołdrę i pocałowała go namiętnie. Gabriel czuł napięcie w jej ciele i podniecenie w oddechu. Gdy było po wszystkim, leżał obok, głaszcząc jej włosy. Nie mógł spać, nie w noc przed podróżą do Wiednia. Było też coś więcej. Czuł się tak, jakby właśnie dopuścił się zdrady. Jakby przespał się z kobietą innego mężczyzny. Nagle zdał sobie sprawę, że we własnym umyśle był już Gideonem Argowem. Na razie Chiara była mu obca.

- Proszę o paszport.

Gabriel przesunął go po blacie godłem w dół. Celnik spojrział zmęczonym wzrokiem na zużytą okładkę i wertował strony, dopóki nie znalazł wizy. Dodał kolejną pieczętkę - Gabriel pomyślał, że gwałtowniej, niż było trzeba - i bez słowa oddał dokument. Gabriel włożył go do kieszeni kurtki i ciągnąc za sobą torbę na kółkach, ruszył przez halę przylotów.

Na zewnątrz zajął miejsce w kolejce na postojach taksówek. Było przejmująco zimno, a wiatr niósł ze sobą śnieg. Usłyszał fragmenty rozmów prowadzonych po niemiecku z wiedeńskim akcentem. W przeciwieństwie do wielu swoich ziomków nie reagował nerwowo na sam dźwięk tego języka. Niemiecki był dla niego językiem ojczystym i śnił właśnie po niemiecku. Władał nim doskonale, z berlińskim akcentem matki.

Przesunął się do przodu kolejki. Podjechał biały mercedes. Nim Gabriel wsiadł na tylne siedzenie, zapamiętał numer rejestracyjny taksówki. Położył torbę obok siebie i podał kierowcy adres parę ulic od hotelu, w którym wynajął pokój.

Taksówka popędziła autostradą prowadzącą przez dzielnicę przemysłową - wśród fabryk, gazowni i elektrowni. Po chwili Gabriel dostrzegł wieżę katedry Świętego Stefana, wystrzelającą ponad Innere Stadt. W przeciwieństwie do zabudowy większości europejskich metropolii, budynki Wiednia pozostały ładne, nie dotknęła ich miejska brzydota. Tak naprawdę niewiele się zmieniło zarówno w wyglądzie, jak i stylu życia miasta przez ostatnie stulecie, czyli od czasów, gdy Wiedeń był centrum administracyjnym imperium obejmującego Europę Środkową i Bałkany. Wciąż można zjeść po południu kremówkę u Demela bądź też rozmyślać nad kawą i gazetą u Landtmanna albo w Café Central. W Innere Stadt lepiej jest porzucić samochód i podróżować tramwajem albo na piechotę, spacerując po rozświetlonych bulwarach prowadzących wzdłuż barokowych i gotyckich budynków, w których mieszczą się ekskluzywne sklepy. Mężczyźni wciąż noszą marynarki z lodenu i tyrolskie czapki z piórkiem, a kobiety uważają marszczone spódnice za modne. Brahm powiedział kiedyś, że został w Wiedniu, bo woli pracować na wsi. To wciąż jest małe miasteczko, pomyślał Gabriel, ze swoją małomiasteczkową pogardą dla zmian i niechęcią do



obcych. Dla Gabriela Wiedeń na zawsze miał pozostać miastem duchów.

Dojechali do Ringstrasse, szerokiego bulwaru otaczającego centrum miasta. Z mijanych słupów uśmiechała się do Gabriela przystojna twarz Petera Metzlera, kandydata skrajnie prawicowej Austriackiej Partii Narodowej na kanclerza. Był to okres kampanii wyborczej i na słupach wisiały setki plakatów. Sztab wyborczy Metzlera miał hojnych sponsorów i widać, że nie szczędził kosztów. Twarz przywódcy była wszędzie, a jego wzroku nie dało się uniknąć. Tak jak i hasła: *Eine neue Ordnung für ein neues Österreich!* Nowy porządek w nowej Austrii. Austriaków, pomyślał Gabriel, nie stać na subtelność.

Wysiadł z taksówki obok opery narodowej i piechotą dotarł na wąską uliczkę o nazwie Weihburggasse. Wyglądało na to, że nikt go nie śledzi, chociaż z doświadczenia wiedział, że dobrze wyszkolonych obserwatorów praktycznie nie da się wykryć. Wszedł do niedużego hotelu. Widząc izraelski paszport, recepcjonista przybrał zasmucony wyraz twarzy i wymamrotał parę słów współczucia na temat „potwornego zamachu w dzielnicy żydowskiej”.

Wcielając się w rolę Gideona Argowa, Gabriel pogadał z nim kilka minut po niemiecku, po czym po schodach udał się do swojego pokoju na drugim piętrze. Drewniana posadzka miała kolor miodu, a przeszklone drzwi prowadziły na ciemny wewnętrzny dziedziniec. Gabriel zasunął firanki i zostawił torbę na łóżku, tak żeby była widoczna. Umieścił na framudze znacznik - zorientuje się, czy ktoś odwiedził pokój podczas jego nieobecności.

Wrócił do holu. Recepcjonista uśmiechnął się tak, jakby nie widzieli się od pięciu lat, a nie od pięciu minut. Na zewnątrz zaczął padać śnieg. Gabriel wyszedł na ciemne uliczki Innere Stadt, patrząc, czy nikt go nie śledzi. Zatrzymywał się przed witrynami, żeby obejrzeć się przez ramię, wchodził do budek telefonicznych i udając, że dzwoni, obserwował otoczenie. Przy stoisku z gazetami kupił „Die Presse”, po czym sto metrów dalej wyrzucił ją do kosza. W końcu, pewny, że nikt za nim nie idzie, wszedł na stację kolejki Stephansplatz.

Nie musiał oglądać jasno oświetlonych map wiedeńskiej komunikacji miejskiej, bo znał je na pamięć. Kupił bilet w automacie, po czym minął bramkę i zszedł na peron. Wsiadł do wagonu i zapamiętał otaczające go twarze. Pięć przystanków dalej, na Westbahnhof, przesiadł się do linii U6 w kierunku północnym. Wiedeński Szpital Ogólny miał własną stację metra. Ruchome schody powoli wwozły Gabriela na górę, na ośnieżony placik parę kroków od głównego wejścia pod adresem Währinger Gürtel 18/20.

Szpital istniał w zachodniej części Wiednia od trzystu z górą lat. W 1693 roku cesarz Leopold I, zatroskany ciężką sytuacją miejskich nędzarzy, nakazał zbudować tu Dom dla

Biednych i Inwalidów. Sto lat później cesarz Józef II przemianował instytucję na Ogólny Szpital dla Chorych. Stary budynek pozostał kilka ulic dalej, przy Alserstrasse, ale wokół niego wyrósł rozciągający się na kilka przecznic nowoczesny kompleks szpitalny. Gabriel dobrze o tym wiedział.

Człowiek z ambasady schronił się w portyku, pod napisem *Saluti et Solatio Aegrorum*: leczyć i pomagać chorym. Mężczyzna, drobny, wyglądający na nerwowego dyplomatę o nazwisku Zwi, uściśnął Gabrielowi dłoń i po krótkim zbadaniu jego paszportu i wizytówki wyraził ubolewanie z powodu śmierci jego dwóch współpracowników.

Weszli do głównego holu. Był pusty, jeśli nie liczyć staruszka z rzadką brodą, siedzącego na brzegu kanapy ze złączonymi stopami i kapeluszem na kolanach, niczym podróżny czekający na bardzo spóźniony pociąg. Mamrotał coś do siebie. Gdy Gabriel go mijiał, staruszek podniósł wzrok i ich spojrzenia na moment się spotkały. Gabriel wszedł do windy i mężczyzna zniknął za zasuwającymi się drzwiami.

Winda zatrzymała się na ósmym piętrze. Gabriela powitał uspokajający widok wysokiego, jasnowłosego Izraelczyka w garniturze i ze słuchawką w uchu. Przy wejściu na oddział intensywnej terapii stał kolejny ochroniarz. Trzeci, drobny i ciemny, w źle dopasowanej marynarce, tkwił przed drzwiami prowadzącymi do sali Eliego. Odsunął się na bok, żeby goście mogli wejść. Gabriel zatrzymał się i spytał, dlaczego nie został przeszukany.

- Jest pan ze Zwim. Nie muszę pana przeszukiwać.

Gabriel podniósł rękę.

- Przeszukaj mnie.

Ochroniarz kiwnął głową i spełnił polecenie. Gabriel rozpoznał sposób przeszukiwania. Dokładnie według podręcznika. Sprawdzanie krocza było trochę zbyt natarczywe, ale w końcu sam się o to prosił.

- Przeszukuj wszystkich, którzy tu wchodzą - rozkazał, gdy było po wszystkim.

Zwi, mężczyzna z ambasady, obserwował całą scenę. Jasne było, że nie wierzył już, że człowiek z Jerozolimy nazywa się Gideon Argow i jest z Biura Roszczeń i Dochodzeń Wojennych. Gabriela to nie obchodziło. Jego przyjaciel leżał bezbronny po drugiej stronie drzwi. Lepiej było kogoś trochę zdenerwować, niż pozwolić Eliemu umrzeć z nadmiaru delikatności.

Wszedł za Zwim do sali. Łóżko stało za szklaną przegrodą. Pacjent nie przypominał Eliego, ale Gabriel się tego spodziewał. Jak większość Izraelczyków wiedział, co robi z ciałem człowieka wybuch bomby. Twarz Eliego przykrywała maska respiratora, oczy miał przewiązane gazą, a głowę grubo zabandażowaną. Odkryte fragmenty jego policzków i

szczęki nosiły ślady szkła wbitego w twarz przez eksplozję.

Pielęgniarka o krótkich czarnych włosach i nadzwyczajnie niebieskich oczach sprawdzała kroplówkę. Spojrzała w stronę odwiedzających i nim wróciła do pracy, przez chwilę przyglądała się Gabrielowi. Z jej oczu nic nie dało się wyczytać.

Zwi dał Gabrielowi chwilę do namysłu, po czym podszedł do szklanej szyby i przedstawił stan jego kolegi. Mówił z precyzją człowieka, który obejrzał zbyt wiele tragedii na ekranie telewizora. Wpatrzony w twarz Eliego, Gabriel usłyszał tylko część tego, co mówił dyplomata - jednak wystarczająco wiele, by wiedzieć, że jego przyjaciel był bliski śmierci oraz że nawet jeśli przeżyje, może już nigdy nie być taki sam.

- Na razie - zakończył Zwi - przy życiu utrzymują go maszyny.

- Dlaczego ma zabandażowane oczy?

- Odłamki szkła. Większość udało się wyjąć, ale kilka jeszcze tkwi w oczach.

- Czy może oślepnąć?

- Lekarze nie są w stanie tego stwierdzić, dopóki nie odzyska przytomności - odparł Zwi, po czym dodał pesymistycznie: - O ile w ogóle ją odzyska.

Do pokoju wszedł lekarz. Spojrzał na Gabriela i Zwiego i szybko skinął głową, po czym otworzył szklane drzwi i wszedł na salę. Pielęgniarka odsunęła się od łóżka, a jej miejsce zajął doktor. Przeszła dookoła i stanęła przy szybie. Po raz drugi jej wzrok napotkał spojrzenie Gabriela, ale szybkim ruchem nadgarstka zasunęła zasłonę. Gabriel wyszedł na korytarz, a Zwi podążył za nim.

- Wszystko w porządku?

- Nic mi nie będzie. Potrzebuję tylko chwili samotności.

Dyplomata wrócił do sali. Gabriel założył ręce na plecach, jak żołnierz na komendę spocznij, i powoli ruszył wzdłuż znajomego korytarza. Minął pokój pielęgniarek. Obok okna wciąż wisiał ten sam nudny obrazek wiedeńskiej ulicy. Powietrze też się nie zmieniło - wisiał w nim zapach środka dezynfekującego i śmierci.

Podszedł do szklanych drzwi o numerze 2602-C. Popchnął je lekko czubkami palców - otworzyły się cicho. Gabriel obejrzał się przez ramię. W pobliżu nie było pielęgniarek. Wsunął się do środka ciemnego, pustego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Nie zapalił światła, czekał, aż przyzwyczai się do ciemności. Po chwili zaczął dostrzegać zarysy pokoju: puste łóżko, ciche monitory, pokryte winylem krzesło. Najniewygodniejsze krzesło w Wiedniu. Spędził na nim dziesięć nocy, w większości bezsennych. Leah odzyskała przytomność tylko raz. Spytała o Daniego, a Gabriel nierozważnie powiedział jej prawdę. Na jej policzki spłynęły łzy. Nigdy więcej się do niego

nie odezwała.

- Nie powinien pan tu wchodzić.

Zaskoczony Gabriel obrócił się szybko. Głos należał do pielęgniarki, która chwilę wcześniej stała przy Elim. Zagadnęła Gabriela po niemiecku. Odpowiedział w tym samym języku.

- Przepraszam, ja tylko...

- Wiem, co pan robi - pozwoliła, by na chwilę rozdzieliła ich cisza. - Pamiętam pana.

Oparła się o drzwi i skrzyżowała ramiona na piersi. Przekrzywiła głowę. Gdyby nie workowaty strój pielęgniarki i wiszący na szyi stetoskop, Gabriel pomyślałby, że z nim flirtuje.

- Pańska żona parę lat temu padła ofiarą zamachu bombowego. Wtedy byłam młodą, początkującą pielęgniarką. Zajmowałam się nią w nocy. Nie pamięta pan?

Gabriel przez chwilę się jej przyglądał. W końcu powiedział:

- Pani się chyba myli. W Wiedniu jestem po raz pierwszy. Poza tym nigdy nie byłem żonaty. Przepraszam - dodał pospiesznie, kierując się w stronę drzwi - nie powinienem był tu wchodzić. Po prostu potrzebowałem jakiegoś miejsca, żeby zebrać myśli.

Minął ją. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Proszę mi powiedzieć jedno. Czy ona żyje?

- Kto?

- Pańska żona, ma się rozumieć.

- Przykro mi - odparł zdecydowanym tonem. - Pomyliła mnie pani z kimś innym.

Skinęła głową - „jak pan woli”. Jej niebieskie oczy były wilgotne i błyszcząły w półświatle.

- Eli Lavon to pański przyjaciel?

- Tak. Bardzo bliski przyjaciel. Pracujemy razem. Mieszkam w Jerozolimie.

- Jerozolima - powtórzyła, jakby podobał jej się sam dźwięk tego słowa. - Chciałabym kiedyś odwiedzić Jerozolimę. Przyjaciele sądzą, że zwariowałam. Wie pan, zamachy samobójcze, wszystko inne... - przerwała. - Mimo to chcę tam pojechać.

- Powinna pani - powiedział Gabriel. - To wspaniałe miasto.

Po raz drugi dotknęła jego ramienia.

- Rany pańskiego przyjaciela są poważne. - Jej głos był czuły i słychać w nim było smutek. - Naprawdę z nim źle.

- Przeżyje?

- Nie wolno mi odpowiadać na takie pytania. Tylko lekarze mają prawo przedstawić

rokowania. Ale jeśli chce pan posłuchać mojej rady, proszę spędzić z nim trochę czasu. Proszę mu poopowiadać różne rzeczy. Nigdy nie wiadomo, może pana usłyszy.

\*

Przez godzinę wpatrywał się w leżące za szybą nieruchome ciało. Pielęgniarka wróciła. Przez parę minut sprawdzała stan Eliego, po czym pokazała Gabrielowi, żeby wszedł do sali.

- To wbrew zasadom - szepnęła konspiracyjnie. - Stanę na warcie przy drzwiach.

Gabriel nie przemawiał do Eliego, trzymał tylko w dłoniach jego poranioną i spuchniętą rękę. Nie istnieją słowa dla opisanego bólu, który odczuwał, patrząc na drugą kochaną przez siebie osobę leżącą w wiedeńskim szpitalu. Pięć minut później pielęgniarka wróciła, położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała, że czas już iść. Na zewnątrz przedstawiła mu się - miała na imię Marguerite.

- Pracuję jutro w nocy - oznajmiła. - Mam nadzieję, że się zobaczymy.

Zwił sobie poszedł; przyszła nowa zmiana ochroniarzy. Gabriel zjechał windą na dół do holu i wyszedł na dwór. Noc była przenikliwie zimna. Wsunął ręce do kieszeni kurtki i przyspieszył kroku. Miał właśnie zjechać schodami na stację kolejki, gdy na ramieniu poczuł czyjąś rękę. Odwrócił się, spodziewając się zobaczyć Marguerite, ale zamiast dziewczyny twarzą w twarz z nim stał staruszek, który mówił do siebie w holu szpitala, kiedy Gabriel tam przyjechał.

- Słyszałem, jak rozmawia pan po hebrajsku z panem z ambasady - powiedział rozgorączkowanym głosem z wiedeńskim akcentem. Jego szeroko otwarte oczy były wilgotne. - Pan jest Izraelczykiem, prawda? Przyjacielem Eliego Lavona? - Nie zaczął na odpowiedź. - Nazywam się Max Klein, a to wszystko stało się z mojej winy. Proszę, musi pan uwierzyć. To wszystko moja wina.

Do mieszkania Maksa Kleina pojechali tramwajem. Mieściło się w pełnej wdzięku dzielnicy zaraz za Ringstrasse, w ładnej biedermeierowskiej kamienicy z bramą prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec. Plac był ciemny, oświetlało go jedynie łagodne światło z palących się w mieszkaniach na górze lamp. Druga brama prowadziła do małego, zgrabnego przedsionka. Gabriel rzucił okiem na listę lokatorów. W połowie zauważył nazwisko: M. Klein - 3B. Nie było windy. Klein, ciężko stawiając kroki na wytartej wykładzinie, wspinał się uparcie po schodach, mocno trzymając się balustrady. Na trzecim piętrze znajdowało się dwoje drewnianych drzwi z wizjerami. Klein podszedł do tych po prawej i wyjął z kieszeni płaszcz a pęk kluczy. Jego ręka trzęsła się tak bardzo, że klucze brzęczały niczym instrument perkusyjny.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Na progu Gabriel się zawahał. Gdy siedział obok Kleina w tramwaju, dotarło do niego, że w tych okolicznościach nie leżało w jego interesie spotkanie się z kimkolwiek. Doświadczenie i ciężkie przejścia nauczyły go, że nawet Żyd po osiemdziesiątce powinien być traktowany jako potencjalne zagrożenie. Ale niepokój Gabriela wyparował, gdy Klein zapalił w mieszkaniu wszystkie światła. Staruszek nie zachowywał się jak ktoś, kto zastawia pułapkę. Max Klein się bał. Gabriel wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. W jaskrawym świetle mógł wreszcie mu się przyjrzeć. Przekrwione, kaprawe oczy Kleina powiększały czarne okulary o grubych szklach. Rzadka, rozwichrzona biała broda nie przykrywała rozsianych po policzkach ciemnych plam wątrobowych. Gabriel wiedział, nim Klein sam to wyznał, że był jednym z ocalałych. Głód zostawia blizny, podobnie jak kule i ogień. Widział wiele podobnych twarzy w swoim miasteczku rolniczym w dolinie Ezdrelon. Tak wyglądali jego rodzice.

- Zaparzę herbatę - oświadczył Klein, nim zniknął za prowadzącymi do kuchni podwójnymi drzwiami.

Herbata o dwunastej, pomyślał Gabriel. Zanościło się na długą noc. Podszedł do okna i rozsunął zasłony. Śnieg przestał chwilowo padać, ulica była pusta. Usiadł. Pokój przypominał mu biuro Eliego: wysokie biedermeierowskie sklepienie, rozstawione przypadkowo na

półkach książki. Elegancki bałagan intelektualisty.

Klein wrócił i postawił na niskim stoliku srebrny serwis do herbaty. Usiadł naprzeciwko Gabriela i przez chwilę przypatrywał mu się w milczeniu.

- Mówi pan świetnie po niemiecku - odezwał się wreszcie. - Powiedziałbym, że jak berlińczyk.

- Moja matka pochodziła z Berlina - odparł zgodnie z prawdą Gabriel - ale ja urodziłem się w Izraelu.

Klein patrzył na niego uważnie, jakby szukał szram ocalonego. Następnie podniósł dłonie w geście lekkiego zdziwienia - zaproszenie, by wypełnić puste miejsca. Gdzie była? Jak przeżyła? Trafiała do obozu, czy też zdążyła uciec, nim rozpoczęło się szaleństwo?

- Zostali w Berlinie i deportowano ich do obozów - wyjaśnił Gabriel. - Mój dziadek był znanym malarzem. Nie wierzył, że Niemcy, jego zdaniem jeden z najbardziej cywilizowanych narodów świata, posuną się aż tak daleko.

- Jak nazywał się pański dziadek?

- Frankel. - Gabriel znowu zdecydował się na prawdę. - Viktor Frankel.

Klein powoli skinął głową, rozpoznając nazwisko.

- Widziałem jego prace. Był uczniem Maksa Beckmanna, prawda? Nadzwyczaj utalentowany.

- Owszem. Naziści wcześniej uznali jego dzieła za zdegenerowane i wiele zostało zniszczonych. Stracił też pracę wykładowcy w instytucie sztuki w Berlinie.

- Ale mimo to został. - Klein pokręcił głową. - Nikt nie wierzył, że to się stanie - przerwał na chwilę, jego myśli odpłynęły gdzieś indziej. - Co się z nimi stało?

- Zostali deportowani do Auschwitz. Moją matkę wysłali do obozu dla kobiet w Birkenau. Udało jej się przetrwać dwa lata, po czym została uwolniona.

- A pańscy dziadkowie?

- Zagazowani zaraz po przyjeździe.

- Pamięta pan, kiedy?

- Wydaje mi się, że w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego.

Klein zakrył oczy.

- Czy jest w tej dacie coś szczególnego, Herr Klein? - zapytał Gabriel.

- Jest - odparł Klein nieobecny głosem. - Byłem tam w nocy, kiedy przyjechały transporty z Berlina. Pamiętam jak dziś. Widzi pan, panie Argow, byłem skrzypkiem w obozowej orkiestrze. Grałem diabłom w orkiestrze przeklętych. Grałem serenady skazanym na śmierć, gdy krok za krokiem szli do gazu.

Twarz Gabriela pozostała łagodna. Max Klein wyraźnie cierpiał od ciężaru olbrzymiej winy. Wierzył, że był w jakiś sposób odpowiedzialny za śmierć tych, którzy mijali go, idąc do komór gazowych. To było oczywiście szaleństwo. Nie był bardziej winny niż inni Żydzi, którzy cierpieli znój niewolniczej pracy w fabrykach lub na polach Auschwitz, byle tylko przetrwać kolejny dzień.

- Ale to nie dlatego zatrzymał mnie pan dzisiaj w szpitalu. Chciał mi pan powiedzieć coś o zamachu w Biurze Roszczeń i Dochodzeń Wojennych?

Klein przytaknął.

- Jak powiedziałem, to moja wina. Ja jestem odpowiedzialny za śmierć tych dwóch pięknych dziewczyn. To z mojej winy pański przyjaciel Eli Lavon leży umierający w szpitalnym łóżku.

- Chce mi pan powiedzieć, że to pan podłożył bombę? - Gabriel celowo zadał to pytanie głosem pełnym niedowierzania. Miało zabrzmieć niedorzecznie.

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczył szybko Klein. - Ale obawiam się, że wprowadziłem w ruch wydarzenia, które spowodowały, że zrobił to kto inny.

- Może po prostu opowie mi pan wszystko, co pan wie, Herr Klein. Proszę mnie pozostawić osąd, kto zawinił.

- Tylko Bóg może sądzić - westchnął Klein.

- Możliwe, ale czasem nawet Bogu trzeba trochę pomóc.

Klein uśmiechnął się i rozlał herbatę do filiżanek. Następnie opowiedział od początku całą historię. Gabriel pozwolił mu mówić i nie popędzał go. Rozegrał to tak, jak zrobiłby to Eli Lavon. „Pamięć starszych ludzi jest jak stos porcelany - mawiał Lavon. - Jeśli spróbujesz wyciągnąć talerz ze środka, całość wali się w gruzy”.

\*

Mieszkanie należało do jego ojca. Przed wojną Klein mieszkał tu z rodzicami i dwiema młodszymi siostrami. Ojciec, Salomon, handlował z powodzeniem tkaninami, dzięki czemu Kleinowie prowadzili szczęśliwe życie wyższej warstwy klasy średniej: po południu strudle z najlepszych wiedeńskich kawiarni, wieczory w teatrze lub operze, lato w skromnym domu rodzinnym na południu. Młody Max Klein był obiecującym skrzypkiem. - „Rzecz jasna niezupełnie gotowym na orkiestrę symfoniczną albo operę, panie Argow, ale wystarczająco dobrym, by znaleźć pracę w pomniejszych wiedeńskich orkiestrach kameralnych”.

- Mój ojciec, nawet bardzo zmęczony po pracy, rzadko opuszczał koncerty. - Klein uśmiechnął się po raz pierwszy na wspomnienie ojca patrzącego, jak gra. - Był bardzo dumny, że jego syn był wiedeńskim muzykiem.



Ich idylliczny świat skończył się gwałtownie 12 marca 1938 roku. Klein pamiętał, że była sobota, a w większości Austriaków widok maszerujących przez Wiedeń żołnierzy Wehrmachtu budził radość. „W Żydach, panie Argow... W nas tylko strach”. Najgorsze obawy gminy szybko stały się rzeczywistością. W Niemczech napaści na Żydów nasilały się stopniowo. W Austrii były natychmiastowe i okrutne. W ciągu paru dni wszystkie sklepy należące do Żydów oznaczono czerwoną farbą. Każdy nie-Żyd, który wszedł do środka, był napadany przez Brunatne Koszule bądź SS. Wielu kazano nosić tabliczki z napisem: „Ja, aryjska Świnia, kupowałem w żydowskim sklepie”. Żydom nie wolno było posiadać nieruchomości, wykonywać żadnego zawodu ani nikogo zatrudniać, wchodzić do restauracji ani do kawiarni, odwiedzać miejskich parków. Żydzi nie mogli posiadać maszyn do pisania ani odbiorników radiowych, bo ułatwiłoby im to komunikację ze światem zewnętrznym. Żydów wyciągano z domów i synagog i bito na ulicy.

- Czternastego marca gestapo wyważyło drzwi tego mieszkania i ukradło najcenniejsze przedmioty: nasze dywany, nasze srebra, nasze obrazy, nawet nasze szabasowe świece. Mnie i ojca na krótko aresztowano i zmuszono do szorowania chodników wrzątkiem i szczoteczkami do zębów. Rabina z naszej synagogi wyrzucono na ulicę i na oczach drwiącego tłumu Austriaków wyrwano mu brodę. Próbowałem ich powstrzymać i prawie zatłukli mnie na śmierć. Oczywiście nie mogłem pójść do szpitala. Zabraniały tego nowe antyżydowskie prawa.

W niecały tydzień austriacka społeczność żydowska, jedna z najżywszych i najbardziej wpływowych w Europie, przestała istnieć: ośrodki gmin i żydowskie stowarzyszenia rozwiązano, przywódców umieszczono w więzieniach, synagogi zamknięto, modlitewniki spalono na stosach. Pierwszego kwietnia sto ważnych osobistości i ludzi interesu deportowano do Dachau. W ciągu miesiąca pięciuset Żydów wolało wybrać samobójstwo, niż stawić czoła kolejnemu dniowi katorgi, między innymi czteroosobowa rodzina mieszkająca naprzeciwko Kleinów.

- Zastrzelili się, po kolei - mówił Klein. - Leżałem w łóżku i słuchałem. Strzał, potem szlochanie. Kolejny strzał i szloch. Po czwartym strzale nikt nie płakał, nikt oprócz mnie.

Ponad połowa społeczności żydowskiej postanowiła opuścić Austrię i wyemigrować do innych krajów. Należał do niej Max Klein. Dostał holenderską wizę, wyjechał w 1939 roku. Nie minął rok, gdy znowu znalazł się pod nazistowskim jarzmem.

- Mój ojciec postanowił zostać w Wiedniu - opowiadał. - Widzi pan, on wierzył w prawo. Sądził, że jeżeli tylko nie złamie prawa, wszystko będzie w porządku, a burza w końcu minie. Oczywiście robiło się coraz gorzej i gdy w końcu postanowił wyjechać, było już za

późno.

Klein próbował nalać sobie kolejną filiżankę herbaty, ale za bardzo trzęsły mu się ręce. Gabriel pomógł mu i spytał łagodnym głosem, co stało się z jego rodzicami i dwiema siostrami.

- Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku deportowano ich do okupowanej Polski, do getta w Łodzi. W styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku po raz kolejny i ostatni zostali wywiezieni - do obozu zagłady w Chełmnie.

- A co z panem?

Klein przekrzywił głowę - „A co ze mną?”. Ten sam los, inne zakończenie. Aresztowano go w Amsterdamie w lipcu 1942, zamknięto w obozie przejściowym w Westerborku, po czym wywieziono na wschód do Auschwitz. Na rampie kolejowej, umierający z głodu i pragnienia, słyszy głos. Mężczyzna w więziennym stroju pyta, czy wśród przybyłych są muzycy. Klein chwytą się głosu jak tonący liny.

„Jestem skrzypkiem”, mówi mężczyźnie w pasiakach. „Masz instrument?”. Klein podnosi zniszczony futerał, jedyną rzecz, którą przywiózł z Westerborku. „Chodź ze mną. To twój szczęśliwy dzień”.

- Mój szczęśliwy dzień - powtórzył Klein nieobecny głosem.

- Przez następne dwa i pół roku, podczas gdy ponad milion innych obróciło się w dym, grałem z moimi kolegami. Graliśmy na rampie kolejowej, pomagając hitlerowcom stworzyć wrażenie, że przybywający dotarli w przyjemne miejsce. Graliśmy maszerującym do przebieralni kolumnom żywych trupów. Graliśmy na placu podczas niekończących się zbiórek. Graliśmy rano, gdy niewolnicy ustawiali się w kolejce do pracy, i graliśmy po południu, gdy chwiejnym krokiem ze śmiercią w oczach wracali do baraków. Graliśmy nawet przed egzekucjami. W niedziele graliśmy dla komendanta i jego ludzi. Samobójstwa regularnie przerzedzały nasze szeregi. Wkrótce to ja rozpytywałem w tłumie na rampie, poszukując muzyków, by wypełnić puste miejsca.

Pewnego niedzielnego popołudnia - „było to latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego, ale przykro mi, panie Argow, nie pamiętam dokładnej daty” - Klein wraca po niedzielnym koncercie do baraku. Od tyłu zachodzi go oficer SS i powala na ziemię. Klein podnosi się i staje na baczność, unikając spojrzenia esesmana. Mimo to spostrzega dość, by zdać sobie sprawę, że już kiedyś widział tego człowieka. Było to w Wiedniu, w Centralnym Biurze do spraw Emigracji Żydowskiej, tyle że tamtego dnia oficer miał na sobie szary mundur i stał obok samego Adolfa Eichmanna.

„Sturmbannführer mówi, że chce przeprowadzić eksperyment - opowiadał Klein. -

Każe mi zagrać pierwszą sonatę G-dur Brahmsa na skrzypce i fortepian. Wyjmuję skrzypce z futerału i zaczynam grać. Obok nas przechodzi więzień. Sturmbannführer prosi go, żeby powiedział, jaki utwór gram. Więzień mówi, że nie wie. Sturmbannführer wyciąga z kabury pistolet i strzela więźniowi w głowę. Znajduje następnego więźnia i zadaje to samo pytanie: Jaki utwór gra nasz dobry skrzypek? Ciągnie się to przez godzinę. Ci, którzy potrafią odpowiedzieć, zostają oszczędzeni. Tych, którzy nie wiedzą, zabija strzałem w głowę. Gdy kończy, u moich stóp leży piętnaście ciał. Zaspokoiwszy pragnienie żydowskiej krwi, człowiek w czerni uśmiecha się i odchodzi. Ja położyłem się obok zabitych i zmówiłem za nich kadysz".

\*

Klein zapadł w długie milczenie. Za oknem przemknął samochód. Klein uniósł głowę i mówił dalej. Nie był jeszcze gotów, by połączyć potworności Auschwitz z zamachem w Biurze Roszczeń i Dochodzeń Wojennych, choć teraz Gabriel domyślał się jasno, dokąd zmierza opowieść. Klein ciągnął swoją historię chronologicznie, jeden porcelanowy talerz na raz, jak powiedziałby Lavon. Przeżycie Auschwitz. Wyzwolenie. Powrót do Wiednia...

Spółeczność liczyła przed wojną sto osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, kontynuował Klein. Sześćdziesiąt pięć tysięcy zginęło. Tysiąc siedemset wyniszczonych dusz wróciło do Wiednia w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku tylko po to, by trafić na nową falę antysemityzmu. Tych, którzy wyemigrowali pod niemieckim przymusem, zniechęcano do powrotu. Roszczenia spotykały się z milczeniem lub były drwiąco przekierowywane do Berlina. Wróciwszy do Drugiej Dzielnicy, Klein zastał w swoim mieszkaniu austriacką rodzinę. Poprosił, by je opuściła, ale mu odmówiono. Wysiedlenie intruzów zajęło mu prawie dziesięć lat, nigdy też nie otrzymał żadnego odszkodowania. Przyjaciele namawiali go, by wyjechał do Izraela albo do Stanów. Nie zgodził się. Poprzysiął sobie, że zostanie w Wiedniu jako żywy pomnik tych, których wypędzono bądź zamordowano w obozach śmierci. Skrzypce zostawił w Auschwitz i nigdy więcej nie grał. Zarabiał na życie najpierw jako sprzedawca w sklepie z pasmanterią, potem jako agent ubezpieczeniowy. W 1995 roku, w pięćdziesiątą rocznicę zakończenia wojny, rząd zgodził się wypłacić żyjącym austriackim Żydom po mniej więcej sześć tysięcy dolarów. Klein pokazał Gabrielowi czek. Niezrealizowany.

- Nie chcę ich pieniędzy - powiedział. - Sześć tysięcy dolarów? Za co? Za matkę i ojca? Moje dwie siostry? Mój dom? Moje rzeczy?

Rzucił czek na stół. Gabriel ukradkiem spojrzął na zegarek. Była druga trzydzieści w nocy. Klein zbliżał się do sedna sprawy, krążył wokół niego. Gabriel powstrzymał się od

naprowadzania go na właściwy temat. Bał się, że rozchwiany emocjonalnie staruszek przewróci się i już nie wstanie.

- Dwa miesiące temu wstąpiłem na kawę do Café Central. Trafił mi się uroczy stolik przy kolumnie. Zamówiłem *Pharisäera* - przerwał i uniósł brwi. - Czy wie pan, co to jest *Pharisäer*, panie Argow? Kawa z bitą śmietaną, podawana ze szklaneczką rumu. - Sumitował się, że poprosił o alkohol: - Widzi pan, było późne popołudnie, zmarzłem.

Do kawiarni wchodzi mężczyzna, wysoki, elegancko ubrany, o parę lat starszy od Kleina. „Austriak starej daty, jeśli wie pan, co mam na myśli, panie Argow”. W jego kroku jest arogancja, która sprawia, że Klein opuszcza gazetę. Kelner spieszy powitać gościa. Nerwowo wygina palce, przeskakuje z nogi na nogę jak chłopczyk, który chce do łazienki. „Dobry wieczór, Herr Vogel, już myślałem, że pan dzisiaj nie przyjdzie. Ten sam stolik co zawsze? Pan pozwoli, że zgadnę: *Einspänner*? A może coś słodkiego? Słyszałem, że *Sachertorte* jest dzisiaj wyśmienity, Herr Vogel...”.

I w tym momencie starszy mężczyzna wypowiada parę słów, a Max Klein czuje, jak krew ścina mu się w żyłach. To ten sam głos, który rozkazał mu w Auschwitz grać Brahmsa, ten sam, który kazał współwięźniom Kleina zidentyfikować utwór lub zginąć. I oto morderca, zdrowy i zamożny, zamawia w Café Central *Einspänner* i *Sachertorte*.

- Czułem, że zaraz zwymiotuję - powiedział Klein. - Rzuciłem na stół pieniądze i chwiejnym krokiem wyszedłem na ulicę. Spojrzałem przez okno. Potwór o nazwisku Vogel czytał gazetę. Jak gdyby nigdy nic.

Gabriel miał ochotę zapytać, jak po tak wielu latach Klein mógł być pewien, że człowiek z Café Central był tym samym, którego sześćdziesiąt lat wcześniej widział w Auschwitz. Uznał jednak, że nie jest to tak istotne, jak rozwój wypadków.

- I co pan zrobił, Herr Klein?

- Zostałem stałym gościem Café Central. Wkrótce mnie też witali po nazwisku. Wkrótce miałem własny stolik, obok szacownego Herr Vogla. Zaczęliśmy się sobie kłaniać. Czasem pomiędzy lekturą gazet gawędziliśmy o polityce lub wydarzeniach na świecie. Mimo że Herr Vogel ma już swoje lata, jego umysł zachował bystrość. Powiedział, że jest biznesmenem, prowadzi jakieś inwestycje.

- I kiedy dowiedział się pan wystarczająco wiele podczas wspólnego picia kawy, poszedł pan spotkać się z Elim Lavonem w Biurze Roszczeń i Dochodzeń Wojennych?

Klein wolno skinął głową.

- Wysłuchał mojej relacji i obiecał, że zajmie się sprawą. Poprosił, żebym na razie przestał chodzić do kawiarni. Zgodziłem się niechętnie. Bałem się, że Vogel się wymknie.

Ale zrobiłem, jak kazał mi pański przyjaciel.

- A potem?

- Minęło parę tygodni. W końcu do mnie zadzwonili. Jedna z dziewczyn z biura, Amerykanka Sarah, z informacją, że Eli Lavon ma dla mnie wieści. Poprosiła, żebym przyszedł do biura następnego dnia o dziesiątej rano. Powiedziałem, że będę, i na tym skończyliśmy.

- Kiedy to było?

- W dniu zamachu.

- Kontaktował się pan z policją?

Klein pokręcił głową.

- Jak może się pan domyśleć, panie Argow, nie za bardzo lubię Austriaków w mundurach. Zdaję sobie także sprawę z raczej kiepskich notowań, jakie ma mój kraj w zakresie ścigania zbrodniarzy wojennych. Zachowałem milczenie. Pojechałem do wiedeńskiego Szpitala Ogólnego i obserwowałem wchodzących i wychodzących izraelskich urzędników. Gdy przyszedł ambasador, próbowałem do niego podejść, ale odepchnęli mnie ochroniarze. Tak więc czekałem, aż pojawi się właściwy człowiek. Pan na takiego wyglądał. Czy jest pan właściwym człowiekiem, panie Argow?

\*

Kamienica po drugiej stronie ulicy była bardzo podobna do tej, w której mieszkał Max Klein. W ciemnym pokoju na drugim piętrze stał mężczyzna z przyciśniętym do oka aparatem fotograficznym. Ustawił teleobiektyw na postać, która szybkim krokiem przemierzyła bramę prowadzącą do domu Kleina i wyszła na ulicę. Zrobił szybko serię zdjęć, po czym opuścił aparat i usiadł przed magnetofonem. Było ciemno, więc znalezienie przycisku PLAY zajęło mu chwilę.

- Tak więc czekałem, aż pojawi się właściwy człowiek. Pan na takiego wyglądał. Czy jest pan właściwym człowiekiem, panie Argow?

- Tak, Herr Klein. Jestem właściwym człowiekiem. Proszę się nie obawiać, pomogę panu.

- Gdyby nie ja, nic by się nie stało. Te dziewczyny zginęły przeze mnie i przeze mnie Eli Lavon leży w szpitalu.

- To nieprawda. Słusznie pan postąpił. Ale biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, martwię się o pańskie bezpieczeństwo.

- Ja również.

- Czy ktoś pana śledził?

- Nikogo nie zauważyłem, ale nie jestem pewien.

- Czy dzwonił ktoś do pana z pogrózkami?

- Nie.

- Czy ktokolwiek w ogóle próbował się z panem skontaktować od dnia zamachu?

- Tylko jedna osoba, kobieta. Renate Hoffmann.

STOP. REW. PLAY.

- Tylko jedna osoba, kobieta. Renate Hoffmann.

- Zna ją pan?

- Nie, nigdy o niej nie słyszałem.

- Rozmawiał pan z nią?

- Nie, nagrała wiadomość na sekretarce.

- Czego chciała?

- Porozmawiać.

- Zostawiła numer?

- Tak, zapisałem go gdzieś. Proszę chwilę poczekać. O, tu jest. Renate Hoffmann, pięć

- trzy - trzy - jeden - dziewięć - zero - siedem.

STOP. REW. PLAY.

Renate Hoffmann, pięć - trzy - trzy - jeden - dziewięć - zero - siedem.

STOP.

Koalicja dla Lepszej Austrii miała wszelkie cechy szlachetnego, lecz na dłuższą metę pozbawionego szans przedsięwzięcia. Jej siedziba mieściła się w Dwudziestej Dzielnicy, na drugim piętrze zaniedbanego magazynu, którego czarne od sadzy okna wychodziły na stację załadunkową kolei. Biuro, do którego Gabriel przybył następnego ranka, było dużym, niemożliwym do ogrzania ogólnym pokojem, a większość młodego personelu pracowała w grubych swetrach i wełnianych czapkach.

Renate Hoffmann pełniła funkcję oficjalnego prawnika stowarzyszenia. Gabriel zadzwonił do niej rano, przedstawił się jako Gideon Argow z Jerozolimy i opowiedział o spotkaniu z Maksem Kleinem poprzedniego wieczoru. Renate Hoffmann pośpiesznie zgodziła się na spotkanie, po czym szybko odłożyła słuchawkę, jakby nie chciała omawiać sprawy przez telefon.

Urzędowała w oddzielonej przegrodą części pokoju. Gdy Gabriel został poproszony do środka, właśnie rozmawiała przez telefon. Wskazała końcem pogryzionego ołówka puste krzesło. Chwilę później skończyła rozmowę i wstała się przywitać. Była wysoka i ubierała się lepiej niż większość personelu: czarny sweter i spódnica, czarne rajstopy, czarne buty na płaskim obcasie. Jasne blond włosy z przedziałkiem z boku, niesięgające silnych, kwadratowych ramion, opadały jej na twarz. Ucisnęła silnie dłoń Gabriela, lewą ręką przytrzymała niesforny loczek. Na palcach nie nosiła pierścionków, nie miała makijażu, pachniała tylko tytoniem. Gabriel uznał, że nie ma więcej niż trzydzieści pięć lat.

Usiedli, po czym od razu szorstko zadała mu serię rzeczowych pytań. Od jak dawna zna pan Eliego Lavona? Jak znalazł pan Maksa Kleina? Ile panu powiedział? Kiedy przyjechał pan do Wiednia? Z kim się pan spotykał? Czy omawiał pan całą sprawę z austriackimi władzami? Z przedstawicielami izraelskiej ambasady? Gabriel czuł się jak na ławie oskarżonych, ale odpowiadał tak grzecznie i dokładnie, jak tylko było to możliwe.

Po skończeniu przesłuchania Renate Hoffmann przez chwilę przyglądała mu się sceptycznie. Następnie wstała gwałtownie i założyła długi szary płaszcz z dużymi poduchami na ramionach.

- Przejdźmy się.

Gabriel wyjrzał przez pokryte sadzą okno. Padał deszcz ze śniegiem. Renate Hoffmann wsunęła jakieś teczki do skórzanej torby, którą przerzuciła przez ramię.

- Proszę mi zaufać - powiedziała, wyczuwając jego wahanie.

- Lepiej będzie, jeśli się przejdziemy.

\*

Podczas spaceru po pokrytych lodem alejkach Augarten Renate Hoffmann opowiedziała Gabrielowi, jak stała się najważniejszą współpracowniczką Eliego Lavona w Wiedniu. Po ukończeniu ze świetnymi wynikami studiów na Uniwersytecie Wiedeńskim przez siedem lat była wybitnym pracownikiem austriackiej prokuratury. Pięć lat temu odeszła z pracy, mówiąc przyjaciołom i kolegom, że woli swobodę własnej praktyki. W rzeczywistości doszła do wniosku, że nie może pracować dla rządu wykazującego mniej zainteresowania sprawiedliwością niż ochroną interesów państwa i najpotężniejszych obywateli.

Najbardziej poruszyła ją sprawa Wellera. Weller był oficerem wydziału śledczego Staatspolizei z zamiłowaniem do wymuszania zeznań torturami oraz osobistego wymierzania sprawiedliwości, jeżeli doszedł do wniosku, że uczciwy proces może przysporzyć mu zbyt wielu problemów. Renate Hoffmann próbowała postawić go w stan oskarżenia po tym, jak starający się o azyl Nigeryjczyk zmarł w więzieniu pod jego nadzorem. Nigeryjczyka zakneblowano i związano, istniały też dowody, że był bity i duszony. Przełożeni Renate stanęli po stronie Wellera i zaniechali procesu.

Zmęczona zwalczaniem establishmentu od środka Renate Hoffmann uznała, że bitwę lepiej toczyć z zewnątrz. Żeby mieć z czego żyć, założyła kancelarię prawniczą, ale większość czasu i energii poświęcała Koalicji dla Lepszej Austrii, grupie reformistów mającej na celu wyprowadzenie kraju ze zbiorowej amnezji na temat nazistowskiej przeszłości. W tym samym czasie zawiązała cichy sojusz z Biurem Roszczeń i Dochodzeń Wojennych Eliego Lavona. Renate Hoffmann wciąż miała wśród urzędników przyjaciół, skorych do wyświadczenia jej przysługi, polegającej na udostępnieniu zamkniętych przed Lavonem ważnych rządowych akt i archiwów.

- Po co te tajemnice? - spytał Gabriel. - Niechęć do prowadzenia rozmów przez telefon? Długie spacerunki w parku przy wyjątkowo paskudnej pogodzie?

- Bo jesteśmy w Austrii, panie Argow. Nie muszę chyba mówić, że w wielu kręgach austriackiego społeczeństwa nasza praca nie jest zbyt popularna. Tak jak to, co robił Eli. - Złapała się na użyciu czasu przeszłego i szybko przeprosiła. - Nie lubi nas skrajna prawica, a



wielu jej członków pracuje w policji i służbach bezpieczeństwa.

Zmiotła z ławki parę grudek śniegu i oboje usiedli.

- Eli przyszedł do mnie jakieś dwa miesiące temu. Opowiedział o Maksie Kleinie i o obserwowanym przez niego w Café Central człowieku: Herr Voglu. Byłam nastawiona co najmniej sceptycznie, ale postanowiłam wyświadczyć Eliemu przysługę i sprawdziłam go.

- I co pani odkryła?

- Nazywa się Ludwig Vogel. Jest prezesem Przedsiębiorstwa Handlowo-Inwestycyjnego „Dolina Dunaju”. Firmę założono na początku lat sześćdziesiątych, wkrótce po zakończeniu powojennej okupacji Austrii. Vogel importował do kraju zagraniczne produkty i służył jako przedstawiciel i pośrednik chcącym prowadzić tu interesy przedsiębiorstwom, szczególnie niemieckim i amerykańskim. Gdy w latach siedemdziesiątych austriacka gospodarka nabrała rozpędu, Vogel znalazł się na doskonałej pozycji, by wyciągnąć z tego maksymalne korzyści. Jego firma zaoferowała setkom przedsiębiorstwom kapitał wysokiego ryzyka. Obecnie ma znaczne udziały w wielu najbardziej dochodowych firmach w Austrii.

- Ile ma lat?

- Urodził się w małej wiosce w Górnej Austrii w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku, został ochrzczony w tamtejszym kościele katolickim. Jego ojciec był zwykłym robotnikiem, najwyraźniej z biednej rodziny. Gdy Ludwig miał dwanaście lat, jego młodszy brat zmarł na zapalenie płuc. Dwa lata później matka zmarła na szkarlatynę.

- W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym? Czyli w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim miałby zaledwie siedemnaście lat, o wiele za mało, żeby być Sturmbannführerem SS.

- Owszem. A według odkrytych przeze mnie dokumentów z jego wojennej przeszłości wcale nie był w SS.

- Co to za dokumenty?

Ściszyła głos i pochyliła się bliżej. Gabriel poczuł w jej oddechu zapach porannej kawy.

- W poprzednim życiu musiałam czasem korzystać z dokumentów przechowywanych w Staatsarchiv. Wciąż mam tam wtyczki, ludzi, którzy w pewnych okolicznościach chcą mi pomóc. Zadzwoniłam do jednego z nich, a on okazał się na tyle uprzejmy, że skopiował mi akta Ludwiga Vogla z okresu służby w Wehrmachcie.

- W Wehrmachcie?

Skinęła głową.

- Według dokumentów Staatsarchiv Vogel został powołany w drugiej połowie tysiąca

dziewięćset czterdziestego czwartego roku, gdy miał dziewiętnaście lat. Wysłano go do Niemiec, żeby bronił Rzeszy. Walczył przeciwko Rosjanom w Berlinie i przeżył. W ostatnich godzinach wojny uciekł na zachód i poddał się Amerykanom. Został internowany w amerykańskim obozie jenieckim na południe od Berlina, ale zdołał uciec i przedostać się do Austrii. Nie wygląda na to, żeby ucieczkę od Amerykanów wzięto mu za złe, bo od tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku do ogłoszenia niepodległości w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym Vogel był cywilnym pracownikiem amerykańskich władz okupacyjnych.

Gabriel przyjrzał jej się badawczo.

- Amerykańskich? Czym się zajmował?

- Zaczął jako urzędnik w kwaterze głównej, skończył jako oficer odpowiedzialny za kontakty Amerykanów z raczkującym rządem austriackim.

- Ożenił się? Ma dzieci?

Pokręciła głową.

- Stary kawaler.

- Miał jakiegokolwiek kłopoty? Jakież nieściskości w finansach? Pozwy cywilne? Cokolwiek?

- Jego akta są zaskakująco czyste. Mam też przyjaciela w Staatspolizei. Poprosiłam, żeby sprawdził Vogla. Nie znalazł nic, co byłoby naprawdę godne uwagi. Widzi pan, prawie każda ważna austriacka osobistość ma teczkę w Staatspolizei. Ale nie Ludwig Vogel.

- Co pani wie o jego poglądach politycznych?

Nim odpowiedziała, Renate Hoffmann przez dłuższą chwilę rozglądała się po okolicy.

- To samo pytanie zadałam kilku odważniejszym wiedeńskim gazetom i magazynom, tym, które odmawiają podporządkowania się oficjalnemu stanowisku rządu. Okazuje się, że Ludwig Vogel jest głównym sponsorem Austriackiej Partii Narodowej. Co więcej, praktycznie sam sfinansował całą kampanię wyborczą Petera Metzlera. - Przerwała na chwilę, by zapalić papierosa. Jej ręce trzęsły się z zimna. - Nie wiem, czy śledził pan naszą kampanię wyborczą, ale o ile w przeciągu najbliższych trzech tygodni stan rzeczy nie ulegnie gwałtownej zmianie, nowym kanclerzem zostanie Peter Metzler.

Gabriel siedział w milczeniu, wchłaniając usłyszane właśnie informacje. Renate Hoffmann zaciągnęła się raz i wyrzuciła papierosa w zaspę brudnego śniegu.

- Pytał mnie pan, panie Argow, dlaczego idziemy na spacer w taką pogodę. Teraz już pan wie.

Bez uprzedzenia wstała i ruszyła przed siebie. Gabriel również się podniósł i podążył za nią. Uspokój się, pomyślał. Interesująca teoria, pociągające okoliczności, ale nie było dowodu, za to wiele wskazywało na niewinność. Według dokumentów Staatsarchiv Ludwig Vogel nie mógł być tym człowiekiem, którego rozpoznał w nim Max Klein.

- Czy mógł wiedzieć, że Eli badał jego przeszłość?

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała Renate Hoffmann.

- Pewnie ktoś ze Staatsarchiv lub Staatspolizei dał mu cynk o moich poszukiwaniach.

- Nawet zakładając, że to Ludwiga Vogla Max Klein widział w Auschwitz, co mogłoby mu się w najgorszym razie przytrafić sześćdziesiąt lat po zbrodni?

- W Austrii? Praktycznie nic. Jeśli chodzi o oskarżenia przeciwko zbrodniarzom wojennym, Austria ma haniebną przeszłość. Moim zdaniem to bezpieczna przystań dla nazistów. Słyszał pan kiedyś o doktorze Heinrichu Grossie?

Gabriel pokręcił głową. Heinrich Gross, zaczęła, był lekarzem w klinice dla upośledzonych dzieci Spiegelgrund. W czasie wojny szpital zamieniono w centrum przeprowadzające eutanazję, wcielano w nim w życie nazistowską doktrynę tępienia „patologicznego genotypu”. Zamordowano prawie osiemset dzieci. Po wojnie Gross został wybitnym neurologiem-pediatrą. Wiele badań prowadził na tkance mózgowej zabranej ofiarom Spiegelgrund, trzymanej w skomplikowanej „bibliotece mózgów”. W dwutysięcznym roku austriacka prokuratura wreszcie postanowiła wymierzyć Grossowi sprawiedliwość. Oskarżono go o współudział w dziewięciu morderstwach popełnionych w Spiegelgrund i postawiono przed sądem.

- Godzinę po rozpoczęciu procesu sędzia ogłosił, że Gross znajduje się we wstępnej fazie demencji i nie jest w stanie bronić się w sądzie - stwierdziła Renate Hoffmann. - Sprawę zawieszono bezterminowo. Doktor Gross wstał, uśmiechnął się do swojego prawnika i wyszedł z sali. Na schodach przed sądem rozmawiał z dziennikarzami. Jasne było, że doktor Gross jest w pełni władz umysłowych.

- Jaki z tego wniosek?

- Jest takie powiedzenie, bardzo lubiane przez Niemców: tylko Austriacy potrafili przekonać świat, że Beethoven był Austriakiem, a Hitler Niemcem. Lubimy udawać, że jako pierwsi padliśmy ofiarą Hitlera, a nie gorliwie z nim współpracowaliśmy. Wolimy zapomnieć, że Austriacy wstępowali do partii nazistowskiej w tym samym tempie co nasi niemieccy kuzyni i że uczestnictwo Austriaków w SS było nieproporcjonalnie duże. Wolimy nie pamiętać, że Adolf Eichmann był Austriakiem i że osiemdziesiąt procent jego personelu pochodziło z Austrii, ani że siedemdziesięciu pięciu podległych mu komendantów obozów

śmierci to nasi rodacy.

- Zniżyła głos. - Doktor Gross od dziesięcioleci znajdował się pod ochroną austriackiej elity politycznej i systemu prawnego. Miał dobrze ugruntowaną pozycję jako członek partii socjaldemokratycznej, był nawet ekspertem psychiatrii sądowej. Całe wiedeńskie środowisko lekarskie wiedziało, skąd nasz dobry lekarz wziął swoją tak zwaną bibliotekę mózgow, wszyscy wiedzieli też, czym zajmował się w czasie wojny. Człowiek pokroju Ludwiga Vogla, nawet gdyby udowodnić mu kłamstwo, mógłby spodziewać się podobnego traktowania. Szanse, że stanie przed sądem w Austrii, byłyby zerowe.

- A gdyby wiedział o śledztwie Eliego? Czego mógłby się obawiać?

- Niczego poza wstydem.

- Wie pani, gdzie mieszka?

Renate Hoffmann wsunęła kilka luźnych pasemek włosów pod beret i przyjrzała mu się uważnie.

- Nie chce się pan chyba z nim spotkać, panie Argow? W tych okolicznościach byłby to bardzo głupi pomysł.

- Chcę tylko wiedzieć, gdzie mieszka.

- Ma jeden dom w Pierwszej Dzielnicy, a drugi w lesie na przedmieściach Wiednia. Według akt dotyczących nieruchomości ma też kilka hektarów ziemi oraz chatę w Górnej Austrii.

Obejrząwszy się wpierw przez ramię, Gabriel zapytał Renate Hoffmann, czy mógłby dostać kopię zebranych przez nią dokumentów. Spuściła wzrok, tak jakby spodziewała się tego pytania.

- Proszę mi coś wyjaśnić, panie Argow. Przez wiele lat naszej współpracy Eli nawet słowem nie wspomniał, że Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych miało oddział w Jerozolimie.

- Otworzono go dopiero niedawno.

- Co za zbieg okoliczności. - Jej głos był pełen sarkazmu. - Weszłam w posiadanie tych dokumentów nielegalnie. Jeśli przekażę je agentowi obcego rządu, pogorszę tylko moją sytuację. Czy dając je panu, dam je agentowi obcego rządu?

Renate Hoffmann, stwierdził Gabriel, była bardzo sprytną i inteligentną kobietą.

- Da je pani przyjacielowi, pani Hoffmann, przyjacielowi, który nie zrobi absolutnie nic, by pogorszyć pani sytuację.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli zatrzyma pana Staatspolizei i znajdą przy panu te dokumenty? Spędzi pan wiele lat za kratkami. - Spojrzała mu prosto w

oczy. - Ja też, jeśli dowiedzą się, jak pan je zdobył.

- Nie mam zamiaru dać się aresztować Staatspolizei.

- Nikt nie ma, ale jesteśmy w Austrii, panie Argow. Nasza policja nie działa według tych samych zasad, co jej europejskie odpowiedniki.

Sięgnęła do torebki, wyjęła szarą kopertę i wręczyła Gabrielowi. Papiery zniknęły w jednej z kieszeni jego kurtki. Spacerowali dalej.

- Nie wierzę, że jest pan Gideonem Argowem z Jerozolimy. Dlatego dałam panu tę teczkę. Nie mogę z nią nic zrobić, nie przy tych nastrojach politycznych. Proszę mi obiecać, że będzie pan ostrożny. Nie chcę, żeby koalicja i jej pracownicy skończyli tak samo, jak Roszczenia Wojenne - zatrzymała się i na moment obróciła, żeby spojrzeć mu w twarz. - I jeszcze jedno, panie Argow. Proszę do mnie więcej nie dzwonić.

\*

Furgonetka stała zaparkowana na skraju Augarten, na Wasnergasse. Fotograf siedział z tyłu za jednostronną szybą. Zrobił ostatnie zdjęcie, gdy obiekty się rozdzieliły, po czym zgrał fotografie na laptopa i przejrzał je po kolei. Przekazanie koperty zostało zrobione od tyłu. Ładnie wykadrowane, dobrze oświetlone - piękna rzecz.

Godzinę później zdjęcie, zapakowane w nieoznakowaną szarą kopertę, dostarczono do niczym niewyróżniającego się neobarokowego budynku przy Ringstrasse, do biura niejakiego Manfreda Kruza. Atrakcyjna sekretarka wręczyła Kruzowi przesyłkę bez słowa komentarza. Jak zwykle Manfred miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę. Łagodny wyraz twarzy i wystające kości policzkowe w połączeniu z charakterystycznym ponurym strojem nadawały mu trupi wygląd, wytrącający podwładnych z równowagi. Śródziemnomorski typ urody - czarne włosy, oliwkowa cera i oczy koloru kawy - był w wydziale źródłem plotek, że wśród przodków Kruza krył się Cygan albo nawet Żyd. To oszczerstwo rozpowszechniał legion jego wrogów i nie śmieszyło ono Kruza. Nie był popularny wśród podwładnych, ale się tym nie przejmował. Miał kontakty: raz w tygodniu lunch z ministrem, przyjaciele wśród bogaczy i elit politycznych. Zadrzesz z Kruzem i możesz ocknąć się, wypisując mandaty za złe parkowanie w jakiejś zapadłej dziurze w Karyntii.

Oficjalnie jego jednostka nosiła nazwę Wydział Piąty, ale wśród starszych oficerów i ich przełożonych w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych znano ją po prostu jako bandę Kruza. W przyływach samouwielbienia, przywary, do której Kruz otwarcie się przyznawał, wyobrażał sobie siebie jako obrońcę wszystkiego, co austriackie. Jego zadaniem było dbanie, by problemy świata zewnętrznego nie przeciekały przez granicę do spokojnej *Österreich*. Wydział Piąty odpowiadał za antyterroryzm, antyekstremizm oraz kontrwywiad. Manfred Kruz zakładał pluskwy w biurach i podsłuchy w telefonach, otwierał pocztę i przeprowadzał regularną obserwację. Obcokrajowcy, którzy przyjechali do Austrii w poszukiwaniu kłopotów, mogli się spodziewać wizyty jednego z ludzi Kruza. Tak jak i urodzeni Austriacy, których działania polityczne odbiegały od wyznaczonych norm. W kraju działo się niewiele spraw, o których Kruz by nie wiedział, włączając w to pojawienie się w Wiedniu Izraelczyka, który twierdził, że był współpracownikiem Eliego Lavona z Biura Roszczeń i Dochodzeń Wojennych.

Kruz nie ufał nawet swojej sekretarce. Poczekał, aż wyjdzie z pokoju, nim rozdarł kopertę i wytrząsnął na biurko odbitkę. Wypadła obrazem do dołu. Odwrócił ją, położył w

ostrym światłem lampy halogenowej i dokładnie obejrzał. Renate Hoffmann go nie obchodziła. Była obiektem ciągłej inwigilacji ze strony Wydziału Piątego. Kruz nie pamiętał już, ile godzin spędził, analizując zdjęcia i słuchając rozmów podsłuchanych w biurze Koalicji dla Lepszej Austrii. Nie, bardziej obchodziła go ciemna, przysadzista postać idąca obok, człowiek przedstawiający się jako Gideon Argow.

Po chwili wstał i pomanipulował wajchą stojącego za biurkiem sejfów. W środku, wciśnięta między stos akt różnych spraw i uperfumowane listy miłosne od jednej z pracujących w wydziale urzędniczek, znajdowała się kasetka wideo z zapisem przesłuchania. Rzucił okiem na datę na naklejce - styczeń 1991 - po czym włożył taśmę do odtwarzacza i nacisnął PLAY.

Kadr skakał przez chwilę, nim się uspokoił. Kamerę zainstalowano w kącie pod sufitem sali przesłuchań, tak że na postępowanie patrzyło się ukośnie z góry. Obraz był trochę ziarnisty, technologia o jedną generację starsza od używanej obecnie. Po pokoju przechadzała się z niepokojącą powolnością młodsza wersja Kruza. Przy stoliku przesłuchań siedział Izraelczyk. Ręce poczercił mu ogień, a oczy śmierć. Kruz nie miał wątpliwości, że to ten sam człowiek, który przedstawiał się obecnie jako Gideon Argow. Co niezwykle, pierwsze pytanie zadał Izraelczyk, a nie Kruz. Znowu, jak kiedyś, Kruza zaskoczyła płynna niemczyzna z wyraźnym berlińskim akcentem.

- Gdzie jest mój syn?

- Obawiam się, że nie żyje.

- A moja żona?

- Jest ciężko ranna. Potrzebuje natychmiastowej pomocy.

- Dlaczego w takim razie jej nie pomagacie?

- Nim cokolwiek zrobimy, musimy poznać odpowiedzi na parę pytań.

- Na przykład?

- Zacznijmy od tego, że powie nam pan, kim pan tak naprawdę jest. I proszę więcej nie kłamać. Pańskiej żonie nie zostało zbyt wiele czasu.

- Sto razy pytano mnie o imię. Wiecie, jak się nazywam! O Boże, pomóżcie jej.

- Pomożemy, ale najpierw proszę nam podać imię. Tym razem pańskie prawdziwe imię. Skończmy z pseudonimami, przydomkami i fałszywymi nazwiskami. Nie mamy na to czasu, jeśli pańska żona ma przeżyć.

- Nazywam się Gabriel, ty draniu!

- To pana imię czy nazwisko?

- Imię.

- A nazwisko?

- Allon.

- Allon? To hebrajskie nazwisko, prawda? Pan jest Żydem. Podejrzewam też, że jest pan Izraelczykiem.

- Tak, jestem Izraelczykiem.

- Skoro jest pan Izraelczykiem, co robi pan w Wiedniu z włoskim paszportem? Jasne chyba, że jest pan agentem izraelskiego wywiadu. Dla kogo pan pracuje, panie Allon? Co pan tu robi?

- Zadzwoń do ambasadora. On będzie wiedział, z kim się skontaktować.

- Zadzwonimy do pańskiego ambasadora. I do pańskiego ministra spraw zagranicznych. I do pańskiego premiera też. Ale na razie, jeśli chce pan, by pańska żona otrzymała wszelką pomoc medyczną, której tak strasznie potrzebuje, musi nam pan powiedzieć, dla kogo pan pracuje i co robi w Wiedniu.

- Zadzwoń do ambasadora! Pomóż mojej żonie, do jasnej cholery.

- Dla kogo pan pracuje?

- Wiesz, dla kogo pracuję. Pomóż mojej żonie. Nie pozwól, żeby umarła.

- Jej życie jest w pańskich rękach, panie Allon.

- Nie żyjesz, skurwysynu! Jeśli moja żona umrze, zabiję cię! Słyszysz mnie? Kurwa, zabiję cię!

Obraz zamienił się w mieszaninę srebra i czerni. Kruz siedział długo, nie mogąc oderwać wzroku od ekranu. Wreszcie przełączył telefon na kodowanie i wystukał z pamięci numer. Rozpoznał głos po drugiej stronie. Nie tracili czasu na uprzejmości.

- Mamy problem.

- Słucham.

Kruz powiedział.

- Dlaczego go nie aresztujesz? Jest w tym kraju nielegalnie, na podrobionym paszporcie, gwałcąc umowę zawartą między twoją i jego agencją.

- I co potem? Przekazać go do prokuratury, żeby można go było osądzić? Coś mi mówi, że wykorzystałby to na swoją korzyść.

- Co proponujesz?

- Coś trochę subtelniejszego.

- Izraelczyk to twój problem, Manfred. Rozwiąż go.

- A co z Maksem Kleinem?

Połączenie zostało przerwane.



\*

W cichym zakątku dzielnicy Stephansdom, w cieniu północnej wieży katedry, jest uliczka za wąska, by poruszać się nią inaczej niż na piechotę. U jej wylotu, na parterze starego, dostojnego barokowego domu, mieści się sklepik, w którym sprzedaje się wyłącznie stare zabytkowe zegary. Napis nad drzwiami mówi niewiele, a godziny otwarcia są nieprzewidywalne. W niektóre dni sklep jest w ogóle zamknięty. Nie pracuje w nim nikt oprócz właściciela, znanego jednej grupie starannie wyselekcjonowanych klientów jako Herr Gruber, a drugiej jako Zegarmistrz.

Był niskiej postury, ale potężnie zbudowany. Chodził w swetrach i luźnych tweedowych marynarkach. Eleganckie koszule i krawaty nie leżały na nim zbyt dobrze. Miał rzadkie siwe włosy z krótko przystryżoną grzywką, ale brwi ciemne i krzaczaste. Nosił okrągłe okulary w szylkretowych oprawkach. Ręce miał większe niż ludzie w jego zawodzie, ale zręczne i bardzo wprawne.

W jego warsztacie panował porządek niczym na sali operacyjnej. Na biurku leżał skąpany w czystym świetle dwustuletni zegar ścienny Neuchatel. Udekorowana kameami w kwieciste wzory trzyczęściowa obudowa była w doskonałym stanie, tak jak i emaliowana tarcza z rzymskimi cyframi. Zegarmistrz kończył właśnie poważną naprawę dwuprzekładniowego mechanizmu neuchatela. Po naprawie przedmiot będzie wart jakieś dziesięć tysięcy dolarów. Nabywca - kolekcjoner z Lyonu - czekał.

Pracę Zegarmistrza zakłócił dzwonek przy drzwiach wejściowych. Wyrzął. Na ulicy stał kurier w błyszczącej od deszczu skórzanej kurtce. Pod pachą trzymał przesyłkę. Zegarmistrz podszedł do drzwi i je otworzył. Kurier bez słowa wręczył mu przesyłkę, wsiadł na motocykl i odjechał.

Zegarmistrz zamknął drzwi na klucz i zaniósł paczkę na biurko. Odpakował ją powoli - wszystko robił powoli - a następnie podniósł wieko kartonowego pudełka. W środku leżał francuski zegar ścienny z czasów Ludwika XV. Śliczny. Zegarmistrz otworzył obudowę, odsłaniając mechanizm. Wewnątrz ukryte było zdjęcie i dossier. Przez parę minut studiował dokumenty, po czym włożył je do dużego tomu zatytułowanego *Wiktoriańskie zegary podróżne*.

Zegar przysłał jego najważniejszy klient. Zegarmistrza nie interesowało, kim był naprawcę, dość, że jak większość klientów miał pieniądze i polityczne koneksje. Ale różnił się od większości. Rok temu dał Zegarmistrzowi listę ludzi rozrzuconych po Europie, Bliskim Wschodzie i Południowej Ameryce. Zegarmistrz stopniowo ich skreślał. Zabił człowieka w Damaszku, kolejnego w Kairze. Zabił Francuza w Bordeaux i Hiszpana w Madrycie.

Przepłynął przez Atlantyk, żeby zabić dwóch bogatych Argentyńczyków. Na liście zostało jedno nazwisko, szwajcarski bankier z Zurychu. Zegarmistrz czekał na sygnał, by kontynuować wymierzoną w niego akcję. Dossier, które otrzymał tego dnia, dotyczyło kogoś innego, znajdującego się jak na jego gust trochę za blisko, ale nie wyglądającego na trudny obiekt. Postanowił przyjąć zlecenie.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Otrzymałem zegar. Na kiedy mam go naprawić?

- Proszę uznać to zlecenie za pilne.

- Za pilne zlecenia obowiązuje dodatkowa opłata. Rozumiem, że jest pan gotów ją uiścić.

- Ile?

- Standardowe honorarium, plus połowa.

- Za takie zlecenie?

- Chce pan, żebym je wykonał?

- Rano wyślę pierwszą połowę honorarium.

- Nie, wyśle ją pan dziś wieczorem.

- Skoro pan nalega...

Zegarmistrz odłożył słuchawkę w momencie, gdy sto zegarów naraz wybiło czwartą.

Gabriel nigdy nie lubił wiedeńskich kawiarni. Denerwowało go coś w ich zapachu - mieszance dymu papierosów, kawy i likierów. I chociaż z natury był cichy i spokojny, nie lubił marnować cennego czasu na bezczynne siedzenie godzinami w jednym miejscu. Nie czytał w miejscach publicznych w obawie, że może być śledzony przez dawnych wrogów. Kawę pił tylko rano, żeby się rozbudzić, a od wykwintnych deserów dostawał mdłości. Dowcipne rozmowy irytowały go, a słuchanie, jak rozmawiają inni, szczególnie pseudointelektualiści, doprowadzało do szaleństwa. Piekło według Gabriela to miejsce, gdzie musiałby słuchać dyskusji o sztuce prowadzonej przez ludzi niemających o niej pojęcia.

Od jego ostatniego pobytu w Café Central minęło ponad trzydzieści lat. Kawiarnia była sceną, na której rozegrał się ostatni akt jego praktyk u Szamrona, wrotami oddzielającymi życie sprzed służby dla biura od świata półmroku, w którym od tamtego czasu przebywał. Na zakończenie szkolenia Szamron opracował test, żeby sprawdzić, czy Allon jest gotowy na swoje pierwsze zlecenie. Wyszadzony o północy na przedmieściach Brukseli bez pieniędzy i dokumentów, następnego dnia rano Gabriel miał spotkać się z agentem na Leidseplein w Amsterdamie. Posługując się paszportem i pieniędzmi ukradzionymi amerykańskiemu turyście, przyjechał porannym pociągiem. Czekałym na niego agentem był Szamron. Uwolnił Gabriela od ciężaru paszportu i reszty pieniędzy, po czym kazał mu pojawić się w innym ubraniu po południu tego samego dnia w Wiedniu. Spotkali się na ławce w Stadtpark, skąd udali się do Café Central. Przy stoliku pod wysokim oknem zwieńczonym łukiem Szamron dał Gabrielowi bilet na samolot do Rzymu i kluczyk do szafki bagażowej, gdzie leżała beretta. Dwa dni później na klatce schodowej kamienicy przy Piazza Annabaliano Gabriel po raz pierwszy zabił człowieka.

Padał deszcz, podobnie jak wtedy. Wszedł do Café Central i usiadł na skórzanej kanapie. Na małym okrągłym stolczku położył stos niemieckojęzycznych gazet. Zamówił *Schlagobers*, czarną kawę z bitą śmietaną. Podano mu ją na srebrnej tacy ze szklanką wody z lodem. Sięgnął po pierwszą gazetę, „Die Presse”, i rozpoczął lekturę. Głównym tematem był zamach w Biurze Roszczeń i Dochodzeń Wojennych. Prawica domagała się ostrzejszych

regulacji imigracyjnych, by powstrzymać arabskich terrorystów oraz inny element od przekraczania austriackich granic. Gabriel przestudiował „Die Presse” i zamówił drugą filiżankę *Schlagobers*, po czym otworzył magazyn „Profil”. Omiótł wzrokiem kawiarnię, szybko wypełniającą się wiedeńskimi urzędnikami wstępującymi po drodze z pracy do domu na kawę lub drinka. Niestety, nikt nie pasował do opisu Ludwiga Vogla przedstawionego przez Maksa Kleina.

Do piątej Gabriel wypił trzy filiżanki kawy i zaczynał już wątpić, że w ogóle go zobaczy, kiedy zauważył, że kelner zaciera z podniecenia ręce i przestępuje z nogi na nogę. Podążył za jego spojrzeniem. Do kawiarni wchodził właśnie starszy mężczyzna - „Austriak starej daty, jeśli wie pan, co mam na myśli, panie Argow”. Tak, wiem, pomyślał Gabriel. „Dobry wieczór, Herr Vogel”.

\*

Włosy miał prawie zupełnie białe, z głębokimi zakolami, gładko przyczesane. Jego usta były małe i zaciśnięte, ubranie drogie i elegancko dobrane: szare flanelowe spodnie, rozpinany sweter, szeroki bordowy krawat. Kelner pomógł mu zdjąć płaszcz i poprowadził go do stolika tuż obok Gabriela.

- Poproszę *Einspännern*, Karl, nic więcej.

Pewny baryton, przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

- Czy nie skusi się pan na *Sachertorte*? Albo na szarlotkę? Świeżo upieczona.

Powolny, przeczący ruch głową. Raz w lewo, raz w prawo.

- Nie dzisiaj, Karl. Tylko kawa.

- Jak pan sobie życzy, Herr Vogel.

Vogel usiadł. Równocześnie dwa stoliki dalej usiadł ochroniarz. Klein nic o nim nie wspominał. Albo go nie zauważył, albo była to nowość. Gabriel zmusił się do spuszczenia wzroku i czytania magazynu.

Rozmieszczenie stolików było dalekie od idealnego. Traf chciał, że Vogel siedział, patrząc prosto na niego. Ostrzejszy kąć pozwoliłby Gabrielowi obserwować Austriaka bez obaw, że zostanie zauważony. Co gorsza, ochroniarz siedział wprost za Voglem, rozglądając się uważnie. Sądząc po wybrzuszeniu po lewej stronie marynarki, w kaburze na ramieniu nosił broń. Gabriel rozważał zmianę stolika, ale w ten sposób wzbudziłby podejrzenia Vogla, pozostał więc na swoim miejscu i rzucał znad magazynu ukradkowe spojrzenia.

Trwało to czterdzieści pięć minut. Gabriel skończył ostatnią ze swoich gazet i wziął się znowu za „Die Presse”. Zamówił czwartego *Schlagobersa*. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że jest obserwowany nie przez ochroniarza, ale przez samego Vogla. Chwilę później

usłyszał, jak Herr Vogel mówi:

- Cholernie zimny wieczór, Karl. Chyba poproszę przed wyjściem o mały kieliszek brandy.

- Oczywiście, Herr Vogel.

- I o jeden dla pana przy tamtym stoliku, Karl.

Gabriel podniósł wzrok i spojrzał prosto w dwie pary przypatrujących mu się oczu, małe i tępawe oczy kelnera oraz oczy Vogla, niebieskie i bezdenne. Drobne usta Vogel ułożył w zimny uśmiech. Gabriel nie wiedział za bardzo, jak zareagować. Ludwig Vogel najwyraźniej znajdował satysfakcję w jego zakłopotaniu.

- Właśnie wychodziłem - odezwał się Gabriel po niemiecku - ale bardzo dziękuję.

- Jak pan sobie życzy - Vogel spojrzał na kelnera. - Wiesz, Karl, po namyśle stwierdziłem, że chyba też sobie pójdę.

Vogel wstał gwałtownie. Wręczył kelnerowi kilka banknotów, po czym skierował się do stolika Gabriela.

- Zaproponowałem panu brandy, bo zauważyłem, że pan mi się przypatrywał - powiedział Vogel. - Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?

- Nie, nie sędzę - odparł Gabriel. - A jeżeli się panu przypatrywałem, to bez żadnego powodu. Po prostu znajduję przyjemność w obserwowaniu twarzy w wiedeńskich kawiarniach. - Zawahał się, po czym dodał: - Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka.

- Jakby mi pan to z ust wyjął. - Kolejny zimny uśmiech. - Jest pan pewien, że się nigdy nie spotkaliśmy? Pańska twarz naprawdę wydaje mi się znajoma.

- Szczerze w to wątpię.

- Jest pan nowy w Café Central - ciągnął z pewnością w głosie Vogel. - Przychodzę tu każdego popołudnia. Można powiedzieć, że jestem najlepszym klientem Karla. Wiem, że wcześniej pana tu nie widziałem.

- Zwykle piję kawę w Sperlu.

- A, Sperl. Mają dobrą szarlotkę, ale ku mojemu zmartwieniu odgłosy bilardu zbyt często przeszkadzają mi w rozmyślaniach. Za to bardzo lubię Central. Możliwe, że się jeszcze spotkamy.

- Możliwe - odparł niezobowiązująco Gabriel.

- Przychodził tu pewien starszy pan. Mniej więcej w moim wieku. Bardzo miło nam się rozmawiało. Od jakiegoś czasu przestał się pojawiać. Mam nadzieję, że nic mu się nie przytrafiło. W pewnym wieku wszystko potrafi się bardzo szybko zawalić.

Gabriel wzruszył ramionami.

- Może po prostu przeniósł się do innej kawiarni.

- Może - zgodził się Vogel. Następnie życzył Gabrielowi miłego wieczoru i wyszedł na ulicę. Ochroniarz podążył dyskretnie za nim. Przez okno Gabriel zobaczył podjeżdżającego mercedesa. Vogel, nim usiadł na tylnym siedzeniu samochodu, posłał mu ostatnie spojrzenie. Potem drzwi się zamknęły i mercedes odjechał.

Gabriel siedział przez chwilę, rozmyślając nad szczegółami tego niespodziewanego spotkania. Następnie zapłacił rachunek i wyszedł na dwór. Wieczór był zimny. Wiedział, że dostał właśnie ostrzeżenie i że czasu na pobyt w Austrii pozostało mu już niewiele.

\*

Amerikanin opuścił Café Central jako ostatni. Zatrzymał się w drzwiach, poprawiając kołnierz swojego płaszcza w kratę, robiąc wszystko, żeby nie wyglądać na szpiega. Obserwował znikającego w ciemnej uliczce Izraelczyka. Następnie odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. To było interesujące popołudnie. Vogel pokazał, że ma ikrę, ale to w końcu w jego stylu.

Ambasada znajdowała się w Dziewiątej Dzielnicy - kawałek drogi stąd, ale Amerikanin doszedł do wniosku, że wieczór w sam raz nadaje się na spacer. Lubił chodzić po Wiedniu. To do niego pasowało. Zawsze chciał być szpiegiem w mieście szpiegów i na przygotowaniach spędził całą młodość. Niemieckiego nauczył się od babci, a sowieckiej polityki od najbystrzejszych umysłów Harvardu. Gdy skończył studia, drzwi agencji stanęły przed nim otworem. Ale wtedy imperium upadło, a z piasków Bliskiego Wschodu wyłoniło się nowe zagrożenie. Płynny niemiecki i dyplom Harvardu nie znaczyły wiele w nowej agencji. Dzisiaj gwiazdy wywiadu przypominały Rambo, potrafiły przeżyć na pustyni, jedząc robale, i przejść sto kilometrów z jakimś miejscowym góraliem bez najmniejszego nawet odcisku. Amerikanin dostał Wiedeń, ale Wiedeń, który na niego czekał, stracił na znaczeniu. Stał się nagle kolejnym europejskim zaściankiem, ślepym zaułkiem, gdzie można było w spokoju zakończyć karierę, a nie zacząć nową.

Dzięki Bogu za aferę Vogla. Sprawy trochę odżyły, nawet jeśli nie na długo.

Amerikanin skręcił w Boltzmannngasse i zatrzymał się przed imponującym budynkiem ochrony. Wartownik, żołnierz piechoty morskiej, sprawdził identyfikator i wpuścił go do środka. Amerikanin miał oficjalną przykrywkę. Pracował w dziale kultury. To tylko wzmagало jego poczucie, że jest zbędny. Szpieg pracujący dla niepoznaki w dziale kulturalnym ambasady w Wiedniu. Jakież to urocze.

Wjechał windą na czwarte piętro i zatrzymał się przed drzwiami z zamkiem szyfrowym. Za nimi znajdowało się centrum dowodzenia wiedeńskiej placówki agencji.

Amerykanin usiadł przed komputerem, zalogował się i napisał krótką wiadomość do dowódcy. Zaadresowana była do niejakiego Cartera, zastępcy dyrektora operacyjnego. Carter nie cierpiał rozwlekłych wiadomości. Rozkazał Amerykaninowi zdobyć prostą informację. Amerykanin ją zdobył. Ostatnie, czego Carter potrzebował, to szczegółowy raport na temat wstrząsających wydarzeń w Café Central. Raz coś takiego mogło wydawać się ważne, ale tylko raz.

Napisał pięć słów: ABRAHAM WŁĄCZYŁ SIĘ DO GRY, po czym wysłał je w szyfrowany eter. Czekał na odpowiedź. Żeby zabić czas, studiował analizę nadchodzących wyborów. Wątpił, żeby na siódmym piętrze w Langley uznano to za lekturę obowiązkową.

Komputer piknął. Na ekranie czekała wiadomość. Kliknął na nią i pojawiły się słowa: OBSERWUJ ELIASZA.

Amerykanin szybko wpisał kolejną wiadomość.

A JEŚLI ELIASZ WYJEDZIE?

Dwie minuty później: OBSERWUJ ELIASZA.

Amerykanin wylogował się. Odłożył na bok raport o wyborach. Wrócił do gry - przynajmniej na razie.

\*

Resztę wieczoru Gabriel spędził w szpitalu. Marguerite, pielęgniarka z nocnej zmiany, pojawiła się godzinę po jego przybyciu. Gdy doktor skończył badanie, pozwoliła mu usiąść przy łóżku Eliego. Po raz drugi zaproponowała Gabrielowi, żeby z nim porozmawiał, po czym wyszła na zewnątrz, żeby dać mu parę chwil sam na sam z Elim. Gabriel nie wiedział, co mówić, więc nachylił się do ucha Eliego i szeptem, po hebrajsku, opowiedział mu o przebiegu sprawy: Max Klein, Renate Hoffmann, Ludwig Vogel... Eli leżał bez ruchu z zabandażowaną głową i zawiązanymi oczami. Później, na korytarzu, Marguerite poinformowała Gabriela, że stan Eliego nie uległ poprawie. Gabriel siedział w poczekalni przez kolejną godzinę, obserwując rannego przez szybę, po czym taksówką wrócił do hotelu.

W pokoju usiadł przy biurku i zapalił światło. W górnej szufladzie znalazł parę kartek papieru hotelowego oraz ołówki. Zamknął na chwilę oczy i wyobraził sobie Vogla takiego, jakim widział go tego popołudnia w Café Central.

- „Jest pan pewien, że się nigdy nie spotkaliśmy? Pańska twarz naprawdę wydaje mi się znajoma.

- Szczerze w to wątpię”.

Gabriel otworzył oczy i zaczął szkicować. Po pięciu minutach z kartki patrzyła na niego twarz Vogla. „Jak on mógł wyglądać za młodu?”. Znowu zaczął rysować. Zageścił

włosy, usunął zmarszczki i fałdy wokół oczu. Wygładził bruzdy na czole, naciągnął skórę na policzkach i wzdłuż szczęki, wymazał głębokie rowki prowadzące od podstawy nosa w kąci drobnych ust.

Zadowolony, położył nowy szkic obok starego. Zaczął tworzyć trzeci portret, tym razem mężczyzny w bluzie z wysokim kołnierzem i czapce z daszkiem - mundurze esesmana. Ciarki przeszły mu po plecach. Otworzył teczkę, którą dostał od Renate Hoffmann, i odszukał nazwę miasteczka, w którym Vogel miał domek wczasowy. Na znalezionej w szufladzie biurka mapie turystycznej zlokalizował wioskę, po czym zadzwonił do wypożyczalni samochodów i zamówił na rano auto.

Wziął szkice do łóżka, oparł głowę o poduszkę i wpatrywał się w trzy różne wersje twarzy Vogla. Ostatnia, Vogel w mundurze SS, wydawała mu się jakby znajoma. Dręczyło go poczucie, że już go gdzieś kiedyś widział. Po godzinie wstał i zaniósł rysunki do łazienki. Stojąc nad umywalką, spalił je w takiej samej kolejności, w jakiej rysował: Vogel jako zamożny wiedeński dżentelmen, Vogel o pięćdziesiąt lat młodszy, Vogel jako morderca z SS...



Następnego dnia rano Gabriel wybrał się na zakupy na Kärtnerstrasse.

Niebo wyglądało jak błękitne sklepienie z alabastrowymi pasemkami. Gdy przechodził przez Stephansplatz, wiatr o mało go nie przewrócił. To był arktyczny wiatr, ochłodzony przez norweskie fiordy i lodowce, wzmocniony przez zimne równiny Polski, atakujący Wiedeń niczym horda barbarzyńców.

Wszedł do domu towarowego, rzucił okiem na spis stoisk i wjechał ruchomymi schodami na piętro, na którym sprzedawano ubrania. Kupił granatową kurtkę narciarską, gruby polar, solidne rękawiczki i wodoodporne buty turystyczne. Zapłacił za wszystko i wyszedł na zewnątrz. Spacerował po Kärtnerstrasse z plastikowymi torbami, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi.

Wypożyczalnia samochodów znajdowała się o parę ulic od hotelu. Czekał na niego srebrny opel kombi. Wrzucił torby na tylne siedzenie, podpisał papiery i odjechał. Przez pół godziny krążył w kółko, wypatrując śladów ogona, po czym wjechał na autostradę A1 i pomknął na zachód.

Stopniowo pojawiała się coraz więcej chmur, a poranne słońce zniknęło. Gdy dotarł do Linzu, padał gęsty śnieg. Zatrzymał się na stacji benzynowej i przebrał w kupione w Wiedniu ubranie, po czym wyostał się z powrotem na A1 i ruszył w stronę Salzburga. Dotarł na miejsce po południu. Zostawił opla na parkingu i resztę dnia spędził, udając turystę, przechadzając się po ulicach i placach starego miasta. Wspiął się po wykutych w skale schodach na Mönchsberg, podziwiał panoramę Salzburga ze szczytu wieży kościelnej, poszedł na Universitätsplatz obejrzeć barokowe arcydzieła Fischera von Erlacha. Gdy zapadł zmrok, wrócił na starówkę i zjadł tyrolskie pierogi w staroświeckiej restauracji o ciemnych drewnianych ścianach obwieszonych myśliwskimi trofeami.

O ósmej znowu siedział za kierownicą opla, jadąc z Salzburga na wschód, w stronę samego serca Salzkammergut. Śnieg padał coraz gęściej, a autostrada pięła się coraz wyżej w góry. Przejechał przez miasteczko Hof, leżące na południowym brzegu Fuschlsee. Po kilku kilometrach dojechał do Wolfgangsee. Miejscowość, od której nazwano jezioro, znajdowała

się po drugiej stronie. Wyteżywszy wzrok, widział sylwetkę wieży kościoła Pielgrzymek. Pamiętał, że wewnątrz znajdował się jeden z najpiękniejszych gotyckich ołtarzy w Austrii.

W sennym Zichenbach skręcił w prawo w wąską, wspinającą się ostro po zboczu góry drogę. Miasteczko zostało z tyłu, ale wzdłuż jezdni wciąż stały pojedyncze chałupy. Dachy przykrywał śnieg, a z kominów sączył się dym. Z jednego z domów wybiegł pies i obszczał samochód Gabriela.

Allon przejechał przez wąski most i zatrzymał pojazd. Zdawało się, że zmęczona droga poddała się. W głąb brzoźowego lasu prowadziła wąska alejka, ledwo mieszcząca jeden samochód. Po jakichś trzydziestu metrach kończyła się bramą. Gabriel wyłączył silnik. Panująca w lesie cisza była przytłaczająca.

Z kieszeni na drzwiach wyjął latarkę i wysiadł. Stara drewniana brama sięgała mu do ramion. Tabliczka ostrzegała, że ziemia po drugiej stronie to własność prywatna i że polowanie i spacerowanie są ściśle *verboten* i karane grzywną oraz więzieniem. Gabriel postawił stopę na środkowej belce, podciągnął się i zeskoczył na puszystą pokrywą śniegową po drugiej stronie.

Zapalił latarkę i oświetlił ścieżkę. Prowadziła pod ostrym kątem pod górę, skręcając po chwili w prawo i znikając za ścianą brzożek. Nie było na niej śladów kroków ani opon. Gabriel wyłączył latarkę i przez chwilę czekał, aż wzrok z powrotem przyzwyczai mu się do ciemności, po czym ruszył przed siebie. Po pięciu minutach dotarł na rozległą polanę. U jej szczytu, około stu metrów dalej, stał dom, tradycyjna alpejska chata, bardzo duża, z dwuspadowym dachem i zwieszającym się daleko od ścian okapem. Gabriel zatrzymał się na chwilę, wypatrując jakichkolwiek sygnałów, że został zauważony. Zadowolony, obszedł polanę, trzymając się skraju lasu. Dom pogrążony był w zupełnej ciemności, wewnątrz ani na zewnątrz nie paliło się żadne światło. Nie widział też samochodów.

Stał przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien popełnić przestępstwo na austriackiej ziemi i włamać się do domu. Pusta chata dawała szansę zbadania prywatnego życia Vogla, szansę, jaka z pewnością mu się prędko nie trafi. Przypomniał mu się sen, który często go nawiedzał. Tycjan chce się skonsultować z Gabrielem w sprawie konserwacji obrazu, ale Gabriel odpędza go, bo jest beznadziejnie spóźniony i nie ma czasu na spotkanie. Tycjan, potwornie urażony, w gniewie rezygnuje z konsultacji. Gabriel, sam przed niekończącym się płótnem, dalej podrabia mistrza, ale bez jego pomocy.

Ruszył w poprzek polany. Obejrzawszy się przez ramię, potwierdził to, co i tak wiedział - zostawiał na śniegu wyraźne odciski stóp, prowadzące od skraju lasu na tyły domu. O ile wkrótce nie zacznie znowu padać, każdy będzie mógł obejrzeć sobie ślady. „Idź dalej.

Tycjan czeka".

Do chaty podszedł od tyłu. Wzdłuż ściany stał sag drewna na opał, a przy jego końcu znajdowały się drzwi. Gabriel poruszał klamką. Oczywiście zamknięte. Zdjął rękawiczki i wyjął cienki pasek metalu, który zwykle nosił w portfelu. Delikatnie gmerał nim w dziurce od klucza, póki mechanizm nie ustąpił. Przekręcił klamkę i wszedł do środka.

Zapalił latarkę. Znalazł się w sieni. Pod ścianą stały na baczność trzy pary kaloszy, na haku wisiał płaszcz z lodenu. Przeszukał kieszenie - trochę drobnych, zmięta chusteczka z zaschniętą flegmą.

Przeszedł przez drzwi i stanął u stóp schodów. Wbiegł na górę, trzymając w ręku latarkę. Dotarł do kolejnych drzwi, tym razem otwartych. Uchylił je. Ciszę zakłócił skrzyp nienaoliwionych zawiasów.

Spizarnia wyglądała tak, jakby splądrowało ją wycofujące się wojsko. Półki były praktycznie puste i pokrywała je gruba warstwa kurzu. Przyległa kuchnia stanowiła połączenie tradycji z nowoczesnością: obudowany nierdzewną stalą niemiecki sprzęt kuchenny oraz żeliwne garnki wiszące nad dużym otwartym paleniskiem. Zajrzał do lodówki: opróżniona do połowy butelka białego austriackiego wina, zielona od pleśni kostka sera, kilka słoiczków z bardzo starymi przyprawami.

Minął jadalnię i znalazł się w dużym salonie. Wodząc po pokoju światłem, natrafił na staroświeckie biurko z jedną szufladą. Spaczone od zimna drewno było na sztywno zaklinowane. Gabriel pociągnął silnie i prawie wyrwał szufladę z prowadnic. Poświecił do środka: długopisy i ołówki, zardzewiałe spinacze, plik firmowych kartek Przedsiębiorstwa Handlowo-Inwestycyjnego „Dolina Dunaju”, prywatna papeteria... Biurko Ludwiga Vogla... pomyślał Gabriel.

Zamknął szufladę i poświecił na blat biurka. W drewnianym koszyku na papiery leżała korespondencja. Przejrzał ją - parę osobistych listów, dokumenty mające prawdopodobnie związek z interesami Vogla. Do niektórych dołączone były krótkie notatki, wszystkie napisane tym samym charakterem pisma z zawijasami. Chwycił papiery, złożył na pół i wsunął do kieszeni kurtki.

Telefon miał automatyczną sekretarkę oraz wyświetlacz. Zegar wskazywał zły czas. Gabriel podniósł pokrywkę, odkrywając dwie minikasety. Wiedział z doświadczenia, że automatyczne sekretarki nie wymazywały wiadomości dokładnie, często zostawiały wiele pożytecznych informacji, łatwo dostępnych dla laboranta z odpowiednim sprzętem. Wyjął kasety i wsunął do kieszeni. Zamknął wieczko i nacisnął guzik ponownego wybierania numeru. Po ciągłym sygnale usłyszał chaotyczną melodię automatycznego wykręcania. Na

wyświetlaczu pojawił się numer: 5124124. Wiedeń. Gabriel zapamiętał go.

Następnym dźwiękiem był pojedynczy sygnał austriackiego systemu telefonicznego, a po nim następny. Nim nastąpił trzeci, odebrał jakiś mężczyzna.

- Halo? Halo...! Kto to? Ludwig, to ty? Kto to?

Gabriel wyciągnął rękę i przerwał połączenie.

\*

Wszedł po głównych schodach na górę. Ile miał czasu, nim człowiek po drugiej stronie linii zorientuje się w jego błędzie? Jak szybko zbierze siły i przeprowadzi kontruderzenie? Gabriel prawie słyszał tykanie zegara.

U szczytu schodów znajdował się mały przedpokój z kilkoma krzesłami. Obok jednego z nich stał stos książek, a na nim pusty kieliszek do koniaku. Drzwi po obu stronach korytarza prowadziły do sypialni. Gabriel wszedł w te po prawej.

Pochyły sufit odzwierciedlał spadek dachu. Nad nieposłanym łóżkiem wisiał duży krucyfik, pozostałe ściany były puste. Na stojącym na nocnej szafce budziku migotały cyfry: 12:00... 12:00... 12:00... Obok leżał różaniec, zwinięty niczym wąż. U stóp łóżka, na podeście, stał telewizor. Gabriel przesunął po ekranie rękawiczkę, zostawiając w kurzu ciemną linię.

W pokoju nie było garderoby, jedynie edwardiańska szafa. Gabriel otworzył drzwi i oświetlił latarką wnętrze: kupki poskładanych porządnie swetrów, marynarki, eleganckie koszule i wiszące na wieszakach spodnie. Wysunął szufladę. Wewnątrz leżało wyłożone filcem pudełko na biżuterię: zaśnieżone spinki do mankietów, sygnety, zabytkowy zegarek z popękany czarnym paskiem. Obejrzał tył zegarka. „Ukochanemu Erichowi, Monica”. Podniósł jeden z pierścieni, ciężki, ozdobiony orłem złoty sygnet. Na nim też znajdował się napis, wryty cienkim pismem po wewnętrznej stronie obrączki: „1005, gratulacje, Heinrich”. Gabriel wsunął zegarek i pierścień do kieszeni.

Wyszedł z sypialni i zatrzymał się w przedpokoju. Spojrzał przez okno, ale nie zobaczył na placu żadnego ruchu. Wszedł do drugiej sypialni. Powietrze było przesycone zapachem różanej i lawendowej perfumowanej wody. Na podłodze leżał jasny miękki dywan; łóżko przykrywała puchowa kołdra. Edwardiańska szafa nie różniła się od tej w pierwszej sypialni, tyle że w drzwi miała wbudowane lustro. Wewnątrz Gabriel znalazł kobiece ubrania. Renate Hoffmann twierdziła, że Vogel od zawsze był kawalerem. Do kogo więc należały?

Gabriel podszedł do nocnej szafki. Na koronkowej serwecie stała duża, oprawiona w skórę Biblia. Ujął ją za grzbiet i szybko przewertował. Na podłogę upadło zdjęcie, które obejrzał przy świetle latarki. Przedstawiało kobietę, nastoletniego chłopca oraz mężczyznę w

średnim wieku, siedzących na kocu na alpejskiej łące. Wszyscy troje uśmiechali się do aparatu. Kobieta obejmowała mężczyznę ramieniem. Mimo że zdjęcie zrobiono trzydzieści albo czterdzieści lat temu, Gabriel nie miał wątpliwości, że mężczyzna na zdjęciu to Ludwig Vogel. Kim była kobieta? „Ukochanemu Erichowi, Monica”. Chłopiec, przystojny i zadbany, wyglądał dziwnie znajomo.

Usłyszał na zewnątrz jakiś dźwięk, jakby stłumiony pomruk. Podbiegł do okna. Rozsunął zasłony. Dwa światła powoli przedzierały się przez drzewa w jego stronę.

\*

Wsunął fotografię do kieszeni i zbiegł po schodach na dół. Salon już oświetlały światła nadjeżdżającego pojazdu. Wrócił po swoich śladach - przez kuchnię i spiżarnię tylnymi schodami - i ponownie znalazł się w sieni. Słyszał nad sobą kroki - ktoś wszedł do domu. Otworzył drzwi i wyslizgnął się na zewnątrz, zamykając je cicho za sobą.

Chowając się pod okapem, przeszedł wokół chaty. Pojazd, sportowy samochód z napędem na cztery koła, stał zaparkowany parę metrów od drzwi wejściowych. Reflektory były zapalone, a drzwi od strony kierowcy otwarte. Gabriel słyszał elektroniczne pikanie alarmu. Kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce. Podkraść się do samochodu, wyjął je i cisnął w ciemność.

Przebiegł przez polanę i ruszył w dół stoku. Brodząc przez głęboki śnieg w ciężkich butach, czuł się jak w sennym koszmarze. Gardło ścisnęło mu lodowate powietrze. Minął ostatni zakręt na ścieżce. Obok jego samochodu, przy otwartej bramie, stał mężczyzna, świecąc do wnętrza pojazdu latarką.

Gabriel nie bał się konfrontacji z jednym człowiekiem. To zupełnie co innego niż dwóch. Postanowił zadziałać ofensywnie, nim ten z domu zdąży do nich dobiec. Zawołał po niemiecku:

- Hej, ty! Co robisz z moim wozem?

Mężczyzna odwrócił się i poświecił latarką w stronę Gabriela. Nie wykonał żadnego ruchu, który wskazywałby na to, że sięga po broń. Gabriel pędził, udając kierowcę wściekłego na kogoś majstrującego przy jego samochodzie. Dobiegając, wyjął z kieszeni kurtki latarkę i zdzielił nią mężczyznę w twarz. Ten podniósł rękę w obronnym geście, a gruba kurtka zamortyzowała uderzenie. Gabriel odrzucił latarkę i kopnął go z całej siły w kolano. Mężczyzna jęknął z bólu i zamachnął się wściekle. Uważając, żeby się nie potknąć, Gabriel odskoczył do tyłu, łatwo unikając ciosu. Jego przeciwnik był wysoki, o głowę wyższy od Gabriela, i dobre dwadzieścia kilo cięższy. Gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót i doszło do zapasów, wynik starcia stałby pod dużym znakiem zapytania.

Na skutek kolejnego ciosu, prawego sierpowego, który musnął podbródek Gabriela, mężczyzna stracił równowagę i przechylił się w lewo, z prawym ramieniem wyciągniętym przed siebie. Gabriel złapał go za rękę i zrobił krok do przodu. Cofnął łokieć i dwa razy zdzielił nim mężczyznę w policzek, uważając, by nie zabić go uderzeniem w okolice ucha. Ogłuszony mężczyzna upadł w śnieg. Gabriel zdzielił go jeszcze na wszelki wypadek latarką w głowę. Mężczyzna stracił przytomność.

Gabriel obejrzał się przez ramię. Na ścieżce wciąż nie było nikogo. Rozpiął kurtkę mężczyzny i zaczął szukać portfela. Znalazł go w wewnętrznej kieszeni na piersi. W środku tkwiła odznaka. Nie zmartwiło go nazwisko, ale zawód. Leżący przed nim nieprzytomny mężczyzna był funkcjonariuszem Staatspolizei.

Gabriel wznowił przeszukiwanie nieprzytomnego i w tej samej kieszeni znalazł mały, oprawiony w skórę notatnik policyjny. Na pierwszej stronie, napisany dziecinnie wyglądającymi drukowanymi literami, widniał numer rejestracyjny samochodu Gabriela.

Następnego ranka, po powrocie do Wiednia, Gabriel wykonał dwa telefony. Najpierw zadzwonił do ambasady izraelskiej. Przedstawił się jako Kluge - jedno z jego wielu nazwisk używanych do rozmów telefonicznych - i oznajmił, że chce się spotkać z panem Rubinem z działu konsularnego. Po chwili głos po drugiej stronie linii powiedział:

- Opernpassage. - Wie pan, gdzie to jest?

Gabriel odparł z pewną irytacją w głosie, że wie. Opernpassage był obskurnym przejściem dla pieszych pod Karlsplatz.

- Wejdz do przejścia od północy - ciągnął głos. - W połowie drogi po prawej stronie jest sklep z kapeluszami. Przejdź przed nim dokładnie o dziesiątej.

Gabriel przerwał połączenie, po czym zadzwonił do mieszkania Maksa Kleina w Drugiej Dzielnicy. Nikt nie odebrał. Odwiesił słuchawkę na widełki i przez chwilę rozmyślał, gdzie może być Klein.

Miał półtorej godziny do spotkania z kurierem. Postanowił spędzić czas pożytecznie, pozbywając się wypożyczonego samochodu. Musiał być ostrożny. Zabrał funkcjonariuszowi Staatspolizei notatnik, ale jeśli jakimś sposobem policjantowi udało się zapamiętać numer rejestracyjny samochodu, dotarcie do wypożyczalni w Wiedniu, a stamtąd do Izraelczyka o nazwisku Gideon Argow, zajmie mu ledwie parę minut. Gabriel przejechał przez Dunaj i krążył wokół dużego, nowoczesnego kompleksu budynków ONZ w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Znalazł je o pięć minut drogi od stacji kolejki. Podniósł maskę i poluzował kable przy akumulatorze, po czym usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Nic się nie stało, zamknął więc maskę i odszedł.

Z budki na stacji zadzwonił do wypożyczalni. Poinformował, że opel się zepsuł i trzeba go odebrać. Pozwolił sobie na nutkę oburzenia w głosie, co sprawiło, że pracownik, z którym rozmawiał, bardzo go przeproszał. W głosie po drugiej stronie słuchawki nie było słyhać nic, co by wskazywało, że do firmy zadzwoniła policja w sprawie włamania dokonanego poprzedniego wieczoru w Salzkammergut.

Na peron wjechał pociąg. Gabriel rozłączył się i wszedł do ostatniego wagonu.

Kwadrans później wszedł do Opernpassage - od północy, tak, jak poinstruował go człowiek z ambasady. W przejściu tłoczyli się ludzie spieszący do pracy, wysiadający na stacji kolejki Karlsplatz. Powietrze przesycone było smrodem papierosów i fast foodów. Naćpany Albańczyk poprosił Gabriela o euro na jedzenie. Gabriel minął go bez słowa i ruszył w stronę sklepu z kapeluszami.

Z mężczyzną z ambasady zderzył się w drzwiach. Niebieskooki blondyn w długim płaszczu, owinięty szalikiem w prawej ręce trzymał torbę z nazwą sklepu. Znali się. Nazywał się Ben-Abraham.

Ruszyli razem w stronę wyjścia po drugiej stronie. Gabriel przekazał kopertę zawierającą wszystkie materiały, które zgromadził od przyjazdu do Austrii: dossier, które dostał od Renate Hoffmann, zegarek i pierścionek zabrane z szafy Ludwiga Vogla, znalezione w Biblii zdjęcie. Ben-Abraham szybko wsunął kopertę do plastikowej torby.

- Zawieź to do domu. Szybko.

Ben-Abraham skinął głową.

- A kto przy bulwarze Króla Saula jest adresatem?

- To nie jedzie na bulwar Króla Saula.

Ben-Abraham uniósł znacząco brew.

- Znasz zasady. Wszystko przechodzi przez ręce dowództwa.

- Nie to. - Gabriel wskazał na reklamówkę. - To jedzie do Starego.

Doszli do końca. Gabriel zawrócił i zaczął iść w drugą stronę, a Ben-Abraham za nim. Gabriel wiedział, o czym myśli. Czy pogwałcić biurokratyczną regułę biura i ryzykować narażenie się na gniew Lwa - który uwielbiał wymuszać przestrzeganie biurokratycznych reguł - wyświadczając drobną przysługę Gabrielowi Allonowi i Ariemu Szamronowi? Rozważania Ben-Abrahama nie trwały długo, tak jak Gabriel zresztą przypuszczał. Lew to nie typ człowieka, który zyskiwał sobie oddanie podwładnych. Nadszedł jego czas, ale to Szamron był *Memuneh*, a *Memuneh* był wieczny.

Rozglądając się na boki, Gabriel odesłał Ben-Abrahama. Spędził dziesięć minut, spacerując po Opernpassage i rozglądając się za jakimikolwiek śladami inwigilacji, po czym wyszedł z powrotem na ulicę. Z budki po raz drugi zadzwonił do Maksa Kleina. Wciąż nikt nie odbierał.

Wsiadł do przejeżdżającego tramwaju i objechawszy centrum, dostał się do Drugiej Dzielnicy. Znalazienie domu Kleina zajęło mu parę chwil. Nacisnął guzik domofonu, ale nikt nie odebrał. Dozorczyni, kobieta w średnim wieku, ubrana w fartuch w kwiaty, wyjrzała ze swojego mieszkania i zmierzyła Gabriela podejrzliwym wzrokiem.



- Kogo pan szuka?

Gabriel odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Rano zwykle chodzi do synagogi. Sprawdzał pan tam?

Dzielnica żydowska leżała po drugiej stronie Kanału Dunajskiego, nie dalej niż dziesięć minut piechotą. Jak zwykle synagoga była strzeżona. Pomimo swojego paszportu Gabriel musiał przed wejściem do świątyni przejść przez magnetometr. Wziął z koszyka *kippah* i przykrył nią głowę. Obok *bimah* modliło się kilku starszków. Żaden z nich nie był Maksem Kleinem. Gabriel spytał ochroniarza, czy widział tego ranka Kleina. Ochroniarz pokręcił przecząco głową i zasugerował, żeby sprawdzić w siedzibie gminy.

Gabriel poszedł do sąsiedniego budynku, dokąd wpuściła go rosyjska Żydówka, Natalia. Tak, powiedziała, Max Klein często spędzał tu poranki, ale tego dnia go nie widziała.

- Starsi ludzie czasem piją kawę w Café Schottenring - powiedziała. - Numer dziewiętnaście. Może tam go pan znajdzie.

W kawiarni rzeczywiście siedziała grupa wiekowych Żydów, ale nie ujrzał wśród nich Kleina. Gabriel spytał, czy był tam rano, i sześć głów równocześnie pokręciło się przecząco.

Zaniepokojony wrócił na drugą stronę Kanału Dunajskiego do Drugiej Dzielnicy i skierował się do kamienicy Kleina. Nacisnął guzik, ale znowu nikt nie odpowiedział. Zapukał do drzwi mieszkania dozorczyńni. Gdy zobaczyła Gabriela po raz drugi, jej twarz spoważniała.

- Proszę zaczekać - odezwała się. - Przyniosę klucz.

\*

Dozorczyńni otworzyła drzwi i zawołała Herr Kleina. Nie słysząc odpowiedzi, weszli do środka. Zastony były zasunięte, a pokój pogrążony w głębokim cieniu.

- Herr Klein? - krzyknęła znowu. - Czy jest pan tutaj? Herr Klein?

Gabriel otworzył podwójne drzwi prowadzące do kuchni. Na niewielkim stole stał nietknięty obiad. Allon przeszedł korytarzem do końca, zatrzymując się po drodze, żeby zerknąć do łazienki. Sypialnia była zamknięta na klucz. Gabriel uderzył w drzwi pięścią i zawołał Kleina. Bez odpowiedzi.

Podeszła do niego dozorczyńni. Spojrzeli na siebie. Skinęła głową. Gabriel złapał klamkę obiema rękami i ramieniem uderzył w drzwi. Drewno rozszczepiło się i wpadł do sypialni.

Tu, podobnie jak w salonie, zastony były zasunięte. Gabriel przesunął ręką po ścianie, macając po ciemku w poszukiwaniu włącznika światła. Mała lampka przy łóżku oświetliła leżącą w nim postać.

Dozorczyńni wydała stłumiony okrzyk strachu.

Gabriel ostrożnie podszedł bliżej. Max Klein miał na głowie przezroczystą foliową torbę, a wokół szyi owinięty połączony pasek. Jego oczy patrzyły na Gabriela przez zaparowany plastik.

- Wezwę policję - powiedziała dozorczyńni.

Gabriel usiadł na skraju łóżka i ukrył twarz w dłoniach.

\*

Dotarcie na miejsce zajęło policji dwadzieścia minut. Ich obojętne podejście do sprawy dowodziło, że zakładali samobójstwo. W pewnym sensie tak było lepiej dla Gabriela, bo gdyby podejrzewali zbrodnię, charakter spotkania uległby gwałtownej zmianie. Przesłuchano go dwa razy, najpierw zrobili to policjanci, którzy przybyli na wezwanie, a następnie oficer śledczy Staatspolizei, Greiner. Gabriel powiedział, że nazywa się Gideon Argow, że pracuje w jerozolimskim oddziale Biura Roszczeń i Dochodzeń Wojskowych. Że przyjechał do Wiednia po zamachu, żeby być ze swoim przyjacielem Elim Lavonem. Że Max Klein był starym przyjacielem jego ojca, i że to ojciec zaproponował mu, żeby odwiedził Kleina i sprawdził, jak się ma. Nie wspomniał, że dwa dni wcześniej widział się z Kleinem, nie powiedział też o podejrzeniach Kleina co do Ludwiga Vogla. Obejrzano jego paszport i wizytówkę. Zapisano w małych czarnych notesach numery telefonów. Złożono kondolencje. Dozorczyńni zrobiła herbatę. Wszystko odbyło się w wyjątkowo uprzejmej atmosferze.

Chwilę po dwunastej dwóch sanitariuszy przyszło zabrać ciało. Oficer śledczy dał Gabrielowi wizytówkę i pozwolił mu odejść. Gabriel wyszedł na ulicę i skręcił za róg. W zacienionej uliczce oparł się o brudne cegły i zamknął oczy. Samobójstwo? Nie, ktoś, kto przeżył potworności Auschwitz, nie mógł popełnić samobójstwa. Został zamordowany, a Gabriel czuł, że także ponosi za to winę. Głupio postąpił, zostawiając Kleina bez opieki.

Ruszył z powrotem w stronę hotelu. Obrazy z dochodzenia przewijały mu się przed oczami niczym fragmenty niedokończonego obrazu: Eli Lavon na szpitalnym łóżku, Ludwig Vogel w Café Central, funkcjonariusz Staatspolizei w Salzkammergut, martwy Max Klein z plastikową torbą na głowie. Każde wydarzenie dokładało na szalę kolejny ciężarek. Zaraz wszystko runie, a Gabriel podejrzewał, że to on będzie następną ofiarą. Najwyższy czas opuścić Austrię, póki jeszcze się da.

Wszedł do hotelu i poprosił recepcjonistę, żeby przygotował rachunek, po czym udał się na górę do swojego pokoju. Drzwi były otwarte, pomimo wiszącej na klamce tabliczki „Nie przeszkadzać”. Uchylił je koniuszkami palców. Dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn właśnie podnosiło materac ze sprężyn. Trzeci, najwyraźniej ich przełożony, siedział przy biurku jak znudzony kibic na zawodach sportowych. Widząc stojącego w

drzwiach Gabriela, powoli wstał i oparł ręce na biodrach. Na szalce właśnie pojawił się ostatni ciężarek.

- Dzień dobry, Allon - powiedział Manfred Kruz.

- Jeśli spróbujesz uciec, odkryjesz, że wszystkie wyjścia są obstawione oraz że na dole schodów stoi bardzo duży człowiek, który z przyjemnością zmusi cię do posłuszeństwa. - Kruz obrócił się nieznacznie. Spojrzał na Gabriela znad ramienia niczym szermierz, po czym podniósł rękę w pojednawczym geście. - Ale nie ma potrzeby, żeby sprawy wymknęły się spod kontroli. Chodź do środka i zamknij drzwi.

Jego głos się nie zmienił, był słaby i nienaturalnie spokojny, jak głos grabarza pomagającego rozpaczającemu krewnemu zmarłego wybrać trumnę. Przez trzynaście lat postarzał się - wokół sprytnych ust pojawiło się parę nowych zmarszczek, a szczupłej sylwetce przybyło parę kilogramów - i, sądząc po dobrze skrojonym garniturze i aroganckiej postawie, awansował. Gabriel skupił wzrok na ciemnych oczach Kruza. Czuł za plecami obecność jeszcze jednego człowieka. Przeszedł przez próg i zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszał ciężkie huknięcie i niemieckie przekleństwo. Kruz znowu podniósł dłoń, tym razem nakazując Gabrielowi, by się zatrzymał.

- Jesteś uzbrojony?

Gabriel ze znużeniem pokręcił głową.

- Pozwolisz, że się upewnię? - spytał Kruz. - Masz odpowiednią reputację.

Gabriel uniósł ręce do góry. Policjant, który stał za nim w korytarzu, wszedł do pokoju i przeszukał go. Zrobił to profesjonalnie i bardzo szczegółowo, zaczynając od szyi i na kostkach kończąc. Kruz zdawał się rozczarowany skutkami.

- Zdejmij kurtkę i opróżnij kieszenie.

Gabriel zawahał się, ale został zachęcony bolesnym ciosem w nerkę. Rozpiął kurtkę i podał ją Kruzowi, który przeszukał kieszenie i sprawdził, czy w podszewce nie ma skrytki.

- Wywiń kieszenie spodni.

Gabriel usłuchał. Całą zawartość stanowiło parę monet i bilet tramwajowy. Kruz spojrzał na dwóch trzymających materac policjantów i kazał im posłać łóżko z powrotem.

- Pan Allon to zawodowiec - powiedział. - Nic nie znajdziemy.

Policjanci położyli materac z powrotem na ramie. Kruz machnięciem ręki kazał im

wyjsć. Usiadł z powrotem przy biurku i wskazał na łóżko.

- Rozgość się.

Gabriel wciąż stał.

- Od jak dawna jesteś w Wiedniu?

- Sam mi to powiedz.

Kruz przyjął zawodowy komplement krótkim uśmiechem.

- Przyleciałeś samolotem z lotniska Ben Guriona przedwczoraj wieczorem. Po zameldowaniu się w hotelu pojechałeś do Szpitala Ogólnego, gdzie spędziłeś parę godzin ze swoim przyjacielem Elim Lavonem.

Kruz zamilkł. Gabriel zastanawiał się, co jeszcze Kruz wie o jego pobycie w Wiedniu. Czy wiedział o spotkaniu z Maksem Kleinem i Renate Hoffmann? Rozmowie z Ludwigiem Voglem w Café Central i o wyprawie do Salzkammergut? Kruz, nawet jeśli wiedział, raczej nie zamierzał tego wyjawić. Nie był z tych, którzy odkrywają karty bez powodu. Gabriel wyobrażał go sobie jako zimnego i pozbawionego emocji gracza.

- Dlaczego nie aresztowaliście mnie wcześniej?

- Teraz też cię nie aresztujemy. - Kruz zapalił papierosa. - Byliśmy gotowi przymknąć oko na pogwałcenie przez ciebie naszej umowy, bo zakładaliśmy, że przyjechałeś do Wiednia, żeby być u boku swojego rannego przyjaciela. Ale szybko stało się jasne, że miałeś zamiar przeprowadzić na własną rękę śledztwo w sprawie zamachu. Z oczywistych przyczyn nie mogę na to pozwolić.

- Tak - zgodził się Gabriel. - Z oczywistych przyczyn.

Kruz przez moment kontemplował unoszący się z papierosa dym.

- Zawarliśmy umowę, Allon. Pod żadnym pozorem nie wolno ci było wrócić do tego kraju. Nie chcemy cię tu. Nie powinno cię tu być. Nie obchodzi mnie, że jesteś zły z powodu swojego przyjaciela Eliego Lavona. To nasze śledztwo i nie potrzebujemy pomocy ze strony twojej agencji.

Kruz spojrzał na zegarek.

- Za trzy godziny odlatuje samolot El Al, a ty razem z nim. Dotrzymam ci towarzystwa, gdy będziesz się pakował.

Gabriel spojrzał na rozrzucone po podłodze ubrania. Otworzył walizkę - podszewka została wycięta. Kruz wzruszył ramionami: „Czego się spodziewałeś?”. Gabriel schylił się i zaczął zbierać swoje rzeczy. Kruz wyglądał przez oszklone drzwi na zewnątrz i palił papierosa.

Po chwili spytał:

- Ona żyje?

Gabriel powoli odwrócił się i wbił wzrok w małe, czarne oczka policjanta.

- Masz na myśli moją żonę?

- Tak.

Gabriel powoli pokręcił głową.

- Nie waż się mówić o mojej żonie, Kruz.

Kruz uśmiechnął się zimno.

- Nie zaczniesz mi chyba znowu grozić, co, Allon? Możesz mnie zachęcić do zaareztowania cię i przeprowadzenia trochę bardziej szczegółowego przesłuchania w sprawie twoich działań.

Gabriel nic nie odpowiedział.

Kruz zgniótł papierosa.

- Pakuj manatki, Allon. Nie chcesz się spóźnić na samolot.

## Część druga

*Galeria nazwisk*

Światła lotniska Ben Guriona znaczyły równinę nadmorską. Gabriel przycisnął twarz do okna i patrzył, jak pas startowy wznosi się powoli na spotkanie samolotu. Mokry od deszczu asfalt błyszczał w ciemności niczym szkło. Gdy samolot się zatrzymał, Gabriel dostrzegł u stóp schodów schowanego pod parasolem mężczyznę z bulwaru Króla Saula. Postarał się wysiąść z samolotu jako ostatni.

Weszli do hali przylotów przez specjalne drzwi, przeznaczone dla wyższych urzędników państwowych i przybywających z wizytą zagranicznych dygnitarzy. Mężczyzna z dowództwa był nowoczesnym i przedsiębiorczym podwładnym Lwa, przekonany, że najważniejsze są posiedzenia rady, a agenci terenowi to tylko tępe narzędzia, którymi muszą sterować istoty wyższe. Gabriel szedł krok przed nim.

- Szef chce cię zobaczyć.

- Wierzę, ale nie spałem od dwóch dni. Jestem zmęczony.

- Szefa nie obchodzi twoje zmęczenie. Co ty sobie u diabła wyobrażasz, Allon?

Gabriel nie lubił, gdy używano jego prawdziwego nazwiska, nawet w miejscu tak bezpiecznym jak lotnisko Ben Guriona. Odwrócił się gwałtownie. Człowiek z dowództwa uniósł dłonie w geście rezygnacji. Gabriel obrócił się i szedł dalej. Mężczyzna zachował się rozsądnie i nie ruszył za nim. Na zewnątrz lał deszcz, bębniąc o chodnik. Bez wątpienia sprawka Lwa. Gabriel schował się pod dachem postoju dla taksówek i zaczął się zastanawiać, gdzie się podziać. W Izraelu nie miał stałego miejsca zamieszkania - biuro było jego jedynym domem. Zwykle zatrzymywał się w jakimś lokalu konspiracyjnym albo w willi Szamrona w Twerii.

Na niewielkie rondo wjechał czarny peugeot. Wisiał nisko na wzmocnionym podwoziu na skutek ciężaru pancerza. Zatrzymał się przed Gabrielem, opuściła się tylna kuloodporna szyba. Gabriel poczuł znajomy gorzki zapach tureckich papierosów. Następnie zobaczył pokrytą plamami wątrobowymi żylastą rękę, sygnalizującą mu gestem, żeby nie stał na deszczu, tylko wsiadał.



Samochód dał susa do przodu, nim Gabriel zdążył zamknąć drzwi. Szamron nie należał do ludzi zatrzymujących się w jednym miejscu. Ze względu na Gabriela zgniótł papierosa i na parę sekund opuścił szyby, żeby trochę wywietrzyć. Gdy okna zamknęły się z powrotem, Gabriel opowiedział Szamronowi o wrogim przyjęciu ze strony Lwa. Rozmowę zaczął po angielsku, ale po chwili przypomniał sobie, gdzie jest, i przeszedł na hebrajski.

- Zdaje się, że chce zamienić ze mną słowo.

- Wiem - odparł Szamron. - Ze mną też chce się spotkać.

- Jak się dowiedział o Wiedniu?

- Wygląda na to, że po deportowaniu cię Manfred Kruz raczył zadzwonić do ambasady i, krótko mówiąc, Lwa trafił szlag. Słyszałem, że naprawdę nie był zbyt uprzejmy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych się wściekło, a ostatnie piętro bulwaru Króla Saula łaknie mojej krwi. Twojej zresztą też.

- Co mi mogą zrobić?

- Nic, i właśnie dlatego jesteś dla mnie idealnym współnikiem - oraz oczywiście ze względu na swoje umiejętności.

Samochód wyjechał pędem z lotniska i skręcił na autostradę. Gabriel zdziwił się, że jadą w stronę Jerozolimy, ale był tak zmęczony, że nic go to nie obchodziło. Po chwili zaczęli wspinać się w Góry Judejskie. Wkrótce samochód wypełnił zapach eukaliptusów i mokrych sosen. Gabriel wyjrzał przez okno i próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był w tym kraju. Po zabiciu Tarika al-Huraniego. Spędził miesiąc w lokalu konspiracyjnym zaraz za murami Starego Miasta, lecząc ranę postrzałową klatki piersiowej. Zdarzyło się to ponad trzy lata temu. Zdał sobie sprawę, że jego więzi z Izraelem się rozluźniały. Zastanawiał się, czy podobnie jak Francesco Tiepolo umrze w Wenecji i będzie musiał ścierpieć upokorzenie pogrzebu na stałym lądzie.

- Coś mi mówi, że Lew i ministerstwo będą w odrobinę lepszym humorze, gdy dowiedzą się, co jest w środku. - Szamron podniósł kopertę. - Wygląda na to, że popisałeś się podczas swojego krótkiego pobytu w Wiedniu. Kim jest Ludwig Vogel?

Gabriel z głową opartą o szybę opowiedział wszystko Szamronowi, zaczynając od spotkania z Maksem Kleinem, a kończąc na gwałtownej konfrontacji z Manfredem Kruzem w pokoju hotelowym. Szamron wkrótce znowu palił i chociaż Gabriel w mroku nie widział dokładnie jego twarzy, był pewien, że Stary się uśmiecha. Umberto Conti może i wyposażył Gabriela w umiejętności niezbędne do zostania wybitnym konserwatorem, ale to Szamron odpowiadał za jego bezbłędną pamięć.

- Nic dziwnego, że Kruz tak bardzo chciał się ciebie pozbyć z Austrii - stwierdził. -

Islamskie Komórki Bojowe? - Zaśmiał się szyderczo. - Jakież to wygodne. Rząd akceptuje przyznanie się i wmiata sprawę pod dywan jako islamski akt terroru na austriackiej ziemi. W ten sposób wszystkie tropy trzymają się z dala od Austriaków, w tym Vogla i Metzlera - zwłaszcza tak blisko wyborów.

- A co z dokumentami ze Staatsarchiv? Według nich Ludwig Vogel jest czysty jak łąza.

- To dlaczego podłożył bombę w biurze Eliego i zamordował Maksa Kleina?

- Nie wiemy, czy zrobił jedno albo drugie.

- Racja, ale zgodnie z tym, co wiemy, taka możliwość zachodzi. Może i nie uda się nam nic udowodnić, ale taka historia z pewnością świetnie sprzeda się w gazetach.

- Proponujesz przeciek?

- Czemu nie mielibyśmy przypiec pięt Voglowi i poczekać?

- Kiepski pomysł - skrzywił się Gabriel. - Pamiętasz sprawę Waldheima i rewelacje na temat jego nazistowskiej przeszłości? Zignorowano je jako zagraniczną propagandę i mieszanie się w sprawy wewnętrzne Austrii. Zwykli Austriacy stanęli po jego stronie, tak jak i rząd. Afera wzmogła też antysemityzm w kraju. Przeciek, Ari, to bardzo zły pomysł.

- Więc co powinniśmy według ciebie zrobić?

- Według Maksa Kleina Ludwig Vogel to esesman, który w Auschwitz dopuszczał się okrucieństw. Zgodnie z dokumentami ze Staatsarchiv Ludwig Vogel był na to za młody i służył w Wehrmachcie, a nie w SS. Ale teoretycznie przyjmijmy, że Max Klein miał rację.

- To znaczy, że Ludwig Vogel nie jest tym, za kogo się podaje.

- Właśnie - powiedział Gabriel. - Dowiedzmy się w takim razie, kim jest naprawdę.

- Jak chcesz to zrobić?

- Nie jestem pewien - odparł - ale to, co jest w tej kopercie, może zawierać wartościowe wskazówki. O ile trafi w dobre ręce.

Szamron skinął głową w zadumie.

- W Yad Vashem pracuje ktoś, kogo powinieneś poznać. Może on potrafi ci pomóc. Jutro z samego rana umówię cię na spotkanie.

- Jeszcze jedno, Ari. Musimy zabrać Eliego z Wiednia.

- Jakbyś czytał w moich myślach. - Szamron wyjął ze schowka telefon i nacisnął guzik szybkiego wybierania. - Mówi Szamron. Muszę porozmawiać z premierem.

\*

Stojąc na szczycie góry Herzl w zachodniej części Jerozolimy Instytut Yad Vashem jest oficjalnym izraelskim pomnikiem poświęconym pamięci sześciu milionów Żydów, którzy zginęli w Szoah. Jest też wiodącym centrum badań i dokumentacji Holocaustu. W bibliotece

stoi ponad sto tysięcy tomów, najpełniejszy na świecie zbiór literatury o tej tematyce. W archiwach przechowuje się pięćdziesiąt osiem milionów stron dokumentów, włączając w to tysiące świadectw spisanych, podyktowanych lub nagranych na wideo przez ocalałych z zagłady.

Mosze Riwlin oczekiwał Gabriela. Był pulchnym, brodatym naukowcem, mówił po hebrajsku z wyraźnym brooklyńskim akcentem. Jego specjalizacja nie obejmowała ofiar Szoah, ale sprawców - Niemców, którzy służyli nazistowskiej maszynie śmierci, i tysiące pomocników spoza Niemiec, chętnie i z entuzjazmem biorących udział w bezwzględnej eksterminacji europejskich Żydów. Wydział Dochodzeń Specjalnych amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości zatrudnił go jako konsultanta, opracowującego dokumentację dowodową przeciwko oskarżonym o zbrodnie wojenne nazistom i przeczesującego Izrael w poszukiwaniu świadków. Jeżeli nie penetrował właśnie archiwów Yad Vashem, można go było zwykle znaleźć wśród ocalałych, szukającego kogoś, kto przetrwał.

Riwlin poprowadził Gabriela do wnętrza budynku, do głównej czytelni. Była zaskakująco ciasna. Rozpościerające się na całą wysokość ściany okna z widokiem na Jerozolimę dawały dużo światła. Dwóch badaczy pochylało się nad książkami, a trzeci wpatrywał się w ekran czytnika mikrofilmów. Gdy Gabriel zaproponował jakieś bardziej odosobnione miejsce, Riwlin wskazał mały pokój obok, po czym zamknął grube szklane drzwi. Przedstawiona przez Gabriela wersja wydarzeń była mocno wysterylizowana, ale wystarczająco szczegółowa, by w tłumaczeniu nie przepadło nic istotnego. Pokazał Riwlinowi zebrane w Austrii materiały: teczkę ze Staatsarchiv, zdjęcie, zegarek i pierścień.

Zwrócił jego uwagę na wyrytą po wewnętrznej stronie obrączki inskrypcję. Riwlin przeczytał ją i podniósł gwałtownie wzrok.

- Zdumiewające - wyszeptał.

- Co to znaczy?

- Muszę zebrać trochę dokumentów z archiwów. - Riwlin wstał. - To chwilę zajmie.

- Jak długo?

Archiwista wzruszył ramionami.

- Godzinę, może krócej. Widział pan kiedyś nasze pomniki?

- Ostatni raz w szkole.

- Proszę się przejść. - Riwlin poklepał Gabriela po ramieniu. - Niech pan wróci za godzinę.

\*

Wzdłuż zacienionej sosnowej alejki Gabriel dotarł do kamiennego przejścia,

prowadzącego do ciemnego Pomnika Dzieci. Pięć świeczek, odbitych w nieskończoność przez lustra, tworzyło iluzję galaktyki. Głos z taśmy czytał imiona umarłych.

Wyszedł na zewnątrz i w jaskrawym słońcu skierował się do Izby Pamięci, gdzie przez chwilę stał bez ruchu przed wiecznym ogniem, drgającym wśród wrytych w czarnym bazalcie najbardziej haniebnych nazw, jakie zna historia: Treblinka, Sobibór, Majdanek, Bergen-Belsen, Chełmno, Auschwitz...

W Sali Nazwisk nie było płomieni ani posągów, jedynie niezliczone teczki, zawierające Strony Pamięci. W każdej z nich znajdowała się historia jednego męczennika: imię, miejsce i data urodzin, imiona rodziców, zawód, miejsce śmierci. Uprzejma kobieta, Szoszanna, przeszukała komputerową bazę danych i znalazła Strony Pamięci dziadków Gabriela, Viktora i Sary Franklów. Wydrukowała je i ze smutkiem w oczach podała Gabrielowi. Na dole obu stron widniało nazwisko osoby, która dała świadectwo: Irene Allon, jego matka.

Wniósł drobną opłatę za wydruki, po dwa szekle, i udał się do Galerii Sztuki Yad Vashem, miejsca, w którym znajdowało się najwięcej na świecie dzieł z okresu Holocaustu. Przechadzając się po salach, stwierdził, że niepodobna zgłębić ludzkiego ducha, potrafiącego w warunkach głodu, niewolnictwa i niewyobrażalnej brutalności stworzyć dzieło. Nagle jego własne prace wydały mu się banalne i zupełnie pozbawione znaczenia. „Co wiedzieli o życiu święci w kościelnym muzeum?”. Mario Delvecchio, arogancki, egoistyczny Mario Delvecchio, zdawał się osobą zupełnie nieważną.

W ostatnim pokoju znajdowała się wystawa prac dziecięcych. Szczególnie jeden z obrazów schwycił go za gardło, szkic węglem przedstawiający dziecko nieokreślonej płci, kulące się ze strachu przed potężną sylwetką oficera SS.

Spojrzał na zegarek. Godzina minęła. Wyszedł z muzeum sztuki i pospiesznie wrócił do archiwów, by usłyszeć, co znalazł Mosze Riwlin.

\*

Riwlin przemierzał nerwowo plac wyłożony piaskowcem przed wejściem do budynku archiwum. Złapał Gabriela za ramię i poprowadził do niewielkiego pokoju, w którym spotkali się godzinę wcześniej. Czekwały na nich dwie grube teczki. Riwlin otworzył pierwszą i wręczył Gabrielowi zdjęcie: Ludwig Vogel w mundurze Sturmabführera SS.

- To Radek - wyszeptał Riwlin, nie mogąc ukryć podniecenia.
- Myślę, że udało się panu znaleźć Ericha Radka!

Herr Konrad Becker z firmy Becker & Puhl, Talstrasse 26, Zurych, przybył do Wiednia tego samego ranka. Przeszedł szybko przez kontrolę paszportową i dostał się do hali przylotów, gdzie odnalazł umundurowanego kierowcę trzymającego tekturową tabliczkę z napisem Herr Bauer. Klient nalegał na szczególną dyskrecję. Becker go nie lubił, nie miał też złudzeń co do źródła zgromadzonych na koncie środków, ale na tym polegał świat prywatnych banków szwajcarskich, a Herr Konrad Becker był wiernym wyznawcą jego zasad. Gdyby kapitalizm był religią, Becker zostałby przywódcą sekty ekstremistów. Nabrał on przeświadczenia, że każdy człowiek posiada boskie prawo do nieskrępowanego przez rząd zarabiania pieniędzy oraz do ukrywania ich w dowolnym miejscu i jak tylko sobie zażyczy. Uchylenie się od płacenia podatków nie było jego zdaniem możliwością, ale moralnym obowiązkiem. W dyskretnym świecie zuryjskich banków Konrad Becker znany był z bezwzględnej dyskrecji. Z tego powodu to właśnie jemu powierzono pieczę nad tym kontem.

Po dwudziestu minutach samochód stanął przed zbudowanym z szarego kamienia domem w Pierwszej Dzielnicy. Zgodnie z poleceniem Beckera kierowca zatrafił dwa razy i po krótkiej chwili otworzyła się metalowa brama. Gdy wjechali na podjazd, z domu wyłonił się człowiek i po kilku stopniach zszedł na dół. Dobiał pięćdziesiątki, zbudowany był i poruszał się jak zawodowy narciarz. Nazywał się Klaus Haider.

Haider otworzył Beckerowi drzwi samochodu, a następnie wszedł wraz z nim do holu wejściowego. Jak zwykle poprosił bankiera o otwarcie walizki do kontroli. Później przyszła kolej na dość upokarzającą pozycję, jak ze szkicu Leonarda. Becker stał z rozłożonymi rękami i rozstawionymi nogami, czekając na koniec szczegółowego badania magnetometrem.

Wreszcie poprowadzono go do salonu, eleganckiego wiedeńskiego pokoju o intensywnie żółtych ścianach, z gzymsem koloru gęstej śmietany pod sufitem. Barokowe meble były obite bogato zdobionym brokatem. Każdy mebel, każda lampa i każdy bibelot zdawały się współgrać z resztą otaczających je przedmiotów i całym pokojem. Najwidoczniej pomieszczenie należało do człowieka mającego tyle samo gustu, co pieniędzy.

Klient, Herr Vogel, siedział pod portretem namalowanym, zdaniem Herr Beckera, przez Lucasa Cranacha Starszego. Mężczyzna wstał powoli i wyciągnął dłoń. Nie pasowali do siebie: Vogel był wysoki, miał germańskie rysy, siwe włosy i niebieskie oczy; Beckera, niskiego, łysiego, charakteryzowała pewność siebie kosmopolity, wynikająca ze zróżnicowanego charakteru jego klientów. Vogel puścił dłoń bankiera i wskazał mu puste krzesło. Becker usiadł i wyjął z walizki oprawioną w skórę księgę rachunkową. Klient skinął głową z powagą. Nigdy nie wdawał się w pogawędki.

- Na dzień dzisiejszy - powiedział Becker - wartość zgromadzonych na koncie środków wynosi dwa i pół miliarda dolarów. Z tego mniej więcej miliard w gotówce, równo podzielonej na dolary i euro. Reszta spoczywa w inwestycjach - standardowo, w papierach wartościowych, obligacjach i znacznej liczbie nieruchomości. W ramach przygotowań do zamknięcia i rozdysonowania konta rozpoczęliśmy proces sprzedaży nieruchomości. Ze względu na stan światowej gospodarki zabiera to trochę więcej czasu, niż planowaliśmy.

- Kiedy ten proces się zakończy?

- Staramy się, aby był to koniec miesiąca. Nawet jeśli nam się nie uda, rozdysonowywanie pieniędzy rozpoczniemy bezpośrednio po otrzymaniu listu z gabinetu kanclerza. Instrukcje ujmują ten punkt bardzo precyzyjnie. List musi zostać dostarczony osobiście do mojego biura w Zurychu nie później niż tydzień po zaprzysiężeniu kanclerza. Musi być na papierze firmowym gabinetu kanclerza i przez kanclerza podpisany.

- Mogę pana zapewnić, że list kanclerski zostanie wysłany.

- W oczekiwaniu na zwycięstwo Herr Metzlera podjąłem trudne zadanie polegające na znalezieniu wszystkich, którym należą się pieniądze. Jak pan wie, są rozproszeni po Europie, Bliskim Wschodzie, Ameryce Południowej i Stanach Zjednoczonych. Skontaktowałem się również z kierownikiem watykańskiego Instytutu Dziej Religijnych. Jak może się pan spodziewać, był bardzo zadowolony z mojego telefonu, szczególnie biorąc pod uwagę stan finansowy Stolicy Apostolskiej.

- I dlaczego by nie? Ćwierć miliarda dolarów to bardzo znacząca suma.

Bankier posłał mu czujny uśmiech.

- Tak, chociaż nawet Ojciec Święty nie zna prawdziwego źródła pieniędzy. Watykan wie tylko, że pochodzą od bogatego dawcy, który woli pozostać anonimowy.

- Zostaje jeszcze pański udział.

- Udział b a n k u wynosi sto milionów dolarów, ma zostać wypłacony po rozdystrybuowaniu wszystkich środków.

- Sto milionów dolarów, plus zebrane przez te wszystkie lata prowizje od

przeprowadzanych transakcji i procent od rocznych przychodów. Dzięki temu kontu stał się pan bardzo bogatym człowiekiem.

- Pańscy towarzysze byli bardzo hojni względem tych, którzy wsparli ich wysiłki. - Bankier zamknął z głuchym odgłosem księgę rachunkową. Złożył ręce i nim zaczął dalej mówić, przyglądał im się przez moment w zadumie. - Ale obawiam się, że wystąpiły pewne... komplikacje.

- Jakie komplikacje?

- Wygląda na to, że wiele osób, które miały otrzymać pieniądze, pożegnało się z życiem w tajemniczych okolicznościach. Ostatni zginął Syryjczyk. Zamordowano go w klubie dla dżentelmenów w Stambule, w objęciach rosyjskiej prostytutki. Dziewczynę także zabito. Straszny widok.

Vogel pokręcił smutno głową.

- Lepiej by było dla Syryjczyków, gdyby unikali takich miejsc.

- Oczywiście jako właścicielowi konta i hasła, panu przypadną wszystkie niemożliwe do rozdysponowania fundusze. Takie warunki przedstawia instrukcja.

- Naprawdę jestem szczęściarzem.

- Miejmy nadzieję, że Ojcu Świętemu nie przytrafi się podobny wypadek. - Bankier zdjął okulary i przyjrzał się szkłom, szukając śladów zanieczyszczeń. - Muszę panu przypomnieć, że jestem jedyną osobą upoważnioną do dysponowania funduszami. W wypadku mojej śmierci pełnomocnictwo przechodzi na mojego partnera, Herr Puhla. Jeśli zginę nagle i w niewyjaśnionych okolicznościach, konto zostanie zamrożone do czasu, aż okoliczności zostaną wyjaśnione. Jeśli okaże się to niemożliwe, konto zostanie zamknięte na stałe. Wie pan, co się dzieje w Szwajcarii z zamkniętymi kontami.

- Po jakimś czasie przechodzą na własność banku.

- Tak jest w istocie. Oczywiście mógłby pan skierować sprawę do sądu, ale to wywołałoby wiele kłopotliwych pytań co do pochodzenia pieniędzy - pytań, których szwajcarskie banki, i rząd zresztą także, wolałyby nie zadawać publicznie. Może pan sobie wyobrazić, że podobne śledztwo nie jest na rękę żadnej z zainteresowanych stron.

- Dlatego proszę pana, żeby dla mojego spokoju uważał pan na siebie, Herr Becker. Pańskie zdrowie i bezpieczeństwo to dla mnie sprawa najwyższej wagi.

- Bardzo miło mi to słyszeć. Liczę na szybkie otrzymanie listu od kanclerza.

Bankier włożył księgę rachunkową do dyplomatki i zatrzasnął zamki.

- Bardzo mi przykro, ale mojej uwagi umknęła jeszcze jedna formalność. Żeby rozmawiać o koncie, musi mi pan podać jego numer. Czy mógłby pan uczynić zadość

regułom i teraz go wyrecytować, Herr Vogel?

- Tak, oczywiście. - Po czym z istic niemiecką precyzją powiedział: - Sześć, dwa, dziewięć, siedem, cztery, trzy, pięć.

- Hasło?

- Jeden, zero, zero, pięć.

- Dziękuję, Herr Vogel.

\*

Dziesięć minut później samochód zatrzymał się pod hotelem Ambasador.

- Proszę zaczekać - polecił Becker kierowcy. - Wrócę za parę minut.

Przeszedł przez hol wejściowy i wjechał windą na czwarte piętro. Wysoki Amerykanin w wymiętym swetrze i krawacie w paski wpuścił go do pokoju numer 417. Zaproponował Beckerowi drinka, ale bankier odmówił, następnie papierosa, ale bankier znowu odmówił. Becker nigdy nie palił. Pomyślał, że chyba czas zacząć.

Amerykanin wyciągnął rękę w stronę walizki. Becker podał mu ją. Amerykanin uniósł wieko i podważył fałszywe dno, odsłaniając malutki magnetofon. Wyjął kasetę i włożył do niewielkiego odtwarzacza. Nacisnął REW, a potem PLAY. Jakość nagrania była godna podziwu.

- Czy mógłby pan uczynić zadość regułom i teraz go wyrecytować, Herr Vogel?

- Tak, oczywiście. Sześć, dwa, dziewięć, siedem, cztery, trzy, pięć.

- Hasło? - Jeden, zero, zero, pięć.

- Dziękuję, Herr Vogel.

STOP

Amerykanin podniósł wzrok i uśmiechnął się. Bankier miał minę, jakby został przyłapany na zdradzaniu żony z jej najlepszą przyjaciółką.

- Dobrze się pan spisał, Herr Becker. Jesteśmy panu wdzięczni.

- Nawet nie umiem policzyć, ile przepisów szwajcarskiej bankowości właśnie pogwałciłem.

- Owszem, ale to i tak gówniane przepisy. Poza tym dostanie pan sto milionów dolarów. Oraz swój bank.

- Ale to przecież nie jest już mój bank, prawda? To teraz wasz bank.

Amerykanin odchylił się na krześle i założył ręce na piersi. Nie próbował zaprzeczyć. Obraziłby tylko Beckera.



Gabriel nie miał pojęcia, kim był Erich Radek. Riwlin mu powiedział.

Erich Wilhelm Radek urodził się w 1917 roku w miasteczku Alberndorf, czterdzieści parę kilometrów na północ od Wiednia. Był synem policjanta, uczęszczał do miejscowego gimnazjum, miał uzdolnienia matematyczne i fizyczne. Uzyskał stypendium na Uniwersytecie Wiedeńskim, gdzie studiował inżynierię i architekturę. Według akt Radek był utalentowanym studentem, miał dobre oceny. Działal w prawicowych organizacjach katolickich.

W 1937 roku złożył podanie o przyjęcie do partii nazistowskiej. Został jej członkiem i przydzielono mu numer 57984567. Przyłączył się również do Legionu Austriackiego, nielegalnej nazistowskiej organizacji paramilitarnej. W marcu 1938 roku, w okresie anshlusu, postanowił wstąpić do SS. Był niebieskookim blondynem o szczupłej, atletycznej budowie, więc po skrupulatnym zbadaniu jego pochodzenia Komisja do spraw Rasowych SS orzekła, że jest czystej rasy nordyckiej, w jego żyłach nie płynie żydowska ani żadna inna nieryjska krew, i w związku z tym może zostać przyjęty do elitarnego stowarzyszenia.

- Oto kopia dokumentów partyjnych Radka oraz kwestionariusza, który musiał wypełnić, wstępując do partii. Pochodzi z Berlińskiego Centrum Dokumentacji, największej skarbnicy dokumentów hitlerowskich na świecie. - Riwlin wyjął dwa zdjęcia, jedno en face, drugie z profilu. - To jego zdjęcia służbowe z SS. Przypomina naszego człowieka, nieprawdaż?

Gabriel przytaknął. Riwlin włożył fotografie z powrotem do teczki i dalej prowadził lekcję historii.

W listopadzie 1938 roku Radek porzucił studia i podjął pracę w Centralnym Biurze do spraw Emigracji Żydowskiej, organizacji nazistowskiej, która zajmowała się terroryzowaniem oraz dyskryminacją ekonomiczną austriackich Żydów w celu zmuszenia ich do „dobrowolnego” opuszczenia kraju. Radek wywarł dobre wrażenie na szefie biura - samym Adolfie Eichmannie. Gdy Radek wyraził życzenie, że chce przenieść się do Berlina, Eichmann zgodził się mu pomóc. W Wiedniu asystował Eichmannowi Alois Brunner, po wojnie oskarżony o wywiezienie i zamordowanie stu dwudziestu ośmiu tysięcy Żydów z

Grecji, Francji, Rumunii i Węgier. W maju 1939 roku, z rekomendacji Eichmanna, Radek został przeniesiony do Głównego Biura Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie, gdzie przydzielono go do Sicherheitsdienst, hitlerowskich służb bezpieczeństwa znanych jako SD. Wkrótce pracował pod bezpośrednimi rozkazami niesławnego szefa SD, Reinharda Heydricha.

W czerwcu 1941 roku Hitler wprowadził w życie plan „Barbarossa”, inwazję na Związek Radziecki. Erichowi Radkowi powierzono dowodzenie SD na obszarze znanym jako Reichskommissariat Ukraine, będącym dużą prowincją Ukrainy obejmującą regiony Wołynia, Żytomierza, Kijowa, Nikołajewa i Dniepropietrowska. Był odpowiedzialny między innymi za bezpieczeństwo w terenie i zwalczanie partyzantki. Utworzył także i kontrolował kolaborującą z hitlerowcami Ukraińską Policję Pomocniczą.

Podczas przygotowań do planu „Barbarossa” Hitler potajemnie nakazał Heinrichowi Himmlerowi zgładzić Żydów ze Związku Radzieckiego. Zaraz za maszerującym przez radzieckie tereny Wehrmachtem przemieszczały się cztery ruchome oddziały śmierci Einsatzgruppen. Żydów zatrzymywano i wywożono w odludne miejsca - zwykle do rowów przeciwczołgowych, opuszczonych kamieniołomów albo głębokich jarów - gdzie zabijano ich z karabinów maszynowych, po czym w pośpiechu grzebano w masowych grobach.

- Erich Radek dobrze wiedział o działaniach oddziałów Einsatzgruppen na ziemiach Reichskommissariatu - mówił Riwlin. - W końcu te tereny podlegały właśnie jemu. I nie był działającym zza biurka urzędnikiem-mordercą. Wszystkie źródła zgadzają się, że Radek naprawdę lubił patrzeć na mordowanych tysiącami Żydów. Ale najważniejszy wkład w Szoah wniósł dopiero później.

- Czyli?

- Odpowiedź ma pan w kieszeni. Wryto ją na pierścieniu, który zabrał pan z chaty w Górnej Austrii.

Gabriel wygrzebał z kieszeni pierścień i przeczytał znajdującą się na nim inskrypcję: „1005, gratulacje, Heinrich”.

- Sądzę, że Heinrich to nikt inny, jak sam Heinrich Müller, szef gestapo. Ale nas najbardziej interesują informacje zawarte w tych czterech cyfrach: jeden, zero, zero, pięć.

- Co one znaczą?

Riwlin otworzył drugą teczkę. Napis na niej głosił: Aktion 1005.

\*

To ciekawe, ale wszystko zaczęło się od sąsiedzkiej skargi.

Na początku 1942 roku wiosenna odwilż odkryła wiele masowych grobów nad Nerem

w dolinie Warty, na zachodzie Polski. Na powierzchnię rzeki wypłynęły tysiące ciał, zatruwając okolicę przeraźliwym smrodem. Mieszkający w okolicy Niemiec wysłał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie list, w którym skarżył się na zaistniałą sytuację. List wywołał alarm. W grobach spoczywały ciała tysięcy Żydów zamordowanych w ruchomych komorach gazowych, stacjonujących w tamtym czasie w obozie zagłady w Chełmnie. Ostatecznemu Rozwiązaniu, najpilniej strzeżonej tajemnicy hitlerowskich Niemiec, groziło ujawnienie z powodu topniejącego śniegu.

Pierwsze raporty o masowej zagładzie Żydów już zaczęły przedostawać się na zewnątrz dzięki radzieckim kanałom dyplomatycznym, przez które Rosjanie alarmowali aliantów o potwornościach, jakich dopuszczają się Niemcy na polskiej i rosyjskiej ziemi. Martin Luther, zajmujący się w imieniu niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych „sprawami Żydów”, wiedział, że odsłonięte pod Chełmniem groby przedstawiały duże zagrożenie dla zachowania Ostatecznego Rozwiązania w tajemnicy. Przesłał kopię niepodpisanego listu Heinrichowi Müllerowi z gestapo i zażądał podjęcia natychmiastowych działań.

Riwlin posiadał kopię odpowiedzi wysłanej Lutherowi przez Müllera. Położył ją na stole i wskazał Gabrielowi odpowiedni ustęp:

„Na podstawie przekazanego mi przez Pana 6 lutego 1942 r. wysłanego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych anonimowego listu, tycającego się ujawnienia sposobu rozwiązania kwestii żydowskiej w regionie Warthegau, podjąłem natychmiast odpowiednie działania. Rezultaty powinny być wkrótce widoczne. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - i nie da się tego uniknąć”.

Riwlin wskazał numery w lewym górnym rogu notatki: IV B4 43/42 gRs [1005].

- Adolf Eichmann z pewnością otrzymał kopię odpowiedzi Müllera na list Luthera. Widzi pan, podlegający Eichmannowi wydział Głównego Biura Bezpieczeństwa Rzeszy pojawia się w nagłówku. Liczby 43/42 to data - czterdziesty trzeci dzień tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, czyli dwudziesty ósmy lutego. Skrót gRs oznacza, że sprawa jest *geheime Reichssache* - ściśle tajną sprawą Rzeszy. A tu, w nawiasie na końcu, widnieją cztery cyfry, które w końcu zostały użyte jako kryptonim ściśle tajnej Aktion: jeden, zero, zero, pięć.

Riwlin włożył notatkę z powrotem do teczki.

- Niedługo po tym, jak Müller wysłał Martinowi Lutherowi ów list, Erich Radek został odwołany ze swojego stanowiska na Ukrainie i przeniesiony z powrotem do Głównego Biura Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Przydzielono go do wydziału Eichmanna, gdzie

przez pewien czas prowadził intensywne badania i opracowywał plany. Widzi pan, zatajenie największego w historii masowego mordu nie było łatwym przedsięwzięciem. W czerwcu wrócił na wschód, tym razem działając bezpośrednio z rozkazu Müllera, i wziął się do pracy.

Radek założył dowództwo swojego Sonderkommando 1005 w Łodzi, osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od obozu zagłady w Chełmnie. Dokładny adres, *geheime Reichssache*, znało jedynie kilka ważnych osób z SS. Cała korespondencja szła przez Berlin, przez wydział Eichmanna.

Radek uznał, że najefektywniejszym sposobem pozbywania się zwłok jest kremacja. Palenia próbowano wcześniej, głównie za pomocą miotaczy ognia, ale z niezadowalającym skutkiem. Radek wykorzystał swoje umiejętności inżynierskie i opracował metodę na spalenie naraz dwóch tysięcy ciał w wysokim, przewiewnym stosie. Grube drewniane belki długości od siedmiu do dziewięciu metrów nasączano benzyną i umieszczano na cementowych płytach. Na belkach kładziono zwłoki. Belki, zwłoki, belki, zwłoki, belki, zwłoki... U podstawy konstrukcji układano nasączoną benzyną podpałkę i podkładano ogień. Gdy się wypalił, zwęglone kości zgniatano przy użyciu ciężkiej maszynery i rozsypywano po okolicy.

Brudną robotę wykonywali żydowscy robotnicy. Radek podzielił Żydów na trzy oddziały - jeden otwierał groby, drugi przewoził ciała z grobów na stos, a trzeci przesiewał popioły w poszukiwaniu kości i kosztowności. Każdą operację kończyło wyrównywanie i obsiewanie terenu, żeby ukryć to, co zaszło. Następnie mordowano więźniów i pozbywano się zwłok. W ten sposób zachowano sekret Aktion 1005.

Po dokończeniu dzieła w Chełmnie Radek i jego Sonderkommando 1005 przenieśli się do Auschwitz, żeby opróżnić szybko wypełniające się groby. Pod koniec lata 1942 roku pojawiły się problemy z zanieczyszczeniami i zdrowiem w Bełżcu, Sobiborze i Treblince. Obozowe studnie, z których korzystali strażnicy oraz stacjonujące niedaleko jednostki Wehrmachtu, zostały skażone przez znajdujące się w okolicy masowe groby. W niektórych miejscach skrywająca je cienka warstwa ziemi rozstała się, wypuszczając trujące opary. W Treblince mordercy z SS oraz Ukraińcy nawet nie zadali sobie trudu pogrzebania wszystkich zwłok. W dniu, w którym Franz Stangl, komendant obozu, przybył na miejsce, Treblinkę wyczuwało się z trzydziestu kilometrów. Ciała leżały wzdłuż prowadzącej do obozu drogi, a pierwszą rzeczą, którą zastał na peronie, były sterty gnijących zwłok. Stangl skarżył się, że nie może zacząć pracy, póki ktoś tego nie posprząta. Radek rozkazał otworzyć groby i spalić ciała.

Wiosną 1943 roku postępy Armii Czerwonej zmusiły Radka do zostawienia obozów zagłady w Polsce i skoncentrowania się na miejscach mordów daleko na wschodzie, na

okupowanych terenach radzieckich. Wkrótce jednak wrócił na znaną sobie ukraińską ziemię. Wiedział, gdzie pochowano zwłoki, i to całkiem dokładnie, dwa lata wcześniej bowiem koordynował działania szwadronów śmierci Einsatzgruppen. Pod koniec lata Sonderkommando 1005 przeniosło się z Ukrainy na Białoruś, a we wrześniu operowało na terenie państw bałtyckich, Litwy i Łotwy, gdzie całkowicie zgładzono istniejące tam społeczności żydowskie.

Riwlin zamknął i odepchnął z obrzydzeniem teczkę.

- Nigdy się nie dowiemy, ilu zwłok pozbyli się Radek i jego ludzie. Zbrodnia była zbyt wielka, żeby dało się ją zupełnie zataić, ale Aktion 1005 z powodzeniem usunęła wiele dowodów i sprawiła, że precyzyjne ustalenie liczby zabitych stało się praktycznie niemożliwe. Działania Radka były tak skrupulatne, że badające Szoah polskie i radzieckie komisje często nie znajdowały w ogóle żadnych śladów. W Babim Jarze Radek oczyścił teren tak dokładnie, że po wojnie Sowieci zamienili to miejsce w park. A teraz, niestety, brak szczątków ludzkich inspirowane różne nawiedzone frakcje, które twierdzą, że Holocaust nie miał miejsca. Działania Radka gnębią nas do dziś.

Gabriel pomyślał o Stronach Pamięci w Sali Nazwisk - jedynych nagrobkach dla milionów ofiar.

- Max Klein przysięgał, że widział Ludwiga Vogla w Auschwitz latem lub wczesną jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku - powiedział Gabriel. - Zgodnie z tym, co pan mówi, jest to zupełnie możliwe.

- Owszem, zakładając rzecz jasna, że Ludwig Vogel i Radek to jedna i ta sama osoba. Sonderkommando 1005 Radka na pewno działało w Auschwitz w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Ustalenie, czy danego dnia Radek był tam, czy też nie, jest prawdopodobnie niemożliwe.

- Co wiemy o losach Radka po wojnie?

- Raczej niewiele. Próbował uciec z Berlina w przebraniu kaprała Wehrmachtu. Aresztowano go, podejrzewając, że był esesmanem, i internowano w obozie jenieckim w Mannheim. Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku uciekł. Od tego czasu jego losy są nieznane. Przypuszczalnie widziano go tam gdzie i innych hitlerowców - w Syrii, Egipcie, Argentynie i Paragwaju - ale nie mamy nic pewnego. Łowcy nazistów polowali na grube ryby, takie jak Eichmann, Bormann, Mengele czy Müller. Radkowi udało się pozostać poza zasięgiem radaru. Tajemnice Aktion 1005 były tak dobrze strzeżone, że podczas procesów norymberskich tej sprawy praktycznie nie poruszono. Tak naprawdę nikt nic nie wiedział.

- Kto dowodził obozem w Mannheim?

- Amerykanie.

- Czy wiemy, jakim sposobem Radek zdołał uciec z Europy?

- Nie, ale sądzę, że ktoś mu pomógł.

- ODESSA?

- ODESSA albo jakaś inna tajna organizacja wspierająca nazistów - Riwlin zawahał się, po czym dodał: - Albo bardzo aktywna, stara instytucja ze stolicą w Rzymie. Instytucja, która po wojnie zorganizowała jedną z najskuteczniejszych tras ewakuacyjnych.

- Watykan?

Riwlin przytaknął.

- ODESSA nie dorastała Watykanowi do pięt w finansowaniu i planowaniu ucieczek z Europy. A ponieważ Radek był Austriakiem, prawie na pewno pomagał mu biskup Hudal.

- Kto to?

- Alois Hudal, z urodzenia Austriak, antysemita i zagorzały nazista. Wykorzystując fakt, że był dziekanem Pontificio Santa Maria dell'Anima, niemieckiego seminarium w Rzymie, pomógł setkom oficerów SS uciec przed sprawiedliwością - włączając w to Franza Stangla, komendanta Treblinki.

- Jak im pomagał?

- Na przystawkę dostawali paszport Czerwonego Krzyża na nowe nazwisko oraz wizę wjazdową do jakiegoś dalekiego kraju. Dawał im też trochę kieszonkowego oraz płacił za przejazd.

- Prowadził rejestr?

- Prawdopodobnie tak, ale jego dokumenty trzymane są pod kluczem w budynku Animy.

- Potrzebuję wszystkich danych, które pan ma na temat biskupa Hudala.

- Zrobię dla pana teczkę.

Gabriel podniósł zdjęcie Radka i przyjrzał mu się uważnie. W twarzy było coś znajomego, coś, co nie dawało mu spokoju przez całą opowieść Riwlina. Nagle przypomniał sobie widziane tego ranka w Galerii Sztuki szkice węglem, dziecko kulące się przed potworem z SS. Wiedział już, skąd znał twarz Radka.

Wstał gwałtownie, przewracając krzesło.

- Co się stało? - spytał Riwlin.

- Znam tego człowieka - powiedział Gabriel, wpatrując się w zdjęcie.

- Skąd?

Gabriel zignorował pytanie.

- Muszę pożyczyć tę fotografię. - Nie czekając na odpowiedź Riwlina, wyślizgnął się z pokoju i zniknął.

Kiedyś wybrałby szybszą trasę, przez Ramallah, Nablus i Dżenin. Teraz jednak ktoś nawet tak wyszkolony w sztuce przetrwania jak Gabriel wiele by ryzykował, poruszając się tamtędy bez opancerzonego samochodu i uzbrojonej eskorty. Pojechał więc naokoło, zjeżdżając z Gór Judejskich na niziny, w stronę Tel Awiwu, po czym kierując się wzdłuż równiny nadmorskiej na północ do Hadery, a stamtąd na północny wschód, przez masyw góry Karmel, do Tell el-Mutesellim, kiedyś El Megiddo: Armagedonu.

Rozstąpiła się przed nim dolina. Rozciągała się od stóp wzgórz Samarii na południu do wybrzeża Jeziora Tyberiadzkiego na północy. Pokryta była zielono-brązowymi łąkami pól, sadów i zasadzonych przez pierwszych osadników izraelskich w Palestynie lasów. Pojechał w stronę Nazaretu, a następnie na wschód, do małego miasteczka Ramat-Dawid na skraju lasu Balfour.

Znalezienie adresu zajęło mu trochę czasu. Parterowy dom Allonów został zburzony i zastąpiony kalifornijskim budynkiem z piaskowca z anteną satelitarną na dachu. Na podjeździe stała furgonetka amerykańskiej produkcji. W pewnym momencie z drzwi wyszedł żołnierz i szybkim krokiem przemierzył trawnik. Gabriel nagle przypomniał sobie swojego ojca. Wychodził pewnego ciepłego czerwcowego wieczoru z tego samego domu i nie zdawał sobie sprawy, że Gabriel widzi go po raz ostatni żywego. Spojrzał na sąsiedni dom, mieszkanie Ciony. Po rozrzuconych na trawniku zabawkach zorientował się, że Ciona - niezamężna i bezdzietna - już tam nie mieszka. Ale Izrael to tylko jedna wielka kłótniwa rodzina i Gabriel nie wątpił, że nowi lokatorzy będą w stanie przynajmniej wskazać mu właściwy kierunek.

Zadzwoił do drzwi. Okrągłutka młoda kobieta mówiąca po hebrajsku z rosyjskim akcentem nie zawiodła go. Ciona mieszkała w Safed. Rosjanka miała jej adres.

\*

Żydzi mieszkali w centrum Safed od czasów starożytnych. Wielu osiedliło się tu za zgodą imperium osmańskiego po 1492 roku, kiedy to zostali wygnani z Hiszpanii. Miasto rozkwitło jako centrum żydowskiego mistycyzmu, nauki i sztuki. Podczas wojny o



niepodległość otoczone Safed o mało nie wpadło w ręce arabskich wojsk, ale jego załogę wzmocnił pluton żołnierzy z Palmach, którzy wkradli się do miasta po brawurowej nocnej przeprawie z garnizonu na górze Kanaan. Dowódca oddziału wynegocjował u potężnych rabinów z Safed zgodę na pracę nad wzmocnieniem fortyfikacji podczas święta Paschy. Nazywał się Ari Szamron.

Ciona mieszkała w dzielnicy artystów. Do mieszkania wchodziło się po wykładanych kamieniami schodach. Potężna kobieta miała na sobie biały kaftan, siwe włosy były rozczochrane, a gdy zarzuciła Gabrielowi ramiona na szyję, liczne bransoletki brzęczały i dzwoniły. Wciągnęła go do środka, do pokoju będącego jednocześnie salonem i warsztatem garncarskim, i posadziła na kamiennym tarasie, by podziwiać zachód słońca nad Galileą. Powietrze pachniało palonym olejkami lawendowym.

Pojawił się talerz chleba z humusem oraz oliwki i wino gdańskie. Gabriel od razu się rozluźnił. Ciona Lewin zastępowała mu rodzeństwo. Opiekowała się nim, gdy jego matka pracowała albo była w depresji zbyt głębokiej, by wstać z łóżka. Czasem wymykał się nocą przez okno i wkradł do łóżka Ciony. Tuliła go i ścisnęła w sposób, na który nie potrafiła się zdobyć matka. Gdy ojciec zginął na wojnie, to Ciona ocierała Gabrielowi łzy.

Z pobliskiej synagogi dobiegł do nich rytmiczny, hipnotyzujący odgłos maariw - wieczornych modłów. Ciona dołała do lampy olejku lawendowego. Opowiadała o *matsaw*: sytuacji. O walkach na terytoriach okupowanych i o terrorze w Tel Awiwie i Jerozolimie. O przyjaciółach zabitych przez szachidów i przyjaciółach, którzy przestali szukać pracy w Izraelu i wyjechali do Ameryki.

Gabriel pił wino i obserwował, jak ognista kula słońca zanurza się w Jeziorze Tyberiadzkim. Słuchał Ciony, ale myślał o matce. Od jej śmierci minęło prawie dwadzieścia lat i wspominał ją coraz rzadziej. Jej twarz z młodości zatarła się w jego pamięci, była spękana i wyblakła niczym stare płótno wystawione na działanie niszczących czynników. Potrafił przywołać tylko wyraz jej twarzy po śmierci. Po torturach, na jakie skazał ją rak, jej wychudłe rysy tchnęły takim spokojem, jakby pozowała do portretu. Wydawało się, że z radością powitała śmierć. Uwolniła się wreszcie od męczarni pamięci.

Czy go kochała? Tak, teraz myślał, że tak, ale otoczyła się niemożliwymi do sforsowania murami warownymi. Łatwo wpadała w melancholię, jej nastrój często ulegał gwałtownym zmianom. W nocy źle spała. Nie potrafiła okazać radości podczas świąt i nie znajdowała przyjemności w wykwintnych posiłkach i napojach. Na lewym ramieniu zawsze nosiła opaskę, zasłaniającą wytatuowane na jej skórze wyblakłe cyfry. Mówiła o nich, że są znakiem żydowskiej słabości, emblematem jej żydowskiej hańby.

Żeby się do niej zbliżyć, Gabriel zaczął malować, co wkrótce znienawidziła jako nieuzasadnione naruszenie jej świata; później, gdy jego umiejętności dojrzały i zaczął jej dorównywać, pozazdrościła mu talentu. Gabriel sprawił, że wzniosła się na wyżyny sztuki. Jej tak bardzo widoczny ból znalazł odzwierciedlenie w pracach. W Gabrielu przelewane z pamięci na płótno obrazy rodem z koszmaru wzbudziły obsesję. Zaczął szukać źródeł tych dzieł.

W szkole dowiedział się o Birkenau. Zapytał matkę o opaskę na ramieniu, o bluzy z długimi rękawami noszone nawet w gorącej jak piec dolinie Ezdrelon. Zapytał, co się z nią działo podczas wojny, co się stało z jego dziadkami. Z początku odmówiła odpowiedzi, ale z czasem, pod ciągłym naporem pytań, ustąpiła. Jej opowiadanie okazało się krótkie i powierzchowne; młody Gabriel wyczuł w nim próbę uników i więcej niż cień winy. Tak, była w Birkenau. Jej rodzice zostali zamordowani w dniu, w którym przybyli. Pracowała. Przetrwiała. To wszystko. Łaknąc więcej szczegółów na temat doświadczeń matki, obmyślał najprzeróżniejsze scenariusze mogące wyjaśnić jej przetrwanie. On także zaczął czuć wstyd i winę. Jej dolegliwość przeszła na następne pokolenie niczym choroba dziedziczna.

Nigdy więcej o tym nie rozmawiali. Tak, jakby zatrzęsnięto stalowe drzwi, jakby Holocaustu nigdy nie było. Zapadła w długotrwałą depresję, która na wiele dni przykuła ją do łóżka. Gdy w końcu wstała, ukryła się w swojej pracowni i zaczęła malować. Pracowała bez przerwy, dzień i noc. Któregoś razu Gabriel zajrzał przez wpółotwarte drzwi i zobaczył, jak z poplamionymi farbą rękami leży rozciągnięta na podłodze przed obrazem, trzęsąc się ze strachu. To płótno było powodem, dla którego przyjechał spotkać się w Safed z Cioną.

Słońce zaszło. Na tarasie zrobiło się zimno. Ciona owinęła się szalem i spytała Gabriela, czy zamierzał kiedykolwiek wrócić do domu. Gabriel wymamrotał coś o pracy, zupełnie jak przyjaciele Ciony, którzy wyjechali do Ameryki.

- Dla kogo pracujesz ostatnimi czasy?

Nie podjął rzuconej mu rękawicy.

- Odnawiam obrazy dawnych mistrzów. Muszę być tam, gdzie są obrazy. W Wenecji.

- W Wenecji - powiedziała drwiąco. - Wenecja to muzeum. - Kieliszkiem wskazała na jezioro: - To jest prawdziwe życie. To jest sztuka. Powinieneś poświęcać cały czas i energię swoim własnym pracom.

- Nie ma czegoś takiego jak moje własne prace. Natchnienie już dawno mnie opuściło. Jestem jednym z najlepszych konserwatorów sztuki na świecie. To mi wystarczy.

Ciona uniosła ręce. Jej bransoletki zadzwięczały jak dzwonki na wietrze.

- To nieprawda. Nie jesteś prawdziwym sobą. Jesteś artystą, Gabrielu. Przyjedź do

Safed i odnajdź natchnienie. Odnajdź siebie.

Jej namowy sprawiały, że czuł się nieswojo. Mógł jej powiedzieć, że w grę wchodzi kobieta, ale to poruszyłoby zupełnie nowy temat, którego Gabriel wolał nie tykać. Pozwolił, by zapadła cisza, w której słychać było jedynie kojący dźwięk maariw.

- Po co przyjechałeś do Safed? - spytała w końcu. - Wiem, że nie jechałeś taki kawał drogi tylko po to, żeby posłuchać wykładu dody Ciony.

Spytał, czy wciąż ma obrazy i szkice jego matki.

- Oczywiście, Gabrielu. Trzymałam je przez wszystkie lata po to, żebyś mógł przyjechać i je wziąć.

- Jeszcze nie czas. Po prostu muszę im się przyjrzeć.

Zbliżyła świecę do jego twarzy.

- Coś przede mną ukrywasz, Gabrielu. Jestem jedyną osobą na świecie, która umie poznać, kiedy ukrywasz jakiś sekret. Zawsze tak było, zwłaszcza gdy byłeś małym chłopcem.

Gabriel nalał sobie drugi kieliszek wina i opowiedział Cionie o Wiedniu.

\*

Otworzyła drzwi komórki i szarpnięciem za sznurek zapaliła lampę pod sufitem. Od podłogi po sufit magazynek zajmowały płótna i szkice. Gabriel zaczął przeglądać prace. Zapomniał, jak utalentowana była jego matka. Widział wpływy Beckmanna, Picassa, Egona Schielego i oczywiście jej ojca, Viktora Frankla. Dostrzegł nawet wariacje na tematy, które badał we własnych pracach w tamtym czasie. Matka je rozwinęła, a w niektórych przypadkach zupełnie zniszczyła. Jej talent zapierał dech w piersiach.

Ciona odepchnęła go i wyjęła stos płócien oraz dwie duże koperty ze szkicami. Gabriel przykucnął na kamiennej podłodze i oglądał, podczas gdy Ciona patrzyła mu przez ramię.

Obrazy przedstawiały obóz. Poupychane na leżankach dzieci. Ślęczące nad maszynami w fabrykach kobiety. Czekające na spalenie jak sęgi drewna stosy zwłok. Zbita w gromadkę rodzina, otaczana przez gaz.

Ostatnie płótno przedstawiało samotną postać, ubranego od stóp do głów na czarno esesmana. Ten obraz zobaczył wtedy w warsztacie swojej matki. Podczas gdy pozostałe prace były mroczne i abstrakcyjne, w tej jednej postawiła na realizm i jasność. Gabriel z podziwem obserwował jej doskonałą kreskę i wspaniałe pociągnięcia pędzla. Jego wzrok spoczął w końcu na twarzy namalowanego człowieka. To była twarz Ericha Radka.

\*

Ciona posłała Gabrielowi kanapę w salonie i opowiedziała mu midrasz o

potłuczonych naczyniach.

- Nim Bóg stworzył świat, był tylko Bóg. Gdy Bóg postanowił stworzyć świat, musiał się odsunąć, żeby zrobić miejsce na nowy świat. Właśnie tam powstał wszechświat. Ale w tej przestrzeni nie było Boga. Bóg stworzył Boskie Iskry, światło, które miało wypełnić Jego dzieło. Gdy Bóg je stworzył i umieścił wewnątrz Stworzenia, przygotowane zostały naczynia, by zamknąć w nich światło. Ale zdarzył się wypadek. Wypadek na skalę kosmiczną. Pojemniki pękły. Wszechświat wypełnił się iskrami Bożego światła i skorupami potłuczonych naczyń.

- To piękna historia - stwierdził Gabriel, pomagając Cionie wcisnąć rogi prześcieradła pod poduszki kanapy - ale jaki ma związek z moją matką?

- Midrasz uczy nas, że póki iskry bożego światła nie zostaną zebrane razem, Stworzenie nie będzie pełne. Dla Żydów to święty obowiązek. Nazywamy go *Tikkun Olam* - Naprawą Świata.

- Umiem naprawić wiele rzeczy, ale obawiam się, że świat to zbyt wielkie płótno i że jest zbyt zniszczony.

- Zaczynij od drobiazgów.

- Jak?

- Pozbieraj iskry swojej matki, Gabrielu. I ukarż człowieka, który stłukł jej naczynie.

\*

Następnego ranka Gabriel wyślizgnął się z mieszkania, nie budząc Ciony. W bladym, szarym świetle poranka zszedł po cichu po kamiennych schodach, trzymając pod pachą portret Radka. Spieszący na poranne modły ortodoksyjny żyd pomyślał, że widzi szaleńca, i pogroził mu pięścią. Gabriel włożył płótno do bagażnika samochodu i opuścił Safed. Krwistoczerwone słońce weszło nad górami. Poniżej, na dnie doliny, Jezioro Tyberiadzkie zamieniło się w ogień.

Zatrzymał się na śniadanie w Afuli i nagrał na pocztę głosową Moszego Riwlina informację, że wraca do Yad Vashem. Przyjechał późnym rankiem. Riwlin czekał na niego. Gabriel pokazał mu obraz.

- Kto go namalował?

- Moja matka.

- Jak się nazywała?

- Irene Allon, ale jej niemieckie nazwisko brzmiało Frankel.

- Gdzie była?

- W obozie kobiecym w Birkenau, od lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego

roku do końca.

- Marsz śmierci?

Gabriel skinął głową twierdząco. Riwlin wziął go za ramię:

- Niech pan pójdzie ze mną.

Riwlin posadził Gabriela przy stoliku w głównej czytelni archiwów, po czym usiadł przed komputerem. Wpisał do wyszukiwarki bazy danych słowa „Irene Allon” i grubymi palcami bębnił niecierpliwie w klawiaturę, czekając na odpowiedź. Po paru sekundach zapisał w notatniku pięć cyfr i bez słowa zniknął w drzwiach prowadzących do magazynu archiwów. Wrócił dwadzieścia minut później i położył na stole dokument. Pod plastikową okładką widniał napis „Archiwa Yad Vashem”, po angielsku i hebrajsku, oraz numerteczki: 03/812. Gabriel ostrożnie otworzył okładkę i przeczytał pierwszą stronę. Nagłówek sprawił, że przeszły go ciarki: „Świadecko Irene Allon, dostarczone 19 marca 1957 roku”. Riwlin położył mu dłoń na ramieniu i wyszedł. Gabriel zawahał się chwilę, po czym zaczął czytać.

Świadectwo Irene Allon: 19 marca 1957 roku

Nie opowiem wszystkiego, co widziałam. Nie potrafię. Tyle mogę zrobić dla umarłych. Brakuje mi słów, by opisać wszystkie okrucieństwa, których doświadczyliśmy z rąk tak zwanej rasy panów, nie powiem też o pewnych rzeczach, których niektórzy z nas się dopuścili, by przetrwać choć jeden dzień więcej. Tylko ci, którzy przez to przeszli, potrafią zrozumieć, jak było naprawdę. Nie upokorzę umarłych po raz kolejny. Opowiem tylko o tym, co zrobiłam ja, i o tym, co zrobiono mnie. Spędziłam dwa lata w Auschwitz - Birkenau, dwa lata co do dnia, prawie dokładnie co do godziny. Nazywam się Irene Allon. Kiedyś nazywałam się Irene Frankel. Oto czego byłam świadkiem w styczniu 1945 roku, podczas marszu śmierci z Birkenau.

\*

Żeby zrozumieć boleść marszu śmierci, musicie wpierw wiedzieć trochę o tym, co zdarzyło się wcześniej. Słyszeliście podobne opowieści z ust innych. Moja nie jest inna. Przywieziono nas pociągiem, jak wszystkich. Wyjechaliśmy z Berlina w środku nocy. Powiedzieli, że jedziemy na wschód pracować. Uwierzyliśmy im. Powiedzieli też, że dostaniemy porządny wagon z siedzeniami. Zapewnili, że dostaniemy jedzenie i wodę. Uwierzyliśmy im. Mój ojciec, Viktor Frankel, malarz, spakował szkicownik i parę ołówków. Wyrzucili go z posady nauczyciela, a jego prace zostały przez hitlerowców nazwane zdegenerowanymi. Większość jego obrazów zagarnięto i spalono. Miał nadzieję, że na wschodzie naziści pozwolą mu kontynuować pracę.

Oczywiście nie dostaliśmy porządnego wagonu z siedzeniami, nie dostaliśmy też jedzenia i wody. Nie pamiętam, jak długo trwała podróż. Straciłam rachubę, ile razy słońce wstało i ile razy zaszło, ile razy wjeżdżaliśmy w ciemność i ile razy się z niej wynurzaliśmy. Nie mieliśmy toalety, tylko jedno wiadro - jedno wiadro na sześćdziesiąt osób. Możecie sobie wyobrazić, w jakich warunkach musieliśmy trwać. Możecie sobie wyobrazić niemożliwy do zniesienia smród. Możecie sobie wyobrazić, do czego niektórzy z nas się uciekali, gdy pragnienie pchnęło ich ku szaleństwu. Drugiego dnia stojąca obok mnie staruszka umarła. Zamknęłam jej oczy i zmówiłam za nią modlitwę. Patrzyłam na moją matkę Hanne Frankel i

czekałam, aż też umrze. Prawie połowa naszego wagonu nie żyła, gdy z piskiem hamulców pociąg stanął. Niektórzy modlili się. Niektórzy nawet dziękowali Bogu, że podróż wreszcie dobiegła końca.

Dziesięć lat żyliśmy pod butem Hitlera. Przecierpieliśmy ustawy norymberskie. Przeżyliśmy koszmar Kryształowej Nocy. Patrzyliśmy, jak płoną nasze synagogi. Ale mimo to nie byłam przygotowana na to, co zobaczyłam, gdy odsunięto zasuwę i wreszcie otwarto drzwi. Ujrzałam strzelisty, smukły komin z czerwonej cegły, z którego buchał gęsty dym. Pod nim stał budynek, świecący od rozszalałych, skaczących płomieni. W powietrzu unosił się okropny fetor. Nie potrafiliśmy go rozpoznać. Wciąż czuję go w nozdrzach. Nad peronem wisiała tabliczka „Auschwitz”. Wtedy zrozumiałam, że przybyłam do piekła.

\*

„*Juden, raus, raus!*”. Esesman smaga mnie po udzie batem. „Wysiadać z pociągu, *Juden!*”. Wyskakuję na pokryty śniegiem peron. Osłabione od wielu dni stania nogi chwieją się pode mną. Esesman smaga mnie znowu batem, tym razem po ramionach. Bólu nie potrafię porównać do niczego innego, co kiedykolwiek czułam. Wstaję. Jakimś sposobem udaje mi się nie krzyknąć. Próbuję pomóc wysiąść mojej matce z wagonu. Esesman mnie odpycha. Ojciec wyskakuje na peron i upada. Matka również. Batem zmuszają ich do wstania, tak jak mnie.

Mężczyźni w pasiakach wdrapują się do pociągu i zaczynają wyrzucać nasze bagaże. Myślę sobie: „Co za szaleńcy chcą ukraść nasz skromny dobytek, który przecież pozwolono nam przywieźć?”. Wyglądają jak pacjenci szpitala psychiatrycznego - ogolone głowy, zapadłe twarze, zgniłe zęby. Mój ojciec odwrócił się do oficera SS i powiedział: „Niech pan patrzy, ci ludzie zabierają nasze rzeczy. Niech pan ich powstrzyma!”. Żołnierz odpowiada spokojnie, że naszego bagażu nikt nie kradnie, że zabierają go do posortowania. Przyślą nam nasze rzeczy, jak tylko zostaniemy zakwaterowani. Ojciec dziękuje esesmanowi.

Pałkami i batami rozdzielają kobiety i mężczyzn, po czym każą nam ustawić się równo w rzędach po pięć osób. Jeszcze o tym nie wiedziałam, ale większość następnych dwóch lat spędzę, stojąc albo maszerując równo w rzędach po pięć osób. Udaje mi się stanąć obok matki. Próbuję wziąć ją za rękę. Esesman uderza mnie pałką w ramię, uwalniając mój uścisk. Słyszę muzykę. Kameralna orkiestra gra gdzieś niedaleko Schuberta.

Na początku kolejki stoi stolik, a przy nim siedzi kilku oficerów SS. Zwłaszcza jeden z nich się wyróżnia. Ma czarne włosy i alabastrową skórę. Na przystojnej twarzy rysuje się uprzejmy uśmiech. Mundur ładnie wyprasowany, buty z cholewami błyszczą w świetle latarni na peronie. Na rękach ma czyste białe rękawiczki. Gwiżdże *Nad pięknym modrym Dunajem*. Do dziś nie jestem w stanie słuchać tej melodii. Później dowiem się, jak nazywa się oficer. To

Mengele, główny oprawca Auschwitz. To Mengele decyduje, kto jest w stanie pracować, a kto trafi prosto do gazu. Prawo, lewo. Życie, śmierć.

Mój ojciec wychodzi naprzód. Gwiżdżąc, Mengele spogląda na niego, po czym mówi przyjemnym głosem:

- Na lewo, proszę.

- Zapewniono mnie, że trafimy do rodzinnego obozu - mówi ojciec. - Czy żona pójdzie ze mną?

- Czy pan sobie tego życzy?

- Oczywiście, że tak.

- Która to pańska żona?

Ojciec wskazuje na matkę. Mengele mówi:

- Hej, proszę pani, proszę wyjść z kolejki i dołączyć do męża po lewej. Proszę się pospieszyć, mamy mało czasu.

Patrzę, jak moi rodzice odchodzą w ślad za innymi na lewo. Tam idą małe dzieci i starcy. Młodzi i zdrowi idą na prawo. Występuję do przodu, by stanąć twarzą w twarz z mężczyzną w nieskalanie czystym mundurze. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, wydaje się zadowolony, bez słowa wskazuje w prawo.

- Ale moi rodzice poszli na lewo.

Szatan uśmiecha się, odsłaniając szczelinę między dwoma przednimi zębami.

- Wkrótce pani do nich dołączy, ale proszę mi uwierzyć, na razie lepiej będzie, jeśli pójdzie pani na prawo.

Jest taki miły i uprzejmy. Wierzę mu. Idę na prawo. Oglądam się przez ramię, ale moich rodziców pochłoneła brudna, wykończona masa ludzka, krocząca wolno do gazu, ustawiona w równe rzędy po pięć osób.

\*

Nie jestem w stanie opisać wszystkiego, co się wydarzyło przez następne dwa lata. Niektórych rzeczy nie pamiętam, o innych postanowiłam zapomnieć. Birkenau rządził bezlitosny rytm, monotonne okrucieństwo, zgodnie ze ścisłymi, efektywnymi regułami. Śmierć była wszechobecna, ale nawet śmierć potrafi stać się monotonna.

Strzygą nas. Nie tylko włosy na głowie, ale wszędzie - pod pachami, na nogach, obcinają nawet włosy łonowe. Nie obchodzi ich, że nożyce tną naszą skórę. Wydaje się, że nie słyszą naszych krzyków. Każdej z nas przydzielają numer, który tatuują na lewym ręku, zaraz poniżej łokcia. Przystaję być Irene Frankel. Od teraz jestem narzędziem Rzeszy o nazwie 29395. Spryskują nas środkiem dezynfekującym, dają nam ubrania więzienne



zrobione z ciężkiej, szorstkiej wełny. Moje śmierdzi krwią i potem. Staram się nie oddychać zbyt głęboko. Nasze „buty” to drewniane klocki ze skórzanymi paskami. Nie potrafimy w nich chodzić. Kto by potrafił? Dostajemy metalowe miski, które każą nam zawsze ze sobą nosić. Jeśli ktoś swoją zgubi, zostanie zastrzelony. Wierzymy im.

Zabierają nas do baraków, w których nie powinny mieszkać zwierzęta. Czekające na nas kobiety nie przypominają ludzi. Głodują, wzrok mają pusty, ruchy powolne i apatyczne. Zastanawiam się, jak prędko stanę się taka jak one. Jedna z tych istot wskazuje mi pustą pryczę. Na drewnianą półkę z odrobiną zarobzonego siana zamiast pościeli gramoli się pięć dziewczyn. Przedstawiamy się sobie. Dwie z nich to siostry, Roza i Regina. Pozostałe dwie to Lene i Rachel. Wszystkie jesteśmy Niemkami. Wszystkie straciłyśmy rodziców na rampie kolejowej. Tej nocy zakładamy nową rodzinę. Obejmujemy się i modlimy. Żadna z nas nie śpi.

Każą nam wstać następnego ranka o czwartej. Przez następne dwa lata będę się budzić o czwartej rano, chyba że zarządzona zostaje specjalna nocna zbiórka. Każą nam wtedy godzinami stać na baczność na zimnym placu. Zostajemy podzielone na grupy i wysłane do pracy. Zwykle wychodzimy na okoliczne pola, żeby kopać i przesiewać piasek na budowę, albo prowadzimy prace rolnicze w obozie. Czasem budujemy drogi albo nosimy kamienie. Nie ma dnia, żeby mnie nie pobito: cios pałką, smgnięcie batem po plecach, kopnięcie w zębra. Powodem może być upuszczenie kamienia albo zbyt długi odpoczynek na ręczce od łopaty. Obie zimy są przejmująco mroźne. Nie dostajemy żadnego dodatkowego ubrania do pracy na dworze. W lecie jest okropny upał. Wszystkie zarażamy się malarią. Komary nie wybierają między niemieckimi panami i żydowskimi niewolnikami. Nawet Mengele zapada na malarię.

Jedzenia dostajemy mniej niż potrzeba na przetrwanie, dokładnie tyle, żebyśmy powoli umierały z głodu, żebyśmy wciąż mogły służyć Rzeszy. Najpierw zanika mi miesiączka, następnie piersi. Wkrótce sama wyglądam jak jedna z tych półludzkich istot, które spotkałam pierwszego dnia w Birkenau. Na śniadanie szara woda, na którą mówią „herbata”. Na obiad skisła zupa, którą jemy tam, gdzie pracujemy. Czasem trafia się w niej kęs mięsa. Niektóre dziewczyny odmawiają jedzenia go, bo nie jest koszerne. Ja w Birkenau nie przestrzegam praw żywienia. W obozach śmierci nie ma Boga. Nienawidzę go za to, że nas porzucił na pastwę losu. Jeśli w mojej misce jest mięso, jem je. Na kolację dostajemy chleb. Składa się głównie z trocin. Uczymy się szybko, że pół porcji chleba trzeba zjeść wieczorem, a drugie pół zostawić na rano, żeby zapełnić czymś żołądek przed pracą. Jeśli przewrócisz się w pracy, biją cię. Jeśli nie jesteś w stanie wstać, wrzucają cię na wóz i

zabierają do gazu.

Tak wygląda nasze życie w obozie dla kobiet w Birkenau. Budzimy się. Zdejmujemy trupy z łóżek - tych, którym się poszczęściło i umarły spokojnie we śnie. Pijemy szarą herbatę. Idziemy na zbiórkę. Idziemy do pracy, ustawione równo w rzędy po pięć osób. Jemy obiad. Biją nas. Wracamy do obozu. Idziemy na zbiórkę. Jemy chleb, śpimy i czekamy, aż zaczniemy znowu. Zmuszają nas do pracy w szabas. Nie pracujemy w niedziele, ich święto. Co trzecią niedzielę golą nas. Wszystko przebiega według rozkładu. Wszystko, oprócz selekcji.

\*

Uczymy się je przewidywać. Nasz zmysł przetrwania wyostrzył się jak u zwierząt. Najlepszy wskaźnik ostrzegawczy to zaludnienie obozu. Jeśli jest nas zbyt wiele, będzie selekcja. Zawsze przychodzi bez ostrzeżenia. Po zbiórce rozkazują nam ustawić się rzędem na Lagerstrasse. Czekamy swojej kolejki na pokazanie się Mengelemu i jego pomocnikom, na szansę udowodnienia, że wciąż nadajemy się do pracy, że zasługujemy, by dalej żyć.

Selekcja trwa cały dzień. Nie dają nam nic do jedzenia ani do picia. Niektóre z nas nawet nie docierają do stolika, przy którym Mengele bawi się w boga. Te sadyści z SS „wyselekcjonowali” dużo wcześniej. Gdy stoimy w kolejce, bestia o nazwisku Taube znajduje przyjemność w zmuszaniu nas do „ćwiczeń”, żebyśmy były silne podczas selekcji. Każe nam robić pompki, po czym włożyć twarze w błoto i nie ruszać się. Taube ma specjalną karę dla dziewczyn, które się poruszają. Staje całym ciężarem na głowie ofiary i zgniata jej czaszkę.

W końcu stajemy przed naszym sędzią. Lustruje wzrokiem, zapisuje numer. Otwórz usta, Żydówko. Podnieś ręce. Próbujemy dbać o zdrowie w tej kloace, ale to praktycznie niemożliwe. Bolące gardło może oznaczać wysłanie do gazu. Balsamy i maści są zbyt cenne, by marnować je na Żydów, więc skaleczenie dłoni też może oznaczać przy następnym odstrzale gaz.

Gdy przejdziemy badanie wzrokowe, nasz sędzia daje nam jeszcze jeden test. Wskazuje na rów i mówi: „Skacz, Żydówko”. Staję przed dołem i zbieram resztki sił. Przeskoczę i będę żyć, przynajmniej do czasu następnej selekcji. Wpadnę - wrzucą mnie na czarny wóz i zawiozą do gazu. Gdy przechodzę po raz pierwszy przez to szaleństwo, myślę: „Jestem niemiecką Żydówką z porządnej berlińskiej rodziny. Mój ojciec był znanym malarzem. Dlaczego skaczę przez ten rów?”. Później nie myślę o niczym innym niż doskoczeniu na drugi brzeg i utrzymaniu się na nogach przy lądowaniu.

Z naszej nowo powstałej rodziny pierwszą wybierają Rozę. Na nieszczęście w czasie wielkiej selekcji jest ciężko chora na malarię i nie ma jak ukryć tego przed doświadczonym

wzrokiem Mengelego. Regina błaga Szatana, żeby ją też zabrał, żeby jej siostra nie musiała umierać w gazie sama. Mengele uśmiecha się, odsłaniając szparę między zębami. „Pójdiesz tam niedługo, ale możesz jeszcze przez chwilę popracować. Idź na prawo”. Po raz pierwszy w życiu cieszę się, że nie mam siostry.

Regina przestaje jeść. Zdaje się nie zauważać, kiedy biją ją przy pracy. Przeszła na drugą stronę. Już umarła. Przy następnej wielkiej selekcji cierpliwie czeka w niekończącej się kolejce. Przetrzymuje „ćwiczenia” Taubego i nie wyjmuje twarzy z błota - żeby nie zgniótł jej czaszki. Gdy wreszcie dochodzi do stolika, rzuca się na Mengelego i próbuje pchnąć go w oko trzonkiem łyżeczki. Esesman strzela jej w brzuch.

Mengele jest wyraźnie przestraszony.

- Nie marnujcie na nią gazu! Wrzucie ją do ognia żywcem! Niech pójdzie z dymem!

Wrzucają Reginę na taczki. Patrzymy, jak ją odwożą, i modlimy się, żeby umarła, nim dotrze do krematorium.

\*

Jesienią 1944 roku zaczynamy słyszeć rosyjskie armaty. We wrześniu po raz pierwszy w obozie odzywają się syreny alarmowe ostrzegające przed nalotem. Po raz drugi włączają się trzy tygodnie później, a zainstalowane w obozie działa przeciwlotnicze oddają pierwsze salwy. Tego samego dnia Sonderkommando pracujące w krematorium IV buntuje się. Atakują strażników z SS kilofami i młotami, udaje im się też podpalić koszary i krematoria, nim wszyscy giną zabici ogniem z karabinów maszynowych. Po tygodniu na obóz spadają bomby. Nasi panowie okazują zaniepokojenie. Nie wydają się już nietykalni. Czasem nawet robią wrażenie przestraszonych. Sprawia nam to przyjemność i daje odrobinę nadziei. Kończy się zagazowywanie. Wciąż nas zabijają, ale od teraz muszą robić to własnoręcznie. Wyselekcjonowanych więźniów zabijają w komorach gazowych albo obok krematorium V. Wkrótce też zaczynają rozmontowywać krematoria. Nasze szanse przetrwania rosną.

Późną jesienią i zimą sytuacja jednak się pogarsza. Brakuje jedzenia. Codziennie wiele kobiet pada i umiera z głodu i wycieńczenia. Tyfus zbiera straszne żniwo. W grudniu na fabrykę paliw syntetycznych i gumy I. G. Farben spadają alianckie bomby. Parę dni później alianci uderzają znowu. Tym razem kilka bomb spada na szpital polowy SS wewnątrz obozu. Ginie pięciu żołnierzy. Strażnicy stają się bardziej podrażnieni, bardziej nieprzewidywalni. Unikam ich. Próbuję stać się niewidzialna.

Przychodzi Nowy Rok, 1944 zamienia się w 1945. Czujemy, że Auschwitz umiera. Modlimy się, żeby koniec nadszedł szybko. Dyskutujemy, co robić. Czekać, aż uwolnią nas Rosjanie? Próbować uciec? A jeśli przedostaniemy się przez ogrodzenie? Dokąd pójdziemy?

Polscy chłopcy nienawidzą nas tak samo, jak Niemcy. Czekamy. Co innego nam pozostaje?

W połowie stycznia czuję dym. Wyglądam z koszar. We wszystkich obozach płoną ogniska. Zapach jest inny. Po raz pierwszy nie palą ludzi. Palą papier. Palą dowody zbrodni. Popiół unosi się nad Birkenau jak śnieg. Po raz pierwszy od dwóch lat uśmiecham się.

Siedemnastego stycznia wyjeżdża Mengele. Koniec jest bliski. Wkrótce po północy wzywają nas na zbiórkę. Mówią nam, że cały Auschwitz będzie ewakuowany. Rzesza wciąż potrzebuje naszych ciał. Zdrowi wyruszą pieszo. Chorzy zostaną, czekając na swój los. Ustawiamy się w kolumnę i wymaszerowujemy w równych rzędach po pięć osób.

O pierwszej w nocy po raz ostatni przechodzę przez bramę piekieł, dokładnie dwa lata po moim przyjeździe, prawie dokładnie co do godziny. Wciąż jednak nie jestem wolna. Muszę przetrwać jeszcze jedną próbę.

\*

Bez przerwy sypie gęsty śnieg. W oddali słyszymy pojedynkę artyleryjski. Idziemy przed siebie - nieskończony łańcuch półludzkich istot, ubranych w pasiaste szmaty i drewniane chodaki. Strzały, tak jak śnieżycy, nie mają końca. Próbuje je liczyć. Sto... Dwieście... Trzysta... Czteryście... Pięćset... Tracimy rachubę. Każdy strzał to kolejne gasnące życie, kolejne morderstwo. Gdy wyruszamy, jest nas kilka tysięcy. Boję się, że nim dotrzemy do celu, wszyscy zginiemy.

Lene idzie po mojej lewej stronie, Rachel po prawej. Oby tylko się nie wywrócić. Te, które upadną, są na miejscu zabijane i wrzucane do rowu. Oby nie wypaść z szyku i nie wlec się w tyle. Te, które to robią, też są zabijane. Drogę znaczą trupy. Przechodzimy nad nimi i modlimy się, żeby nie zasłabnąć. Jemy śnieg, żeby ugasić pragnienie. Nie możemy nic poradzić na przeraźliwe zimno. Jakaś kobieta lituje się nad nami i rzuca w naszą stronę gotowane kartofle. Te, które były na tyle głupie, żeby je podnieść, zostają od razu zastrzelone.

Śpimy w stodołach lub opuszczonych koszarach. Jeśli ktoś nie potrafi wstać wystarczająco szybko, jest zabijany. Głód zdaje się wyżerać w moim żołądku dziurę. Jest dużo gorszy od głodu w Birkenau. Jakimś cudem odnajduję resztki sił, by zrobić jeszcze jeden krok. Tak, najważniejsze to przetrwać, ale chodzi mi także o sprzeciw. Oni chcą, żebym upadła, wtedy mnie zabijają. A ja chcę być świadkiem zniszczenia ich tysiącletniej Rzeszy. Chcę nacieszyć się jej agonią, tak jak Niemcy radowali się z naszej śmierci. Myślę o Reginie, o tym, jak rzuca się na Mengelego podczas selekcji, próbując zabić go łyżką. Jej odwaga daje mi siłę. Każdy krok to bunt.

On przyjeżdża po mnie trzeciego dnia o zmroku. Jest na koniu. Siedzimy, odpoczywając w śniegu na skraju drogi. Lene opiera się o mnie. Ma zamknięte oczy. Boję się,

że nadszedł jej czas. Rachela, próbując ją ocucić, przyciska jej śnieg do warg. Rachela jest najsilniejsza. Niosła Lene praktycznie przez całe popołudnie. On patrzy na mnie. Jest Sturmbannführerem SS. Po dwunastu latach życia pod rządami nazistów umiem rozpoznać ich insygnia. Staram się zniknąć. Odwracam głowę i pomagam Lene. On ciągnie za wodze konia, tak żeby mi się przyjrzeć. Zastanawiam się, co we mnie widzi. Owszem, byłam kiedyś ładną dziewczyną, ale teraz jestem odrażająca, wykończona, brudna, chora - chodzący szkielet. Nie mogę znieść własnego zapachu. Wiem, że jeśli nawiążę z nim jakikolwiek kontakt, źle to się skończy. Spuszczam głowę na kolana i udaję, że śpię. Nie daje się nabrać.

- Hej, ty - woła.

Podnoszę wzrok. Mężczyzna na koniu wskazuje na mnie.

- Tak, ty. Wstawaj. Chodź ze mną.

Wstaję. Nie żyję. Wiem o tym. Rachela też. Widzę to w jej oczach. Nie ma już więcej łez.

- Pamiętaj o mnie - szepczę, gdy podążam w stronę drzew za mężczyzną na koniu.

\*

Na szczęście nie każe mi iść za daleko, tylko parę metrów od drogi, do zwalonego drzewa. Zsiada z konia, przywiązuje go. Siada na pniu i każe mi usiąść obok siebie. Waham się. Żaden esesman nigdy mnie o to nie prosił. Klepie pień dłonią. Siadam, ale kilkanaście centymetrów dalej, niż mi rozkazał. Boję się, upokarza mnie też smród. Przysuwa się bliżej. Cuchnie alkoholem. Koniec ze mną. To tylko kwestia czasu.

Patrzę przed siebie. On zdejmuje rękawiczki i dotyka mojej twarzy. Przez dwa lata spędzone w Birkenau żaden esesman mnie nie dotknął. Dlaczego ten człowiek, Sturmbannführer, teraz mnie dotyka? Przetrwiałam wiele, ale to jest jak dotąd najgorsze ze wszystkiego. Patrzę przed siebie. Moja skóra płonie.

- Taka szkoda - mówi. - Czy byłaś kiedyś piękna?

Nic mi nie przychodzi do głowy. Dwa lata w Birkenau nauczyły mnie, że w takich sytuacjach nie ma prawidłowej odpowiedzi. Jeśli powiem „tak”, zarzuci mi żydowską arogancję i mnie zabije. Jeśli powiem „nie”, zabije mnie za kłamstwo.

- Powiem ci coś w tajemnicy. Zawsze pociągały mnie Żydówki. Moim zdaniem powinniśmy byli zabijać mężczyzn, a kobiety zachowywać dla własnej przyjemności. Miałas dziecko?

Pomyślałam o wszystkich idących do gazu dzieciach, które widziałam w Birkenau. Domaga się odpowiedzi, ściskając moją twarz w dłoniach. Zamykam oczy i powstrzymuję się od krzyku. Powtarza pytanie. Potrząsam głową. Puszczam mnie.

- Jeśli przeżyjesz jeszcze parę godzin, może któregoś dnia będziesz mieć dziecko. Czy powiesz mi o tym, co się zdarzyło w czasie wojny? Czy może za bardzo będziesz się wstydzić?

Dziecko? Jak dziewczyna w mojej sytuacji może zastanawiać się nad urodzeniem dziecka? Przez ostatnie dwa lata próbowałam wyłącznie przetrwać. Myśl o dziecku przekraczała moje zdolności pojmowania.

- Odpowiedz mi, Żydówko!

Jego głos naraz staje się ostry. Czuję, że sytuacja zaraz wymknie się spod kontroli. Znowu chwyta moją twarz i obraca ją ku sobie. Staram się odwrócić wzrok, ale potrząsa mną, zmuszając do patrzenia sobie w oczy. Nie mam siły się opierać. Jego twarz wryła się w moją pamięć. Tak jak jego głos i niemiecki z austriackim akcentem. Słyszę go po dziś dzień.

- Co powiesz swojemu dziecku o wojnie?

Co chce usłyszeć? Co mam powiedzieć?

Ściska moją twarz.

- Mów, Żydówko! Co powiesz swojemu dziecku o wojnie?

- Prawdę, Herr Sturmbannführer. Powiem mu prawdę.

Nie wiem, skąd dochodzą te słowa. Wiem tylko, że jeśli umrę, będzie to przynajmniej śmierć z krztyną godności. Znowu myślę o Reginie, rzucającej się z łyżką na Mengelego.

Zwalnia uścisk. Wygląda na to, że pierwszy kryzys minął. Ciężko wzdycha, jak po całym dniu ciężkiej pracy, po czym wyjmuje z kieszeni płaszcza flaszkę i pociąga potężny łyk. Na szczęście mnie nie proponuje. Wkłada butelkę z powrotem do kieszeni i zapala papierosa. Mnie nie proponuje. Daje mi znać, że ma alkohol i tytoń, a ja nie mam nic.

- Prawdę? Co jest według ciebie prawdą, Żydówko?

- Birkenau jest prawdą, Herr Sturmbannführer.

- Nie, moja droga, Birkenau nie jest prawdą. Birkenau to pogłoska. Birkenau to wymysł wrogów Rzeszy i chrześcijaństwa. To stalinowska, ateistyczna propaganda.

- A komory gazowe? Krematoria?

- Nic takiego nie istniało w Birkenau.

- Widziałam je, Herr Sturmbannführer. Wszyscy je widzieliśmy.

- Nikt w to nie uwierzy. Nikt nie uwierzy, że można zabić tyle ludzi. Tysiące? Owszem, możliwa jest śmierć tysięcy ludzi. W końcu to wojna. Setki tysięcy? Może. Ale miliony? - Zaciąga się dymem. - Szczerze mówiąc, widziałem to na własne oczy, ale sam nie potrafię uwierzyć.

Przez drzewa słychać strzał, potem drugi. Dwie kolejne dziewczyny odeszły.

Sturmbannführer pociąga kolejny potężny łyk z flaszki. Dlaczego pije? Próbuje się rozgrzać? A może się uspokaja, nim mnie zabije.

- Powiem ci, co masz powiedzieć o wojnie. Powiesz, że przeniesiono cię na wschód. Że miałaś pracę. Że miałaś dość jedzenia i odpowiednią opiekę medyczną. Że traktowano cię dobrze i po ludzku.

- Jeśli taka jest prawda, Herr Sturmbannführer, dlaczego wyglądam jak szkielet?

Nie potrafi odpowiedzieć inaczej, niż wyciągając pistolet i przystawiając mi lufę do skroni.

- Powtarzaj, co działo się z tobą podczas wojny, Żydówko. Przeniesiono cię na wschód. Miałaś dość jedzenia i odpowiednią opiekę medyczną. Komory gazowe i krematoria to wymysł Żydów i bolszewików. Powtórz, Żydówko.

Wiem, że z tej sytuacji nie ujdę z życiem. Nawet jeśli wypowiem te słowa, zginę. Nie powiem. Nie dam mu satysfakcji. Zamykam oczy i czekam, aż kula wydrąży w moim mózgu tunel, uwalniając mnie od katorgi.

Opuszcza broń i woła. Przybiega drugi esesman. Sturmbannführer rozkazuje mu mnie pilnować. Wstaje i idzie przez drzewa do drogi.

Gdy wraca, towarzyszą mu dwie kobiety. Jedna z nich to Rachela. Druga to Lene. Esesmanowi każe odejść, po czym przystawia pistolet do czoła Lene. Lene patrzy mi prosto w oczy. Jej życie spoczywa w moich rękach.

- Powiedz to, Żydówko! Przeniesiono cię na wschód. Miałaś dość jedzenia i odpowiednią opiekę medyczną. Komory gazowe i krematoria to kłamstwa Żydów i bolszewików.

Nie mogę pozwolić, by Lene zginęła przez moje milczenie. Otwieram usta i już chcę zacząć mówić, ale wtedy Rachela krzyczy: „Nie mów tego, Irene! I tak nas zabije. Nie daj mu tej przyjemności”.

Sturmbannführer odsuwa broń od czoła Lene i przystawia do skroni Racheli.

- Ty to powiedz, żydowska suko.

Rachela spogląda mu w oczy i nic nie mówi.

Sturmbannführer pociąga za spust i Rachela pada martwa w śnieg.

Przystawia lufę do czoła Lene i po raz kolejny każe mi mówić. Lene kręci głową. Żegnamy się wzrokiem. Kolejny strzał i Lene pada obok Racheli.

Teraz moja kolej.

Sturmbannführer mierzy we mnie. Z drogi słychać okrzyki „*Raus! Raus!*”. Esesmani każą dziewczynom wstać. Wiem, że mój marsz dobiegł końca. Wiem, że nie odejdę stąd. Tu

polegnę, na skraju polskiej drogi, i tu zostanę pogrzebana, bez macewy znaczącej mój grób.

- Co powiesz swojemu dziecku o wojnie, Żydówko?

- Prawdę, Herr Sturmbannführer. Powiem mojemu dziecku prawdę.

- Nikt ci nie uwierzy. - Wkłada pistolet do kabury. - Twoja kolumna odchodzi.

Powinnaś do niej dołączyć. Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy zostają z tyłu.

Wsiada na konia i szarpie wodze. Padam w śnieg obok ciał moich dwóch przyjaciółek. Modłę się za nie i błagam o przebaczenie. Mija mnie koniec kolumny. Wychodzę chwiejnym krokiem spośród drzew i dołączam. Idziemy przez całą noc, w równych rzędach po pięć osób. Płacę lodowymi łzami.

\*

Po pięciu dniach od wyjścia z Birkenau dochodzimy do stacji kolejowej w śląskim miasteczku o nazwie Wodzisław. Zapędzają nas do odkrytych wagonów na węgiel i wiozą przez całą noc. Jesteśmy wystawione na okrutną styczniową pogodę. Niemcy nie muszą marnować na nas więcej cennej amunicji. Mróz w moim wagonie zabija połowę kobiet.

Docieramy do nowego obozu, Ravensbrück, ale dla nowych więźniów nie starcza jedzenia. Po paru dniach część z nas jedzie dalej, tym razem na platformach ciężarówek. Moja odyseja kończy się w obozie w Neustadt Glewe. Drugiego maja 1945 roku po przebudzeniu się stwierdzamy, że nasi oprawcy z SS uciekli z obozu. Tego samego dnia wyzwalają nas amerykańscy i rosyjscy żołnierze.

Minęło dwanaście lat. Nie ma dnia, żebym nie widziała twarzy Racheli i Lene oraz twarzy człowieka, który je zabił. Ich śmierć ogromnie mi ciąży. Może gdybym powtórzyła słowa Sturmbannführera, to ja byłabym kolejną bezimienną ofiarą, leżącą w nieoznakowanym grobie na skraju polskiej drogi. W rocznicę ich śmierci zmawiam za nie kadysz. Robię to z przyzwyczajenia, a nie wiary. W Birkenau straciłam wiarę w Boga.

Nazywam się Irene Allon. Nazywałam się Irene Frankel. W obozie byłam więźniem numer 29395. Oto, czego byłam świadkiem w styczniu 1945 roku, podczas marszu śmierci z Birkenau.



Był szabas. Szamron zaprosił Gabriela do Twerii na kolację. Jadąc powoli stromym podjazdem, Gabriel spojrzął w górę na taras Szamrona i zobaczył tańczące na wiejącym od jeziora wietrze światła lamp gazowych. I nagle ujrzał też Szamrona, przechadzającego się wśród płomieni wiecznego wartownika.

Gilah zapaliła w jadalni dwie świeczki i pobłogosławiła potrawy. Gabriel wychował się w domu, gdzie nie praktykowano religii, ale pomyślał, że żona Szamrona nigdy nie wyglądała równie pięknie jak w tym momencie, z zamkniętymi oczami zagarniając rękami światło na twarz.

Podczas posiłku Szamron był cichy, zadumany i nie w nastroju do pogawędek. Nawet po tylu latach nie śmiał mówić o pracy w obecności Gilah. Nie z braku zaufania: bał się, że znienawidziłaby go, gdyby wiedziała o wszystkim, co zrobił. Gilah przerywała długie momenty ciszy, opowiadając o córce, która, uciekając przed ojcem, przeprowadziła się do Nowej Zelandii i mieszkała na kurzej fermie ze swoim mężczyzną. Gilah wiedziała, że Gabriel był w jakiś sposób powiązany z biurem, ale nie miała pojęcia, na czym naprawdę polegała jego praca. Uważała go za urzędnika, który większość czasu spędzał za granicą i lubił sztukę.

Podawała im kawę i tacę herbatników oraz suszonych owoców, po czym sprzątnęła ze stołu i zajęła się zmywaniem. Podczas gdy z kuchni dobiegały odgłosy lecącej wody i brzęczących talerzy, Gabriel zreferował Szamronowi ostatnie wydarzenia. Mówili cicho. Między nimi migotały szabasowe świece. Pokazał Szamronowi teczkę z dokumentami dotyczącymi Ericha Radka i Aktion 1005. Szamron podniósł zdjęcie do światła i zmrużył powieki, po czym zsunął okulary na tyse czoło i ponownie skierował uważny wzrok na Gabriela.

- Co wiesz o losach mojej matki w czasie wojny?

Spojrzenie Szamrona znad filiżanki dało Gabrielowi jasno do zrozumienia, że jego życie nie ma przed szefem żadnych tajemnic, włączając w to wszystko, co działo się z jego matką podczas wojny.

- Mieszkała w Berlinie - powiedział Szamron. - Wywieziono ją do Auschwitz w styczniu 1943 roku, spędziła dwa lata w kobiecym obozie w Birkenau. Opuściła go w marszu śmierci. W przeciwieństwie do tysięcy innych przeżyła, w Neustadt Glewe uwolnili ją rosyjscy i amerykańscy żołnierze. Czy o czymś zapomniałem?

- Podczas marszu śmierci wydarzyło się coś, o czym nigdy nie chciała ze mną rozmawiać. - Gabriel podniósł zdjęcie Ericha Radka. - Gdy Riwlin pokazał mi je w Yad Vashem, od razu wiedziałem, że skądś znam tę twarz. Trochę czasu zajęło mi przypomnienie sobie skąd, ale w końcu mi się udało. Widziałem ją jako chłopiec na jednym z płócien w pracowni mojej matki.

- I dlatego pojechałeś do Safed, do Ciony Lewin.

- Skąd wiesz?

Szamron westchnął i wypił łyk kawy. Wytrącony z równowagi Gabriel opowiedział mu o swojej drugiej, porannej wizycie w Yad Vashem. Położył na stole kartki zawierające świadectwo matki, a Szamron nie odwrócił wzroku od jego twarzy. I w tym momencie Gabriel zrozumiał, że Szamron już to czytał. *Memuneh* wiedział o jego matce. *Memuneh* wiedział wszystko.

- Brano cię pod uwagę jako kandydata do jednego z najważniejszych zadań w historii biura - wyjaśnił Szamron. W jego głosie nie było nawet śladu skruchy. - Musiałem wiedzieć o tobie wszystko. Twój profil psychologiczny sporządzony przez armię przedstawiał cię jako samotnego łowcę, egotyka, urodzonego mordercę. Nasze pierwsze spotkanie to potwierdziło, chociaż zorientowałem się ponadto, że jesteś niemożliwie beczelny i chorobliwie wstydlivy. Chciałem wiedzieć, dlaczego stałeś się właśnie taki. Sądziłem, że losy twojej matki mogą wiele wyjaśnić.

- Więc znalazłeś jej świadectwo w Yad Vashem?

Zamknął oczy i skinął raz głową.

- Czemu nigdy mi nic nie powiedziałeś?

- To nie należało do mnie - odparł szorstko Szamron. - Tylko twoja matka mogła ci o czymś takim powiedzieć. Widziałem, że do śmierci ciążyło jej okropne brzemie winy. Nie chciała, żebyś wiedział. Nie była sama. Wielu z tych, którzy przetrwali, tak jak twoja matka nie potrafili stanąć twarzą w twarz z własną pamięcią. Zaraz po wojnie, nim się urodziłeś, zdawało się, że wzniesiono w tym kraju ścianę milczenia. Holocaust? Mówiono o nim bez przerwy. Ale ci, którzy naprawdę go przeżyli, rozpaczliwie próbowali pogrzebać wspomnienia i żyć dalej. To była inna forma przetrwania. Niestety, ich ból przeszedł na następne pokolenie, synów i córki ocalonych. Takich jak Gabriel Allon.

Szamronowi przerwała Gilah, wtykając głowę do pokoju i pytając, czy potrzebują więcej kawy. Szamron uniósł rękę. Jego żona zrozumiała, że mówią o pracy, więc wróciła do kuchni. Położył ręce na stole i pochylił się do przodu.

- Na pewno podejrzewałeś, że złożyła świadectwo. Dlaczego twoja wrodzona ciekawość nie doprowadziła cię do Yad Vashem, żebyś mógł sam się przekonać? - Wobec milczenia Gabriela Szamron sam udzielił odpowiedzi na to pytanie. - Bo, jak wszystkie dzieci ocalonych, bałeś się zburzyć kruchą emocjonalną równowagę. Obawiałeś się, że zrobisz coś zbyt gwałtownego, co wpędzi ją bezpowrotnie w depresję? - przerwał. - A może bałeś się tego, co mogłeś znaleźć? Czy rzeczywiście bałeś się poznać prawdę?

Gabriel spojrzął na niego gwałtownie, ale nic nie powiedział. Szamron przyglądał się przez chwilę kawie, nim kontynuował.

- Szczerze mówiąc, Gabrielu, gdy przeczytałem świadectwo twojej matki, wiedziałem, że nadajesz się doskonale. Pracujesz dla mnie przez nią. Nie potrafiła cię bez reszty pokochać. Jak mogła? Bała się, że cię straci. Odebrano jej wszystkich, których kochała. Straciła rodziców podczas selekcji na rampie, a zaprzyjaźnione dziewczyny z Birkenau zabito, bo nie chciała powtórzyć tego, co kazał jej powiedzieć Sturmabführer SS.

- Gdyby spróbowała mi powiedzieć, zrozumiałbym.

Szamron powoli pokręcił głową.

- Nie, Gabrielu, nikt tego nie potrafi naprawdę zrozumieć. Winy, hańby... Twojej matce udało się odnaleźć w powojennym świecie, ale w wielu aspektach jej życie skończyło się tamtej nocy przy polskiej drodze. - Uderzył ręką w stół tak silnie, że pozostałe na nim naczynia zabrzęczały. - Dobra, więc co robimy? Użalamy się nad sobą czy pracujemy dalej i sprawdzamy, czy to rzeczywiście Erich Radek?

- Chyba znasz odpowiedź.

- Czy Mosze Riwlin uważa za możliwe, że Radek brał udział w ewakuacji Auschwitz?

Gabriel skinął głową.

- W styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku działania Aktion 1005 dobiegły w zasadzie końca, gdyż większość podbitych terenów na wschodzie zajęli Sowieci. Możliwe, że pojechał do Auschwitz, żeby zniszczyć komory gazowe i krematoria oraz żeby przygotować ewakuację pozostałych tam więźniów. Byli w końcu świadkami zbrodni.

- Wiemy, jak temu śmieciowi udało się uciec po wojnie z Europy?

Gabriel przedstawił mu teorię Riwlina, według której Radek, jako austriacki katolik, skorzystał z usług biskupa Aloïsa Hudala z Rzymu.

- Może w takim razie pójdziemy tym tropem - zaproponował Szamron - i zobaczymy,

czy nie prowadzi z powrotem do Austrii.

- Właśnie to miałem na myśli. Pomyślałem, że mógłbym zacząć w Rzymie. Chcę rzucić okiem na papiery Hudala.

- Wiele osób by chciało.

- Ale nie mają prywatnego numeru telefonu człowieka mieszkającego na ostatnim piętrze Pałacu Apostolskiego.

Szamron wzruszył ramionami.

- To prawda.

- Potrzebuję czystego paszportu.

- Nie ma sprawy. Mam świetny kanadyjski paszport, możesz go użyć. Jak tam twój francuski?

- *Pas mal, mais je dois pratiquer l'accent d'un Quebecois.*

- Czasem nawet ja się ciebie boję.

- To naprawdę coś.

- Noc spędzisz tutaj i jutro polecisz do Rzymu. Zabiorę cię do Lod. Po drodze zatrzymamy się w amerykańskiej ambasadzie i pogadamy z ich szefem wywiadu.

- O czym?

- Według teczki ze Staatsarchiv Vogel pracował podczas okupacji Austrii dla Amerykanów. Poprosiłem naszych przyjaciół z Langley, żeby przejrzyli swoje dokumenty i zobaczyli, czy czasem się w nich nie pojawia. To strzał w ciemno, ale może nam się poszczęści.

Gabriel spojrział na świadectwo swojej matki: „Nie opowiem wszystkiego, co widziałam. Nie potrafię. Tyle mogę zrobić dla umarłych...”.

- Twoja matka, Gabrielu, była bardzo odważną kobietą. Dlatego wybrałem ciebie. Wiedziałem, że w twoich żyłach płynie najlepsza krew.

- Była dużo odważniejsza ode mnie.

- Tak - zgodził się Szamron. - Była odważniejsza od nas wszystkich.

\*

Prawdziwy zawód Bruce'a Crawforda należał do najpilniej strzeżonych tajemnic w Izraelu. Wysoki, arogancki Amerykanin był szefem placówki CIA w Tel Awiwie. Jako osoba popierająca zarówno rząd Izraela, jak i Autonomię Palestyńską, często występował jako mediator między walczącymi stronami. Niewiele było nocy, w których telefon Crawforda nie odezwałby się o jakiejś nieludzkiej godzinie. Był zmęczony i nie dało się tego ukryć.

Przywitał Szamrona przed wejściem do ambasady przy ulicy Haraykon, po czym

wprowadził go do budynku. Biuro Crawforda było duże i jak na gust Szamrona przesadnie udekorowane. Wyglądało raczej na gabinet wiceprezydenta, a nie kryjówkę szpiega, ale Amerykanie to lubili. Szamron usiadł na skórzanym fotelu i przyjął podaną mu przez sekretarkę zimną wodę z cytryną. Chciał zapalić swojego tureckiego papierosa, ale na biurku Crawforda zobaczył bardzo wyraźny napis „Proszę nie palić”.

Crawford nie spieszył się z przejściem do tematu. Szamron się tego spodziewał. Wśród szpiegów istniała niepisana zasada: jeśli prosisz przyjaciela o przysługę, musisz być przygotowany, żeby zaśpiewać mu do kolacji. Ponieważ Szamron praktycznie wypadł z gry, nie miał do zaoferowania nic konkretnego, tylko rady i wiedzę człowieka, który popełnił wiele błędów.

Wreszcie, po godzinie, Crawford powiedział:

- To teraz o tym Voglu.

Amerikanin zamilkł. Szamron, zarejestrowawszy w jego głosie cień porażki, pochylił się wyczekująco naprzód. Crawford grał na czas, wyjmując z magnetycznego pudełka spinacz i pracowicie go rozprostowując.

- Przeszukaliśmy nasze dokumenty - oznajmił, wpatrując się w swoje dzieło. - Wysłaliśmy nawet ekipę do Marylandu, żeby przekopali się przez tamtejsze archiwa. Obawiam się, że przestreliliśmy.

- Przestreliliśmy? - Szamron uważał, że używanie amerykańskich kolokwializmów sportowych było nieodpowiednie w sprawach tak ważnych jak wywiad. W jego świecie agenci nie przestreliwali, nie wypuszczali piłki i nie robili wsadów. Istniały tylko sukces i porażka, a ceną porażki w miejscu takim jak Bliski Wschód była zwykle krew. - Co to dokładnie znaczy?

- To znaczy - wyjaśnił pedantycznie Crawford - że nasze poszukiwania nic nie dały. Przykro mi, Ari, ale czasem tak bywa.

Podniósł wyprostowany spinacz i przyjrzał mu się uważnie, jakby był dumny ze swojego dzieła.

\*

Gabriel czekał na tylnym siedzeniu peugeota Szamrona.

- Jak poszło?

Szamron zapalił papierosa i odpowiedział na pytanie.

- Wierzysz mu?

- Wiesz, żeby chociaż znaleźli standardową teczkę osobistą albo informację ze służb bezpieczeństwa, że jest zupełnie czysty... Może wtedy bym mu uwierzył. Ale nic? Wydaje mu

się, że niby z kim ma do czynienia? Obraził mnie, Gabrielu, naprawdę, obraził mnie.

- Sądzisz, że Amerykanie wiedzą coś o Voglu?

- Bruce Crawford właśnie to potwierdził. - Szamron spojrział na swój wodoodporny zegarek. - Cholera! Zajęło mu godzinę, żeby się zebrać i mnie okłamać, i przez to spóźnisz się na samolot.

Gabriel spojrział na telefon w schowku.

- Dawaj - wymamrotał. - Zrób to.

Szamron schwycił telefon i wystukał numer.

- Mówi Szamron - wypalił. - Za pół godziny z Lod odlatuje do Rzymu samolot El Al. Właśnie wystąpiła usterka techniczna, która opóźni jego start o godzinę. Jasne?

\*

Dwie godziny później telefon Bruce'a Crawforda zaćwierkał. Przyłożył słuchawkę do ucha. Rozpoznał głos. Dzwonił agent, któremu rozkazał śledzenie Szamrona. Śledzenie byłego szefa biura na jego własnej ziemi było ryzykowną grą, ale Crawford miał rozkazy.

- Po opuszczeniu ambasady pojechał do Lod.

- Co robił na lotnisku?

- Wysadzał pasażera.

- Rozpoznałeś go?

Agent potwierdził. Nie wymieniając nazwiska pasażera, przekazał informację, że opisywany mężczyzna to interesujący ich agent biura, ostatnio aktywny w Europie Środkowej.

- Jesteś pewien, że to on?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Dokąd poleciał?

Usłyszawszy odpowiedź, Crawford przerwał połączenie. Chwilę później siedział przed komputerem, wysyłając zaszyfowaną wiadomość do dowództwa. Rzeczowy i zwięzły tekst, tak jak lubił adresat.

„ELIASZ LECI DO RZYMU. PRZYLATUJE DZISIAJ SAMOLOTEM EL AL Z TEL AWIWU”.

Gabriel nie chciał spotykać się z człowiekiem z Watykanu w jego biurze na ostatnim piętrze Pałacu Apostolskiego. Ustalili, że spotkają się w Piperno, starej restauracji na cichym placu nieopodal Tybru, parę ulic od dawnego żydowskiego getta. Było grudniowe popołudnie, ale takie, jakie zdarza się tylko w Rzymie. Gabriel przybył pierwszy i zajął stolik na zewnątrz, w ciepłych i jasnych promieniach słońca.

Po paru minutach na plac wszedł ksiądz, szczupły i wysoki, przystojny niczym włoski gwiazdor filmowy, i skierował się zdecydowanym krokiem w stronę restauracji. Krój garnituru i koloratka wskazywały, że oprócz cnót posiadał także pewną dozę osobistej lub zawodowej próżności. Miał ku temu słuszne powody. Monsignore Luigi Donati, osobisty sekretarz Jego Świątobliwości papieża Pawła VII, był zdaniem niektórych drugą co do ważności osobą w Kościele rzymskokatolickim.

W Luigim Donatim widziało się pewną zimną zaciętość, przez którą Gabrielowi trudno było wyobrazić go sobie udzielającego chrztu dzieciom bądź namaszczonego chorych w jakimś zapadłym miasteczku na wzgórzach Umbrii. Z jego oczu promieniowała bezwzględna i nieuznająca kompromisów inteligencja, a po upartych rysach twarzy dało się poznać, że niebezpiecznie jest go drażnić. Gabriel wiedział o tym z własnego doświadczenia. Rok wcześniej inne dochodzenie doprowadziło go do Watykanu, prosto w sprawne ręce Donatiego. Razem zniszczyli śmiertelne niebezpieczeństwo zagrażające papieżowi Pawłowi VII. Luigi Donati był winien Gabrielowi przysługę. Gabriel mógł się założyć, że Donati to człowiek, który spłaca długi.

Donati też ponad wszystko lubił miło spędzić parę godzin w zalanej słońcem rzymskiej kawiarni. Jego trudny charakter nie przysparzał mu wielu przyjaciół w kurii papieskiej, więc, podobnie jak jego szef, wymykał się z murów Watykanu, kiedy tylko mógł. Uchwycił się zaproszenia na lunch przez Gabriela jak tonący brzytwy. Gabriel miał niejasne wrażenie, że Luigi Donati jest potwornie samotny, i czasem zastanawiał się, czy ksiądz przypadkiem nie żałuje, że wybrał takie życie.

Donati zapalił papierosa elegancką złotą zapalniczką.

- Jak interesy?
- Pracuję nad kolejnym Bellinim. Ołtarz w kościele Jana Chryzostoma.
- Tak, słyszałem.

Kardynał Pietro Lucchesi, nim został papieżem Pawłem VII, był patriarchą Wenecji. Luigi Donati trwał u jego boku. Jego powiązania z Wenecją pozostały bardzo silne. W archidiecezji działo się niewiele rzeczy, o których by nie wiedział.

- Ufam, że Francesco Tiepolo dobrze cię traktuje.
- Oczywiście.
- A jak tam Chiara?
- Dziękuję, ma się nieźle.
- Czy rozważaliście może... sformalizowanie waszego związku?
- To nie takie proste, Luigi.
- Wiem, ale cóż jest proste?
- W tej chwili naprawdę mówiłeś jak ksiądz.

Donati odchylił głowę i zaśmiał się. Zaczynał się odprężyć.

- Ojciec Święty przesyła pozdrowienia. Jest mu przykro, ale nie mógł do nas dołączyć. Piperno to jedna z jego ulubionych restauracji. Polecił nam *filetti di baccalá* na przystawkę. Przysięga, że najlepsze w Rzymie.

- Czy papieska nieomylność obejmuje także rekomendacje dotyczące przystawek?
- Papież jest nieomylny, tylko jeśli występuje w roli najwyższego nauczyciela w sprawach wiary i etyki. Smażone filety z dorsza nie stanowią raczej części doktryny. Ale na tych sprawach naprawdę się zna. Na twoim miejscu spróbowałbym *filetti*.

Przyszedł kelner w białej marynarce. Ksiądz zajął się składaniem zamówienia. Połało się frascati i Donati zrobił się pogodny jak ciepłe popołudnie. Przez pewien czas raczył Gabriela plotkami z kurii oraz opisami zakulisowych awantur i dworskich intryg. Gabrielowi nie było to obce. Watykan nie różnił się zbytnio od biura.

W końcu Gabriel sprowadził rozmowę na temat, który był początkiem ich znajomości: rolę Kościoła rzymskokatolickiego w Holocauście.

- Jak postępują prace Komisji Historycznej?
- Tak dobrze, jak się spodziewaliśmy. Dostarczamy dokumenty z tajnych archiwów, a komisja je analizuje. Ograniczamy naszą ingerencję do minimum. Wstępny raport na temat pracy komisji ma zostać opublikowany za pół roku. Później przejdzie ona do pracy nad wielotomową historią.
- Czy macie jakieś pojęcie, jaki kierunek obierze wstępny raport?



- Tak jak powiedziałem, pozwalamy historykom pracować swobodnie, ograniczając ingerencję Pałacu Apostolskiego do minimum.

Gabriel posłał księdzu spojrzenie pełne powątpiewania. Gdyby nie strój duchownego i koloratka, pomyślałby, że Donati to zawodowy szpieg. Myśl, że nie miał wśród członków komisji co najmniej dwóch źródeł informacji, była dla niego obraźliwa. Sącząc frascati, Gabriel przedstawił swoją opinię. Donati przyznał się.

- No dobrze, powiedzmy, że coś tam wiem na temat pracy komisji.

- I co?

- Autorzy raportu wezmą pod uwagę olbrzymią presję, jakiej podlegał Pius, niemniej obawiam się, że działania ani jego, ani Kościołów w środkowej i wschodniej Europie nie zostaną przedstawione w zbyt korzystnym świetle.

- Wyglądasz na zdenerwowanego, Luigi.

Ksiądz nachylił się do niego i przez chwilę jakby dobierał słowa.

- Otworzyliśmy puszkę Pandory, przyjacielu. Nie potrafimy przewidzieć, dokąd taki proces, raz rozpoczęty, może nas zaprowadzić, ani na które części Kościoła może wpłynąć. Liberałowie uchwycili się działań Ojca Świętego i domagają się następnego kroku: trzeciego soboru watykańskiego. Reakcyjniści natomiast krzyczą, że to herezja.

- Coś poważnego?

Znów przed udzieleniem odpowiedzi ksiądz przez chwilę milczał.

- Dochodzą do nas informacje o bardzo poważnych oznakach niezadowolenia ze strony niektórych reakcjonistów z Langwedocji we Francji - reakcjonistów z rodzaju tych, którzy twierdzą, że Sobór Watykański Drugi był dziełem szatana, a wszyscy papieże od czasu Jana XXIII to heretycy.

- Zdawało mi się, że Kościół był pełen takich ludzi. Sam miałem przyjemność walczyć z uroczą grupą duchownych i świeckich o nazwie Crux Vera.

Donati uśmiechnął się.

- Obawiam się, że to stowarzyszenie ulepione jest z tej samej gliny, ale w przeciwieństwie do Crux Vera nie ma zaplecza politycznego wewnątrz kurii papieskiej. To ludzie z zewnątrz, stojący u bram barbarzyńcy. Ojciec Święty ma nad nimi bardzo nieznaczną władzę. Zaczyna się robić gorąco.

- Powiedz mi, jeśli kiedyś będę mógł pomóc.

- Uważaj, przyjacielu. Będę cię trzymał za słowo.

Przyniesiono *filetti di baccalà*. Donati wycisnął na talerz sok z cytryny i włożył do ust cały filet naraz. Popił rybę łykiem frascati, po czym odchylił się do tyłu. Jego przystojna

twarz przybrała wyraz czystego zachwytu. Dla pracującego w Watykanie księdza nie istniało w świecie doczesnym wiele rozkoszy bardziej kuszących niż lunch na zalanym słońcem rzymskim placu. Wziął się za następny *filetti* i spytał Gabriela, co też porabia w Rzymie.

- Można powiedzieć, że pracuję nad sprawą związaną z pracami Komisji Historycznej.

- Jak to?

- Mam powody, by przypuszczać, że wkrótce po zakończeniu wojny Watykan pomagał w ucieczce z Europy poszukiwanemu esesmanowi Erichowi Radkowi.

Donati przestał jeść, a jego twarz nagle spoważniała.

- Uważaj na to, jakich słów używasz i jakie robisz założenia, przyjacielu. Bardzo możliwe, że Radkowi ktoś w Rzymie pomógł, ale nie musiał to być Watykan.

- Sądźmy, że zrobił to biskup Hudal z Animy.

Napięcie na twarzy Donatego zelżało.

- Niestety, dobry biskup rzeczywiście pomógł pewnej liczbie uciekających nazistów. Nie da się temu zaprzeczyć. Dlaczego sądzisz, że pomógł temu Radkowi?

- To tylko hipoteza, ale sporo na to wskazuje. Radek był austriackim katolikiem. Hudal był rektorem niemieckiego seminarium w Rzymie oraz spowiednikiem niemieckiej i austriackiej społeczności. Gdyby Radek przyjechał w poszukiwaniu pomocy do Rzymu, najprawdopodobniej zwróciłby się do Hudala.

Donati przytaknął.

- Nie mogę zaprzeczyć. Biskup Hudal chciał chronić swoich współobywateli przed powodowanymi, jego zdaniem, żądzą zemsty zwycięskimi aliantami. Ale to nie znaczy, że wiedział, iż Erich Radek był zbrodniarzem wojennym. Skąd mógł to wiedzieć? Włochy po wojnie zalała fala wysiedleńców. Miliony, i każdy potrzebował wsparcia. Jeśli Radek udał się do Hudala i opowiedział mu jakąś smutną historię, na pewno udzielono mu schronienia i pomocy.

- Czy Hudal nie powinien był spytać kogoś takiego jak Radek o powód ucieczki?

- Może, ale jesteś naiwny, jeśli sądzisz, że Radek odpowiedziałby zgodnie z prawdą. Skłamałby, a Hudal nie mógłby tego stwierdzić.

- Nikt nie ucieka bez powodu, Luigi, a Holocaust nie był już tajemnicą. Biskup Hudal powinien był zdawać sobie sprawę z tego, że pomaga zbrodniarzom wojennym uniknąć sprawiedliwości.

Donati poczekał z odpowiedzią, aż kelner poda im będący głównym daniem makaron.

- Musisz jednak zrozumieć, że wiele osób i organizacji, zarówno z Kościoła, jak i z zewnątrz, pomagało w tamtym czasie uchodźcom. Hudal nie był jedyny.

- Skąd brał pieniądze na przeprowadzanie tych operacji?

- Twierdził, że w całości pochodziły z kont seminarium.

- Wierzysz w to? Każdy esesman, któremu pomagał Hudal, potrzebował pieniędzy na bieżące wydatki, bilety na statek, wizy oraz na nowe życie za granicą, że nie wspomnę o kosztach zapewnienia mu schronienia w Rzymie, gdy czekał na odpłynięcie. Uważa się, że Hudal pomógł w ten sposób setkom esesmanów. To wymagało dużo pieniędzy, Luigi - setek tysięcy dolarów. Nie wierzę, że Anima miała tyle drobnych.

- Czyli zakładasz, że od kogoś dostał pieniądze - podsumował Donati, z wprawą nawijając spaghetti na widelec. - Na przykład od Ojca Świętego.

- Pieniądze musiały skądś pochodzić.

Donati odłożył widelec i złożył w zamyśleniu ręce.

- Pewne fakty wskazują na to, że biskup Hudal rzeczywiście otrzymywał od Watykanu fundusze na opłacenie pracy na rzecz uchodźców.

- To nie byli uchodźcy, Luigi. Przynajmniej nie wszyscy. Wielu z nich dopuściło się potwornych zbrodni. I Pius nie miał pojęcia, że Hudal pomagał zbrodniarzom wojennym uniknąć sprawiedliwości - to chcesz mi wmówić?

- Powiedzmy, że w oparciu o dostępne nam dowody z dokumentów oraz wypowiedzi ocalałych świadków bardzo trudno byłoby taki zarzut udowodnić.

- Nie wiedziałem, Luigi, że studiowałeś prawo kanoniczne. - Gabriel powtórzył pytanie powoli, kładąc nacisk na odpowiednie słowa: - Czy papież wiedział, że Hudal pomagał zbrodniarzom wojennym uniknąć sprawiedliwości?

- Jego Świątobliwość był przeciwny procesom norymberskim, ponieważ uważał, że służyły tylko dalszemu osłabieniu Niemiec i ośmiały komunistów. Sądził też, że aliantom chodziło o zemstę, a nie o sprawiedliwość. Bardzo możliwe, że Ojciec Święty wiedział, iż biskup Hudal pomaga nazistom, oraz że na to przyzwalał. Jednak udowodnienie tej zgody to zupełnie inna sprawa. - Donati wycelował zęby widelca w nietknięte spaghetti Gabriela. - Jedz, zanim ostygnie.

- Niestety, zupełnie straciłem apetyt.

Donati wbił widelec w makaron Gabriela.

- Więc co też przypisuje się temu Radkowi?

Gabriel przedstawił mu pokrótce przebieg błyskotliwej kariery Sturmbannführera SS Ericha Radka, zaczynając od jego pracy w Centralnym Biurze do spraw Emigracji Żydowskiej w Wiedniu, a kończąc na dowodzeniu Aktion 1005. Gdy Gabriel skończył, Donati też już stracił apetyt.

- Czy oni naprawdę sądzili, że można ukryć tak wielką zbrodnię?

- Nie wiem, ale na pewno w dużej mierze im się to udało. Przez takich jak Radek nigdy nie dowiemy się, ilu ludzi naprawdę zginęło w Szoah.

Donati przez chwilę delectował się winem.

- Co chcesz wiedzieć o pomocy udzielonej Radkowi przez Hudalą?

- Możemy założyć, że Radkowi potrzebny był paszport. W tym celu Hudal zwróciłby się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Chcę znać nazwisko, które widniało na tym paszporcie. Radek musiał też dokądś uciec. Potrzebował wizy. - Gabriel przerwał. - Wiem, że to było dawno temu, ale Hudal prowadził notatki, prawda?

Donati powoli skinął głową.

- Osobiste papiery biskupa Hudalą są przechowywane w archiwach Animy. Jak można się spodziewać, zamkniętych.

- Jeśli jest w Rzymie ktoś, kto może uzyskać do nich dostęp, to tylko ty, Luigi.

- Nie możemy ot tak sobie zapukać do Animy i poprosić o pokazanie nam papierów biskupa. Obecny rektor, biskup Theodor Drexler, nie jest głupi. Potrzebujemy jakiegoś wytłumaczenia. Jak to mówią w twoim fachu, przykrywki.

- Mamy przykrywkę.

- Jaka?

- Komisję Historyczną.

- Chcesz, żebyśmy powiedzieli rektorowi, że komisja potrzebuje papierów Hudalą?

- Właśnie.

- A jeśli odmówi?

- Zaczniemy sypać nazwiskami.

- A ty kim będziesz?

Gabriel sięgnął do kieszeni i wyjął laminowaną legitymację ze zdjęciem.

- Szmul Rubenstein, profesor religii porównawczej na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. - Donati oddał Gabrielowi legitymację i pokręcił głową. - Theodor Drexler jest wybitnym teologiem. Będzie chciał cię wciągnąć w dyskusję, pewnie o czymś na temat wspólnych korzeni dwóch najstarszych religii świata zachodniego. Jestem całkowicie pewien, że polegniesz, a biskup przejrzy na wylot twoje małe przedstawienie. - Twoim zadaniem będzie do tego nie dopuścić.

- Przeceniasz mnie, Gabrieliu.

- Zadzwoń do niego, Luigi. Muszę obejrzeć papiery Hudalą.

- Zadzwonię, ale najpierw odpowiedz mi na jeszcze jedno pytanie. Dlaczego?

Usłyszawszy odpowiedź, Donati wystukał na komórce numer i poprosił o połączenie z Animą.

Kościół Santa Maria dell'Anima stoi w Centro Storico, kawałek na zachód od Piazza Navona. Od czterech stuleci był niemieckim kościołem w Rzymie. W olśniewającym grobowcu na prawo od głównego ołtarza leży pochowany Hadrian VI, syn budowniczego okrętów z Utrechtu, ostatni niewłoski papież do czasów Jana Pawła II. Do przyległego seminarium wchodzi się od strony Via della Pace i właśnie tam, na zacienionym, zimnym dziedzińcu spotkali się następnego ranka z biskupem Theodorem Drexlerem.

Ojciec Donati powitał go płynnym niemieckim z włoskim akcentem, po czym przedstawił Gabriela jako „uczonego, profesora Szmula Rubensteina z Uniwersytetu Hebrajskiego”. Drexler wysunął rękę pod takim kątem, że Gabriel nie wiedział, czy ma podać dłoń, czy ucałować pierścień. Po chwili wahania uścisnął rękę mocno i krótko. Była zimna jak marmur w kościele.

Rektor poprowadził ich na górę do skromnego, pełnego książek biura. Sutanna biskupa szeleściła, gdy usadawiał się na największym w pokoju krześle. Jego wielki złoty pektorał błyszczał w promieniach słonecznych wpadających przez wysokie okna. Biskup, niski i okrągły, dobijał siedemdziesiątki. Jego białe jedwabiste włosy otaczały głowę niczym aureola, a policzki miał bardzo różowe. Zawsze uniesione kąciki drobnych ust formowały uśmiech nawet wtedy, kiedy bez wątpienia był niezadowolony. W błękitnych oczach błyszczała inteligencja i protekcyjność. Ta twarz równocześnie uspokajała chorego i wzbudzała bojaźń bożą w grzeszniku. Ojciec Donati miał rację. Gabriel musiał się pilnować.

Donati spędził kilka minut na wymianie z biskupem uprzejmości na temat Ojca Świętego. Drexler poinformował księdza, że modli się o dobre zdrowie papieża, a Donati oświadczył, że Jego Świątobliwość jest bardzo zadowolony z pracy biskupa w Animie. Donati przy każdej sposobności tytułował biskupa Waszą Eminencją. W rozmowie połało się tyle wazeliny, że Gabriel obawiał się, iż Drexler ześlizgnie się z krzesła.

Gdy jednak ojciec Donati podał wreszcie powód ich wizyty w Animie, Drexler wyraźnie spochmurniał, jakby nadciągała burza, choć uśmiech nie opuścił jego twarzy.

- Nie potrafię zrozumieć, jak polemiczne badanie pracy biskupa Hudala na rzecz

niemieckich uchodźców po wojnie może wesprzeć proces pojednania między katolikami i żydami - powiedział po niemiecku miękko, suchym głosem z wiedeńskim akcentem.

- Uczciwe i wyważone badania działań biskupa Hudala wykazałyby, że pomógł również wielu Żydom.

Gabriel uznał, że nadszedł czas, by uczony profesor z Uniwersytetu Hebrajskiego wtrącił się do rozmowy.

- Czy to znaczy, Wasza Eminencjo, że podczas łapanek w Rzymie biskup Hudal ukrywał Żydów?

- Przed łapanką i po niej. W murach Animy mieszkało wielu Żydów. Rzecz jasna ochrzczonych.

- A co z tymi, którzy nie byli ochrzczeni?

- Nie mogli się przecież schronić tutaj. To byłoby niewłaściwe. Odsyłano ich w inne miejsca.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Eminencjo, ale jak odróżnić Żyda ochrzczonego od nieochrzczonego?

Ojciec Donati założył nogę na nogę i ostrożnie wyprostował zgniecenie na nogawce - sygnął, żeby przerwać i zostawić ten wątek w spokoju. Biskup wziął głęboki oddech i odparł:

- Wystarczyło zadać parę prostych pytań o kwestie wiary i doktryny katolickiej. Albo poprosić o wyrecytowanie *Ojcze Nasz* lub *Zdrowaś Mario*. Zwykle dość szybko okazywało się, kto mówił prawdę, a kto kłamał tylko po to, żeby znaleźć schronienie w seminarium.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi, wieńcząc powodzeniem próby ojca Donatego, by zakończyć tę wymianę zdań. Do pokoju wszedł młody nowicjusz, niosąc tacę. Nalał Gabrielowi i Donatiemu herbaty. Biskup dostał tylko gorącą wodę z cienkim plasterkiem cytryny.

Gdy chłopiec wyszedł, Drexler zapytał:

- Ale pana z pewnością nie interesują wysiłki biskupa Hudala, by uchronić Żydów przed nazistami, prawda, profesorze Rubenstein? Chodzi panu o pomoc udzieloną po wojnie niemieckim oficerom?

- Nie niemieckim oficerom. Poszukiwanym zbrodniarzom wojennym z SS.

- Nie wiedział, że byli zbrodniarzami.

- Obawiam się, że nawet przy najlepszych chęciach nie da się go obronić, Wasza Eminencjo. Biskup Hudal był zagorzałym antysemitą i poplecznikiem Hitlera. Logika nakazywałaby przypuszczać, że po wojnie ochoczo pomagał Niemcom i Austriakom, niezależnie od popełnionych przez nich zbrodni.

- Jego sprzeciw wobec Żydów miał podłoże teologiczne, a nie społeczne. Jeśli chodzi o popieranie reżimu hitlerowskiego, nic nie mam na jego obronę. Biskupa Hudala potępiają jego własne słowa i teksty.

- Oraz samochód - dodał Gabriel, wykorzystując dane z teczki Moszego Riwlina. - Na limuzynie biskupa Hudala powiewała flaga Rzeszy. Wcale nie ukrywał, z kim sympatyzuje.

Sącząc wodę z cytryną, Drexler zwrócił lodowate spojrzenie w stronę Donatiego.

- Jak wielu innych duchownych mam pewne obawy związane z mianowaną przez Ojca Świętego Komisją Historyczną, ale z szacunku dla Jego Świątobliwości zatrzymuję je dla siebie. Widzę, że Anima została wzięta pod mikroskop. Muszę położyć temu kres. Nie pozwolę, by reputacja tej wspaniałej instytucji została zbrukana błotem historii.

Monsignore Donati przez chwilę przyglądał się w zamyśleniu nogawce spodni, po czym podniósł wzrok. Pomimo pozorów spokoju, w głębi duszy papieski sekretarz kipiał z wściekłości na bezczelność rektora. Biskup zadał pchnięcie, Donati miał właśnie zamiar je odparować. Udało mu się jakimś sposobem utrzymać głos na poziomie szeptu.

- Niezależnie od pańskich obaw w tej sprawie, Wasza Eminencjo, życzeniem Ojca Świętego jest, by umożliwić profesorowi Rubensteinowi dostęp do dokumentów biskupa Hudala.

W pokoju zapadła głęboka cisza. Drexler bawił się pektorałem, zastanawiając się, jak wybrnąć z sytuacji. Nie było wyjścia - poddanie się to jedyne honorowe rozwiązanie. Przewrócił swojego króla.

- Nie chcę dyskutować ze zdaniem Jego Świątobliwości. Nie zostawia mi pan, monsignore Donati, innego wyboru, niż współpracować.

- Ojciec Święty wam tego nie zapomni, Eminencjo.

- Ja też będę o tym pamiętał.

Donati uśmiechnął się ironicznie.

- Rozumiem, że osobiste papiery biskupa znajdują się wciąż tutaj, w Animie.

- Tak jest. Przechowujemy je w archiwach. Znalezienie wszystkich i uporządkowanie w taki sposób, żeby uczony pokroju profesora Rubensteina mógł je zrozumieć, zajmie parę dni.

- To bardzo miło z waszej strony, Eminencjo - powiedział monsignore Donati - ale chcemy zobaczyć je teraz.

\*

Rektor poprowadził ich na dół po spiralnych kamiennych schodach. Wysłużone stopnie były śliskie jak lód. U stóp schodów stały ciężkie, obite żelazem dębowe drzwi.



Zbudowano je tak, by mogły wytrzymać uderzenia tarana, ale nie miały szans w starciu ze sprytnym weneckim księdzem i „profesorem” z Jerozolimy.

Biskup Drexler przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi pchnięciem ramienia. Macał przez chwilę w ciemności, po czym z krótkim, donośnym pstryknięciem wcisnął przełącznik. Na suficie, szumiąc i brzęcząc, rozbłysł rząd lamp i oświetlił długie podziemne przejście z łukowatym sufitem. Skinieniem ręki biskup nakazał im iść przed siebie.

Archiwum zbudowano na potrzeby ludzi niskich. Drobny biskup szedł korytarzem wyprostowany. Gabriel jedynie lekko schylił głowę, żeby nie zahaczyć o lampy, ale monsignore Donati, któremu niewiele brakowało do dwóch metrów, musiał zgiąć się w talii jak ktoś dotknięty poważnym skrzywieniem kręgosłupa. Tu spoczywała połączona pamięć Animy i seminarium, czterysta lat dowodów chrztów, aktów małżeństwa i informacji o śmierci. Zapiski służących tu księży i uczących się w obrębie murów seminarium studentów. Część dokumentów zamknięto w szafkach z sosnowego drewna, niektóre leżały w skrzyniach albo zwyczajnych kartonach. Nowsze materiały trzymano w nowoczesnych plastikowych segregatorach. Zapach wilgoci i zgnilizny był wszechogarniający. Z którejś ze ścian dobiegało kapanie wody. Gabriel wiedział co nieco o niszczącym wpływie zimna i wilgoci na papier i nagle stracił wiarę, że znajdą papiery biskupa Hudala w nienaruszonym stanie.

Przy końcu korytarza znajdowała się niewielka, przywodząca na myśl katakumby komnata. Stało w niej kilka dużych, zabezpieczonych zardzewiałymi kłódkami skrzyń. Biskup Drexler miał ze sobą pęk kluczy. Spróbował otworzyć jeden z zamków. Klucz nie chciał się obrócić. Zmagał się przez chwilę z kłódką, nim poddał się i przekazał klucze „profesorowi Rubensteinowi”, który nie miał żadnych kłopotów z jej otwarciem. Przez chwilę biskup krążył wokół nich i oferował pomoc w poszukiwaniach dokumentów. Ojciec Donati poklepał go w ramię i powiedział, że dadzą sobie radę sami. Niski, tęgi biskup przeżegnał się i podreptał powoli wzdłuż łukowatego korytarza.

\*

Znalazł je Gabriel, po dwóch godzinach. Erich Radek przybył do Animy 3 marca 1948 roku. Dwudziestego czwartego maja Papieska Rada Pomocy, watykańska organizacja pomagająca uchodźcom, wydała Radkowi dokument tożsamości o numerze 9645/99 na fałszywe nazwisko - Otto Krebs, Tego samego dnia, z pomocą biskupa Hudala, Otto Krebs wykorzystał swój watykański dowód osobisty do zdobycia paszportu Czerwonego Krzyża. Tydzień później wydano mu wizę wjazdową do Arabskiej Republiki Syrii. Za otrzymane od biskupa Hudala pieniądze kupił bilet drugiej klasy i pod koniec czerwca wypłynął z Genui. Krebs miał ze sobą pięćset dolarów. Hudal zachował pokwitowanie z podpisem Radka.

Ostatnią rzeczą w teczce był list z syryjskim znaczkiem i stemplem z Damaszku, zawierający podziękowanie biskupowi Hudalowi i Ojcu Świętemu za pomoc oraz obietnicę, że pewnego dnia dług zostanie spłacony. Podpis brzmiał: Otto Krebs.

Biskup Drexler przesłuchał po raz ostatni nagranie na taśmie, po czym wykręcił numer telefonu w Wiedniu.

- Obawiam się, że mamy problem.

- Jaki problem?

Drexler opowiedział mężczyźnie w Wiedniu o porannych gościach Animy: o monsignore Donatim i profesorze z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie.

- Jak się przedstawił?

- Rubenstein. Twierdził, że jest naukowcem pracującym w Komisji Historycznej.

- Żaden z niego naukowiec.

- Domyśliłem się, ale sytuacja raczej nie pozwalała mi na zakwestionowanie jego szczerości. Monsignore Donati to bardzo potężny człowiek w Watykanie. Jest tylko jedna osoba potężniejsza niż on - heretyk, dla którego pracuje.

- Czego szukali?

- Dokumentacji na temat pomocy udzielonej pewnemu austriackiemu uchodźcy przez biskupa Hudala.

Zapadła cisza. Mężczyzna zadał następne pytanie dopiero po dłuższej chwili.

- Wyszli z Animy?

- Tak, jakąś godzinę temu.

- Dlaczego pan tyle zwlekał z telefonem?

- Myślałem, że dostarczę panu kilku pożytecznych informacji.

- Może pan?

- Tak, tak sędzę.

- Słucham.

- Profesor zatrzymał się w Hotelu Kardynalskim na Via Giulia. Zameldowany jest pod nazwiskiem René Duran. Ma paszport kanadyjski.

\*

- Chcę, żeby odebrał pan zegar w Rzymie.

- Kiedy?

- Natychmiast.

- Skąd dokładnie?

- W Hotelu Kardynalskim przy Via Giulia zatrzymał się pewien człowiek. Zameldowany jest jako René Duran, ale czasem przedstawia się jako Rubenstein.

- Jak długo zostanie w Rzymie?

- Nie jestem pewny, dlatego właśnie musi pan działać natychmiast. Za dwie godziny odlatuje do Rzymu samolot Al-Italia. Zarezerwowano na pana nazwisko miejsce w pierwszej klasie.

- Jeśli lecę samolotem, nie mogę wziąć potrzebnych mi narzędzi. Ktoś musi mi je dostarczyć na miejscu.

- Znam kogoś w sam raz - podał numer telefonu, który Zegarmistrz zapamiętał. - Jest w pełni profesjonalny i, co najważniejsze, bardzo dyskretny. Inaczej bym pana do niego nie wysyłał.

- Czy ma pan zdjęcie pana Durana?

- Zaraz powinno przyjść faksem.

Zegarmistrz odwiesił słuchawkę i zgasił światła w przedniej części sklepu. Wszedł do swojego warsztatu i otworzył szafkę. Wewnątrz leżała niewielka torba podróżna z ubraniami na zmianę i przyborami do golenia. Odezwał się faks. Zegarmistrz założył płaszcz i kapelusz, podczas gdy z maszyny zaczęła stopniowo wyłaniać się twarz martwego człowieka.

Następnego ranka Gabriel usiadł przy stoliku w kawiarni Doney, żeby wypić kawę. Po półgodzinie do środka wkroczył mężczyzna i poszedł do baru. Miał włosy koloru stali, a policzki znaczyły krosty. Jego ubranie było drogie, ale znoszone. Nie gasząc papierosa, wypił błyskawicznie dwa espresso. Gabriel spuścił oczy na swój egzemplarz „La Repubblica” i uśmiechnął się. Szymon Pazner był rzymskim przedstawicielem biura już od pięciu lat, ale mimo to nie stracił szorstkiego wyglądu osadnika z pustyni Negew.

Pazner zapłacił rachunek i poszedł do łazienki. Gdy znów się pojawił, był w okularach przeciwsłonecznych - na znak, że spotkanie może się zacząć. Wyszedł przez obrotowe drzwi, zatrzymał na chodniku Via Veneto, po czym skręcił w prawo i pomaszerował przed siebie. Gabriel zostawił pieniądze i poszedł za nim.

Pazner przeciął Corso d'Italia i wszedł do Villa Borghese. Gabriel ruszył dalej wzdłuż Corso i wszedł do parku w innym miejscu. Spotkał Paznera na wysadzanym drzewami alejce. Przedstawił się jako René Duran z Montrealu. Razem udali się w stronę Gallerii. Pazner zapalił papierosa.

- Wieść niesie, że nieźle ci ostatnio dopiekli w Alpach.  
- Wieści szybko się rozchodzą.  
- Wiesz, że biuro jest jak koło gospodyń wiejskich. Masz poważny problem. Lew wydał polecenie: Allon idzie w odstawkę. Jeśli przyjdzie do ciebie Allon, masz go wyrzucić za drzwi. - Pazner splunął. - Przyszedłem tu ze względu na Starego, a nie na ciebie, monsieur Duran. Mam nadzieję, że przyniosłeś mi coś ciekawego.

Usiedli na marmurowej ławeczce na dziedzińcu Galleria Borghese. Spoglądali w przeciwnych kierunkach, wypatrując obserwatorów. Gabriel opowiedział Paznerowi o esesmanie Erichu Radku, który udał się do Syrii jako Otto Krebs.

- Nie pojechał do Damaszku, żeby studiować historię starożytną - stwierdził Gabriel. - Syryjczycy mieli powód, żeby go przyjąć. Jeśli współpracował z władzami, może w dokumentach pojawi się jakaś wzmianka.

- Czyli chcesz, żebyśmy rozpoczęli poszukiwania i sprawdzili, czy nie znajdzie się w

Damaszku?

- Tak jest.

- A jak według ciebie mam zarządzić poszukiwania, żeby Lew i Wydział Bezpieczeństwa się nie zorientowali?

Gabriel spojrzął na niego tak, jakby uznał pytanie za obraźliwe. Pazner zrejterował.

- No dobrze, załóżmy, że w Wydziale Badań jest jedna dziewczyna, która na moją prośbę mogłaby po cichu przejrzeć dokumenty.

- Tylko jedna dziewczyna?

Pazner wzruszył ramionami i rzucił na ziemię papierosa.

- Wciąż uważam, że to strzał w ciemno. Gdzie mieszkasz?

Gabriel powiedział mu.

- Na północnym skraju Campo dei Fiori, obok fontanny, jest restauracja La Carbonara.

- Znam.

- Przyjdź tam o ósmej. Zarezerwuję stolik na wpół do dziewiątej na nazwisko Brunacci. Jeśli rezerwacja będzie na dwie osoby, to znaczy, że twój pomysł nie wypalił. Jeśli na cztery, pójdź na Piazza Farnese.

\*

W ogródku kawiarni na małym zacienionym placyku po drugiej stronie Tybru, nieopodal Bramy Świętej Anny, siedział Zegarmistrz i sączył cappuccino. Przy sąsiednim stoliku żywo dyskutowało dwóch ubranych w sutanny księży. Chociaż Zegarmistrz nie mówił po włosku, zgadywał, że to watykańscy urzędnicy. Garbaty kot wcisnął się między jego nogi, żebrząc o jedzenie. Zegarmistrz złapał zwierzaka między kostki i ścisnął coraz mocniej, aż dachowiec wydobył z siebie stłumione miauknięcie i czmychnął. Księża spojrzeli z dezaprobatą. Zegarmistrz zostawił na stoliku pieniądze i odszedł. Pomyśleć tylko, koty w kawiarni. Nie mógł się doczekać, kiedy załatwi interes w Rzymie i będzie mógł wrócić do Wiednia.

Przeszedł wzdłuż kolumnady Berniniego, po czym zatrzymał się na krótką chwilę, żeby spojrzeć wzdłuż Via della Conciliazione na Tyber. Jakiś turysta wyciągnął w jego stronę jednorazowy aparat i poprosił w nierozszyfrowywalnym słowiańskim języku o zrobienie mu zdjęcia na tle Watykanu. Austriak wskazał bez słowa na zegarek, sygnalizując, że jest spóźniony, po czym się odwrócił.

Zaraz za końcem kolumnady przeciął duży hałaśliwy plac. Nosił imię obecnego papieża. Zegarmistrza nie obchodziło praktycznie nic poza zegarami, ale słyszał, że Jego Świątobliwość był postacią dość kontrowersyjną. Cała sprawa raczej bawiła Austriaka. To co

z tego, że nie pomógł w czasie wojny Żydom? Od kiedy to zadaniem papieża jest bronić Żydów? W końcu są wrogami Kościoła.

Skręcił w wylot wąskiej uliczki prowadzącej z Watykanu do stóp wzgórza parku Janiculum, wzdłuż której stały domy pokryte pyłem koloru ochry. Stąpając po popękanych chodniku, Zegarmistrz rozglądał się w poszukiwaniu otrzymanego rano przez telefon adresu. Znalazł go wreszcie, ale zawahał się przed wejściem. Na zabrudzonej szybie widniały namalowane słowa: ARTICOLI RELIGIOSI. Pod nimi znajdowało się nazwisko: GIUSEPPE MONDLANI. Zegarmistrz spojrział na skrawek papieru, na którym zapisał adres. Via Borgo Santo Spirito 22. Przyszedł we właściwe miejsce.

Przyłożył twarz do szyby. Znajdujące się po drugiej stronie pomieszczenie zastawione było krucyfikami, figurkami Najświętszej Pani, rzeźbami świętych, różańcami i medalikami. Wszystkie miały certyfikat, że zostały osobiście poświęcone przez *il papa*. Cały pokój przykrywała cienka warstwa przypominającego mąkę pyłu z ulicy. Mimo że Zegarmistrz pochodził z bardzo katolickiej austriackiej rodziny, zastanawiał się, co mogło zmusić kogoś do modlenia się do posągu. Nie wierzył już w Boga ani w Kościół, tak jak nie wierzył w przeznaczenie, boską interwencję, życie po śmierci ani przypadek. Według niego ludzie sami sterowali swoim losem, tak jak mechanizm zegara sterował wskazówkami.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Odezwał się mały dzwoneczek. Z zaplecza wyłonił się mężczyzna, ubrany w złocistożółty sweter bez koszuli pod spodem i niestrzymające kantów spodnie z gabardyny. Cienkie, rzadkie włosy utrzymywał na swoim miejscu przy użyciu wosku. Nawet z odległości kilku kroków Zegarmistrz wyczuwał zapach ordynarnej wody kolońskiej. Zastanawiał się, czy Watykan wiedział, że pochodzące stamtąd artykuły religijne sprzedawała tak odrażająca kreatura.

- W czym mogę pomóc?

- Szukam signora Mondianiego.

Włoch skinął głową, dając do zrozumienia, że Zegarmistrz znalazł, kogo szukał. Mdły uśmiech ukazał braki w jego uzębieniu.

- Pan pewnie jest tym dżentelmenem z Wiednia - powiedział Mondiani. - Rozpoznaję pański głos.

Wyciągnął dłoń. Tak jak Austriak się obawiał, była gąbczasta i wilgotna. Mondiani zamknął drzwi na klucz i powiesił na drzwiach tabliczkę, głoszącą po włosku i po angielsku, że sklep jest nieczynny. Następnie poprowadził Zegarmistrza przez drzwi i po skrzypiących drewnianych schodach do niewielkiego pokoju na piętrze. Zastłony były zasunięte, a w powietrzu unosił się mocny zapach kobiecych perfum zmieszany z czymś innym, kwaśnym i

przywodzącym na myśl amoniak. Mondiani wskazał kanapę.

Zegarmistrz spojrział na nią i mignął mu przed oczami pewien obraz. Nie usiadł. Mondiani wzruszył wąskimi ramionami - jak pan sobie życzy.

Włoch usiadł przy biurku, poukładał trochę papierów i przyglądził nienaturalnie ufarbowane na czarno i pomarańczowo włosy. Łysiejący Zegarmistrz z czarno-siwą grzywką najwyraźniej sprawiał, że czuł się jeszcze bardziej onieśmielony niż zwykle.

- Pański kolega z Wiednia powiedział, że potrzebna będzie panu broń. - Mondiani otworzył szufladę biurka i wyjął z niej ciemny, gładki przedmiot o metalicznym połysku. Położył go na poplamionym kawałku biurka ostrożnie, jak cenną relikwię. - Mam nadzieję, że przypadnie panu do gustu.

Zegarmistrz wyciągnął rękę. Mondiani wsunął mu pistolet w dłoń.

- Jak pan widzi, to dziewięćmilimetrowy glock. Zapewne zna się pan na glockach. W końcu to austriacka broń.

Zegarmistrz oderwał wzrok od pistoletu.

- Czy tak jak resztę towarów, Ojciec Święty pobłogosławił też broń?

Z ponurej twarzy Mondianiego można było wywnioskować, że uwaga go nie rozbawiła. Sięgnął po raz drugi do szuflady i wyjął pudełko z amunicją.

- Czy chce pan drugi magazynek?

Zegarmistrz nie miał zamiaru brać udziału w strzelaniu, ale zawsze lepiej się czuł z zapasową amunicją w tylnej kieszeni. Skinął głową. Na blacie pojawiło się drugie pudełko.

Zegarmistrz rozerwał opakowanie i zaczął wkładać kule do magazynków. Mondiani spytał, czy potrzebuje tłumika. Zegarmistrz skinął głową, nie podnosząc wzroku.

- W przeciwieństwie do broni, nie wyprodukowano go w Austrii. Zrobiony tutaj - powiedział Mondiani z wyraźną dumą w głosie. - We Włoszech. Bardzo skuteczny. Pistolet wyda przy strzale ledwie cichy szmer.

Zegarmistrz przyłożył tłumik do prawego oka i zajrzał do środka. Zadowolony z wykończenia, położył go obok pozostałych przedmiotów na biurku.

- Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś?

Zegarmistrz przypomniał signorowi Mondianiemu, że prosił o motocykl.

- Ach tak, *motorino* - odparł Mondiani, podnosząc w górę kluczyki. - Stoi przed sklepem. Dwa kaski w różnych kolorach, tak jak pan prosił. Wybrałem czarny i czerwony. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony.

Zegarmistrz spojrział na zegarek. Mondiani zrozumiał wskazówkę i zaczął działać trochę szybciej. Pogryzionym ołówkiem sporządził w notesie rachunek.



- Broń jest czysta i nie ma jak jej namierzyć - oznajmił, szurając ołówkiem po papierze. - Proponuję, żeby wyrzucił ją pan po wszystkich do Tybru. Polizia di Stato nigdy jej nie znajdzie.

- A motocykl?

- Kradziony - wyjaśnił Mondiani. - Zostawi go pan gdzieś z kluczykami w stacyjce, na przykład na ruchliwym placu. Po paru minutach z pewnością znajdzie nowy dom.

Mondiani zakreślił ostateczną sumę i obrócił notatnik w stronę Zegarmistrza. Dzięki Bogu rachunek był w euro. Mimo że sam robił międzynarodowe interesy, Zegarmistrz wprost nienawidził zawierania transakcji w lirach.

- To trochę zbyt wygórowana cena, czyż nie, signor Mondiani?

Mondiani wzruszył ramionami i posłał mu kolejny odrażający uśmiech. Zegarmistrz podniósł tłumik i ostrożnie nakręcił go na lufę.

- Ta opłata - Zegarmistrz popukał w notatnik palcem wolnej ręki - to za co?

- To moja prowizja. - Mondiani nawet nie mrugnął okiem.

- Każe mi pan zapłacić za tego glocka trzy razy więcej, niż zapłaciłbym w Austrii. To, signor Mondiani, jest pańska prowizja.

Mondiani złożył ręce na piersi.

- Tak się załatwia sprawy we Włoszech. Chce pan broń czy nie?

- Chcę - odparł Zegarmistrz - ale po przyzwoitej cenie.

- Obawiam się, że takie są teraz ceny w Rzymie.

- Dla wszystkich, czy tylko dla przyjezdnych?

- Chyba będzie lepiej, jeśli pójdzie pan ze swoimi interesami do kogo innego. - Mondiani wyciągnął trzęsącą się rękę. - Proszę oddać mi broń i wyjść.

Zegarmistrz westchnął. Może tak było lepiej. Pomimo zapewnień człowieka z Wiednia, Mondiani nie wzbudził jego zaufania. Austriak sprawnym ruchem wsunął do glocka magazynkę i załadował do komory pierwszy pocisk. Signor Mondiani podniósł ręce, próbując się osłonić. Pociski przeszły jego dłonie i utkwily w twarzy. Wychodząc z biura, Zegarmistrz zdał sobie sprawę, że Mondiani przynajmniej jedno powiedział szczerze. Pistolet przy strzale wydał ledwie cichy szmer.

\*

Wyszedł ze sklepu i zamknął za sobą drzwi na klucz. Było prawie zupełnie ciemno; kopuła bazyliki wtopiła się już w nocne niebo. Włożył kluczyki w stacyjkę motocykla i odpalił silnik. Chwilę później mknął po Via della Conciliazione w stronę szaro-brązowych murów Castel San Angelo. Przejechał nad Tybrem, po czym lawirował po wąskich uliczkach

Centro Storico, aż dotarł do Via Giulia.

Zaparkował przed Hotelem Kardynalskim, zdjął kask i wszedł do holu. Skreślił w prawo i wkroczył do małego, przypominającego katakumby baru ze ścianami obłożonymi rzymskim granitem. Zamówił u barmana colę - był pewien, że potrafił to zrobić, nie zdradzając austriacko-niemieckiego akcentu - i usiadł ze szklanką przy małym stoliku w korytarzu prowadzącym z holu do baru. Dla zabicia czasu jadł orzeszki pistacjowe i przeglądał stosik włoskich gazet. O siódmej trzydzieści z windy wysiadł mężczyzna: krótkie ciemne, posiwiałe na skroniach włosy, bardzo zielone oczy. Zostawił w recepcji klucz i wyszedł na ulicę.

Zegarmistrz dopił colę i ruszył za nim. Wsiadł na *motorino* pana Mondianiego i uruchomił silnik. Na kierownicy wisiał czarny kask. Zegarmistrz wyjął z tylnego schowka czerwony i założył go. Czarny schował do bagażnika i zamknął wieko.

Podniósł wzrok i przez chwilę patrzył, jak sylwetka zielonookiego mężczyzny powoli znika w ciemnościach ogarniających Via Giulia. Dodał gazu i pojechał wolno za nim.

Stolik w La Carbonarze zarezerwowany był dla czworga. Gabriel ruszył więc na Piazza Farnese. Obok ambasady francuskiej czekał na niego Pazner. Poszli do Al Pompiere i zajęli dyskretny stolik z tyłu restauracji. Pazner zamówił czerwone wino i polentę, po czym wręczył Gabrielowi białą kopertę.

- Zajęło to chwilę - powiedział Pazner - ale wreszcie znaleźli wzmiankę o Krebsie w raporcie na temat pewnego nazisty, Aloïsa Brunnera. Wiesz coś o Brunnerze?

- Jeden z pomocników Eichmanna - odparł Gabriel - ekspert od wywózek, wyjątkowo sprawny w sztuce zapędzania Żydów do gett, a później do komór gazowych. Współpracował z Eichmannem przy deportacji austriackich Żydów. Później, w czasie wojny, zajmował się wywózkami z Salonik i z Vichy we Francji.

Pazner był pod wrażeniem. Nadział na widelec kawałek polenty.

- A po wojnie uciekł do Syrii, gdzie żył jako George Fischer, konsultant dyktatury. Współczesne syryjskie służby wywiadowcze to na dobrą sprawę dzieło Aloïsa Brunnera.

- Czy Krebs pracował dla niego?

- Na to wygląda. Otwórz kopertę. A, przy okazji, traktuj ten raport z należnym mu szacunkiem. Człowiek, który go napisał, zapłacił za to bardzo wysoką cenę. Spójrz na jego kryptonim. „Menasze” był to kryptonim legendarnego izraelskiego szpiega, Eliego Cohena. Urodził się w Egipcie w 1924 roku, a w 1957 wyemigrował do Izraela, gdzie natychmiast zgłosił się do pracy w wywiadzie. Testy psychologiczne dały mieszane wyniki. Tworzący jego profil lekarze stwierdzili, że jest wysoce inteligentny i obdarzony niezwykle pamięcią do szczegółów. Ale odkryli również niebezpiecznie „przesadne mniemanie o sobie” i przedstawili prognozę, że Cohen może podejmować w terenie niepotrzebne ryzyko.

Akta Cohena leżały pokryte kurzem do 1960 roku, kiedy zwiększające się na granicy z Syrią napięcie sprawiło, że izraelski wywiad zaczął rozpaczliwie potrzebować szpiega w Damaszku. Długie badania kandydatów nie dały zadowalających rezultatów, rozszerzono je więc także na tych, którzy zostali z różnych powodów odrzuceni. Znow otwarto teczkę Cohena. Wkrótce został przygotowany do przyjęcia zadania, które zakończyło się jego

śmiercią.

Po sześciu miesiącach intensywnego szkolenia Cohen jako Kamal Amin Dabit pojechał do Argentyny w celu stworzenia przykrywki: syryjski biznesmen, któremu się powiodło, mieszkał przez całe życie za granicą i postanowił na starość wrócić do ojczyzny. Pochlebstwami wkręcił się w społeczność mieszkających na obczyźnie Syryjczyków w Buenos Aires i zawarł wiele przydatnych znajomości - włączając w to majora Amina al-Hafeza, który pewnego dnia miał zostać prezydentem Syrii.

W styczniu 1962 roku Cohen przeniósł się do Damaszku i otworzył przedsiębiorstwo handlu międzynarodowego. Miał listy polecające od Syryjczyków z Buenos Aires, dzięki którym szybko stał się popularną postacią w politycznych i społecznych kręgach Damaszku, zaprzyjaźniając się z wysokimi rangą oficerami i ważnymi osobistościami z rządzącej partii BAAS. Wojskowi zabierali Cohena na przejażdżki po obiektach wojskowych, a nawet pokazywali mu strategiczne umocnienia wzgórz Golan. Gdy major al-Hafez został prezydentem, zaczęto spekulować, że Kamal Amin Dabit ma szansę na miejsce w rządzie, może nawet w Ministerstwie Obrony.

Syryjski kontrwywiad nie miał pojęcia, że życzliwy Dabit to w rzeczywistości izraelski szpieg, wysyłający raporty do swoich przełożonych po drugiej stronie granicy. Pilne doniesienia przekazywał po zakodowaniu przez radio, używając alfabetu Morse'a. Bardziej szczegółowe raporty pisał atramentem sympatycznym i ukrywał w skrzyniach z damasceńskimi meblami, które następnie wysyłano do izraelskich przykrywek w Europie. Informacje wywiadowcze Cohena dały strategom z Tel Awiwu wyjątkowo dobry ogląd sytuacji politycznej i wojskowej w Damaszku.

W końcu prognozy na temat umiłowania Cohena do podejmowania ryzyka okazały się słuszne. Rozzuchwalił się w sposobie używania radia - nadawał każdego ranka o tej samej porze lub przekazywał po kilka informacji dziennie. Wysyłał pozdrowienia dla rodziny i rozpaczał nad przegraną Izraela w meczu piłki nożnej. Syryjskie służby bezpieczeństwa zaczęły szukać izraelskiego szpiega w Damaszku, używając najnowszego radzieckiego sprzętu do namierzania radiostacji. Znaleźli go 18 stycznia 1965 roku, wdarłszy się do mieszkania Cohena w momencie, gdy wysyłał wiadomość do swoich przełożonych w Izraelu. Egzekucję przez powieszenie w maju 1965 transmitowała na żywo syryjska telewizja.

Gabriel przeczytał pierwszy raport w świetle drżącego płomyka stojącej na stoliku świecy. Wysłano go przez Europę w maju 1963 roku. W dokładnym opisie polityki wewnętrznej i intryg w partii Baas znajdował się akapit poświęcony Aloisowi Brunnerowi.

„Spotkałem «Herr Fischera» podczas przyjęcia wydawanego przez ważną osobę z

partii Baas. Herr Fischer nie był w najlepszej formie, gdyż niedawno stracił w Kairze kilka palców na skutek eksplozji przesłanej mu pocztą bomby. Zwał próbę zamachu na jego życie na mściwe żydowskie śmiecie z Tel Awiwu. Twierdził, że jego praca w Egipcie wyrówna z nawiązką rachunki z izraelskimi agentami, którzy próbowali go zamordować. Herr Fischerowi towarzyszył tego wieczoru człowiek o nazwisku Otto Krebs. Był wysoki i miał niebieskie oczy. W przeciwieństwie do Brunnera miał bardzo germański wygląd. Pił dużo whisky i wyglądał na łatwy cel, na kogoś, kogo łatwo zaszantażować bądź też zmienić jego poglądy w inny sposób".

- I już? - spytał Gabriel. - Raz widziano go podczas przyjęcia?

- Na to wygląda, ale nie miej takiej zawiedzionej miny. Cohen daje ci jeszcze jedną wskazówkę. Zobacz drugi raport.

Gabriel spuścił wzrok i zaczął czytać.

„Widziałem «Herr Fischera» w zeszłym tygodniu podczas przyjęcia w Ministerstwie Obrony. Zapytałem o jego przyjaciela, Herr Krebsa. Powiedziałem mu, że omawialiśmy z Krebsem pewne przedsięwzięcie finansowe i byłem rozczarowany, że nie dał po tym znaku życia. Fischer odparł, że nie ma w tym nic dziwnego, bo Krebs niedawno przeprowadził się do Argentyny".

Pazner nalał Gabrielowi wina do kieliszka.

- Słyszałem, że o tej porze roku w Buenos Aires jest naprawdę przyjemnie.

\*

Rozstali się na Piazza Farnese. Gabriel samotnie ruszył Via Giulia w stronę hotelu. Noc stała się chłodna, a ulica była bardzo ciemna. Głęboka cisza i kamienny bruk pozwoliły mu wyobrazić sobie Rzym sprzed stu pięćdziesięciu lat, z czasów, kiedy Watykan sprawował władzę. Pomyślał też o Erichu Radku, który siedł po tej samej ulicy, czekając na paszport i bilet do wolności.

Ale czy to rzeczywiście Radek był w Rzymie?

Według dokumentów biskupa Hudala Radek przybył do Animy w 1948 roku i wkrótce potem wyjechał jako Otto Krebs. Eli Cohen spotkał „Krebsa" dużo później w Damaszku, w 1963. Potem podobno Krebs przeniósł się do Argentyny. Pozostawało to w oczywistej i prawdopodobnie nierozwiązywalnej sprzeczności z dochodzeniem w sprawie Ludwiga Vogla. Według dokumentów ze Staatsarchiv Vogel od 1946 roku mieszkał w Austrii, pracując dla amerykańskich władz okupacyjnych. Jeśli to prawda, to Vogel i Radek nie mogli być tą samą osobą. Ale jak w takim razie wyjaśnić przekonanie Maksa Kleina, że widział Vogla w Birkenau? Zabraną przez Gabriela z chaty Vogla w Górnej Austrii pierścien?

„1005, gratulacje, Heinrich"...? Zegarek? „Ukochanemu Erichowi, Monica"...? Czy w 1948 przyjechał do Rzymu ktoś inny, udający Ericha Radka? I jeśli tak, to dlaczego?

Tyle pytań, pomyślał Gabriel, i tylko jeden trop: „Fischer odparł, że nie ma w tym nic dziwnego, bo Krebs niedawno przeprowadził się do Argentyny". Pazner się nie mylił. Gabriel nie miał wyboru, musiał kontynuować poszukiwania w Argentynie.

Głęboką ciszę przerwał przypominający brzęczenie owada warkot *motorino*. Gabriel obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak zza rogu wyjeżdża motocykl i skręca w Via Giulia. Pojazd nagle przyspieszył i pomknął prosto w jego stronę. Gabriel zatrzymał się i wyjął ręce z kieszeni. Musiał się zdecydować. Stać w miejscu, jak zwykły rzymianin, czy odwrócić się i uciekać? Po paru sekundach wyboru dokonał za niego motocyklista w kasku, sięgając pod kurtkę i wyjmując pistolet z tłumikiem.

\*

Gabriel dał nura w wąską uliczkę w momencie, gdy broń trzykrotnie splunęła ogniem. Trzy kule uderzyły w narożnik budynku. Gabriel schylił głowę i zaczął biec.

*Motorino* jechało za szybko, żeby kierowca mógł wejść w zakręt. Przemknęło z poślizgiem przed wylotem uliczki, po czym niezgrabnie zatoczyło koło, dając Gabrielowi kilka sekund na wagę złota, pozwalających zwiększyć dystans między nim a napastnikiem. Allon skręcił w prawo, w uliczkę biegnącą równoległe do Via Giulia, a następnie gwałtownie w lewo. Miał zamiar dostać się na Corso Vittorio Emanuele II, jedną z największych rzymskich arterii. Tam był ruch na ulicy i przechodnie na chodnikach, co dawało mu więcej okazji do ukrycia się.

Warkot *motorino* stawał się coraz głośniejszy. Gabriel obejrzał się przez ramię. Motor wciąż jechał za nim i w zastraszającym tempie skracał dystans. Gabriel rzucił się do przodu szaleńczym sprintem, machając rękami w powietrzu, dysząc gwałtownie i nierówno. Oświetlił go reflektor. Zobaczył na bruku własny cień, cień machającego rękami szaleńca.

Na wprost przed nim w uliczkę wjechał drugi motocykl i zatrzymał się z poślizgiem. Kierowca w kasku podniósł broń. A więc tak to wyglądało - pułapka, dwóch morderców, żadnej nadziei na ucieczkę. Czuł się jak czekająca na strącenie kaczka na strzelnicy.

Biegł dalej, prosto w światło. Uniósł ręce, mignęły mu własne dłonie, wykrzywione i napięte, ręce cierpiącej postaci na ekspresjonistycznym obrazie. Zdał sobie sprawę, że krzyczy. Dźwięk odbił się echem od tynków i kamieni otaczających go budynków, wibrował mu w uszach. Nie słyszał już warkotu jadącego za nim motocykla. Mignął mu przed oczami obraz - matka na poboczu polskiej drogi z pistoletem Ericha Radka przy skroni. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że krzyczy po niemiecku. W języku własnych snów. W

języku własnych koszmarów.

Drugi zabójca podniósł broń i uniósł przysłone kasku.

Gabriel usłyszał własne imię.

- Padnij! Padnij, Gabriel!

Zdał sobie sprawę, że to głos Chiary.

Rzucił się na ziemię.

Strzały Chiary przemknęły mu nad głową i trafiły w nadjeżdżające *motorino*. Pojazd stracił równowagę i uderzył w ścianę budynku. Zabójca przeleciał przez kierownicę i poturlał się po bruku. Jego pistolet zatrzymał się o parę metrów od Gabriela. Spróbował go złapać.

- Gabriel! Nie! Zostaw! Szybko!

Podniósł wzrok. Chiara wyciągała rękę w jego stronę. Wsiadł na tył *motorino* i schwycił ją za biodra niczym dziecko. Motocykl z rykiem popędził wzdłuż Corso, w stronę rzeki.

\*

Szamron miał zasadę co do lokali konspiracyjnych. Nie mogło w nich dochodzić do fizycznego zbliżenia agentów przeciwnych płci. Tego wieczoru, w należącym do biura mieszkaniu w północnej części Rzymu, niedaleko zakrętu leniwie płynącego Tybru, Gabriel i Chiara złamali zasadę Szamrona z namiętnością wypływającą ze strachu przed śmiercią. Dopiero potem Gabriel zapytał Chiare, jak go znalazła.

- Szamron powiedział mi, że przyjeżdżasz do Rzymu. Poprosił, żebym cię pilnowała. Oczywiście zgodziłam się. Mam swój interes w tym, żebyś przetrwał.

Gabriel zastanawiał się, jakim cudem nie zauważył, że śledzi go włoska bogini o wzroście metr osiemdziesiąt, ale w końcu Chiara Zoili była świetna w swoim fachu.

- Chciałam dołączyć do ciebie podczas lunchu w Piperino - tym słowom towarzyszył szelmowski uśmiech - ale doszłam do wniosku, że to chyba nie najlepszy pomysł.

- Ile wiesz o całej sprawie?

- Tylko to, że moje najgorsze obawy co do Wiednia się potwierdziły. Może opowiesz mi resztę?

Co też zrobił, zaczynając od wylotu z Wiednia, a kończąc na informacjach otrzymanych tego wieczoru od Szymona Paznera.

- Kto w takim razie wysłał do Rzymu zabójcę?

- Możemy spokojnie przyjąć, że ta sama osoba, która zaplanowała zabójstwo Maksa Kleina.

- Jak cię znaleźli?

Gabriel sam zadawał sobie to pytanie. Jego podejrzenia padły na rumianego austriackiego rektora Animy, biskupa Theodora Drexlera.

- Więc co teraz robimy? - spytała Chiara.

- Robimy?

- Szamron kazał mi cię pilnować. Chcesz, żebym nie usłuchała bezpośredniego rozkazu *Memuneh*?

- Kazał ci pilnować mnie w Rzymie.

- To było otwarte zlecenie - rzuciła wyzywającym tonem.

Gabriel leżał przez chwilę, głaszcząc jej włosy. Rzeczywiście, towarzysz podróży i dodatkowa para oczu mogły się przydać. Tyle że biorąc pod uwagę wchodzące w grę ryzyko, wolałby, żeby to był ktoś inny niż kobieta, którą kochał. Ale z drugiej strony okazała się bardzo dobrym partnerem.

Na stoliku przy łóżku stał podłączony do bezpiecznej linii telefon. Gabriel wykręcił numer w Jerozolimie i wyrwał Moszego Riwlina z głębokiego snu. Riwlin podał mu nazwisko człowieka w Buenos Aires, jego numer telefonu i adres w *barrio* San Telmo. Następnie Gabriel zadzwonił do Aerolíneas Argentinas i zarezerwował dwa bilety pierwszej klasy na lot następnego wieczoru. Odłożył słuchawkę. Chiara oparła policzek na jego piersi.

- W tamtej uliczce, biegnąc w moją stronę, krzychałeś - powiedziała. - Pamiętasz co?

Nie potrafił sobie przypomnieć. Miał wrażenie, jakby się obudził, nie potrafiąc przywołać koszmaru, który zakłócił jego sen.

- Wołałeś ją - oznajmiła Chiara.

- Kogo?

- Swoją matkę.

Przypomniawszy sobie obraz, który przemknął mu przed oczami podczas tej przypominającej halucynację ucieczki przed motocyklistą. Tak, mógł wołać matkę. Od czasu gdy przeczytał świadectwo, nie przestawał o niej myśleć.

- Czy jesteś pewien, że to Erich Radek zamordował w Polsce te biedne dziewczyny?

- Tak pewien, jak tylko można sześćdziesiąt lat po fakcie.

- A jeśli Ludwig Vogel to naprawdę Erich Radek?

Gabriel wyciągnął rękę i zgasił światło.



Via della Pace była zupełnie pusta. Zegarmistrz zatrzymał się pod bramą Animy i wyłączył silnik *motorino*. Wyciągnął trzęsącą się dłoń i nacisnął guzik domofonu. Nikt się nie odezwał. Zadzwoił jeszcze raz. Tym razem odpowiedział mu po włosku młodzieńczy głos. Zegarmistrz po niemiecku poprosił o spotkanie z rektorem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Proszę zadzwonić jutro rano, żeby umówić się na wizytę, wtedy biskup Drexler z przyjemnością się z panem spotka. *Buonanotte, signore*.

Zegarmistrz mocno wcisnął guzik domofonu.

- Poleciał mi tu przyjść przyjaciel biskupa z Wiednia. To bardzo pilne.

- Jak się nazywa?

Zegarmistrz podał nazwisko, które znał.

Chwila ciszy, po której głos powiedział:

- Zaraz zejdę, signore.

Zegarmistrz rozpiął kurtkę i zbadał pomarszczoną ranę tuż pod prawym obojczykiem. Żar pocisku przypalił naczynka krwionośne pod skórą. Z rany nie płynęło wiele krwi, czuł jedynie ostre pulsowanie i dreszcze będące skutkiem wstrząsu i gorączki. Zgadywał, że dostał z broni małego kalibru, najprawdopodobniej 0.22 cala. To nie były pociski, które mogły wywołać poważne obrażenia wewnętrzne. Ale mimo to potrzebował lekarza, który wyjąłby kulę i oczyścił ranę, nim wda się zakażenie.

Podniósł wzrok. Na dziedziniec wyszedł człowiek w sutannie i ostrożnie podszedł do bramy. Nowicjusz, może piętnastoletni, o twarzy anioła.

- Rektor kazał mi powiedzieć, że to nie jest odpowiednia godzina na odwiedzanie seminarium - powiedział chłopiec. - Rektor proponuje, żeby dzisiaj poszukał pan innego miejsca do spania.

Zegarmistrz wyciągnął glocka i wycelował go w anielską twarz.

- Otwieraj bramę. Natychmiast.

\*

- Dobrze, ale dlaczego wysłałeś go tutaj? - Głos biskupa rozbrzmiał nagle głośniejsze,

jakby duchowny przemawiał do zagrożonej grzechem gromady dusz. - Lepiej by było dla wszystkich, gdyby natychmiast wyjechał z Rzymu.

- Nie może podróżować, Theodorze. Potrzebuje lekarza i miejsca, gdzie mógłby odpocząć.

- To akurat widzę. - Jego oczy spoczęły na mężczyźnie o siwo-czarnych włosach i szerokich ramionach cyrkowego siłacza, siedzącego po drugiej stronie biurka. - Ale musisz zdać sobie sprawę z tego, że stawiasz Animę w kompromitującej sytuacji.

- Anima zostanie dużo bardziej skompromitowana, jeśli naszemu przyjacielowi, profesorowi Rubensteinowi, się powiedzie.

Biskup westchnął ciężko.

- Może tu zostać przez dwadzieścia cztery godziny i ani minuty dłużej.

- Znajdziesz mu lekarza? Kogoś dyskretnego?

- Znam kogoś w sam raz. Parę lat temu pomógł mi, gdy jeden z chłopców wdał się w małą utarczkę z rzymskim osiłkiem. Na pewno mogę liczyć na jego dyskrecję w tej sprawie, chociaż ranę postrzałową w seminarium trudno uznać za normalne wydarzenie.

- Na pewno uda ci się znaleźć wyjaśnienie. Masz bardzo bystry umysł, Theodorze. Mogę zamienić z twoim gościem parę słów?

Biskup oddał słuchawkę. Zegarmistrz ujął ją w zakrwawioną dłoń. Spojrzał na duchownego i ruchem głowy odesłał go pospiesznie z jego własnego gabinetu. Zabójca przyłożył telefon do ucha. Człowiek z Wiednia zapytał, co poszło nie tak.

- Nie powiedział mi pan, że cel był chroniony. To poszło nie tak.

Następnie opisał pojawienie się drugiego motocyklisty. Na linii na moment zapadła cisza. Po chwili człowiek z Wiednia odezwał się głosem, w którym słychać było poczucie winy.

- W pośpiechu związanym z wysłaniem pana do Rzymu zapomniałem przekazać panu pewną ważną informację na temat celu. Patrząc na to z perspektywy czasu, stwierdzam, że popełniłem błąd.

- Ważną informację? Jaką ważną informację?

Człowiek z Wiednia przyznał, że cel miał kiedyś powiązania z izraelskim wywiadem.

- Sądząc po wydarzeniach dzisiejszej nocy - oznajmił - należy przypuszczać, że owe powiązania pozostały bardzo silne.

„Na miłość boską - pomyślał Zegarmistrz - izraelski agent?” To nie był drobny szczegół. Nagle ogarnęła go chęć powrotu do Wiednia i zostawienia swojego pracodawcy na lodzie, niech sam posprząta bałagan. Ale zamiast tego postanowił wyciągnąć z całej sprawy

korzyści finansowe. Chodziło mu też o coś więcej. Dotąd nigdy nie zdarzyło się, żeby nie wypełnił warunków umowy. To nie kwestia dumy czy reputacji. Po prostu uważał, że pozostawianie na wolności potencjalnego wroga było złym pomysłem, zwłaszcza wroga powiązanego z wywiadem tak bezwzględny, jak wywiad Izraela. Jego rana znów zaczęła pulsować. Nie mógł się doczekać, kiedy właduje kulę w tego śmierdzącego Żyda. I w jego przyjaciela.

- Moja stawka za zlecenie właśnie wzrosła - oświadczył Zegarmistrz. - Znacznie wzrosła.

- Spodziewałem się tego - odparł człowiek z Wiednia. - Podwoję ją.

- Potroi ją pan - poprawił Zegarmistrz, a człowiek z Wiednia po chwili wahania się zgodził.

- Da pan radę znowu go znaleźć? - chciał wiedzieć Zegarmistrz.

- Mamy nad nim jedną przewagę.

- Jaką?

- Wiemy, jakim idzie tropem, i wiemy, dokąd uda się teraz. Biskup Drexler dopatry, żeby pańska rana została należycie opatrzona. Tymczasem proszę trochę odpocząć. Z pewnością wkrótce się z panem skontaktuję.

Alfonso Ramirez powinien zginąć dawno temu. Był bez wątpienia jednym z najodważniejszych ludzi w Argentynie i w ogóle w całej Ameryce Łacińskiej. Był zaciekle walczącym dziennikarzem i pisarzem, który za cel postawił sobie nadkruszyć mury otaczające Argentynę i jej zbrodniczą przeszłość. Argentyńskie wydawnictwa uznały go za zbyt kontrowersyjnego i niebezpiecznego, większość prac publikował więc w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Poza polityczną i finansową elitą niewielu Argentyńczyków przeczytało choć słowo napisane przez Ramireza.

Na własnej skórze doświadczył argentyńskiej przemocy. Podczas brudnej wojny za sprzeciw wobec junty wojskowej wylądował w więzieniu, w którym spędził dziewięć miesięcy i gdzie skatowano go prawie na śmierć. Jego żona, lewicowa działaczka, została porwana przez szwadron śmierci i wyrzucona z samolotu prosto w lodowate wody Atlantyku. Gdyby nie interwencja Amnesty International, taki sam los z pewnością spotkałby Ramireza. Wyszedł jednak na wolność, zdruzgotany i nie do poznania, i wznowił walkę przeciwko generałom. W 1983 roku wojsko odsunęło się od władzy, a jego miejsce zajął demokratycznie wybrany rząd cywilny. Ramirez brał udział w nakłanianiu nowego rządu do osądzenia wielu oficerów za zbrodnie popełnione podczas brudnej wojny. Wśród nich znajdował się kapitan, który wypchnął do oceanu żonę Ramireza.

W ostatnich latach Ramirez wykorzystywał swoje wybitne umiejętności dla upublicznienia innego niechlubnego rozdziału argentyńskiej historii, który prasa i większość obywateli postanowiły zignorować. Po upadku Trzeciej Rzeszy tysiące zbrodniarzy wojennych - niemieckich, francuskich, belgijskich i chorwackich - uciekło do Argentyny za entuzjastyczną zgodą rządu Perona i z niezmordowaną pomocą Watykanu. Ramirezem gardziły te kręgi argentyńskiego społeczeństwa, w których wpływ nazistów był wciąż silny, a nowa praca okazała się równie niebezpieczna, jak walka z juntą. Dwa razy w jego biurze eksplodowały bomby zapalające, a listy zawierały ładunki wybuchowe tak często, że poczta odmówiła przesyłania Ramirezowi czegokolwiek. Gabriel wątpił, czy Ramirez zgodziłby się na spotkanie, gdyby nie polecił go Mosze Riwlina.

Na szczęście Argentyńczyk z przyjemnością przyjął zaproszenie na lunch i zaproponował kawiarnię w dzielnicy San Termo, niedaleko jego domu. Czarno-białe płytki na podłodze ułożone były w szachownicę, a drewnianych, kwadratowych stołów nikt nie ustawił w uporządkowany sposób. Ściany wybielono wapnem i powieszono na nich półki, na których rzędem stały puste butelki po winie. Duże drzwi wychodziły na hałaśliwą ulicę. Na chodniku, pod płócienną markizą, stało więcej stolików. Wiszące pod sufitem trzy wentylatory mełły ciężkie powietrze. Przy barze, ciężko dysząc, leżał owczarek niemiecki. Gabriel przybył punktualnie o drugiej trzydzieści. Argentyńczyk się spóźnił.

Styczeń w Argentynie to pełnia lata, panował nieznośny upał. Gabriel wychował się w dolinie Ezdrelon, a lato spędzał w Wenecji, więc przyzwyczał się do gorąca, ale parę dni wcześniej wyjechał z austriackich Alp i zmiana klimatu zaskoczyła jego ciało. Ruch uliczny poruszał fale gorącego powietrza, które wlewały się przez otwarte drzwi kawiarni. Zdawało się, że z każdą przejeżdżającą ciężarówką robi się coraz cieplej. Gabriel nie zdjął okularów przeciwsłonecznych. Koszula kleiła mu się do pleców.

Pił zimną wodę i żuł skórkę cytryny, patrząc na ulicę. Jego wzrok spoczął przez chwilę na Chiarze. Sączyła campari z wodą sodową i bez entuzjazmu skubała pasztecik. Miała na sobie szorty. Wyciągnęła długie nogi do słońca, a jej uda zaczynały robić się czerwone. Włosy zaciesała w nieporządny kok. Po karku spływała jej strużka potu i znikwała w koszulce na ramiączkach. Zegarek miała na lewej ręce. To był umówiony sygnał. Lewa ręka oznaczała, że nie wykryła śladów inwigilacji, chociaż Gabriel zdawał sobie sprawę, że nawet agent o zdolnościach Chiary miałby trudności z odkryciem zawodowca wśród tłumu kłębiącego się po południu w San Telmo.

Ramirez pojawił się dopiero o trzeciej. Nie przeprosił za spóźnienie. Był potężnym, muskularnym mężczyzną. Nosił czarną brodę. Gabriel szukał śladów po torturach, ale nic nie zauważył. Gdy Ramirez zamawiał dwa befsztyki i butelkę czerwonego wina, jego przyjazny głos brzmiał tak donośnie, że zdawał się wprawiać w drżenie butelki na półkach. Gabriel zastanowił się głośno, czy z uwagi na przeraźliwy upał befsztyk i wino to dobry wybór. Argentyńczyk spojrzał na niego tak, jakby uznał pytanie za wyjątkowo skandaliczne.

- Wołowina to jedyne, co w tym kraju jest prawdziwe - stwierdził. - Poza tym, biorąc pod uwagę gospodarkę... - Reszta jego wypowiedzi utonęła w hałasie przejeżdżającej betoniarki.

Kelner postawił na stole wino w zielonej butelce bez etykiety. Ramirez nalał dwa kieliszki i spytał Gabriela, kogo szuka. Usłyszawszy nazwisko, Argentyńczyk zmarszczył w zamyśleniu brwi.

- Otto Krebs, tak? To prawdziwe czy fałszywe nazwisko?

- Fałszywe.

- Skąd pan wie?

Gabriel podał mu dokumenty zabrane z Santa Maria dell'Anima w Rzymie. Ramirez wyjął z kieszeni koszuli zamazane okulary i założył na oczy. Trzymanie dokumentów na widoku sprawiło, że Gabriel zrobił się nerwowy. Posłał spojrzenie w stronę Chiary. Zegarek miała wciąż na lewym nadgarstku. Ramirez oderwał wzrok od papierów. Był najwyraźniej pod wrażeniem.

- Jak dostał się pan do osobistych papierów biskupa Hudala?

- Mam w Watykanie przyjaciela.

- Nie, ma pan w Watykanie bardzo potężnego przyjaciela. Jedyną osobą, która przekonałaby biskupa Drexlera do dobrowolnego otwarcia papierów Hudala, jest *il papa* we własnej osobie! - Ramirez uniósł kieliszek w stronę Gabriela. - Podsumowując, w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku do Rzymu przyjeżdża oficer SS Erich Radek i wpada w objęcia biskupa Hudala. Parę miesięcy potem opuszcza Rzym jako Otto Krebs i odpływa do Syrii. Co jeszcze pan wie?

Kolejny dokument, który Gabriel położył na drewnianym blacie, wywarł na argentyńskim dziennikarzu podobne wrażenie.

- Jak pan widzi, izraelski wywiad zlokalizował człowieka znanego jako Otto Krebs w Damaszku w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku. Źródło informacji jest bardzo dobre, to nikt inny jak sam Aloïs Brunner. Jego zdaniem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku Krebs opuścił Syrię i przybył tutaj.

- I ma pan powód, by twierdzić, że wciąż tu jest?

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

Ramirez założył swoje potężne ręce na piersi i zmierzył Gabriela wzrokiem. Zapadła cisza, wypełniona gorącym szumem ulicznego ruchu. W Argentyńczyku obudził się rasowy dziennikarz. Gabriel się tego spodziewał.

- A właściwie jak pan René Duran z Montrealu wszedł w posiadanie tajnych dokumentów Watykanu i izraelskiego wywiadu?

- Widocznie mam dobre źródła informacji.

- Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, monsieur Duran.

- Jeśli chodzi panu o pieniądze...

Argentyńczyk podniósł rękę z dezaprobatą.

- Nie chcę pańskich pieniędzy, monsieur Duran. Potrafię zarabiać swoimi sposobami.

Chcę historii.

- To chyba jasne, że relacje prasowe z przebiegu mojego śledztwa byłyby pewną przeszkodą.

Ramirez sprawiał wrażenie urażonego tą uwagą.

- Monsieur Duran, proszę mi wierzyć, mam dużo większe doświadczenie od pana w ściganiu ludzi pokroju Ericha Radka. Wiem, kiedy prowadzić dochodzenie cicho, a kiedy pisać.

Gabriel przez chwilę się wahał. Nie miał ochoty na wchodzenie z Argentyńczykiem w układy, ale z drugiej strony Alfonso Ramirez mógł się okazać cennym sprzymierzeńcem.

- Od czego zaczniemy? - spytał Gabriel.

- Cóż, myślę, że najpierw powinniśmy się dowiedzieć, czy Aloïs Brunner mówił prawdę o swoim przyjacielu Krebsie.

- To znaczy, czy w ogóle przyjechał do Argentyny.

- Właśnie.

W tym momencie pojawił się kelner. Befsztyk, który dostał Gabriel, starczyłby z powodzeniem dla czteroosobowej rodziny. Ramirez uśmiechnął się i odkroił kawałek mięsa.

- *Bon appétit*, monsieur Duran. Proszę jeść. Przyda się panu chyba coś na wzmocnienie.

\*

Alfonso Ramirez jeździł ostatnim volkswagenem sirocco na zachodniej półkuli. Możliwe, że samochód kiedyś był granatowy, ale teraz karoseria wyblakła do koloru pumeksu. Pęknięcie pośrodku przedniej szyby miało kształt błyskawicy. Drzwi po stronie Gabriela były wgniecione i otwarcie ich wymagało użycia znacznej części z jego mocno nadszarpniętego zapasu sił. Klimatyzacja nie działała, a silnik warczał niczym śmigłowiec.

Pomknęli ze spuszczonymi szybami wzdłuż szerokiej Avenida 9 de Julio. W samochodzie latały luźne notatki. Ramirez nie zauważył albo wcale się nie przejął, gdy kilka kartek wyszło na ulicę. Późne popołudnie stało się jeszcze bardziej gorące. Mocne wino przyprawiło Gabriela o ból głowy. Wyjrzał przez otwarte okno. Jechali wzdłuż brzydkiego bulwaru. Fasady domów znaczył niekończący się ciąg reklam, namawiających ludzi, których pieniądze nagle straciły wartość, do kupna luksusowych niemieckich samochodów i amerykańskich napojów. Gałęzie drzew zwisały bezwładnie pod naporem zanieczyszczeń i gorąca.

Skrećili w stronę rzeki. Ramirez zerknął we wsteczne lustro. Życie spędzone na uciekaniu przed wojskowymi zbirami i sympatykami nazistów wyostrzyło mu zmysły

przetrwania.

- Śledzi nas dziewczyna na skuterze.

- Tak, wiem.

- Jeśli pan wiesz, to czemu nic pan nie mówisz?

- Bo ona jest ze mną.

Ramirez przez dłuższą chwilę wpatrywał się w lusterko.

- Poznaję te uda. Ta dziewczyna siedziała w kawiarni, prawda?

Gabriel skinął głową powoli. Łupało mu w skroniach.

- Bardzo interesujący z pana człowiek, monsieur Duran. I bardzo szczęśliwy. Jest piękna.

- Niech się pan po prostu skoncentruje na prowadzeniu, panie Ramirez. Ona będzie pilnować naszych pleców.

Pięć minut później Ramirez zaparkował na ulicy biegnącej wzdłuż przystani. Chiara przemknęła obok nich, po czym zawróciła i zaparkowała w cieniu drzewa. Ramirez zgasił silnik. Słońce bezlitośnie grzało dach samochodu. Gabriel chciał wysiąść, ale Argentyńczyk postanowił wprawdzie przedstawić mu sytuację.

- Większość akt na temat przebywających w Argentynie nazistów jest trzymana pod kluczem w Biurze Informacji. Są wciąż zamknięte przed uczonymi i dziennikarzami, choć normalnie po trzydziestu latach powinny zostać odtajnione. Ale nawet jeśli udałoby się nam dostać do archiwów Biura Informacji, nie znaleźlibyśmy wiele. Według wszelkich przesłanek Peron, kiedy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku po przewrocie musiał oddać władzę, rozkazał zniszczyć najbardziej obciążające papiery.

Jadący po drugiej stronie ulicy samochód zwolnił, a siedzący za kierownicą mężczyzna zmierzył spojrzeniem siedzącą na motocyklu dziewczynę. Nim Ramirez zaczął mówić dalej, przez chwilę obserwował auto we wstecznym lusterku.

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku rząd utworzył Komisję do spraw Wyjaśnienia Działań Nazistów w Argentynie. Od samego początku powstał poważny problem. Widzi pan, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku rząd spalił wszystkie pozostałe obciążające dokumenty.

- Więc po co w ogóle tworzyć komisję?

- Żeby zasłużyć na uznanie, że próbowano. Ale w Argentynie poszukiwanie prawdy nie ma szans posunąć się dalej. Prawdziwe śledztwo pokazałoby pełnię współdziałania Perona w powojennym exodusie nazistów z Europy. Ujawniłoby też, że wielu hitlerowców wciąż tu mieszka. Kto wie? Może także pański człowiek?



Gabriel wskazał palcem budynek.

- Więc co to jest?

- Hotel de Immigrantes, pierwszy przystanek milionów imigrantów, którzy przybyli w dziewiętnastym i dwudziestym wieku do Argentyny. Rząd zapewniał im w tym miejscu dach nad głową, dopóki nie znaleźli pracy i nowego miejsca zamieszkania. Teraz Biuro do spraw Imigrantów służy za magazyn.

- Magazyn czego?

Ramirez otworzył schowek i wyjął z niego rękawiczki chirurgiczne oraz papierowe maseczki na twarz.

- To nie jest najczystsze miejsce na świecie. Mam nadzieję, że nie boi się pan szczurów.

Gabriel nacisnął klamkę i napał ramieniem na drzwi. Po drugiej stronie ulicy Chiara zgasiła silnik motocykla i usadowiwszy się wygodnie, czekała.

\*

Wejścia pilnował znużony policjant. W rejestracji za biurkiem, na którym stał wentylator, siedziała dziewczyna w mundurze, czytając magazyn o modzie. Przesunęła po zakurzonej blacie książkę wejść. Ramirez podpisał się i zanotował czas. Pojawiły się dwa laminowane identyfikatory, przypinane na krokodylki. Gabriel dostał numer 165. Przytwierdził plaketkę do kieszeni koszuli i ruszył za Ramirezem w stronę windy.

- Za dwie godziny zamykamy - zawołała za nimi dziewczyna, po czym przewróciła kolejną kartkę w piśmie.

Wsiedli do windy towarowej. Ramirez zamknął drzwi i wcisnął guzik ostatniego piętra. Winda ruszyła chwiejnie. Gdy po chwili z drżeniem zatrzymali się, powietrze było tak gorące i pełne kurzu, że z trudem dało się oddychać. Ramirez naciągnął na ręce rękawiczki, a na twarz maskę. Gabriel poszedł za jego przykładem.

Weszli do ogromnego pomieszczenia, wypełnionego niekończącymi się rzędami stalowych półek uginających się pod ciężarem drewnianych skrzyń. Przez potłuczone okna wlatywały i wylatywały mewy. Gabriel słyszał chrobot małych pazurków i miauczenie walczących kotów. Przez maseczki przenikał zapach kurzu i butwiejącego papieru. W porównaniu z tym miejscem podziemne archiwa Animy w Rzymie wydawały się rajem.

- Co to jest?

- To, czego Peron i jego duchowi spadkobiercy nie wzięli pod uwagę przy niszczeniu dokumentów. W tym pokoju znajdują się karty wjazdowe, które wypełniali wszyscy pasażerowie wysiadający w porcie Buenos Aires od lat dwudziestych po siedemdziesiąte.

Piętro niżej znajdują się listy pasażerów ze wszystkich okrętów. Mengele, Eichmann... Wszyscy zostawili tu swoje odciski palców. Może także Otto Krebs.

- Dlaczego panuje tu taki bałagan?

- Może pan wierzyć lub nie, ale kiedyś było gorzej. Parę lat temu pewna dzielna dusza o imieniu Chela uszeregowała karty rok po roku w porządku alfabetycznym. Teraz nazywają to pomieszczenie salą Cheli. Karty wjazdowe z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego są tam. Proszę za mną. - Ramirez przerwał i wskazał na podłogę. - I niech pan uważa na kocie łajno.

Przeszli pół kwartału. Karty wjazdowe z 1963 roku zajmowały kilkadziesiąt półek. Ramirez odnalazł drewniane pudła z danymi pasażerów, których nazwiska zaczynały się na K. Zdjął je i postawił ostrożnie na ziemi. Znalazł czterech imigrantów o nazwisku Krebs, ale żaden z nich nie miał na imię Otto.

- Czy karta mogła zostać umieszczona w złym miejscu?

- Oczywiście.

- A czy ktoś mógł ją zabrać?

- Jesteśmy w Argentynie, przyjacielu. Tu wszystko jest możliwe.

Gabriel oparł się o półki, przygnębiony. Ramirez włożył karty z powrotem do skrzynki, a skrzynkę postawił na swoim miejscu na stalowej półce. Spojrzał na zegarek.

- Za godzinę i czterdzieści pięć minut zamykają na noc. Pan będzie pracował od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego w przód, a ja wstecz. Przegrany stawia drinka.

\*

Znad rzeki nadciągała burza. Przez stłuczone okno Gabriel zobaczył między portowymi dźwigami błyskawicę. Wieczne słońce przykryła ciężka chmura. Wewnątrz sali Cheli widoczność praktycznie równała się zeru. Deszcz spadł na budynek niczym fala uderzeniowa eksplozji. Wlatywał przez okna i nasączał cenne archiwa wodą. W Gabrielu obudził się konserwator. Oczami duszy widział rozmyty atrament, na zawsze utracone obrazy.

Znalazł karty wjazdowe jeszcze trzech Krebsów, jedną z 1965 i dwie z 1968. Żaden z nich nie miał na imię Otto. Ciemności sprawiły, że jego poszukiwania przebiegały teraz w ślimaczym tempie. Żeby odczytać napisy na kartach, musiał taszczyć skrzynie pod okno, gdzie było wciąż jeszcze trochę światła. Klękał i, obrócony plecami do deszczu, palcami przerzucał karty.

Dziewczyna zza biurka w rejestracji przyszła na górę i poinformowała ich, że za dziesięć minut zamykają. Gabriel dotarł zaledwie do 1972 roku. Nie chciał wracać następnego dnia. Zwiększył tempo.

Burza skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Powietrze było chłodniejsze i czystsze. Poza chlupotem wody w rynnice panowała cisza. Gabriel szukał dalej: 1973... 1974... 1975... 1976. Nikogo więcej o nazwisku Krebs. Nic.

Dziewczyna wróciła, tym razem, żeby ich wyprosić. Gabriel odniósł ostatnią skrzynię na półkę, przy której spotkał Ramireza gwarzącego po hiszpańsku z recepcjonistką.

- Znalazł pan coś? - spytał Gabriel.

Ramirez pokręcił przecząco głową.

- Jak daleko pan doszedł?

- Do końca. A pan?

Gabriel odpowiedział.

- Myśli pan, że warto wracać jutro?

- Chyba nie. - Położył Gabrielowi dłoń na ramieniu. - Chodźmy, postawię panu piwo.

Dziewczyna wzięła od nich identyfikatory i pojechała z nimi windą. Okna volkswagena zostawili otwarte. Przybity porażką, Gabriel usiadł na przesiąkniętym wodą siedzeniu. Panującą na ulicy ciszę rozdarł ryk zapalnego silnika. Gdy odjechali, Chiara ruszyła za nimi. Jej ubranie zupełnie przemokło.

Dwie ulice dalej Ramirez sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął kartę wjazdową.

- Niech się pan rozchmurzy, monsieur Duran - powiedział, wręczając Gabrielowi kartę. - Czasem w Argentynie opłaca się postępować równie perfidnie, jak ludzie u władzy. W tym budynku jest tylko jedna kserokopiarka, a operuje nią właśnie tamta dziewczyna. Zrobiłaby jedną odbitkę dla mnie, a drugą dla przełożonych.

- A Otto Krebs, o ile wciąż jest w Argentynie i o ile wciąż żyje, dowiedziałby się, że go szukamy.

- Właśnie.

Gabriel podniósł kartę.

- Gdzie była?

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. Pewnie Chela włożyła ją do niewłaściwego pudła.

Gabriel spuścił wzrok i zaczął czytać. Otto Krebs przyплыł do Buenos Aires w grudniu 1963 na pokładzie okrętu płynącego z Aten. Ramirez wskazał na odręczny napis u dołu: 242576/62.

- To numer jego pozwolenia wjazdu. Zostało prawdopodobnie wydane przez argentyński konsul w Damaszku. Sześćdziesiąt dwa na końcu to rok wydania pozwolenia.

- I co teraz?

- Wiemy, że przyjechał do Argentyny. - Ramirez wzruszył potężnymi ramionami. -  
Zobaczmy, czy uda nam się go znaleźć.

\*

Mokrymi od deszczu ulicami wrócili do San Termo i zaparkowali przed kamienicą Italianate. Tak jak wiele budynków w Buenos Aires, była niegdyś piękna, ale teraz jej fasada, brudna od zanieczyszczeń, miała taki sam kolor jak samochód Ramireza.

Weszli po źle oświetlonych schodach. Powietrze było zatęchłe i ciepłe. Ramirez zamknął za sobą drzwi na klucz i otworzył okna. Na zewnątrz zapadał orzeźwiający wieczór. Gabriel wyjrzał przez okno i zobaczył czekającą po drugiej stronie ulicy Chiare.

Ramirez zanurkował do kuchni i po chwili wyłonił się z dwiema butelkami argentyńskiego piwa. Jedną z nich dał Gabrielowi. Szło już zdążyło pokryć się kropelkami wody. Gabriel wypił połowę. Alkohol trochę stępił ból głowy.

Ramirez zaprowadził go do swojego gabinetu, który wyglądał tak, jak Gabriel się tego spodziewał - duży, nieporządkny, jak sam Ramirez. Krzesła założone były stosami książek, a pokaźne biurko przykrywała góra papierów wyglądająca tak, jakby tylko czekała na zapalną. Grube zasłony odcinały dochodzące z ulicy światło i hałas. Ramirez wziął do ręki słuchawkę telefonu, Gabriel dopijał piwo.

Znalezienie pierwszej wskazówki zajęło Argentyńczykowi godzinę. W 1964 roku Otto Krebs zarejestrował się na komendzie policji w Bariloche, w północnej Patagonii. Po czterdziestu pięciu minutach pojawił się kolejny element układanki: w 1972 na podaniu o paszport Krebs podał jako swój adres Puerto Blest, miasteczko nieopodal Bariloche. Uzyskanie następnej informacji zajęło tylko piętnaście minut. W 1982 roku paszport został unieważniony.

- Dlaczego? - spytał Gabriel.

- Bo jego właściciel zmarł.

\*

Argentyńczyk rozłożył na stole mapę drogową z pogniecionymi rogami i mrużąc oczy za poplamionymi okularami, przeglądał zachodnią część kraju.

- O, tu jest - pukał w mapę. - San Carlos de Bariloche, w skrócie po prostu Bariloche. Kurort na patagońskim północnym pojezierzu, założony w dziewiętnastym wieku przez niemieckich i szwajcarskich osadników. Wciąż znany jest jako argentyńska Szwajcaria. Teraz to miasteczko, w którym regularnie imprezują tłumy narciarzy, ale dla nazistów i ich towarzyszy podróży była to prawie Walhalla. Mengele uwielbiał Bariloche.

- Jak mogę się tam dostać?

- Najszybciej - powietrzem. Mają tam lotnisko, a samoloty z Buenos Aires odlatują co godzina. - Przerwał, a po chwili dodał:

- To szmat drogi, żeby zobaczyć jeden grób.

- Chcę go ujrzeć na własne oczy.

Ramirez skinął głową.

- Najlepiej, jeśli zatrzyma się pan w hotelu Edelweiss.

- Edelweiss?

- To niemiecka enklawa - wyjaśnił Ramirez. - Będzie panu trudno uwierzyć, że to wciąż Argentyna.

- Nie zabierze się pan ze mną na przejażdżkę?

- Obawiam się, że tylko bym przeszkadzał. W pewnych kręgach społeczności Bariloche jestem persona non grata. Spędziłem trochę za dużo czasu na wtykaniu nosa w nie swoje sprawy, rozumie pan. Moja twarz jest tam zbyt dobrze znana.

Argentyńczyk nagle spowaźniał.

- Powinien pan się pilnować, monsieur Duran. Bariloche nie jest odpowiednim miejscem do prowadzenia nieostrożnych śledztw. Nie lubią tam, kiedy ktoś z zewnątrz zadaje pytania na temat niektórych mieszkańców. Powinien pan także wiedzieć, że przybył pan do Argentyny w dość napiętym okresie.

Ramirez przekopał się przez stos leżących na stole papierów, aż znalazł to, czego szukał - egzemplarz „Newsweeka” sprzed dwóch miesięcy. Podał go Gabrielowi.

- Mój artykuł jest na stronie trzydziestej szóstej - powiedział, po czym wyszedł do kuchni po dwa kolejne piwa.

\*

Pierwszą ofiarą był człowiek o nazwisku Enrique Calderon. Znaleziono go w sypialni jego domku w Palermo Chico, dzielnicy Buenos Aires. Cztery strzały w głowę, robota zawodowca. Gabriel nie potrafił słuchać o zabójstwie, nie wyobrażając go sobie. Odwrócił spojrzenie od Ramireza.

- A druga ofiara? - spytał.

- Gustavo Estrada. Zginął dwa tygodnie później podczas podróży w interesach do Meksyku. Nie stawiał się na służbowym śniadaniu. Jego ciało znalezione w pokoju hotelowym. Znowu cztery strzały w głowę. - Ramirez zrobił przerwę. - Dobry temat, co? Dwaj znani biznesmeni, zastrzeleni w uderzająco podobny sposób w odstępie dwóch tygodni. Argentyna kocha takie gówno. Przez chwilę wszyscy zapomnieli, że oszczędności ich życia przepadły, a pieniądze stały się bezwartościowe.

- Czy zabójstwa są ze sobą powiązane?

- Możliwe, że nigdy nie dowiemy się na pewno, ale ja sądzę, że tak. Enrique Calderon i Gustavo Estrada nie znali się zbyt dobrze, ale ich ojcowie owszem. Alejandro Calderon był bliskim doradcą Juana Perona, a Martin Estrada był po wojnie szefem argentyńskiej policji.

- Dlaczego w takim razie zginęli ich synowie?

- Jeśli mam być szczery, nie mam zielonego pojęcia. Nie mam nawet żadnej sensownej teorii. Wiem za to, że wśród starej społeczności niemieckiej pada mnóstwo oskarżeń. Nerwy puszczają. - Ramirez pociągnął długi łyk piwa. - Po raz kolejny mówię, niech pan uważa w Bariloche, monsieur Duran.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę w zapadającej ciemności. Z mokrej ulicy dobiegały stłumione odgłosy. Gabriel zwykle nie lubił spotykanych podczas pracy osób, ale Alfonso Ramirez był wyjątkiem. Szkoda, że musiał go zwodzić.

Rozmawiali o Bariloche, o Argentynie i o przeszłości. Gdy Ramirez spytał o zbrodnię Ericha Radka, Gabriel opowiedział mu wszystko, co na ten temat wiedział. To wpędziło Argentyńczyka w długą zadumę, tak jakby bolało go, że ludzie pokroju Ericha Radka znaleźli schronienie w jego ukochanym kraju.

Umówili się na spotkanie po powrocie Gabriela z Bariloche, po czym rozstali się w ciemnym korytarzu. Na zewnątrz *barrio* San Telmo ożywało w wieczornym chłodzie. Gabriel przez jakiś czas spacerował po zatłoczonych chodnikach, póki nie zatrzymała się obok niego dziewczyna na czerwonym motocyklu i nie poklepała ręką tylnego siedzenia.

Panel wyszukanego sprzętu elektronicznego był niemieckiej produkcji. Mikrofony i nadajniki ukryte w mieszkaniu celu - najwyższej jakości. Zaprojektował je i wykonał zachodnioniemiecki wywiad w szczytowym okresie zimnej wojny w celu śledzenia działań wrogów na Wschodzie. Operator sprzętu urodził się w Argentynie, chociaż jego przodkowie pochodzili z austriackiego miasteczka Braunau am Inn. Dzięki temu, że był rodakiem Adolfa Hitlera, cieszył się szacunkiem wśród swoich towarzyszy. Gdy Żyd zatrzymał się przed wejściem do kamienicy, śledzący go człowiek zrobił szybko zdjęcie przez teleobiektyw. Chwilę później sfotografował dziewczynę na motocyklu, w momencie gdy odjeżdżała od krawężnika, chociaż nie miało to większego znaczenia, bo twarz kobiety skrywał czarny kask. Przez chwilę jeszcze analizował rozmowę, która miała miejsce w mieszkaniu celu. Zadowolony, sięgnął po telefon. Wykręcił numer w Wiedniu. Dźwięk języka niemieckiego z wiedeńskim akcentem brzmiał w jego uszach jak muzyka.

\*

W Rzymie, w Pontificio Santa Maria dell'Anima, nowicjusz zmierzał spiesznym krokiem w stronę drzwi sypialni na drugim piętrze, gdzie spał gość z Wiednia. Nim zapukał do drzwi, zawahał się przez moment, po czym zaczekał na wezwanie. Promień światła padł na rozciągniętą na pryczy potężną sylwetkę. Oczy mężczyzny błyszczały w ciemności jak dwie plamki czarnego oleju.

- Telefon do pana - powiedział nowicjusz, nie podnosząc wzroku. Wieści o zajściu przy bramie poprzedniego wieczoru obiegły całe seminarium. - Może go pan odebrać w biurze rektora.

Mężczyzna podniósł się i spuścił nogi na ziemię. Pod jego bladą skórą zagrały potężne mięśnie ramion i pleców. Krótkim dotknięciem zbadał bandaż na obojczyku, po czym założył golf.

Seminarzysta poprowadził gościa kamiennymi schodami na dół i przez mały dziedziniec. W biurze rektora nie było nikogo. Jedyne światło pochodziło ze stojącej na biurku lampy. Słuchawka telefonu leżała na blacie. Gość podniósł ją. Chłopiec po cichu

wymknął się z pokoju.

- Znaleźliśmy go.

- Gdzie?

- Rano leci do Bariloche. Będzie pan na niego czekał na miejscu.

Zegarmistrz spojrział na zegarek i policzył różnicę czasów.

- Jak? Najbliższy lot z Rzymu jest dopiero po południu.

- Niezupełnie. Za parę minut odlatuje samolot.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Ile czasu zajmie panu dotarcie na Fiumicino?

\*

Gdy kolumna samochodów przybyła na zjazd zwolenników partii, na zewnątrz hotelu Imperial już czekali demonstranci. Siedzący na tylnym siedzeniu limuzyny marki Mercedes Peter Metzler wyrzwał przez okno. Ostrzegano go, ale spodziewał się zwykłej bandy smutasów, a nie silnej brygady zbójów uzbrojonych w transparenty i megafony. Nie można było tego uniknąć - nadchodzące wybory, tworząca się wokół głównego kandydata aura nietykalności... Austriacką lewicę ogarnęła panika, tak jak i jej popleczników z Nowego Jorku i Jerozolimy.

Siedzący naprzeciwko Metzlera Dieter Graff wyglądał na zdenerwowanego. Nic dziwnego. Spędził dwadzieścia lat na mozolnej pracy mającej na celu zamienienie Austriackiej Partii Narodowej z upadającego stowarzyszenia byłych oficerów SS i neofaszystowskich marzycieli w spójną, nowoczesną konserwatywną potęgę polityczną. Praktycznie własnoręcznie przekształcił ideologię partii i odnowił jej wizerunek. Starannie opracowane przez niego hasła nieustannie przyciągały obywateli pozbawionych możliwości wyboru przez kumoterskie układy zawierane między Partią Ludową i socjaldemokratami. Ugrupowanie Graffa, mając za kandydata Metzlera, było o krok od zdobycia największego zaszczytu dostępnego na austriackiej scenie politycznej: urzędu kanclerza. Ostatnie, czego potrzebowało na trzy tygodnie przed wyborami, to chaotyczna konfrontacja z bandą lewackich idiotów i Żydów.

- Wiem, o czym myślisz, Dieter - powiedział Metzler. - Uważasz, że powinniśmy rozegrać to ostrożnie i uniknąć tej hołoty, wchodząc tylnym wejściem.

- Przeszło mi to przez myśl. Prowadzimy trzema procentami i nasza przewaga się utrzymuje. Nie chciałbym roztrwonić dwóch procent z powodu nieprzyjemnej sceny przed Imperialem, jeśli można tego bez trudu uniknąć.

- Wchodząc tylnym wejściem?



Graff przytaknął. Metzler wskazał na kamerzystów i fotoreporterów.

- Wiesz, co będzie jutro na pierwszej stronie „Die Presse”? Metzler pokonany przez wiedeńską demonstrację! Napiszą, że jestem tchórzem, Dieter, a to nieprawda.

- Nikt cię nigdy nie oskarżał o tchórzostwo, Peter. Tyle, że to nieodpowiedni moment.

- Zbyt długo wchodziliśmy tylnymi drzwiami. - Metzler zawiązał krawat i wygładził kołnierzyk koszuli. - Kanclerze nie wchodzi tylnymi drzwiami. Wejdzimy od frontu z podniesioną głową, gotowi do starcia, albo nie wejdziemy wcale.

- Stałeś się świetnym mówcą, Peter.

- Miałem dobrego nauczyciela. - Metzler uśmiechnął się i położył Graffowi rękę na ramieniu. - Ale obawiam się, że jego zmysły ostatnio trochę zawodzą na skutek przeciągającej się kampanii wyborczej.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Spójrz tylko na tych chuliganów. Większość z nich to nawet nie Austriacy. Połowa transparentów jest po angielsku, a nie po niemiecku. Jasne chyba, że ta niewielka demonstracja została zaaranżowana przez zagranicznych prowokatorów. Jeśli mi się poszczęści i będę miał szansę na konfrontację z nimi, nasza przewaga wzrośnie jutro do pięciu procent.

- To mi nie przyszło do głowy.

- Poproś ochronę, żeby zachowała spokój. Ważne, żeby to protestujący wyglądali na Brunatne Koszule, a nie my.

Peter Metzler otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. W tłumie podniósł się ryk gniewu, załopotwały transparenty.

- Nazistowska Świnia! Reichsführer Metzler!

Kandydat na kanclerza kroczył pewnie przed siebie, jakby nieświadomy otaczającej go wrzawy. Uzbrojona w szmatę nasączoną czerwoną farbą młoda dziewczyna przerwała kordon ochronny. Cisnęła materiał w stronę Metzlera, który uniknął pocisku tak zręcznie, że prawie wcale nie zwolnił kroku. Ku uciesze demonstrujących szmata trafiła funkcjonariusza Staatspolizei. Dwóch policjantów schwytało i odprowadziło dziewczynę.

Niewzruszony Metzler wszedł do holu i skierował się w stronę sali balowej, gdzie od trzech godzin czekało na niego ponad tysiąc zwolenników. Przed drzwiami zatrzymał się na chwilę, by zebrać się w sobie, po czym wśród głośnych okrzyków uznania wszedł do sali. Graff odłączył się i patrzył z boku, jak jego kandydat przeciska się przez zebrany na sali tłum. Mężczyźni parli do przodu, żeby uścisnąć mu rękę bądź poklepać go po plecach. Kobiety całowały go w policzki. Metzlerowi udało się sprawić, że bycie konserwatystą znów stało się

sexy. Dotarcie na przód sali zajęło mu pięć minut. Gdy wkraczał na podium, ubrana w sukienkę-chłopkę dziewczyna podała mu olbrzymi kufel piwa. Uniósł go w górę, na co tłum rozszalał się z podniecenia. Wypił trochę piwa - nie był to mały łyżeczek do zdjęcia, ale długie austriackie pociągnięcie - po czym stanął przy mikrofonie.

- Bardzo dziękuję wam wszystkim za przybycie tu dzisiaj wieczoru. Dziękuję również naszym kochanym przyjaciołom i zwolennikom, którzy zgotowali nam przed wejściem takie miłe powitanie. - Sala wybuchła salwą śmiechu. - Oni nie potrafią zrozumieć, że Austria jest dla Austriaków, że o naszej przyszłości będziemy decydować w oparciu o austriacką moralność i austriackie normy przyzwoitości. Obcokrajowcy i zagraniczni krytycy nie mają prawa wypowiadać się o wewnętrznych sprawach naszej błogosławionej ziemi. Przyszłość będzie leżeć w naszych rękach, austriackich rękach, a ta przyszłość zaczyna się równo za trzy tygodnie!

Tłum oszalał.

Bariloche, Argentyna

Recepcjonistka w redakcji „Barilocher Tageblatt” zmierzyła wchodzącego przez drzwi i idącego w stronę jej biurka Gabriela spojrzeniem, które zdradzało więcej niż tylko zwykłe zainteresowanie. Miała krótkie czarne włosy i błękitne oczy, których barwę podkreślała opalenizna na pięknej twarzy.

- Czym mogę służyć? - spytała po niemiecku, co nie było zaskakujące, jako że „Tageblatt”, jak nazwa wskazuje, to gazeta niemieckojęzyczna.

Gabriel odparł w tym samym języku, zręcznie ukrywając fakt, że, podobnie jak kobieta, włada nim płynnie. Powiedział, że przybył do Bariloche, ponieważ prowadzi badania genealogiczne. Twierdził, że szuka człowieka, który podobno był bratem jego matki i który nazywał się Otto Krebs. Miał podstawy, by sądzić, że Herr Krebs zmarł w Bariloche w październiku 1982 roku. Czy mógłby rzucić okiem na archiwa gazety w poszukiwaniu nekrologu bądź wzmianki o jego śmierci?

Recepcjonistka uśmiechnęła się, odsłaniając dwa rzędy równych białych zębów, po czym podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła trzycyfrowy numer wewnętrzny. Przekazała przełożonemu prośbę Gabriela, mówiąc bardzo szybko po niemiecku. Przez parę sekund milczała, po czym rozłączyła się i wstała.

- Proszę za mną. Poprowadziła go przez niewielki pokój redakcji informacyjnej. Jej obcasy stuknęły głośno, uderzając o podłogę pokrytą wyblakłym linoleum. Po drodze minęli kilku leniuchujących pracowników, siedzących z podwiniętymi rękawami i oddających się różnym formom rozrywki, palących papierosy i pijących kawę. Nikt nie zwrócił uwagi na gościa. Drzwi do archiwów były otwarte. Recepcjonistka zapaliła światło.

- Jesteśmy skomputeryzowani, więc wiele artykułów przechowujemy w przeszukiwalnej bazie danych, ale obawiam się, że tylko od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Mówił pan, że kiedy umarł ten człowiek?

- Wydaje mi się, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim.

- Ma pan szczęście. Nekrologi są skatalogowane - oczywiście po staremu, ręcznie.

Podeszła do stolika i otworzyła okładkę grubej książki. Kartki w linie zapisane były

drobnymi odręcznymi notatkami.

- Jak ten pan się nazywał?

- Otto Krebs.

- Krebs, Otto... - Przerzucała kartki, szukając litery K. - Krebs, Otto... Aha, jest. Zgodnie z tym, co tu pisać, zmarł w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego. Wciąż chce pan zobaczyć nekrolog?

Gabriel skinął głową. Kobieta zapisała sygnaturę i podeszła do stosu kartonów. Przeleciała po etykietach palcem i zatrzymała się, gdy dotarła do właściwego pojemnika, po czym poprosiła Gabriela, żeby zdjął pudła z wierzchu stosu. Otworzyła wieko - po pokoju rozniósł się zapach kurzu i butwiejącego papieru. Wycinki znajdowały się w kruchych, pożółkłych teczkach. Nekrolog Otta Krebsa był przedarty na pół. Kobieta naprawiła go kawałkiem taśmy klejącej i podała Gabrielowi.

- Czy to jego pan szukał?

- Nie wiem - odparł zgodnie z prawdą Gabriel.

Wzięła wycinek od Gabriela i szybko przeczytała.

- Piszą tu, że był jedynakiem. - Spojrzała na niego. - To akurat nic nie znaczy. Wielu imigrantów musiało wymazać swoją przeszłość, żeby chronić zostawione w Europie rodziny. Mój dziadek miał szczęście. Przynajmniej pozwolili mu zachować nazwisko.

Przyjrzała się oczom Gabriela.

- Był Chorwatem. - W jej głosie dało się wyczuć nutkę winy.

- Po wojnie komuniści chcieli go osądzić i powiesić. Na szczęście Peron pozwolił mu tu przyjechać.

Zaniosła wycinek do kopiarki i zrobiła trzy odbitki. Włożyła oryginał z powrotem do teczek, a teczkę do kartonu. Odbitki dała Gabrielowi. Przeczytał je, gdy szli z powrotem.

- Według nekrologu pochowano go na cmentarzu katolickim w Puerto Blest.

Recepcjonistka skinęła głową.

- To po drugiej stronie jeziora, parę kilometrów od granicy z Chile. Zarządzał tam dużą *estancią*. To też jest w nekrologu.

- Jak tam się dostać?

- Z Bariloche pojedzie pan autostradą na zachód. Szybko się skończy. Ma pan dobry samochód? Proszę jechać drogą wzdłuż brzegu jeziora, a potem na północ. Wyjedzie pan wprost na Puerto Blest. Jeśli wyruszy pan teraz, zdąży pan przed zmrokiem.

W holu podali sobie ręce. Życzyła mu powodzenia.

- Mam nadzieję, że to jego pan szuka - powiedziała. - A może nie. W takiej sytuacji

nigdy nie wiadomo.

\*

Po wyjściu gościa recepcjonistka podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

- Właśnie wyszedł.

- No i co?

- Zrobiłam to, co pan mi kazał. Byłam bardzo miła. Pokazałam mu, co chciał zobaczyć.

- Czyli?

Powiedziała.

- Jak zareagował?

- Spytał, jak dotrzeć do Puerto Blest.

Połączenie zostało przerwane. Recepcjonistka powoli odłożyła słuchawkę. Nagle poczuła rosnącą w żołądku gulę. Wiedziała, co czekało przybysza w Puerto Blest. Ten sam los, który spotkał wszystkich, którzy przyjechali w ten zakątek Patagonii, szukając chcących się ukryć ludzi. Nie współczuła mu, uważała go raczej za głupca. Naprawdę sądził, że kogokolwiek zmyli tą niezgrabną historyjką o badaniach genealogicznych? Co on sobie wyobrażał? Sam był sobie winien. Ale w sumie Żydzi zawsze sami sobie ściągają na głowę problemy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do holu weszła kobieta w sukience. Recepcjonistka podniosła wzrok i spytała:

- Czym mogę służyć?

\*

W ostrym słońcu ruszyli piechotą z powrotem do hotelu. Gabriel przetłumaczył Chiarze nekrolog.

- Piszą tu, że urodził się w tysiąc dziewięćset trzynastym roku, w Górnej Austrii, że był policjantem i że wstąpił do Wehrmachtu w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Brał udział w kampaniach przeciwko Polsce i Związkowi Radzieckiemu. Został dwukrotnie odznaczony za męstwo, raz przez samego Führera. Pewnie to coś, czym w Bariloche można się chlępić.

- A po wojnie?

- Nic, aż do jego przyjazdu do Argentyny w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim. Przez dwa lata pracował w hotelu w Bariloche, a potem na *estancii* niedaleko Puerto Blest. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku wykupił od właścicieli farmę i zajmował się nią aż do śmierci.

- Czy w okolicy żyje ktoś z jego rodziny?

- Według nekrologu nigdy się nie ożenił, nie ocalał też żaden z jego krewnych.

Dotarli do hotelu Edelweiss. Była to szwajcarska chata ze spadzistym dachem, stojąca na Avenida San Martin, dwie przecznice od brzegu jeziora. Rano na lotnisku Gabriel wypożyczył toyotę z napędem na cztery koła. Poprosił parkingowego o przyprowadzenie samochodu z garażu i poszedł do holu, szukając mapy samochodowej okolicy. Puerto Blest leżało dokładnie tam, gdzie wskazała kobieta z redakcji, po drugiej stronie jeziora obok granicy z Chile.

Ruszyli szosą biegnącą wzdłuż brzegu. Droga stopniowo się pogarszała, w miarę jak oddalali się od Bariloche. Wodę zasłaniał gęsty las, ale co jakiś czas Gabriel wyjeżdżał zza zakrętu albo drzewa przerzedzały się i ich oczom na chwilę ukazywało się jezioro, błysk błękitu, który zaraz ginął z powrotem za ścianą zieleni.

Ominęli południowy skraj jeziora i na moment zwolnili, żeby przyjrzeć się stadu olbrzymich kondorów krążących nad majaczącym w oddali szczytem Cerro Lopez. Stamtąd pojechali wąską drogą gruntową przez płaskowyż pokryty szarozielonymi kolczastymi krzewami i kępkami drzew arrayan. Na górskich, porośniętych letnią trawą łąkach pasły się wytrzymałe patagońskie owce, a w oddali, wśród andyjskich szczytów, gdzieś na chilijskiej granicy, zamigotała błyskawica.

Gdy dotarli do Puerto Blest słońce już zaszło, a ciche miasteczko pogrążyło się w mroku. Gabriel wszedł do kawiarni, żeby spytać o dalszą drogę. Niski barman o rumianej twarzy towarzyszył mu na dwór i gestykulując, wskazał kierunek.

\*

Wewnątrz kawiarni, przy stoliku obok drzwi, Zegarmistrz pociągał z butelki piwo i obserwował odbywającą się na ulicy wymianę zdań. Rozpoznał szczupłego mężczyznę z krótkimi posiwiałymi na skroniach, czarnymi włosami. Po stronie pasażera w toyocie siedziała kobieta o długich ciemnych włosach. Czy to ona władowała mu w Rzymie kulę w ramię? To nie miało większego znaczenia. Nawet jeśli nie, to i tak wkrótce będzie martwa.

Izraelczyk usiadł za kierownicą toyoty i odjechał. Barman wrócił do środka.

Zegarmistrz spytał po niemiecku:

- Dokąd jadą ci dwoje?

Barman odpowiedział mu w tym samym języku.

Zegarmistrz dopił piwo i zostawił na stoliku pieniądze. Każdy najmniejszy ruch, nawet wyjęcie z kieszeni paru banknotów, sprawiał, że jego ramię pulsowało ogniem. Wyszedł na dwór i przez chwilę stał w chłodnym wieczornym powietrzu, po czym odwrócił

się i powoli ruszył w stronę kościoła.

\*

Świątynia Naszej Górskiej Paniienki stała na zachodnim skraju miasteczka - mały pobielony kościół kolonialny z dzwonnica na lewo od drzwi frontowych. Przed wejściem rozciągał się osłonięty dwoma rozłożystymi platanami i otoczony żelaznym płotem kamienny plac. Gabriel poszedł na tyły kościoła. Cmentarz leżał na łagodnym zboczu wzgórza i sięgał gęstego sosnowego zagajnika. Wśród bujnych chwastów tkwiły tysiące pochyłonych nagrobków, wyglądających jak wynędzniałe, wycofujące się wojsko. Gabriel stał przez chwilę z rękami na biodrach, przybity perspektywą spacerowania w zapadającym mroku po cmentarzu i szukania kamienia z nazwiskiem Ottona Krebsa.

Wrócił przed kościół. Chiara czekała na niego na ciemnym dziedzińcu. Pociągnął ciężkie, drewniane drzwi kościoła i stwierdził, że są otwarte. Chiara weszła za nim. Twarz owiało mu chłodne powietrze i zapach, którego nie czuł od wyjazdu z Wenecji: mieszaniny wosku, kadzidła, pasty do podłogi i pleśni, charakterystyczny aromat katolickiego kościoła. Jakże inne było to wnętrze od kościoła Świętego Jana Chryzostoma w Cannaregio. Nie było połączanego ołtarza, nie było marmurowych kolumn ani strzelistych apsyd, nie było pięknych malowideł ołtarzowych. Surowy, drewniany krucyfiks i kilka rzędów gromnic migoczących blado przed posągami Najświętszej Paniienki. W gasnącym świetle wieczoru witraże zdobiące okna wzdłuż nawy zupełnie straciły kolor.

Gabriel z wahaniem przemierzył główną nawę. Nagle z zakrystii wyłoniła się ciemna sylwetka i przeszła przed ołtarzem. Przystanąła przed krucyfiksem, przyklękła i odwróciła się do Gabriela. Mężczyzna był niski i chudy, nosił czarne spodnie i czarną koszulę z krótkimi rękawami oraz koloratkę. Miał równo przystrzyżone i posiwiałe na skroniach włosy, jego smagła twarz była przystojna, policzki lekko zaróżowione. Nie wydawał się zaskoczony obecnością dwojga obcych ludzi w kościele. Gabriel podszedł do niego powoli. Ksiądz wyciągnął dłoń i przedstawił się jako ojciec Ruben Morales.

- Nazywam się René Duran - powiedział Gabriel. - Przyjechałem z Montrealu.

Ksiądz przytaknął, jakby był przyzwyczajony do gości z zagranicy.

- W czym mogę panu pomóc, monsieur Duran?

Gabriel podał mu to samo wyjaśnienie, co rano kobiecie w „Barilocher Tageblatt” - że przyjechał do Patagonii, szukając człowieka o nazwisku Otto Krebs, który mógł być według niego bratem jego matki. Gdy Gabriel mówił, ksiądz złożył ręce na piersi i zlustrował go łagodnym, życzliwym spojrzeniem. Jak bardzo różnił się ten duszpasterz od ojca Donatiego, zawodowego kościelnego urzędnika, albo od biskupa Drexlera, zjadliwego rektora Animy.

Gabriel miał wyrzuty sumienia, że go oszukuje.

- Świetnie znałem Ottona Krebsa - oznajmił ojciec Morales. - I z przykrością muszę panu powiedzieć, że nie był osobą, której pan szuka. Widzi pan, Herr Krebs nie miał braci ani sióstr. Nie miał żadnej rodziny. Gdy udało mu się osiągnąć pozycję, która pozwoliłaby mu wyżywić żonę i dzieci, stał się trochę... - Ksiądz na chwilę zamilkł. - Jak by to zgrabnie ująć...? Nie był już najlepszą partią. Wiek zrobił swoje.

- Czy rozmawiał kiedyś z ojcem o swojej rodzinie? - spytał Gabriel, po czym dodał: - Albo o wojnie?

Ksiądz uniósł brwi.

- Byłem jego spowiednikiem i przyjacielem, monsieur Duran. Nim umarł, omawialiśmy bardzo wiele rzeczy. Herr Krebs, jak wielu ludzi z jego pokolenia, widział dużo śmierci i zniszczeń. Popełniał też czyny, których bardzo się wstydził i za które bardzo potrzebował rozgrzeszenia.

- Czy udzielił mu go ojciec?

- Dałem mu spokój sumienia, monsieur Duran. Wysłuchałem jego spowiedzi, wyznaczyłem mu pokutę. W świetle katolickiej wiary przygotowałem jego duszę na spotkanie z Chrystusem. Ale czy ja, prosty ksiądz z wiejskiej parafii, mam moc pozwalającą na rozgrzeszenie tak wielkiego grzesznika? Sam nie wiem.

- Czy mogę zapytać o pewne rzeczy, które omawialiście? - spytał ostrożnie Gabriel. Wiedział, że wchodził na grząski grunt, i odpowiedź go nie zaskoczyła.

- Wiele moich rozmów z Herr Krebsem przebiegało pod tajemnicą spowiedzi. Resztę prowadziliśmy pod tajemnicą przyjaźni. Niestosowne by było z mojej strony wyjawianie panu, o czym rozmawialiśmy.

- Ale on nie żyje od dwudziestu lat.

- Nawet zmarli mają prawo do prywatności.

Gabriel usłyszał głos matki, pierwszą linijkę jej świadectwa: „Nie opowiem wszystkiego, co widziałam. Nie potrafię. Tyle mogę zrobić dla umarłych”.

- To pomogłoby mi w ustaleniu, czy ten człowiek był moim wujkiem.

Ojciec Morales posłał mu rozbrajający uśmiech.

- Jestem prostym wiejskim księdzem, monsieur, ale nie jestem głupi. Znam świetnie moich parafian. Naprawdę sądzi pan, że jest pierwszą osobą, która przyjeżdża tu i udaje, że szuka zaginionego krewnego? Nie mam cienia wątpliwości, że Otto Krebs nie mógł być pańskim wujkiem. Nie jestem natomiast tak bardzo pewny, że pan to René Duran z Montrealu. Pan wybaczy.



Odwrócił się, żeby odejść. Gabriel dotknął jego ramienia.

- Czy ojciec mógłby chociaż pokazać mi jego grób?

Ksiądz westchnął i spojrzał na witraże. Były zupełnie czarne.

- Jest już ciemno - stwierdził. - Proszę dać mi chwilę.

Przeszedł przez ołtarz i zniknął w zakrystii. Po chwili wyszedł, ubrany w jasnobrązową wiatrówkę i z dużą latarką w rękę. Poprowadził ich przez boczne wejście i żwirowaną, prowadzącą na plebanię ścieżką. Przy jej końcu znajdowała się przykryta dachem brama cmentarna. Ojciec Morales odsunął zasuwkę, zapalił latarkę i poprowadził ich w głąb cmentarza. Szli wąską, porośniętą chwastami dróżką, Gabriel obok księdza, a Chiara tuż za nimi.

- Czy ojciec odprawił za niego mszę?

- Tak, oczywiście. Co więcej, sam musiałem wszystko zorganizować. Nie było nikogo innego, kto by się tym zajął.

Zza kamienia nagrobnego wyskoczył kot i zatrzymał się przed nimi na ścieżce. W świetle latarki księdza jego oczy błyszczały jak złote lampy. Ojciec Morales syknął i kot czmychnął w wysoką trawę.

Podeszli bliżej znajdujących się przy końcu cmentarza drzew. Ksiądz skręcił w lewo i poprowadził ich przez sięgającą kolan trawę. Ścieżka była zbyt wąska, by dało się iść obok siebie, podążali więc gęsiego. Chiara, szukając wsparcia, trzymała Gabriela za rękę.

Pod koniec rzędu nagrobków ojciec Morales zatrzymał się i opuścił ukośnie latarkę. Snop światła padł na prosty kamień z napisem OTTO KREBS. Urodzony w 1913, zmarły w 1983, głosił nagrobek. Nad imieniem, za małą owalną szybką, podrapaną i pokrytą nalotem, znajdowało się zdjęcie.

\*

Gabriel kucnął i zmiatając warstwę pyłu, przyjrzał się twarzy. Widać było, że fotografię zrobiono wiele lat przed śmiercią, bo mężczyzna na zdjęciu był w średnim wieku. Gabriel nie miał wątpliwości, co do jednego. To nie była twarz Ericha Radka.

- Rozumiem, że to nie jest pański wujek, monsieur Duran?

- Czy jest ksiądz pewien, że on jest na tym zdjęciu?

- Oczywiście, że tak. Sam je znalazłem, w kuferku z jego osobistymi rzeczami.

- Nie sądzę, żeby pozwolił mi ksiądz rzucić na nie okiem?

- Już ich nie mam. A nawet jeśli...

Ojciec Morales, nie kończąc myśli, wręczył Gabrielowi latarkę.

- Zostawiam państwa samych. Znajdę drogę po ciemku. Byłbym bardzo wdzięczny,

gdyby zostawił pan latarkę przy drzwiach plebanii, kiedy będziecie wracać. Miło było pana poznać, monsieur Duran.

Powiedziawszy to, odwrócił się i zniknął wśród kamieni nagrobnych.

Gabriel spojrzął na Chiare.

- To powinno być zdjęcie Radka. Radek przyjechał do Rzymu i dostał paszport Czerwonego Krzyża na nazwisko Otto Krebs. Krebs wyjechał w 1948 roku do Damaszku, a stamtąd wyemigrował do Argentyny w 1963. Krebs zarejestrował się na komendzie policji w tym rejonie. To powinien być Radek.

- Czyli?

- Do Rzymu pojechał ktoś inny, udając Radka. - Gabriel wskazał zdjęcie na grobie. - Właśnie ten człowiek. To Austriak, który poszedł do biskupa Hudala w poszukiwaniu pomocy. Radek był gdzie indziej, pewnie wciąż ukrywał się w Europie. Z jakiego innego powodu uciekałby się do takich środków? Chciał, by ludzie wierzyli, że dawno temu zniknął. A nawet gdyby ktoś kiedyś zaczął go szukać, podążyłby fałszywym tropem, z Rzymu do Damaszku, z Damaszku do Argentyny, i znalazłby wreszcie Ottona Krebsa, podrzędnego pracownika hotelu, który uciułał dość pieniędzy, żeby kupić parę akrów ziemi na chilijskiej granicy.

- Wciąż masz do przewycięzenia jedną trudność - zauważyła Chiara. - Nie potrafisz udowodnić, że Ludwig Vogel to w rzeczywistości Erich Radek.

- Po kolei - zastanowił się Gabriel. - Zatarcie za kimś śladów nie jest takie proste. Radek potrzebował pomocy. Ktoś jeszcze musiał o tym wiedzieć.

- Dobrze, ale czy ten ktoś jeszcze żyje?

Gabriel wstał i spojrzął w stronę kościoła. Widział zarys dzwonnicy. Nagle zauważył między nagrobkami idącą w ich stronę postać. Przez chwilę sądził, że to ojciec Morales, ale gdy sylwetka zbliżyła się, zorientował się, że to kto inny. Ksiądz był niski i chudy. Ten człowiek - krępy i potężnie zbudowany. Szybkim rozkołysanym krokiem schodził ze wzgórza w stronę lasu.

Gabriel podniósł latarkę i zaświecił w jego stronę. Nim mężczyzna zasłonił się szeroką dłonią, Gabriel ujrzał przez moment jego twarz - łysy, w okularach, grube, siwo-czarne brwi.

Usłyszał za plecami hałas. Odwrócił się i poświecił w stronę lasu rosnącego wzdłuż krawędzi cmentarza. Dwóch ubranych na czarno ludzi wybiegło spomiędzy drzew, ściskając w rękach niewielkie pistolety maszynowe.

Gabriel po raz kolejny oświetlił mężczyznę schodzącego wśród nagrobków i dostrzegł, że wyciąga z kurtki broń. Nagle się zatrzymał. Nie patrzył w stronę Gabriela i

Chiary, tylko na wyłaniających się z lasu ludzi. Przez mgnienie oka stanął bez ruchu - po czym schował gwałtownie pistolet, odwrócił się i biegiem ruszył w przeciwnym kierunku. Gdy Gabriel znów się odwrócił, mężczyźni z pistoletami byli tuż-tuż i pędzili w ich stronę. Pierwszy wpadł na Gabriela, powalając go na twardą cmentarną ziemię. Chiara zdążyła zasłonić twarz, nim drugi mężczyzna też ją przewrócił. Gabriel poczuł zaciśniętą na ustach dłoń w rękawiczce, a następnie ciepły oddech na karku.

- Spokojnie, Allon, jesteś wśród swoich - powiedział napastnik po angielsku z amerykańskim akcentem. - Nie utrudniaj sprawy.

Gabriel oderwał od ust rękę i spojrzał napastnikowi w oczy.

- Kim jesteście?

- Traktuj nas jak aniołów stróżów. Idący w waszą stronę człowiek był zawodowym mordercą i miał zabić was oboje.

- A wy co z nami zrobicie?

Uzbrojeni mężczyźni postawili Chiare i Gabriela na nogi i wyprowadzili z cmentarza.

# Część trzecia

*Rzeka popiołów*

Od skraju cmentarza porośnięty lasem stok opadał gwałtownie w czerń ciemnego jaru. Schodzili w dół po stromym zboczu, przedzierając się przez chaszczę. Noc była bezksiężycowa, panowała zupełna ciemność. Szli gęsiego, z przodu jeden Amerykanin, następnie Gabriel i Chiara, pochód zamykał drugi Amerykanin. Obaj mieli noktowizory. Zdaniem Gabriela poruszali się jak żołnierze elitarnych jednostek.

Dotarli do niewielkiego, świetnie ukrytego obozowiska: czarne namioty, czarne śpiwory, żadnych śladów ognia ani kuchenki. Gabriel zastanawiał się, od jak dawna obserwowali cmentarz. Sądząc po zaroście, niezbyt długo. Czterdzieści osiem godzin, może nawet krócej.

Amerykanie zaczęli się pakować. Przez chwilę Gabriel próbował wywiedzieć się, kim byli i dla kogo pracowali. Odpowiedziały mu zmęczone uśmiechy i głębokie milczenie.

Zwinięcie obozu i zatarcie wszelkich śladów ludzkiej obecności zajęło im ledwie parę minut. Gabriel zgłosił gotowość do poniesienia jednego z plecaków. Amerykanie odmówili.

Ruszyli w dalszą drogę. Po dziesięciu minutach stanęli na dnie jaru w kamienistym łożysku strumienia. Czekał na nich przykryty siatką maskującą i sosnowymi gałęziami pojazd, stary rover z przyczepionym do maski zapasowym kołem i kanistrami z benzyną w bagażniku.

Amerykanie posadzili Chiarę z przodu, Gabriela z tyłu, z wycelowanym w brzuch pistoletem na wypadek, gdyby nagle stracił zaufanie co do intencji swoich wybawców. Przez parę kilometrów telepalili się wzdłuż koryta strumienia, rozbryzgując na boki płytką wodę, po czym wjechali na drogę gruntową. Po kilku minutach skręcili w prowadzącą z Puerto Blest autostradę. Amerykanie pojechali w prawo w kierunku Andów.

- Jedziecie w stronę Chile - zauważył Gabriel.

Amerykanie wybuchnęli śmiechem.

Dziesięć minut później granica: skulony w ceglany bunkrze samotny strażnik. Rover przemknął obok, nawet nie zwalniając, i zaczął zjeżdżać w dół w stronę Pacyfiku.

Na północnym krańcu zatoki Ancud leży miasteczko Porto Montt, kurort oraz przystanek dla statków wycieczkowych. Na jego obrzeżach znajduje się lotnisko, mające pas startowy odpowiednio długi dla odrzutowca Gulfstream G500. Gdy rover przyjechał na miejsce, samolot czekał na płycie lotniska z włączonymi silnikami. W drzwiach stał siwowłosa Amerykanin. Zaprosił Gabriela i Chiareę na pokład, po czym przedstawił się bez przekonania jako pan Alexander. Gabriel, nim usiadł w wygodnym skórzanym fotelu, spytał, dokąd lecą.

- Do domu, panie Allon. Proponuję, żeby pan oraz pańska przyjaciółka spróbowali się zdrzemnąć. Czekają nas długa podróż.

\*

Zegarmistrz zadzwonił do Wiednia z pokoju hotelowego w Bariloche.

- Zginęli?

- Obawiam się, że nie.

- Co się stało?

- Jeśli mam być zupełnie szczery - powiedział Zegarmistrz - nie mam, kurwa, pojęcia.

Lokal konspiracyjny stoi na skraju wirgińskiej krainy koni, w miejscu, gdzie bogactwa i przywileje stykają się z trudną codziennością wiejskiego życia na południu Stanów. Dojeżdża się tam krętą, wznoszącą się i opadającą szosą, wzdłuż której stoją walące się stodoły i pozbijane z desek parterowe domki z zepsutymi samochodami na podjazdach. Po drodze jest brama; napis ostrzega, że teren jest prywatny, ale nic nie wspomina, że w zasadzie to obiekt rządowy. Droga dojazdowa wysypana jest żwirem i ma prawie półtora kilometra długości. Po prawej stronie rośnie gęsty las, a po lewej znajduje się otoczone drewnianym płotem pastwisko. Ogrodzenie wywołało spore oburzenie wśród miejscowych rzemieślników, bo do jego wzniesienia „właściciel” wynajął firmę z zewnątrz. Na pastwisku pasą się dwa gniade konie. Dowcipnisie z agencji twierdzą, że tak jak wszyscy inni pracownicy zwierzęta są raz do roku poddawane badaniu na wykrywaczu kłamstw, pozwalającym stwierdzić, czy nie przeszły na drugą stronę, cokolwiek by to znaczyło.

Na skraju terenu stoi otoczony rozłożystymi drzewami dom w stylu kolonialnym. Ma dach pokryty miedzią i podwójną werandę. Wiejskie meble są wygodne, skłaniają do współpracy i poufałości. Zatrzymywały się tu delegacje zaprzyjaźnionych służb wywiadowczych oraz ludzie, którzy postanowili zdradzić swój kraj.

Ostatnią osobą był Irakijczyk, który pomagał Saddamowi w budowie bomby atomowej. Jego żona miała nadzieję, że dostaną pokój w słynnym hotelu Watergate, i przez cały pobyt gorzko narzekała. Ich dzieci podpaliły stodołę. Zarząd z przyjemnością się z nimi pożegnał.

Tego popołudnia pastwisko pokrył świeży śnieg. Pozbawiony kolorów przez przyciemnione szyby niezgrabnego chevroleta suburbańskiego krajobraz przypominał Gabrielowi szkic węglem. Alexander, dotąd śpiący na odchylonym przednim siedzeniu, nagle się ocknął. Ziewnął przeciągle i sprawdził, która godzina. Zmarszczył brwi, gdy zdał sobie sprawę, że jego zegarek pokazuje zły czas.

To Chiara siedząca obok Gabriela jako pierwsza zauważyła łysą, przypominającą wartownika postać, stojącą przy barierce na górnej werandzie. Gabriel pochylił się w stronę

okna i spojrzał na niego. Szamron uniósł dłoń i przez chwilę trzymał ją w górze, nim odwrócił się i zniknął w głębi domu.

Powitał ich w holu wejściowym. Obok niego stał ubrany w sztruksowe spodnie i rozpinany sweter drobny mężczyzna z rzadkimi siwymi włosami i siwymi wąsami. Jego brązowe oczy były pełne spokoju, uścisk dłoni krótki i chłodny. Wyglądał na profesora, a może na lekarza psychiatrę. Nie był ani jednym, ani drugim. Był zastępcą dyrektora operacyjnego Centralnej Agencji Wywiadowczej i nazywał się Adrian Carter. Nie sprawiał wrażenia zbyt szczęśliwego, ale z powodu obecnej sytuacji na świecie rzadko bywa inaczej.

Ostrożnie wymienili pozdrowienia, jak zwykle ludzie z tajnych służb. Używali prawdziwych nazwisk, bo znali się nawzajem, a posługiwanie się kryptonimami roboczymi dodałoby tylko całej sprawie komizmu. Spokojny wzrok Cartera padł na moment na Chiare, jakby była nieproszonym gościem, dla którego trzeba położyć dodatkową zastawę na stole. Nie próbował nawet ukryć wyrazu niezadowolenia.

- Miałem nadzieję, że spotkanie odbędzie się na wysokim szczeblu - odezwał się Carter. Mówił bardzo cicho; żeby go usłyszeć, trzeba było milczeć i nadstawić uszu. - Liczyłem też, że materiały, którymi mam zamiar się z wami podzielić, pozostaną znane ograniczonej liczbie osób.

- To moja partnerka - wyjaśnił Gabriel. - Wie wszystko i nie opuści tego pokoju.

Oczy Cartera z wolna przeniosły się na Gabriela.

- Obserwowaliśmy cię od pewnego czasu, od przyjazdu do Wiednia, jeśli chodzi o ścisłość. Szczególnie podobała nam się twoja wizyta w Café Central. Doprowadzenie do konfrontacji z Voglem było naprawdę niezłym przedstawieniem.

- Tak naprawdę to Vogel doprowadził do konfrontacji ze mną.

- To w jego stylu.

- Kim on jest?

- To ty prowadziłeś poszukiwania. Może sam mi powiesz?

- Sądzę, że to zbrodniarz z SS, Erich Radek, i że z jakiegoś powodu go kryjecie. Jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że był waszym agentem.

Carter położył Gabrielowi dłoń na ramieniu.

- Chodźmy - rzekł. - Najwyższy czas, żebyśmy ucięli sobie pogawędkę.

\*

W salonie zasłony były zasunięte i paliło się światło. W kominku płonął ogień, a na kredensie stał ekspres do kawy na wiele osób. Carter nalał sobie trochę, nim z profesorskim spokojem usadowił się w dużym fotelu. Gabriel i Chiara usiedli na kanapie, a Szamron



przemierzał pokój dookoła - wartownik, którego czeka długa noc.

- Opowiem ci pewną historię, Gabrielu - rozpoczął Carter. - Historię kraju wciągniętego w wojnę, której nie chciał prowadzić, kraju, który pokonał największą armię, jaką widział ten świat, tylko po to, by w ciągu paru miesięcy znaleźć się w wojskowym impasie ze swoim niedawnym sojusznikiem, Związkiem Radzieckim. Co tu dużo mówić, sraliśmy w gacie ze strachu. Widzisz, przed wojną nie mieliśmy wcale wywiadu - przynajmniej wywiadu z prawdziwego zdarzenia. Cholera, wasze służby są równie nowe jak nasze. Przed wojną nasza komórka wywiadowcza w Związku Radzieckim składała się z kilku gości z Harvardu i jednego dalekopisu. Gdy nagle musieliśmy stanąć twarzą w twarz z zagrożeniem ze strony Sowietów, gównem o nich wiedzieliśmy. O ich sile, słabościach, zamiarach. Co gorsza, nie mieliśmy pojęcia, jak się tego dowiedzieć. Z góry było przesądzone, że nadejdzie kolejna wojna. A co myśmy mieli? Gównem. Żadnej siatki, żadnych agentów. Nic. Błądziliśmy po omacku. Potrzebowaliśmy pomocy. I wtedy na horyzoncie pojawił się Mojżesz, człowiek, który miał nas poprowadzić przez Synaj do Ziemi Obiecanej.

Szamron na chwilę się zatrzymał, by wyjaśnić, kto był owym Mojżeszem: generał Reinhard Gehlen, szef wydziału Obce Armie Wschód Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, główny szpieg Hitlera na froncie wschodnim.

- Kup mu cygaro. - Carter skinął głową w stronę Szamrona.

- Gehlen jako jeden z niewielu ludzi miał dość ikry, żeby powiedzieć Hitlerowi prawdę o przebiegu kampanii w Rosji. Hitlera szlag przez niego trafiał, groził mu nawet, że zamknie go w wariatkowie. Gdy wojna zbliżała się ku końcowi, Gehlen postanowił ratować własną skórę. Nakazał personelowi sfotografować na mikrofilmach archiwa Sztabu Generalnego dotyczące Związku Radzieckiego i zamknąć zdjęcia w wodoodpornych cylindrach. Zakopano je w górach Austrii i Bawarii, a następnie Gehlen i jego ludzie oddali się w ręce kontrwywiadu.

- A wy powitaliście ich z otwartymi ramionami - dodał Szamron.

- Zrobiłbyś to samo, Ari. - Carter złożył ręce na piersi i przez chwilę wpatrywał się w ogień. Gabriel prawie słyszał, jak liczy do dziesięciu, żeby powstrzymać gniew. - Gehlen był odpowiedzią na nasze modlitwy. Człowiek, który poświęcił całą swoją karierę na szpiegowanie w Związku Radzieckim, chciał wskazać nam drogę. Ściągnęliśmy go do kraju i umieściliśmy parę mil stąd, w Fort Hunt. Nasze służby bezpieczeństwa jadły mu z ręki. Powiedział to, co chcieliśmy usłyszeć. Stalinizm jest złem niemającym sobie równego w historii. Stalin ma zamiar podporządkować sobie kraje Europy Zachodniej od wewnątrz, po czym je zaatakować. Jego ambicje ogarniają cały świat. Nie lękajcie się, powiedział Gehlen.

Mam siatkę wywiadowczą, uspiionych agentów i pracujące komórki. Wiem wszystko o Stalinie i jego pachołkach. Razem możemy go zniszczyć.

Carter wstał i podszedł do kredensu, by podgrzać kawę.

- Gościliśmy Gehlena w Fort Hunt przez dziesięć miesięcy. Postawił twarde warunki, ale moi poprzednicy byli jak zahipnotyzowani i godzili się na wszystkie żądania. Narodziła się Organizacja Gehlena. Przeprowadził się do otoczonej murem bazy wojskowej niedaleko Pullach w Niemczech. Sponsorowaliśmy go, dawaliśmy wytyczne. Dowodził i werbował agentów. Po pewnym czasie organizacja stała się w zasadzie placówką Agencji.

Carter wrócił z kawą na swój fotel.

- Jasne chyba, że skoro głównym celem Organizacji Gehlena był Związek Radziecki, generał werbował osoby mające pewne doświadczenie w tym zakresie. Jedną z nich był bystry, energiczny młody człowiek o nazwisku Erich Radek, Austriak, który dowodził SD na terenie Reichskommissariat Ukraine. W tym czasie Radka przetrzymywano w obozie jenieckim w Mannheim. Oddano go w ręce Gehlena i wkrótce znalazł się za murami kwatery głównej organizacji w Pullach, zajmując się odnawianiem swoich siatek wywiadowczych na Ukrainie.

- Radek był z SD - powiedział Gabriel. - SS, SD i gestapo uznano po wojnie za organizacje przestępcze, a wszyscy ich członkowie podlegali natychmiastowemu aresztowaniu. Mimo tego pozwoliłeś Gehlenowi go zatrudnić.

Carter pokiwał z wolną głową, jakby student odpowiedział na pytanie poprawnie, ale pomijając szerszy, ważniejszy punkt widzenia.

- Podczas pobytu w Fort Hunt Gehlen zobowiązał się nie zatrudniać byłych esesmanów, gestapowców i członków SD, ale obietnica pozostała tylko na papierze, nikt zresztą nie oczekiwał, że ją spełni.

- Wiedzieliście, że Radek miał powiązania z działaniami Einsatzgruppen na Ukrainie?  
- spytał Gabriel. - Że ten bystry i energiczny młody mężczyzna próbował ukryć największą zbrodnię w historii?

Carter pokręcił głową.

- Wtedy jeszcze nie znano skali hitlerowskich okrucieństw. Nikt nie słyszał też o Aktion 1005, a te czki Radka z SS nic nie wspominały o jego przeniesieniu z Ukrainy. Aktion 1005 była ściśle tajna, a w Trzeciej Rzeszy ściśle tajnych operacji nie wymieniano na papierze.

- Ale, panie Carter - odezwała się Chiara - z pewnością generał Gehlen wiedział o tym, co robił Radek.

Carter uniósł brwi, jakby zdumiony faktem, że Chiara potrafi mówić.

- Może i wiedział, ale to i tak nie sprawiłoby mu większej różnicy. Radek nie był jedynym byłym esesmanem, który pracował w organizacji. Zatrudnienie znalazło tam co najmniej pięćdziesięciu innych, w tym kilku takich jak Radek, mających swój udział w Ostatecznym Rozwiązaniu.

- Obawiam się, że przełożonym Gehlena również nie sprawiłoby to żadnej różnicy - powiedział Szamron. - Każdy drań, jeśli tylko jest antykomunistą... Czy to nie była czasem jedna z dewiz agencji co do werbowania agentów w czasie zimnej wojny?

- Pozwolicie, że zacytuję niesławne słowa Richarda Helmsa: „Nie jesteśmy harcerzami. Gdybyśmy chcieli być harcerzami, wstąpilibyśmy do harcerstwa”.

- Nie wyglądasz na zbyt zmartwionego, Adrian - stwierdził Gabriel.

- Przedstawienia nie są moją mocną stroną, Gabrielu. Jestem zawodowcem, jak ty i twój legendarny szef. Zajmuję się światem rzeczywistym, a nie światem, w jakim chciałbym żyć. Nie przepraszam za czyny moich poprzedników, podobnie jak Szamron nie przeprasza za waszych. Czasem wywiad musi skorzystać z usług złych ludzi, żeby osiągnąć dobre wyniki: stabilność na świecie, bezpieczeństwo narodowe, ochronę wartościowych przyjaciół. Ludzie, którzy postanowili zatrudnić Reinharda Gehlena i Ericha Radka, grali w grę starą jak świat, w Realpolitik, i grali w nią dobrze. Nie mam zamiaru odcinać się od ich działań, a już na pewno nie pozwolę, żebyście wy ich osądzali.

Gabriel pochylił się w przód ze splecionymi rękami, opierając łokcie na kolanach. Czuł żar od ognia na twarzy. To tylko wzmagало jego gniew.

- Jest różnica między wykorzystywaniem złych ludzi jako źródła informacji a werbowaniem ich jako oficerów wywiadu. A Erich Radek nie był przeciętnym zabójcą, tylko zbrodniarzem wojennym.

- Radek osobiście nie angażował się w eksterminację Żydów. Działał dopiero po fakcie.

Chiara kręciła głową, jeszcze nim Carter skończył mówić. Zmarszczył brwi. Zaczynał widocznie żałować zgody na jej udział w naradzie.

- Czy może nie zgadza się pani z czymś, co powiedziałem, panno Zoili?

- Tak, nie zgadzam się - odparła. - Widać mało pan wie na temat Aktion 1005. Jak pan myśli, komu Radek kazał otwierać masowe groby i palić zwłoki? Co według pana robił z tymi ludźmi, gdy skończono pracę? - Odpowiedziało jej milczenie, więc ogłosiła werdykt: - Erich Radek był ludobójcą, a wy zatrudniliście go jako szpiega.

Carter znów pokiwał głową, jakby przegrał mecz na punkty. Szamron uspokajająco

położył Chiarze dłoń na ramieniu. Spojrzał na Cartera i spytał o wyjaśnienie ukartowanej ucieczki Radka z Europy. Carterowi wyraźnie ulżyło, gdy stanął przed perspektywą zmiany tematu.

- Ach tak - ciągnął. - Ucieczka z Europy. Tu zaczyna się robić ciekawie.

\*

Erich Radek wkrótce został pierwszym zastępcą generała Gehlena. Chcąc chronić swoją gwiazdę, Gehlen i jego amerykańscy doradcy stworzyli dla niego nową tożsamość: Ludwig Vogel, Austriak, powołany do służby w Wehrmachcie, zaginął w ostatnich dniach wojny. Przez dwa lata Radek żył w Pullach jako Vogel. Jego nowa tożsamość zdawała się niepodważalna, ale sytuacja uległa zmianie jesienią 1947 roku, kiedy otwarto sprawę nr 9, kolejną rozprawę w procesach norymberskich - proces Einsatzgruppen. W sądzie kilkakrotnie padło nazwisko Radka, wymieniono też kryptonim tajnej operacji mającej na celu zniszczenie dowodów morderstw popełnionych przez Einsatzgruppen - Aktion 1005.

- Gehlen się zaniepokoił - powiedział Carter. - Radek został oficjalnie uznany za zaginionego, a jego los był nieznany. Gehlen bardzo chciał, żeby tak zostało.

- Więc wysłaliście do Rzymu człowieka udającego Radka - domyślił się Gabriel - i zostawiliście wystarczająco wiele wskazówek, żeby każdy próbujący go odnaleźć podążył fałszywym tropem.

- W rzeczy samej.

- Dlaczego użyliście trasy watykańskiej, a nie waszego własnego szlaku ewakuacyjnego? - spytał, nie zatrzymując się, Szamron.

- Masz na myśli szlak ewakuacyjny kontrwywiadu?

Szamron zamknął oczy i krótko skinął głową.

- Szlak kontrwywiadu służył głównie zbiegom z Rosji. Gdybyśmy wysłali nim Radka, ujawnilibyśmy, że pracuje dla nas. Użyliśmy Watykanu, żeby uwierzytelnić go jako nazistowskiego zbrodniarza wojennego, który ucieka przed aliancką sprawiedliwością.

- Bardzo sprytne, Adrian. Przepraszam, że ci przerwałem. Mów dalej.

- Radek zniknął - kontynuował Carter. - Raz na jakiś czas Organizacja podtrzymywała wersję o ucieczce, podsuwając różnym łowcom nazistów fałszywe informacje, że zauważono go w którejś ze stolic w Ameryce Południowej i że tam się ukrywał. Rzecz jasna, mieszkał wciąż w Pullach, pracując dla Gehlena jako Ludwig Vogel.

- Żałosne - wymamrotała Chiara.

- Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy - mówił dalej Carter. - Sprawy wyglądały wtedy inaczej. Procesy norymberskie dobiegły końca i nikt już nie wysuwał

kolejnych oskarżeń. Nazistowscy lekarze wrócili do zawodu. Nazistowscy naukowcy znów wykładali na uniwersytetach. Nazistowscy sędziowie ponownie zasiadali w sądach.

- A nazistowski morderca Erich Radek był ważnym amerykańskim agentem, potrzebującym ochrony - dodał Gabriel. - Kiedy wrócił do Wiednia?

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku Konrad Adenauer zamienił Organizację w oficjalny zachodnioniemiecki wywiad: Bundesnachrichtendienst, BND. Erich Radek, jako Ludwig Vogel, znów pracował dla niemieckich władz. Wrócił do Wiednia w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku zbudować siatkę wywiadowczą i zadbać, by nowy austriacki rząd pozostał po stronie NATO i Zachodu. Vogel to wspólne osiągnięcie BND i CIA. Razem opracowaliśmy dla niego przykrywkę. Oczyszcziliśmy akta w Staatsarchiv. Stworzyliśmy mu firmę, Przedsiębiorstwo Handlowo-Inwestycyjne „Dolina Dunaju”, i podsyłaliśmy jej odpowiednio dużo interesów, żeby jej się dobrze wiodło. Vogel miał głowę do inwestycji i wkrótce przychody z PHIDD zasilają wszystkie nasze austriackie komórki. Krótko mówiąc, Vogel był naszym najważniejszym przedsięwzięciem w Austrii - i jednym z najwartościowszych w Europie. Królem szpiegów. Gdy opadła żelazna kurtyna, jego praca dobiegła końca. Miał już zresztą swoje lata. Skończyliśmy naszą znajomość, podziękowaliśmy mu za dobrą robotę i rozstaliśmy się. - Carter podniósł rękę. - I obawiam się, że na tym ta historia się kończy.

- To nieprawda, Adrian - stwierdził Gabriel. - Gdyby tak byto, nie siedzielibyśmy tutaj.

- Masz na myśli zarzuty Maksa Kleina wobec Vogla?

- Wiedzieliście o tym?

- Vogel zaalarmował nas, że możemy mieć problem w Wiedniu. Chciał, żebyśmy interweniowali i wyciszili zarzuty. Odparliśmy, że nie możemy tego zrobić.

- Więc wziął sprawy we własne ręce.

- Sugerujesz, że to Vogel zlecił zamach na Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych?

- Sugeruję też, że kazał zamordować Maksa Kleina, żeby go uciszyć.

Carter, nim odpowiedział, myślał przez chwilę.

- Jeśli Vogel jest w to zamieszany, na pewno działał przez tylu podstawionych ludzi i przedstawicieli, że nigdy do niego nie dotrzecie. Poza tym zamach na Maksa Kleina i jego śmierć to sprawy Austrii, a nie Izraela, a żaden austriacki prokurator nie pozwie Ludwiga Vogla w sprawie o morderstwo. To ślepy zaułek.

- Adrian, on się nazywa Radek, a nie Vogel, a pytanie brzmi: dlaczego? Dlaczego Radek tak strasznie przejął się śledztwem Eliego Lavona, że posunął się do morderstwa?

Nawet jeśli Eli i Max Klein potrafiliby ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że Vogel to w rzeczywistości Radek, prokuratura austriacka nigdy by go nie postawiła przed sądem. Jest za stary. Minęło zbyt dużo czasu. Nie ma już świadków, nikogo poza Kleinem, i nie było szans, żeby Radek został skazany na podstawie zeznań jednego starego Żyda. Po co więc uciekać się do przemocy?

- Wydaje mi się, że masz jakąś teorię.

Gabriel obejrzał się przez ramię i wyszeptał do Szamrona parę słów po hebrajsku. Ari podał mu teczkę zawierającą wszystkie zebrane podczas śledztwa materiały. Gabriel otworzył ją i wyjął jedną rzecz: zdjęcie zabrane z domu Radka w Salzkammergut, Radek z jakąś kobietą i nastoletnim chłopcem. Położył fotografię na stole i obrócił w stronę Cartera. Wzrok Amerykanina spoczął wpierw na zdjęciu, a następnie na Gabrielu.

- Kim ona jest? - spytał Gabriel.

- To jego żona, Monica.

- Kiedy się z nią ożenił?

- Podczas wojny - odparł Carter. - W Berlinie.

- W jego tezcze nie było żadnej wzmianki o zatwierdzonym przez SS ślubie.

- Wiele informacji nie przedostało się do akt SS.

- A po wojnie?

- Osiedliła się w Pullach pod prawdziwym nazwiskiem. Dziecko urodziło się w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku. Gdy Vogel przeniósł się z powrotem do Wiednia, generał Gehlen doszedł do wniosku, że dla własnego bezpieczeństwa Monica z synem nie powinna jawnie z nim wracać. Agencja była tego samego zdania. Zaaranżowano ślub z jednym z ludzi pracujących dla Vogla. Monica mieszkała w Wiedniu w sąsiednim domu. Odwiedzała go wieczorami. W końcu zbudowaliśmy tunel łączący oba budynki, żeby Monica i chłopiec mogli swobodnie przemieszczać się między domami bez obaw, że ktoś ich zobaczy. Nigdy nie byliśmy pewni, kto ich obserwuje. Rosjanie z radością skompromitowaliby go i przeciągnęli na swoją stronę.

- Jak miał na imię chłopiec?

- Peter.

- A agent, za którego wyszła Monica Radek? Powiedz nam, jak miał na nazwisko, Adrian.

- Chyba już wiesz, Gabrielu, jak miał na nazwisko. - Carter zawahał się, po czym dodał: - Nazywał się Metzler.

- Peter Metzler, człowiek, który ma zostać kanclerzem Austrii, to syn hitlerowskiego

zbrodniarza Ericha Radka, a Eli Lavon zamierzał to ujawnić.

- Na to wygląda.

- Wiesz, Adrian, wydaje mi się, że to wystarczający motyw do popełnienia morderstwa.

- Brawo, Gabrielu - powiedział Carter. - Ale co możesz na to poradzić? Przekonać Austriaków, żeby oskarżyli Radka? Życzę powodzenia. Ujawnić, że Peter Metzler to syn Ericha Radka? Jeśli to zrobicie, ujawnicie także, że Radek był naszym człowiekiem w Wiedniu. To postawi agencję w bardzo krępującej sytuacji w okresie, gdy jest uwikłana w światową kampanię mającą na celu zwalczenie sił chcących zniszczyć zarówno nas, jak i was. Równocześnie stosunki między naszymi służbami zostaną gwałtownie zerwane, w chwili kiedy rozpaczliwie potrzebujecie naszego wsparcia.

- Adrian, to brzmi jak groźba.

- Nie, to tylko dobra rada - sprostował Carter. - To Realpolitik. Zostawcie go w spokoju. Przymknijcie oczy. Poczekajcie, aż umrze, i zapomnijcie, że to kiedykolwiek miało miejsce.

- Nie - odezwał się Szamron.

Carter przeniósł wzrok z Gabriela na Szamrona.

- Skąd wiedziałem, że taka będzie twoja odpowiedź?

- Bo ja jestem Szamron. Nigdy nie zapominam.

- W takim razie chyba musimy rozwiązać tę sytuację w sposób, który nie zanurzy moich służb w bagnie historii. - Carter spojrział na zegarek. - Robi się późno. Jestem głodny. Może coś zjemy?

\*

Przez następną godzinę, przy pieczonej kaczmce z dzikim ryżem, w oświetlonej przez świecę jadalni, nazwisko Ericha Radka nie padło ani razu. Szamron zawsze powtarzał, że w takich sprawach obowiązuje pewien rytuał, rządzi nimi rytm, którego nic wolno przerywać ani przyspieszać. Był czas na bezduszne negocjacje oraz na to, by usiąść wygodnie i cieszyć się towarzystwem bratniej duszy, która, gdy wszystko już zostanie powiedziane, zwykle chce dla ciebie jak najlepiej.

I tak, nie potrzebując większej zachęty ze strony Cartera, Szamron zgodził się zapewnić im tego wieczoru rozrywkę. Przez dłuższy czas grał powierzoną mu rolę. Opowiadał o nocnych wyprawach na teren wroga; o wykradzionych sekretach i zlikwidowanych przeciwnikach; o fiaskach i katastrofach, które zawsze towarzyszą podobnym karierom, szczególnie tak długim i burzliwym jak kariera Szamrona. Carter był

oczarowany, odłożył widelec i czerpał energię z zapachu Szamrona. Gabriel w milczeniu obserwował rozmowę ze swojego przycółka na końcu stołu. Wiedział, że właśnie jest świadkiem werbowania agenta - a u podstaw doskonałego werbunku, powtarzał zawsze Szamron, leżało doskonałe uwodzenie. Zaczynało się od flirtu, wyznawania uczuć, które lepiej przemilczeć. Tylko gdy ziemia została dokładnie zaorana, można było zasiać ziarno zdrady.

Przy ciepłej szarlotce i kawie Szamron przestał mówić o swoich wyczynach, a zaczął opowiadać o sobie; o swoim dzieciństwie w Polsce; o żądle polskiego antysemityzmu; o chmurach zbierających się za granicą, w hitlerowskich Niemczech.

- W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku moja matka i ojciec postanowili, że wyjadę z Polski do Palestyny - mówił Szamron. - Sami mieli zostać z moimi dwiema starszymi siostrami i zobaczyć, jaki obrót przybiorą sprawy. We wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego usłyszeliśmy w radiu, że Niemcy zaatakowali. Wiedziałem, że nigdy już nie ujrzę swojej rodziny.

Szamron siedział przez chwilę w milczeniu. Gdy zapalał papierosa, trzęsły mu się ręce. Zasiał pole pod uprawę. Jego żądanie było jasne, chociaż nie wypowiedział go na głos. Nie zamierzał opuścić tego miejsca bez Ericha Radka w kieszeni, a Adrian Carter miał mu w tym pomóc.

\*

Gdy wrócili do salonu na nocne posiedzenie, na stole przed kanapą stał magnetofon. Siedzący w fotelu przy kominku Carter nasypał sobie do fajki angielskiego tytoniu. Zapalił zapalkę i wciąż trzymając w zębach cybuch, skinął głową w stronę magnetofonu. Poprosił Gabriela, żeby czynił honory domu. Gabriel nacisnął PLAY. Dwóch ludzi zaczęło rozmawiać po niemiecku, jeden z akcentem zuryskim, drugi z wiedeńskim. Gabriel znał głos wiedeńczyka. Słyszał go tydzień wcześniej w Café Central. Należał do Ericha Radka.

„Na dzień dzisiejszy wartość zgromadzonych na koncie środków wynosi dwa i pół miliarda dolarów. Z tego mniej więcej miliard w gotówce, równo podzielonej na dolary i euro. Reszta spoczywa w inwestycjach - standardowo, w papierach wartościowych, obligacjach i znacznej liczbie nieruchomości...”.

\*

Dziesięć minut później Gabriel wyciągnął rękę i wcisnął STOP. Carter wysypał popiół z fajki do kominka i powoli nałożył kolejną porcję tytoniu.

- Ta rozmowa miała miejsce tydzień temu w Wiedniu - powiedział. - Bankier nazywa się Konrad Becker. Mieszka w Zurychu.



- Co to za konto?

- Po wojnie tysiące uciekających hitlerowców znalazło schronienie w Austrii. Przywieźli ze sobą zrabowane łupy warte kilkaset milionów dolarów: złoto, gotówkę, dzieła sztuki, biżuterię, srebra, dywany i gobeliny. Poukrywano je w Alpach. Wielu uciekinierów chciało odtworzyć Rzeszę, a złupione skarby miały im w tym dopomóc. Niewielka grupka oficerów zdawała sobie sprawę, że zbrodnie Hitlera były zbyt wielkie i trzeba przeczekać przynajmniej jedno pokolenie, żeby narodowy socjalizm miał z politycznego punktu widzenia szansę bytu. Postanowili umieścić znaczną sumę pieniędzy w zuryskim banku i zostawić raczej nietypowe instrukcje dysponowania kontem. Mógł je aktywować wyłącznie list od kanclerza Austrii. Uważali, rozumiecie, że rewolucja zaczęła się od Hitlera w Austrii, i że właśnie w Austrii wybuchnie na nowo. Numer konta i hasło znało pięciu ludzi. Czterech umarło. Kiedy piąty zachorował, znalazł kogoś, kto mógłby zostać powiernikiem.

- Ericha Radka.

Carter skinął głową i na chwilę przerwał, żeby zapalić fajkę.

- Radek niedługo będzie miał swojego kanclerza, ale nie uszczknie ani krzty z tej forsy. Puszczanie w niepamięć jego przeszłości w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku to jedno, ale nie mamy zamiaru pozwolić mu odblokować konta z ponad dwoma miliardami zrabowanych podczas Holocaustu dolarów. Po cichu dobraliśmy się do Herr Beckera i jego banku. Radek jeszcze o tym nie wie, ale nie zobaczy ani centa z tych pieniędzy.

Gabriel wyciągnął rękę, nacisnął REW, STOP i PLAY:

„Pańscy towarzysze byli bardzo hojni względem tych, którzy wsparli ich w wysiłkach. Ale obawiam się, że wystąpiły pewne... komplikacje.

- Jakie komplikacje?

- Wygląda na to, że wiele osób, które miały otrzymać pieniądze, pożegnało się z życiem w tajemniczych okolicznościach".

STOP Gabriel spojrzął na Cartera, oczekując wyjaśnień.

- Ludzie, którzy stworzyli konto, chcieli nagrodzić osoby i instytucje pomagające uciekającym po wojnie nazistom. Radek uważał to za sentymentalne bzdury. Nie zamierzał uruchamiać organizacji dobroczynnej. Nie mógł zmienić umowy, zmienił więc okoliczności.

- Czy Enrique Calderon i Gustavo Estrada mieli otrzymać pieniądze z konta?

- Widzę, że sporo się dowiedziałeś podczas spotkania z Alfonsem Ramirezem. - Carter posłał mu uśmiech, w którym widać było poczucie winy. - Śledziliśmy cię w Buenos Aires.

- Radek to bogaty człowiek, któremu nie zostało wiele życia - zauważył Gabriel. -

Ostatnia rzecz, której potrzebuje, to pieniądze.

- Wygląda na to, że znaczną część pieniędzy chce oddać swojemu synowi.

- A co z resztą?

- Ma zamiar przekazać je swojemu najważniejszemu agentowi, który zrealizuje początkowe zamiary założycieli konta. - Carter przerwał. - Sądzę, że się znacie. To Manfred Kruz.

Fajka Cartera zgasła. Spojrzał na nią, zmarszczył brwi i zapalił ponownie.

- I tak wracamy do punktu wyjścia. - Carter wypuścił w stronę Gabriela obłok dymu. - Co robimy z Erichem Radkiem? Jeśli poprosisz Austriaków, żeby go osądzili, nie będą się spieszyć i pozwolą mu umrzeć. Jeśli porwiecie na ulicy starego Austriaka i przewieziecie go z Wiednia do Izraela, zostaniecie zmieszani z biotem. Macie kłopoty z Unią Europejską, ale to i tak dziesięć razy mniej niż to, co nastąpi, jeśli go schwyta. A jeśli zostanie postawiony przed sądem, częścią jego obrony będzie z pewnością ujawnienie powiązań z nami. To co robimy, panowie?

- Jest jeszcze trzecie wyjście - powiedział Gabriel.

- Jakie?

- Przekonać Radka, żeby dobrowolnie pojechał do Izraela.

Carter znad fajki spojrzał sceptycznie na Gabriela.

- Jak według ciebie mamy przekonać skurwiela pierwszej kategorii pokroju Radka, żeby to zrobił?

\*

Przegadali całą noc. Plan był Gabriela, więc to on przedstawił jego zarysy i on go bronił. Szamron dodał kilka cennych wskazówek. Carter, z początku nastawiony sceptycznie, wkrótce przeszedł na ich stronę. Przemawiała do niego zuchwałość pomysłu. Agencja prawdopodobnie zastrzełaby pracownika, który ośmieliłby się wysunąć równie niecodzienną propozycję.

Każdy ma swoją słabość, stwierdził Gabriel. Swoimi działaniami Radek ujawnił dwie: pożądał ukrytych na koncie w Zurychu pieniędzy i marzył, żeby jego syn został kanclerzem Austrii. Gabriel był zdania, że to drugie popchnęło Radka do zamachu na Eliego Lavona i Maksa Kleina. Nie chciał, żeby cień jego poprzedniego życia padł na syna, którego, jak udowodnił, jest w stanie chronić za każdą cenę. Plan wymagał przełknięcia gorzkiej pigułki - zawarcia układu z człowiekiem, który nie miał prawa żądać ustępstw - ale był moralnie słuszny i przynosił pożądany efekt: Erich Radek siedzący w więzieniu za popełnione na Żydach zbrodnie. Najważniejszym czynnikiem wydawał się czas. Radek musiał znaleźć się w

izraelskich rękach, nim w Austrii oddadzą pierwsze głosy. Inaczej tracili zdolność wywierania na niego presji.

Gdy zbliżał się świt, Carter zadał pytanie, które gnębiło go, od kiedy na jego biurku pojawił się pierwszy raport o śledztwie Gabriela. Dlaczego? Dlaczego Gabriel, pracujący dla biura zabójca, chciał po tylu latach wymierzenia sprawiedliwości Radkowi?

- Opowiem ci pewną historię, Adrian - zaczął Gabriel. Jego głos i spojrzenie stały się nagle nieobecne. - A może będzie lepiej, jeśli ona sama ci ją opowie.

Podał Carterowi kopię świadectwa swojej matki. Siedząc przy dogasającym ogniu, Amerykanin przeczytał je bez słowa od początku do końca. Gdy w końcu oderwał wzrok od lektury, jego oczy były wilgotne.

- Rozumiem, że Irene Allon to twoja matka?

- Była moją matką. Umarła dawno temu.

- Skąd pewność, że tym esesmanem był Radek?

Gabriel opowiedział mu o obrazach matki.

- W takim razie ty zajmiesz się negocjacjami z Radkiem. A jeśli odmówi współpracy? Co wtedy, Gabrielu?

- Będzie miał dość ograniczony wybór. Cokolwiek zdecyduje, nigdy więcej nie pojawi się w Wiedniu.

Carter oddał Gabrielowi świadectwo.

- To świetny plan - przyznał - ale czy wasz premier na niego przystanie?

- Na pewno podniosą się głosy sprzeciwu - stwierdził Szamron.

- Lew?

Szamron przytaknął.

- Moje zaangażowanie to dla niego wystarczający powód, by zgłosić weto. Ale ufam, że Gabrielowi uda się przekonać premiera do naszego sposobu myślenia.

- Mnie? Kto powiedział, że to ja przedstawię plan premierowi?

- Ja - odparł Szamron. - Jeżeli udało ci się przekonać Cartera, by podał nam Radka na talerzu, z pewnością potrafisz też przekonać premiera, by zasiadł z nami do stołu. Ten człowiek ma olbrzymi apetyt.

Carter wstał i przeciągnął się, po czym podszedł do okna, jak lekarz, który spędził całą noc na sali operacyjnej tylko po to, by osiągnąć wątpliwy wynik. Rozsunął zasłony. Do pokoju wpadło szare światło.

- Nim pojedziemy do Izraela, musimy jeszcze omówić ostatnią rzecz - zauważył Szamron.

Carter odwrócił się. Na tle okna rysowała się tylko jego sylwetka.

- Pieniądze?

- Co mieliście zamiar z nimi zrobić?

- Jeszcze nie podjęliśmy ostatecznej decyzji.

- A ja owszem. Dwa i pół miliarda dolarów to cena, którą trzeba zapłacić za zatrudnianie kogoś takiego jak Erich Radek, chociaż wiedzieliście, że był mordercą i zbrodniarzem wojennym. Te pieniądze ukradziono idącym do komór gazowych Żydom. Chcę je z powrotem.

Carter odwrócił się w stronę okna i spojrzał na pokryte śniegiem pastwisko.

- Jesteś beznadziejnym szantażystą, Ari.

Szamron wstał i założył płaszcz.

- Miło się robi z tobą interesy, Adrian. Jeśli w Jerozolimie wszystko pójdzie zgodnie z planem, spotkamy się za czterdzieści osiem godzin w Zurychu.

Spotkanie zwołano na dziesiątą wieczorem tego samego dnia. Szamron, Gabriel i Chiara mieli opóźnienie z powodu złej pogody i po szaleńczej jeździe z lotniska Ben Guriona dotarli na miejsce dwie minuty przed czasem po to tylko, by dowiedzieć się, że premier się spóźni. Widać w kruchej koalicji rządzącej nastąpił kolejny kryzys, bo w przedpokoju przed gabinetem premiera panowała atmosfera jak w tymczasowym schronie po katastrofie. Gabriel zidentyfikował co najmniej pięciu członków rządu. Każdego otaczała świta akolitów i aparatczyków. Wszyscy krzydzeli na siebie jak skłóceni członkowie rodziny na ślubie, a w powietrzu unosiła się chmura dymu z papierosów.

Jeden z doradców premiera zaprowadził ich do pokoju zarezerwowanego dla służb bezpieczeństwa i wywiadu, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Gabriel pokręcił głową.

- Izraelska demokracja w działaniu.
- Nie uwierzysz, ale dzisiaj jest spokojnie.

Gabriel zwałił się na fotel. Zdał sobie nagle sprawę, że od dwóch dni nie mył się ani nie zmieniał ubrania. Na jego spodniach wciąż jeszcze było błoto z cmentarza w Puerto Blest. Gdy powiedział o tym Szamronowi, Stary uśmiechnął się.

- To, że masz na sobie argentyński brud, zwiększa tylko wiarygodność tego, co masz powiedzieć - odparł. - Premier docenia takie rzeczy.

- Nigdy wcześniej nie przedstawiałem operacji premierowi, Ari. Wolałbym chociaż wziąć prysznic.

- Ty się naprawdę denerwujesz! - To zdawało się bawić Szamrona. - Nie sądziłem, że kiedykolwiek w życiu zobaczę cię zdenerwowanego. Więc jednak jesteś człowiekiem.

- Oczywiście, że się denerwuję. To szalenie.
- Tak naprawdę mamy bardzo podobny temperament, on i ja.
- To niby ma mnie pocieszyć?
- Mogę dać ci radę?
- Jeśli musisz.

- On lubi opowieści. Niech to będzie dobra opowieść.

Chiara przycupnęła na oparciu fotela Gabriela.

- Opowiedz ją premierowi tak, jak mnie w Rzymie - rzekła półgłosem.

- Trzymałem cię wtedy w ramionach - zauważył Gabriel. - Coś mi mówi, że dzisiejsze spotkanie będzie trochę bardziej formalne. - Uśmiechnął się, po czym dodał: - Przynajmniej mam taką nadzieję.

Dochodziła północ, gdy zajął doradca premiera i obwieścił, że szef wreszcie ma czas, żeby się z nimi spotkać. Gabriel i Szamron wstali i podeszli do otwartych drzwi. Chiara została na swoim miejscu.

- Na co czekasz? Idziemy spotkać się z premierem.

Chiara otworzyła szeroko oczy.

- Jestem zwykłą *bat lewejha* - zaprotestowała. - Nie pójdę na spotkanie z premierem.

O Boże, nawet nie jestem Izraelką.

- Ryzykowałeś życie, broniąc tego kraju - powiedział spokojnie Szamron. - Masz wszelkie prawo się z nim spotkać.

Weszli do gabinetu. Był duży i zaskakująco prosty, a ciemność rozświetlało jedynie kilka lamp na biurku. Lew jakimś sposobem wszedł przed nimi. Jego łysa koścista czaszka błyszczała w nikiłym świetle, wyzywający podbródek oparł na długich dłoniach. Wstał niechętnie i bez entuzjazmu podał im ręce. Szamron, Gabriel i Chiara usiedli. Na wytartych skórzanych fotelach wciąż czuło się ciepło osób spoczywających na nich wcześniej.

Premier nie miał marynarki i wyglądał na wykończonego długim wieczorem politycznych walk. Podobnie jak Szamron, był nieuznającym kompromisów wojownikiem. To, że potrafił rządzić w państwie tak różnorodnym i buntowniczym jak Izrael, zakrawało na cud. Jego spojrzenie spod przymkniętych powiek padło od razu na Gabriela. Szamron się do tego przyzwyczaił. Przystojny wygląd Gabriela niepokoił Starego już wtedy, gdy werbował go do operacji „Gniew Boży”. Ludzie patrzyli na Gabriela.

Premier już raz się z nim spotkał, choć w bardzo odmiennych okolicznościach. W kwietniu 1988 roku premier był szefem sztabu wojsk obronnych Izraela, kiedy Gabriel wraz z drużyną komandosów wdarł się do willi w Tunisie i zamordował na oczach żony i dzieci Abu Dżihada, zastępcę przywódcy OWP. Premier z Szamronem u boku znajdował się na pokładzie krążącego nad Morzem Śródziemnym specjalnego samolotu. Słyszał zabójstwo przez mikrofon Gabriela. Słyszał też, jak po morderstwie Gabriel poświęcił cenne sekundy na uspokojenie rozhisteryzowanej żony i córki Abu Dżihada. Gabriel odmówił przyznanego mu za operację wyróżnienia. Teraz premier chciał wiedzieć dlaczego.

- Uważałem, że w tych okolicznościach nie było to właściwe, panie premierze.

- Abu Dżihad miał na rękach wiele żydowskiej krwi. Zasługiwał na śmierć.

- Tak, ale nie na oczach żony i dzieci.

- Sam wybrał takie życie - stwierdził premier. - Jego rodzina nie powinna była z nim mieszkać. - Nagle, jakby zdając sobie sprawę, że wszedł na pole minowe, postanowił się wycofać. Jego temperament i wrodzona szorstkość nie pozwoliły mu na zrobienie tego z gracją. Wybrał gwałtowną zmianę tematu.

- Tak więc Szamron mówi, że chcesz porwać nazistę.

- Tak, panie premierze.

Uniósł dłonie - „posłuchajmy zatem”.

\*

Nawet jeśli Gabriel był zdenerwowany, nie dał tego po sobie poznać. Sytuację przedstawił z dużą pewnością siebie, rzeczowo i zwięźle. Słyszący z nieprzyjemnego traktowania doradców premier siedział przez cały czas trwania relacji jak w transie. Słuchając o próbie zamachu na życie Gabriela w Rzymie, pochylił się, a na jego twarzy malowało się napięcie. Ujawniony przez Adriana Cartera współudział Amerykanów wyraźnie go zirytował. Gdy przyszło do przedstawiania dowodów, Gabriel stał obok premiera i kartka po kartce kładł na biurku dokumenty. Szamron nie odzywał się, ale zaciskał pięści jak ktoś starający się ze wszystkich sił nie złamać ślubów milczenia. Lew zdawał się zaangażowany w pojedynek wzrokowy z wiszącym na ścianie za biurkiem premiera portretem Teodora Herzla. Robił notatki złotym piórem, spoznał też raz o ciężale na zegarek.

- Czy mamy jak go dostać? - spytał premier, po czym dodał: - Nie rozpętując piekła?

- Tak, panie premierze, uważam, że jest sposób.

- Powiedz mi w takim razie, jak chcesz to zrobić.

Gabriel nie pominął w opisie żadnego szczegółu. Premier siedział w milczeniu, trzymając grube dłonie splecione na biurku i słuchając uważnie. Gdy Gabriel skończył, skinął raz głową i spojrział na Lwa - „Rozumiem, że tu różnicie się poglądami?”.

Lew, wieczny technokrata, zbierał przez chwilę myśli, nim wyraził swoją opinię. Gdy w końcu zaczął mówić, jego wypowiedź była beznamienna i metodyczna. Jeśliby istniał sposób, by nanieść jego poglądy na diagram albo wykres, Lew z pewnością stałby ze wskaźnikiem w rękę i głądził do rana. W tej sytuacji jednak pozostał w fotelu i szybko wpędził swoich słuchaczy w rozpaczliwą nudę. Raz po raz robił przerwy, podczas których składał palce w wieżę i przyciskał je do białych warg.

Imponujące dochodzenie, powiedział Lew, posyłając Gabrielowi dwuznaczny

komplement, ale to nie pora na marnowanie cennego czasu i kapitału politycznego na wyrównywanie rachunków ze starymi hitlerowcami. Założyciele biura, wyłączając jedynie sprawę Eichmanna, oparli się potrzebie schwytania sprawców Szoah, bo zdawali sobie sprawę, że w ten sposób zaniedbują główny cel - obronę kraju. Tak samo jest i teraz. Aresztowanie w Wiedniu Radka doprowadziłoby do gwałtownego sprzeciwu Europy, w której poparcie dla Izraela i bez tego wisi na włosku. Naraziłoby również na niebezpieczeństwo małą i bezbronną społeczność żydowską w Austrii, gdzie korzenie antysemityzmu są szczególnie silne i głębokie.

- Co zrobimy, jeśli Żydzi będą atakowani na ulicach? Myślicie, że austriackie władze kiwną choćby palcem, by temu zapobiec?

I wreszcie as z rękawa: dlaczego to Izrael ma być odpowiedzialny za osądzenie Radka? Zostawmy to Austriakom. A co do Amerykanów, niech wypiją piwo, którego sobie nawarzyli. Zdemaskujcie Radka i Metzlera i zostawcie ich w spokoju. Zrobimy, co należy, a konsekwencje będą mniej dotkliwe niż skutki porwania.

Premier przez chwilę namyślał się w milczeniu, po czym spojrzał na Gabriela.

- Nie ma wątpliwości co do tego, że Ludwig Vogel to w rzeczywistości Radek?

- W żadnym wypadku, panie premierze.

Premier odwrócił się w stronę Szamrona.

- I jesteśmy pewni, że Amerykanie nie stchórzą?

- Amerykanie też chcą rozwiązać tę sprawę.

Przed podjęciem decyzji premier spojrzał jeszcze raz na dokumenty.

- W zeszłym miesiącu podróżowałem po Europie - powiedział. - W Paryżu odwiedziłem podpaloną parę tygodni wcześniej synagogę. Następnego dnia w jednej z francuskich gazet ukazał się felieton, w którym oskarżano mnie o rozdrapywanie strupów antysemityzmu i Holocaustu, kiedy tylko pomaga mi to w osiągnięciu celów politycznych. Może nadszedł czas, by przypomnieć światu, dlaczego mieszkamy na tym paśmie ziemi, otoczeni morzem wrogów, walcząc o przetrwanie. Przywieźcie tu Radka. Niech powie światu o zbrodniach, które popełnił, by zataić Szoah. Może uciszy raz na zawsze ludzi, którzy twierdzą, że to tylko spisek wymyślony przez takich jak ja i Ari, żeby usprawiedliwić nasze istnienie.

Gabriel odchrząknął.

- Tu nie chodzi o politykę, panie premierze. Chodzi o sprawiedliwość.

Premier uśmiechnął się, słysząc niespodziewane wyzwanie.

- Racja, Gabrielu, chodzi o sprawiedliwość, ale polityka i sprawiedliwość często



chodzą ramię w ramię, a kiedy sprawiedliwość służy celom politycznym, nie ma w tym nic nieetycznego.

Lew, przegrawszy pierwszą rundę, próbował odebrać im zwycięstwo w drugiej, przejmując kontrolę nad operacją. Szamron wiedział, że jego cel pozostał ten sam - doprowadzić do porażki. Na nieszczęście Lwa premier też zdawał sobie z tego sprawę.

- To Gabriel zaczął dochodzenie. Niech on je zakończy.

- Z całym szacunkiem, panie premierze, Gabriel to *kidon*, najlepszy z najlepszych, ale nie ktoś, kto może zaplanować operację - a właśnie kogoś takiego potrzebujemy.

- Jego plany operacyjne brzmią według mnie sensownie.

- Owszem, ale czy zdoła je wykonać?

- Szamron będzie mu cały czas patrzył na ręce.

- Właśnie tego się boję - odparł zjadliwie Lew.

Premier wstał, a za nim reszta.

- Przyprawdźcie tu Radka. Ale pod żadnym pozorem nie naróbcie w Wiedniu bałaganu. Załatwcie to czysto, żadnej krwi, żadnych ataków serca. - Odwrócił się do Lwa. - Zapewnij im wszystkie środki potrzebne do wykonania operacji. Nie myśl, że na wypadek porażki ominie cię chryja tylko dlatego, że byłeś przeciw. Jeśli Gabriel i Szamron polegną, ty razem z nimi. Więc proszę, oszczędź sobie biurokratycznego pieprzenia. Razem w to wdepnęliście. Szalom.

\*

Gdy wychodzili, premier złapał Szamrona za rękę i odciągnął na stronę. Oparł się nad ramieniem Szamrona o ścianę, blokując mu możliwość ucieczki.

- Czy chłopak jest na to gotów, Ari?

- To nie chłopak, panie premierze. Już nie.

- Wiem, ale czy temu podoła? Czy naprawdę potrafi przekonać Radka, żeby tu przyjechał?

- Czytał pan świadectwo jego matki?

- Czytałem, i wiem, co bym na jego miejscu zrobił. Obawiam się, że wpakowałbym temu draniowi kulę w łeb i uznał dzień za udany, bo w końcu Radek też zabił wiele osób.

- Czy pańskim zdaniem byłoby to sprawiedliwe?

- Istnieje sprawiedliwość cywilizowanych ludzi, taka, którą wymierzają w sądach sędziowie, i jest też sprawiedliwość proroków. Sprawiedliwość boża. Jak można wymierzyć sprawiedliwość za tak potworne zbrodnie? Jaka kara byłaby odpowiednia? Życie w więzieniu? Bezbolesna egzekucja?

- Prawda, panie premierze. Czasem najlepszą zemstą jest prawda.

- A jeśli Radek nie zgodzi się na zawarcie układu?

Szamron wzruszył ramionami.

- Czy właśnie daje mi pan instrukcje?

- Nie chcę kolejnej afery Demianiuka. Niepotrzebny mi jeszcze jeden pokazowy proces w sprawie Holocaustu, który gazety obrócą w międzynarodowy cyrk. Lepiej by było, gdyby Radek po prostu zniknął.

- Zniknął, panie premierze?

Premier westchnął ciężko, prosto w twarz Szamrona.

- Czy jesteś pewien że to on, Ari?

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Więc, jeśli zajdzie potrzeba, zdejmijcie go.

Szamron spuścił wzrok, ale zamiast swoich stóp zobaczył tylko okrągły brzuch premiera.

- Na ramionach naszego Gabriela spoczywa ciężkie brzemie. Obawiam się, że sam je tam umieściłem w siedemdziesiątym drugim. Nie podoła zabójstwu.

- Erich Radek położył to brzemie na jego barkach na długo przed tobą, Ari. Teraz Gabriel ma okazję zrzucić jego część. Pozwól, że jasno przedstawię swoje życzenie. Jeśli Radek nie zgodzi się tu przyjechać, powiedz księciu ognia, żeby go zdjął i pozwolił psom wypić jego krew.

Północ w Pierwszej Dzielnicy, zupełny spokój, cisza, która jest możliwa tylko w Wiedniu, stateczna pustka. Kruz poczuł się lepiej. Nie na długo jednak. Rzadko zdarzało się, że Stary dzwonił do niego do domu, a nigdy dotąd Kruz nie został wyciągnięty z łóżka na spotkanie w środku nocy. Wątpił, żeby czekały go dobre wieści.

Rozejrzał się po ulicy, ale nie zauważył nic odbiegającego od normy. Rzut oka we wsteczne lusterko potwierdził, że nie był śledzony. Wysiadł z samochodu i podszedł do bramy imponującego domu, w którym mieszkał Stary. Na parterze, za zasuniętymi zasłonami, paliło się światło. Na drugim piętrze świeciła się jedna lampa. Kruz zadzwonił do drzwi. Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, uczucie prawie nieuchwytnie, jak czyjś oddech na karku. Obejrzał się przez ramię. Nic nie zobaczył.

Wyciągnął po raz drugi rękę w stronę domofonu, ale nim zdążył wcisnąć guzik, drzwi zabrzęczały i zamek odskoczył. Pchnięciem otworzył bramę i przeszedł przez dziedziniec. Gdy dotarł do wejścia, drzwi otworzyły się i na progu stanął mężczyzna w rozpiętej marynarce i z poluzowanym krawatem. Nie starał się ukryć czarnej skórzanej kabury, z której wystawał glock. Kruza ten widok nie przestraszył. Dobrze znał tego człowieka - byłego funkcjonariusza Staatspolizei, Klause Haidera. To Kruz wynajął go jako ochroniarza dla Starego. Haider zwykle towarzyszył swojemu przełożonemu, gdy wychodził on na dwór bądź spodziewał się gości w domu. Jego obecność w willi o północy nie była dobrym znakiem, podobnie jak nocny telefon do Kruza.

- Gdzie on jest?

Haider wskazał bez słowa na podłogę. Kruz poluzował pasek płaszcza i wszedł do gabinetu. Fałszywa ściana była odsunięta na bok. Czekająca na niego mała winda w kształcie kapsuły. Wsiadł do niej i nacisnąwszy guzik, zjechał na dół. Drzwi otworzyły się po paru sekundach, odsłaniając niewielki podziemny pokój, udekorowany zgodnie z barokowymi gustami właściciela na żółto i złoto. Amerykanie zbudowali go po to, żeby mógł prowadzić ważne spotkania, nie obawiając się rosyjskiego podsłuchu. Przekopali także korytarz, zamknięty na zamek szyfrowy w pancernych drzwiach z nierdzewnej stali. Kruz był jednym z

niewielu ludzi w Wiedniu, którzy wiedzieli, dokąd korytarz prowadzi i kto mieszka po drugiej stronie.

Starzec siedział przy małym stoliku. Stał przed nim drink. Kruz poznał, że się denerwuje, po tym, jak kręcił kieliszkiem. Prawo, prawo, lewo, lewo. Dziwny nawyk, pomyślał Kruz. Cholernie wytrącający z równowagi. Podejrzał, że Stary nabrał go w poprzednim życiu, w innym świecie. Kruz wyobraził sobie scenę: przykuty do stołu radziecki komisarz, siedzący po drugiej stronie oficer, ubrany od stóp do głów w czerń, obracający w palcach kieliszek i świdrujący ofiarę bezdennymi niebieskimi oczami. Kruzowi serce zabiło mocniej. Biedni skurwiele pewnie srali w gacie, nim sprawy przybrały naprawdę zły obrót.

Gospodarz podniósł wzrok, obroty ustały. Jego zimne spojrzenie spoczęło na Kruzie, który spuścił wzrok i zauważył, że ma nierówno zapiętą koszulę. Ubierał się po ciemku, żeby nie obudzić żony. Starzec wskazał na pusty fotel. Kruz poprawił koszulę i usiadł. Obroty znów się zaczęły, dwa w prawo, dwa w lewo. Prawo, prawo, lewo, lewo.

Zaczął mówić bez pozdrowienia ani wstępu, tak jakby kontynuowali rozmowę przerwana pukaniem do drzwi. W ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin, oznajmił starzec, zorganizowano dwa zamachy na życie Izraelczyka, jeden w Rzymie, drugi w Argentynie. Niestety, oba przeżył. Wygląda na to, że w Rzymie ocaliła go interwencja partnera z izraelskiego wywiadu. W Argentynie sprawy nieco bardziej się skomplikowały. Są dowody wskazujące na to, że wmieszali się Amerykanie.

Kruz, rzecz jasna, miał pytania. W normalnych okolicznościach powstrzymałby się i czekał, aż starzec skończy. Teraz jednak, ledwie pół godziny po tym, jak został wyciągnięty z łóżka, nie okazywał zwykłej powściągliwości.

- Co Izraelczyk robił w Argentynie?

Twarz starca naraz jakby pokryła się lodem, a jego ręka znieruchomiła. Kruz przekroczył granicę - granicę oddzielającą to, co już wiedział o przeszłości starca, od tego, czego nigdy nie pozna. Poczuł, jak pod przeciągłym spojrzeniem brakuje mu tchu. Niecodziennie udawało mu się rozniewać człowieka, który potrafił zorganizować dwie próby zabójstwa na dwóch kontynentach w siedemdziesiąt dwie godziny.

- Nie musisz wiedzieć, dlaczego Izraelczyk był w Argentynie, nie musisz nawet wiedzieć, że tam był. Musisz natomiast wiedzieć, że sprawy przybrały niebezpieczny obrót. - Znów kręcił kieliszkiem. - Jak pewnie się domyślasz, Amerykanie wiedzą wszystko. Co robiłem w czasie wojny, kim jestem naprawdę. Nie mogłem tego przed nimi ukryć. Byliśmy sojusznikami. Współpracowaliśmy w wielkiej krucjacie przeciwko komunistom. W przeszłości zawsze liczyłem na ich dyskrecję, nie ze względu na jakieś tam poczucie

lojalności, ale na zwykłą obawę przed upokorzeniem. Nie mam złudzeń, Manfredzie. W ich oczach jestem dziwką. Zwrócili się do mnie, gdy byli samotni i w potrzebie, ale teraz, gdy zimna wojna dobiegła końca, jestem jak kobieta, o której woleliby zapomnieć. A jeśli współpracują w jakikolwiek sposób z Izraelczykami... - nie dokończył myśli. - Rozumiesz, o co mi chodzi, Manfredzie?

Kruz przytaknął.

- Przypuszczam, że wiedzą o Peterze?

- Wiedzą w s z y s t k o. Są w stanie zniszczyć mnie i mojego syna, ale tylko jeśli potrafią znieść ból samookaleczenia. Dawniej byłem przekonany, że nigdy nie zwrócą się przeciwko mnie, ale już nie jestem tego taki pewien.

- Co mam zrobić?

- Obserwować bez przerwy ambasady Stanów Zjednoczonych i Izraela. Przeprowadzić dokładną inwigilację wszystkich znanych pracowników wywiadu. Nie spuszczać z oka lotnisk i dworców kolejowych. Skontaktuj się też ze swoimi informatorami w gazetach. Mogą wykorzystać przeciek prasowy. Nie chcę, by wzięli nas z zaskoczenia.

Kruz spuścił wzrok na stolik i ujrzał w wypolerowanej powierzchni własne odbicie.

- A gdy minister spyta mnie, czemu angażuję tyle środków w obserwację Amerykanów i Izraelczyków? Co mam mu powiedzieć?

- Manfredzie, czy mam ci przypomnieć, o jaką stawkę toczy się gra? To twój problem, co powiesz ministrowi. Po prostu załatw to. Nie pozwolę, żeby Peter przegrał wybory. Zrozumiałeś mnie?

Kruz ponownie spojrzął w bezlitosne niebieskie oczy i po raz kolejny wyobraził sobie mężczyznę ubranego od stóp do głów w czerń. Zamknął oczy i skinął głową.

Starzec podniósł do ust kieliszek i nim się napił, posłał mu uśmiech. Był równie przyjemny jak gwałtowne pęknięcie szyby. Sięgnął do kieszeni swetra i wyjął kawałek papieru, który położył na stole. Kruz rzucił na niego okiem, gdy sunął w jego stronę, po czym podniósł wzrok.

- Co to jest?

- Numer telefonu.

Kruz nie dotknął papierka.

- Numer telefonu? - Nigdy nie wiadomo, jak w takiej sytuacji wypadki mogą się potoczyć. Może trzeba będzie uciec się do przemocy. Niewykluczone, że nie zdołam sam przedsięwziąć odpowiednich środków. Wtedy, Manfredzie, odpowiedzialność spadnie na ciebie.

Kruz podniósł świstek i trzymał go w dwóch palcach.

- Jeśli wykręcę ten numer, kto mi odpowie?

Starzec uśmiechnął się.

- Przemoc.

Herr Christian Zigerli, koordynator specjalnych imprez w hotelu Dolder Grand, pod wieloma względami przypominał miejsce, w którym pracował - dostoyny i napuszony, stanowczy i dyskretny. Był człowiekiem, który rozkoszował się swoim wysokim, przyjemnym stanowiskiem, bo pozwalało mu patrzeć na innych z góry. Nie lubił niespodzianek. Zwykle wymagał, by klienci chcący wynająć konkretne pokoje albo zorganizować konferencję informowali go o tym siedemdziesiąt dwie godziny wcześniej, ale gdy Heller Enterprises i Systech Wireless wyraziły życzenie, by przeprowadzić końcowe negocjacje w sprawie połączenia obu firm w hotelu Dolder, Herr Zigerli pominął trzydobowy termin powiadomienia w zamian za dodatkową opłatę w wysokości piętnastu procent należności. Jeśli chciał, potrafił być ugodowy, ale ustępstwa, jak zresztą wszystko inne w hotelu Dolder, miały swoją cenę.

Heller Enterprises było stroną zainteresowaną połączeniem, więc to ono zajęło się wynajmem - oczywiście nie załatwiał tego sam Rudolf Heller, ale jego pretensjonalna asystentka, Włoszka o imieniu Elena. Herr Zigerli miał tendencje do szybkiego wyrabiania sobie opinii o innych. Często powtarzał, że potrafi to każdy hotelarz, który jest cokolwiek wart. Nie przepadał za Włochami, a agresywna i wymagająca Elena szybko zajęła wysokie miejsce na jego długiej liście nie lubianych klientów. Mówiła głośno przez telefon, co jego zdaniem powinno podlegać karze śmierci, a ponadto sądziła, że z samego wydawania olbrzymich kwot z pieniędzy jej szefa wynikają szczególne przywileje. Z pewnością natomiast doskonale znała hotel - dziwne, bo Herr Zigerli, mający świetną i uporządkowaną pamięć, nie potrafił przypomnieć sobie, by kiedykolwiek odwiedziła to miejsce - i była wprost koszmarnie precyzyjna w swoich wymaganiach. Żądała czterech apartamentów przy tarasie wychodzącym na pole golfowe, z dobrym widokiem na jezioro. Gdy Zigerli poinformował ją, że to niemożliwe - dwa i dwa, albo trzy i jeden, ale nie cztery obok siebie - spytała, czy nie można by przenieść niektórych gości. Przykro mi, odparł hotelarz, ale Dolder Grand nie ma zwyczaju zamieniania gości w uchodźców. Zgodziła się w końcu na trzy przyległe apartamenty, a czwarty trochę dalej.

- Delegacje przybędą jutro o drugiej po południu - powiedziała. - Chcielibyśmy zjeść niewielki roboczy lunch. - Przez następne dziesięć minut ustalali, co składa się na „niewielki roboczy lunch”.

Gdy uzgodnili menu, Elena postawiła jeszcze jedno żądanie. Przyjedzie cztery godziny przed przybyciem delegacji w towarzystwie szefa ochrony Heller Enterprises, by zbadać pokoje. Gdy skończą inspekcję, żaden członek personelu hotelowego nie będzie miał prawa wejść do środka, chyba że w towarzystwie jednego z ochroniarzy Heller Enterprises. Herr Zigerli zgodził się z ciężkim westchnieniem, po czym odwiesił słuchawkę i upewniwszy się, że drzwi jego biura są zamknięte na klucz, wykonał serię głębokich wdechów, żeby ukoić nerwy.

Poranek w dniu obrad wstał szary i zimny. Wyniosłe wieżyczki hotelu Dolder wbijały się w płaszc zamarzającej mgły, a doskonale gładki asfalt na podjeździe błyszczał jak wypolerowany czarny granit. Herr Zigerli stał na warcie w holu, zaraz za lśniącymi szklanymi drzwiami. Nogi miał lekko rozstawione, ręce spuścił z boku; był gotowy do bitwy. Spóźni się, pomyślał. Tacy jak ona zawsze się spóźniają. Będzie potrzebowała więcej pokoi. Będzie chciała zmienić menu. Będzie wprost straszna.

Na podjazd wjechał czarny mercedes i zatrzymał się przed wejściem. Herr Zigerli dyskretnie spojrzął na zegarek. Punkt dziesiąta. Imponujące. Portier otworzył tylne drzwi samochodu. Wyłonił się z nich szczupły, wysoki, czarny but - Bruno Magli, zauważył Zigerli - a za nim kształtne kolano i udo. Herr Zigerli przechylił się w przód i poprawił włosy przykrywające łysinę. Wiele pięknych kobiet wchodziło już przez drzwi słynnego hotelu Dolder Grand, ale nieliczne z nich potrafiły zrobić to z taką gracją i w takim stylu, jak urocza Elena z Heller Enterprises. Miała skórę koloru miodu i bujne kasztanowe włosy, utrzymywane w ryzach przez pojedynczą spinkę na karku. W jej brązowych oczach błyszczały złote plamki, które pojaśniały, gdy podała mu rękę. Jej głos, wymagający i hałaśliwy przez telefon, był miękki i fascynujący, podobnie jak włoski akcent. Puściła jego dłoń i odwróciła się do swojego ponurego towarzysza.

- Herr Zigerli, to jest Oskar. Oskar zajmuje się ochroną.

Najwidoczniej Oskar nie miał nazwiska. Nie potrzebował, pomyślał Zigerli. Był zbudowany jak zapaśnik. Miał rudoblond włosy, a jego szerokie policzki pokrywały blade piegi. Wyszkolony w ocenianiu statusu społecznego Herr Zigerli rozpoznał w Oskarze coś znajomego. Jak Boga kocham, swój człowiek. Wyobraził go sobie dwa wieki wcześniej, ubranego jak drwal, przechadzającego się po ścieżce w Szwarzwaldzie. Jak wszyscy dobrzy ochroniarze, Oskar pozwolił, by mówiły za niego oczy. Właśnie powiedziały Herr



Zigerliemu, że chce szybko wziąć się do pracy.

- Zaprowadzę państwa do pokoi - oznajmił hotelarz. - Proszę za mną.

Postanowił, że pójdą schodami, które były jednym z najpiękniejszych elementów hotelu Dolder. Poza tym Oskar nie wyglądał na drwala, który lubi czekać na windę, jeśli można wdrapać się po schodach. Pokoje znajdowały się na czwartym piętrze. Gdy weszli na górę, Oskar wyciągnął rękę po elektroniczne karty-klucze.

- Jeśli pan pozwoli, dalej pójdziemy sami. Nie ma potrzeby, żeby pokazywał nam pan wnętrze. Mimo wszystko byliśmy już kiedyś w hotelu. - Porozumiewawcze spojrzenie, sympatyczne klepięcie w ramię. - Proszę tylko wskazać nam drogę. Damy sobie radę.

„Nie wątpię”, pomyślał Zigerli. Oskar wzbudzał w ludziach zaufanie. W ludziach obojga płci, podejrzewał Zigerli. Zastanawiał się, czy urocza Elena - już myślał o niej jako o swojej Elenie - to jeden z podbojów Oskara. Położył karty na wyciągniętej dłoni ochroniarza i pokazał im drogę.

Herr Zigerli miał wiele maksym, a „cichy klient to zadowolony klient” należała do najwyższej przez niego cenionych, dlatego też ciszę na czwartym piętrze potraktował jako dowód, że Elena i jej przyjaciel Oskar byli zadowoleni z pomieszczeń. To z kolei cieszyło Herr Zigerliego. Już lubił sprawiać przyjemność Elenie. Przez resztę ranka pozostawała w jego myślach, tak jak cień jej zapachu, który ostał się na jego dłoni. Złapał się na tym, że marzy, by powstał jakiś problem, jakaś głupia skarga, która wymagałaby konsultacji z nią. Ale nic takiego się nie pojawiło, tylko wynikająca z zadowolenia cisza. Elena miała teraz swojego Oskara. Nie potrzebowała koordynatora specjalnych imprez w najlepszym hotelu w Europie. Po raz kolejny Herr Zigerli wykonał swoje zadanie zbyt dobrze.

Nie usłyszał ich ani nie zobaczył do drugiej po południu, kiedy ustawili się w holu, tworząc przedziwny komitet powitalny dla przybywających delegacji. Na dworze wirował śnieg. Zigerli uważał, że kiepska pogoda tylko podkreśla walory starego hotelu - bezpieczna przystań chroniąca przed burzą, zupełnie jak sama Szwajcaria.

Na podjazd wjechała pierwsza limuzyna i wysiadło z niej dwóch pasażerów. Jednym z nich był Rudolf Heller we własnej osobie, starszy mężczyzna w drogim ciemnym garniturze i srebrnym krawacie. Lekko przyciemniane okulary wskazywały na chorobę oczu; szybki, niecierpliwy krok pozostawiał wrażenie, że pomimo swojego zaawansowanego wieku Herr Heller należał do ludzi, którzy potrafią się sami o siebie troszczyć. Herr Zigerli powitał go i uścisnął podaną rękę. Zdawała się zrobiona z kamienia.

Towarzyszył mu Herr Keppelmann o ponurej twarzy. Na oko o dwadzieścia pięć lat młodszy od Herr Hellera, krótko przystrzyżone włosy, siwizna na skroniach, bardzo zielone

oczy. Herr Zigerli widział w hotelu Dolder wielu ochroniarzy i Herr Keppelmann z pewnością wyglądał na jednego z nich. Spokojny, lecz czujny, cichy jak mysz kościelna, zwinny i silny. Szmaragdowe oczy spoglądały przyjaźnie, ale pozostawały w ciągłym ruchu. Herr Zigerli zerknął na Elenę i zobaczył, że wpatruje się w Herr Keppelmann. Może mylił się co do Oskara. Może małowówny Keppelmann był najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Następni przybyli Amerykanie: Brad Cantwell i Shelby Somerset, dyrektor naczelny i dyrektor wykonawczy Systech Communications Inc. z Reston w stanie Wirginia. W ich zachowaniu zauważył dyskretnie wyrafinowanie, którego Herr Zigerli nie zwykł dostrzegać u Amerykanów. Nie byli nadmiernie wylewni, nie krzyczeli też przez komórki, wchodząc do holu. Cantwell mówił po niemiecku równie dobrze jak Herr Zigerli i unikał kontaktu wzrokowego. Znoszona niebieska marynarka i lekko wymięty krawat w paski oraz arystokratyczny akcent wskazywały, że pochodził ze Wschodu.

Herr Zigerli wygłosił kilka zdań powitania, po czym po cichu wtopił się w tło. Był w tym wyjątkowo dobry. Gdy Elena poprowadziła przyjezdnych w stronę schodów, wymknął się do biura i zamknął za sobą drzwi. Imponujący ludzie, pomyślał. Spodziewał się, że z tego przedsięwzięcia wynikną wielkie rzeczy. Swoją rolę w całej sprawie, jakkolwiek nieznaczną, odegrał precyzyjnie, dyskretnie i kompetentnie. W dzisiejszym świecie cechy te miały niewielką wartość, obowiązywały w małym królestwie Herr Zigerliego. Sądził, że najprawdopodobniej ludzie z Heller Enterprises i Systech Communications z nim się zgodzą.

\*

W centrum Zurychu, przy cichej uliczce niedaleko miejsca, gdzie rzeka Limmat wpada do jeziora, Konrad Becker właśnie zamykał na noc swój prywatny bank, gdy na jego biurku odezwał się cicho telefon. W zasadzie było jeszcze pięć minut do zamknięcia, ale kcorciło go, żeby pozwolić odebrać automatycznej sekretarce. Doświadczenie Beckera mówiło, że tak późno po południu dzwonią tylko kłopotliwi klienci, a miał dzisiaj wystarczająco ciężki dzień. Pomimo to, jak na dobrego szwajcarskiego bankiera przystało, wziął do ręki słuchawkę i przyłożył ją mechanicznie do ucha.

- Becker and Puhl.

- Konrad, tu Shelby Somerset. Jak się masz, stary draniu?

Becker przełknął głośno ślinę. Amerykanin z CIA nazywał się Somerset, a przynajmniej tak się przedstawił. Becker szczerze wątpił, by użył prawdziwego nazwiska.

- Czym mogę służyć, Mr Somerset?

- Na przystawkę mógłbyś darować sobie formalności.

- A na danie główne?

- Mógłbyś zejść na dół na Talstrasse i wsiąść na tylne siedzenie czekającego na ciebie srebrnego mercedesa.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Musimy się z tobą spotkać.

- Dokąd zawiezie mnie mercedes?

- Zapewniam cię, że w miłe miejsce.

- Jakie stroje obowiązują?

- Strój biznesowy powinien wystarczyć. A, Konrad?

- Tak, Mr Somerset?

- Bez żadnych numerów, proszę. To interes na serio. Zejdź na dół. Wsiądź do samochodu. Obserwujemy cię. Bez przerwy cię obserwujemy.

- Od razu mi lepiej, Mr Somerset - odparł bankier, ale połączenie już zostało przerwane.

\*

Dwadzieścia minut później stojący w recepcji Herr Zigerli zauważył, że jeden z Amerykanów, Shelby Somerset, przechadza się ze zniecierpliwieniem po podjeździe. Po chwili na plac wjechał srebrny mercedes, a z tylnego siedzenia wysiadła niska łyśa postać. Wypolerowane mokasyny firmy Bally, odporna na eksplozje aktówka. Bankier, pomyślał Zigerli. Mógłby założyć się o swoją wypłatę. Somerset pozdrowił nowo przybyłego wylewnym uśmiechem i mocnym klepinięciem w ramię. Pomimo gorącego powitania drobny człowieczek wyglądał, jakby prowadzono go na egzekucję. Ale Herr Zigerli sądził, że rozmowy przebiegają sprawnie. Rachmistrz przyjechał.

\*

- Dzień dobry, Herr Becker. Miło mi pana poznać. Nazywam się Heller. Rudolf Heller. To mój współpracownik, Mr Keppelmann. To jest nasz amerykański partner, Brad Cantwell. Widzę, że pan i Mr Somerset już się znacie.

Bankier zamrugął kilka razy oczami, po czym jego sprytny wzrok spoczął na Szamronie, tak jakby próbował ocenić jego wartość netto. Zasłonił genitalia aktówką, oczekując natychmiastowego ataku.

- Ja i moi partnerzy mamy zamiar nawiązać współpracę. Problem w tym, że nie możemy tego zrobić bez pańskiej pomocy. Tym właśnie zajmują się bankierzy, czyż nie, Herr Becker? Pomaganiem w wielkich przedsięwzięciach? Pomaganiem ludziom w realizowaniu marzeń i wykorzystywaniu własnych umiejętności?

- To zależy od rodzaju współpracy, Herr Heller.

- Rozumiem - powiedział z uśmiechem Szamron. - Wiele lat temu na przykład przyszła do pana grupka ludzi. Austriacy i Niemcy. Oni też chcieli zrealizować wielkie przedsięwzięcie. Powierzyli panu dużą sumę pieniędzy i udzielili pełnomocnictwa, by zamienił ją pan w jeszcze większą. Spisał się pan nadzwyczajnie. Zamienił ją pan w górę pieniędzy. Zakładam, że pan ich pamięta i że wie pan, skąd wzięli pieniądze.

Spojrzenie Szwajcara stało się zimne. Udało mu się ocenić wartość Szamrona.

- Pan jest Izraelczykiem, prawda?

- Wolę uważać się za obywatela świata - odparł Szamron. - Mieszkam w wielu miejscach, mówię językami wielu krajów. Moja lojalność, podobnie jak moje interesy, nie uznaje granic. Jestem pewien, że jako Szwajcar potrafi pan zrozumieć mój punkt widzenia.

- Rozumiem - stwierdził Becker - ale ani przez moment panu nie wierzę.

- A gdybym był z Izraela? - spytał Szamron. - Czy wpłynęłoby to na pańską decyzję?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo nie przepadam za Izraelczykami - odpowiedział szczerze Becker. - Ani za Żydami, skoro już o tym mowa.

- Przykro mi to słyszeć, Herr Becker, ale każdemu przysługuje prawo do własnego zdania i nie mam tego panu za złe. Nigdy nie pozwalam, by polityka mieszała się w moje interesy. Potrzebuję pomocy w pewnym przedsięwzięciu, a pan jest jedyną osobą, która może mi pomóc.

Becker zdziwiony uniósł brwi.

- Jaki dokładnie charakter ma to przedsięwzięcie, Herr Heller?

- To naprawdę proste. Chcę, żeby mi pan pomógł porwać jednego z pańskich klientów.

- Wydaje mi się, Herr Heller, że proponowane przez pana przedsięwzięcie byłoby pogwałceniem szwajcarskiego prawa bankowego dotyczącego dyskrecji - i paru innych szwajcarskich praw.

- W takim razie zachowamy chyba pański udział w tajemnicy.

- A jeśli odmówię?

- Zmusi mnie pan do ujawnienia światu, że był pan bankierem mordercy, że siedział pan na dwóch i pół miliarda dolarów zrabowanych podczas Holocaustu. Spuścimy na pana ogary ze Światowego Kongresu Żydów. Gdy skończą, pan i pański bank będziecie w ruinie.

Szwajcarski bankier spojrzał błagalnie na Shelby'ego Somerseta.

- Mieliśmy umowę.

- Wciąż ją mamy - odparł z silnym akcentem chudy Amerykanin - ale zmieniły się zasady. Twój klient to bardzo niebezpieczny człowiek. Trzeba podjąć pewne kroki, by go zneutralizować. Potrzebujemy cię, Konradzie. Pomóż nam posprzątać ten bałagan. Zrobmy razem coś dobrego.

Bankier bębnił palcami w aktówkę.

- Ma pan rację. To jest niebezpieczny człowiek, a jeśli pomogę panom go porwać, sam sobie wykopię grób.

- Nie zostawimy cię, Konradzie. Będziemy cię ochraniać.

- A co, jeśli zasady umowy znowu ulegną zmianie? Kto wtedy będzie mnie ochraniać?

- Miał pan otrzymać sto milionów dolarów po rozdystrybuowaniu konta - wtrącił się Szamron. - Teraz konto nie zostanie rozdystrybuowane, bo wszystkie pieniądze odda pan mnie. Jeśli będzie pan z nami współpracował, pozwolę zachować panu połowę ustalonej kwoty. Chyba potrafi pan policzyć, ile to będzie, Herr Becker?

- Potrafię.

- Nie zasługuje pan na pięćdziesiąt milionów dolarów, ale tyle panu oddam, by zapewnić sobie pańską współpracę. Za pięćdziesiąt milionów można kupić sobie bezpieczeństwo.

- Chcę to mieć na piśmie. List poręczający.

Szamron smutno pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że są sprawy - „a pan powinien wiedzieć to najlepiej ze wszystkich, przyjacielu” - których się nie ustala na piśmie.

- Czego panowie ode mnie chcą?

- Pomoże nam pan dostać się do jego domu.

- Jak?

- Będzie pan musiał się z nim nagle spotkać w jakiejś sprawie związanej z kontem. Może trzeba podpisać jakieś dokumenty, dopracować ostatnie szczegóły likwidacji i rozdystrybuowania zgromadzonych środków?

- A gdy już wejdę do środka?

- Na tym pańskie zadanie się skończy. Pański nowy asystent zajmie się resztą.

- Mój nowy asystent?

Szamron spojrzał na Gabriela.

- Chyba nadszedł czas, żeby przedstawić Herr Beckerowi jego nowego współpracownika.

\*

Miał wiele imion i osobowości. Herr Zigerli znał go jako Oskara, szefa ochrony Heller

Enterprises. Właściciel jego pied-à-terre w Paryżu sądził, że nazywa się Vincente Laffont i jest żyjącym wiecznie na walizkach podróżującym pisarzem bretońskiego pochodzenia. W Londynie znano go jako Clyde'a Bridgesa, europejskiego dyrektora do spraw marketingu mało znanej kanadyjskiej firmy handlującej oprogramowaniem. W Madrycie był bogatym Niemcem o nieznanym źródle dochodów, niespokojną duszą trwoniącą czas w kawiarniach i barach oraz podróżującą dla zabicia nudy.

Naprawdę nazywał się Uzi Nawot. W opartym na hebrajskim alfabecie systemie kryptonimów izraelskiego wywiadu Nawot był *katsa*, tajnym agentem i oficerem śledczym. Działał w zachodniej Europie. Uzbrojony w znajomość licznych języków, zbójcecki urok i fatalistyczną arogancję przenikał do palestyńskich komórek terrorystycznych i zatrudniał agentów w arabskich ambasadach na terenie całego kontynentu. Miał źródła informacji w prawie wszystkich europejskich służbach bezpieczeństwa i wywiadach, a ponadto zajmował się dużą siecią *sajanim*, pomagających izraelskim służbom ochotników, werbowanych w lokalnych społecznościach żydowskich. Zawsze mógł liczyć na najlepszy stolik w barze z grillem w hotelu Ritz w Paryżu, bo maître d'hôtel był płatnym informatorem, podobnie jak szef pokojówek.

- Konrad Becker, Oskar Lange.

Przez dłuższą chwilę bankier siedział nieruchomo, jakby nagle zamienił się w posąg. Następnie jego małe bystre oczka spoczęły na Szamronie, po czym podniósł pytająco ręce.

- Co ja mam z nim zrobić?

- Niech pan sam nam powie. Nasz Oskar jest bardzo dobry.

- Potrafi udawać prawnika?

- Po odpowiednich przygotowaniach potrafiłby udawać pańską matkę.

- Jak długo ta gra ma trwać?

- Pięć minut, może krócej.

- W obecności Ludwiga Vogla pięć minut to wieczność.

- Tak słyszałem - przyznał Szamron.

- A co z Klausem?

- Z Klausem?

- Ochroniarzem Vogla.

Szamron uśmiechnął się. Opór się skończył. Szwajcarski bankier dołączył do drużyny. Poprzysiągł wierność sztandarowi Herr Hellera i jego szlachetnego przedsięwzięcia.

- To zawodowiec - tłumaczył Becker. - Byłem tam kilka razy, ale za każdym razem dokładnie mnie przeszukuje i każe mi otworzyć walizkę. Więc jeśli chcecie przemyścić do

domu broń...

- Nie mamy zamiaru wnosić do domu broni - przerwał Szamron.

- Klaus zawsze jest uzbrojony.

- Jest pan pewien?

- Powiedziałbym, że ma glocka. - Bankier poklepał się w lewą część klatki piersiowej.

- Nosi go tutaj. Nawet nie próbuje go ukryć.

- Uroczy szczegół, Herr Becker.

Bankier przyjął komplement lekkim skinieniem głowy - „szczegóły to moja specjalność, Herr Heller”.

- Proszę wybaczyć moją bezczelność, Herr Heller, ale jak właściwie porywa się kogoś, kto ma ochroniarza, jeśli ochroniarz ma broń, a porywacz nie?

- Herr Vogel dobrowolnie wyjdzie z domu.

- Dobrowolne porwanie? - W tonie Beckera brzmiało niedowierzenie. - To dość oryginalne. A jak przekonuje się kogoś, żeby dobrowolnie dał się porwać?

Szamron złożył ręce na piersi.

- Niech pan po prostu pomoże Oskarowi dostać się do środka, a resztę zostawi nam.

Była to stara kamienica w ładnej, niewielkiej monachijskiej dzielnicy Lehel. Na ulicę prowadziła brama, a główne drzwi wychodziły na czysty plac. Winda jeździła kapryśnie, więc często po prostu wchodziło na trzecie piętro po schodach. Nijakie meble przywozili na myśl pokój hotelowy. W sypialni stały dwa łóżka, a w salonie rozkładana kanapa. W magazynku znajdowały się dodatkowo cztery łóżka polowe. Spizarkę zaopatrzone w niepsujące się produkty, a w szafkach kryła się zastawa dla ośmiu osób. Okna w salonie wychodziły na ulicę, ale grube zasłony zwykle zaciągano, więc wydawało się, że w mieszkaniu bez przerwy jest wieczór. Telefony nie miały dzwonek, tylko czerwone lampki sygnalizujące przychodzącą rozmowę.

Ściany salonu obwieszane były mapami: centrum Wiednia, Wiedeń i okolice, wschodnia Austria, Polska. Naprzeciwko okien wisiała olbrzymia mapa Europy Środkowej, przedstawiająca całą trasę ucieczki, od Wiednia po Bałtyk. Szamron i Gabriel przez chwilę sprzeczali się o kolor, nim w końcu zgodzili się na czerwień. Z pewnej odległości kreska wyglądała jak rzeka krwi, dokładnie tak, jak chciał tego Szamron - rzeka krwi, która przepłynęła przez ręce Ericha Radka.

W mieszkaniu mówiono wyłącznie po niemiecku. Tak zarządził Szamron. Radka nazywano Radkiem i tylko Radkiem. Szamron nie zgodził się, by używano kupionego od Amerykanów imienia. Wydał też parę innych zarządzeń. Autorem operacji był Gabriel, i to Gabriel dowodził całą imprezą. To on przedstawiał z berlińskim akcentem matki zadania poszczególnym grupom i on przeglądał przychodzące z Wiednia raporty obserwatorów. To Gabriel podejmował wszystkie ostateczne decyzje w sprawie operacji.

Przez kilka pierwszych dni Szamron usiłował wpisać się w swoją rolę pomocnika, ale gdy jego zaufanie do umiejętności Gabriela wzrosło, uznał, że łatwiej będzie usunąć się na drugi plan. Ale mimo to każdy przechodzący przez lokal konspiracyjny agent zauważał roztaczaną przez niego ponurą atmosferę. Wydawało się, że nigdy nie śpi. Bez przerwy stał przed mapami albo siedział po ciemku przy kuchennym stole, zapalając jednego papierosa od drugiego, jak ktoś zmagający się z wyrzutami sumienia.



- Jest jak śmiertelnie chory pacjent planujący swój pogrzeb - stwierdził Oded, mówiący po niemiecku doświadczony agent wyznaczony przez Gabriela do kierowania samochodem podczas ucieczki. - A jeśli wszystko diabli wezmą, wyryją mu to na grobie, zaraz pod Gwiazdą Dawida.

W idealnych warunkach na zaplanowanie podobnej operacji potrzeba by tygodni. Gabriel miał zaledwie parę dni. Operacja „Gniew Boży” dobrze go przygotowała. Terrorysty z Czarnego Września bezustannie się przemieszczali, pojawiając się i znikając w szalonym tempie. Gdy któregoś zlokalizowano i potwierdzono jego tożsamość, drużyna uderzeniowa przystępowała do akcji z prędkością światła. Ekipy inwigilacyjne gnały na miejsce, wynajmowano pojazdy i lokale konspiracyjne, planowano trasy ucieczki. To doświadczenie i wiedza bardzo przydały się Gabrielowi w Monachium. Niewielu oficerów wywiadu znało się lepiej na szybkim planowaniu i błyskawicznych operacjach niż on i Szamron.

Wieczorami oglądali wiadomości w niemieckiej telewizji. Wybory w sąsiedniej Austrii przyciągały uwagę widzów. Metzler kroczył naprzód. Tłumy na wiecach wyborczych, podobnie jak jego przewaga w sondażach, rosły z dnia na dzień. Wyglądało na to, że Austria była o krok od zrobienia czegoś niesłychanego, wybrania kanclerza ze skrajnej prawicy. W monachijskim lokalu konspiracyjnym Gabriel i jego ekipa paradoksalnie cieszyli się z postępów Metzlera. Bez Metzlera bowiem ich szansa na złapanie Radka przepadała.

Niezmiennie zaraz po wiadomościach dzwonił z bulwaru Króla Saula Lew i poddawał Gabriela nużącemu przesłuchaniu na temat wydarzeń dnia. W tym jednym momencie Szamron czuł ulgę, że nie musi więcej dźwigać brzemienia dowództwa w terenie. Gabriel przechadzał się w tę i z powrotem z przyciśniętą do ucha słuchawką, cierpliwie odpowiadając na wszystkie pytania Lwa. A czasem, gdy światło padało pod odpowiednim kątem, Szamron widział chodzącą za Gabrielem jego matkę. Ona była jedynym członkiem ekipy, o którym nigdy nikt nie wspominał.

\*

Raz dziennie, zwykle późnym popołudniem, Gabriel i Szamron wymykali się z mieszkania, żeby pospacerować po Englischer Garten. Wisiał nad nimi cień Eichmanna. Gabrielowi zdawało się, że był z nimi od początku. Przyłączył się do nich tej nocy, gdy Max Klein opowiedział historię oficera SS, który zamordował kilkunastu więźniów w Birkenau, a teraz każdego popołudnia delectował się kawą w Café Central. Ale mimo to Szamron bacznie unikał tego nazwiska - aż do teraz.

Gabriel znał historię o porwaniu Eichmanna. To właśnie ją opowiedział we wrześniu 1972 roku Szamron, by przekonać go do wzięcia udziału w operacji „Gniew Boży”. Na

spacerach wzdłuż wysadzanych drzewami alejek Englischer Garten Gabriel usłyszał z ust Szamrona wersję bardziej szczegółową niż poprzednie. To nie były tylko rozwlekłe opowieści starca pragnącego przywołać dawną chwałę. Szamron nigdy nie trąbił naokoło o swoich zwycięstwach, a wydawcy na próżno czekali na jego wspomnienia. Gabriel wiedział, że Stary miał powód, by mówić mu o Eichmannie. „Odbyłem podróż, którą ty właśnie zaczynasz - mówił Szamron. - W innym czasie, w innym miejscu, w innym towarzystwie, ale mimo to są sprawy, o których powinieneś wiedzieć”. Chwilami Gabriel nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia, że spaceruje ramię w ramię z historią.

- Najtrudniejszym etapem było czekanie na samolot, którym mieliśmy uciec. Tkwieliśmy uwięzieni z tą kanalią w lokalu konspiracyjnym. Część ekipy nie mogła na niego patrzeć. Musiałem noc w noc siedzieć w jego pokoju i go pilnować. Siedział przykuty do łóżka, miał na sobie piżamę, a na oczach matowe zasłony. Mieliśmy surowy zakaz wdawania się z nim w rozmowę. Miał prawo z nim mówić tylko śledczy. Złamałem ten rozkaz. Musiałem wiedzieć, rozumiesz. Jak ktoś, komu robiło się niedobrze na widok krwi, mógł zamordować sześć milionów moich rodaków? Moją matkę i ojca? Moje dwie siostry? Zapytałem go, dlaczego to zrobił. I wiesz, co powiedział? Że na tym polegała praca - jego praca, Gabrielu - jakby był tylko zwykłym urzędnikiem albo konduktorem.

A później, gdy stali przy balustradzie wygiętego w łuk mostku nad strumieniem:

- Tylko raz chciałem go zabić, Gabrielu - kiedy próbował mi wmówić, że wcale nie nienawidzi Żydów. Żeby udowodnić, że nawet ich lubi i podziwia, zaczął recytować nasze słowa: *Szema, Izrael, Adonai Eloheinu, Adonai Echa!* Nie mogłem znieść dźwięku tych słów dobywającego się z jego ust, ust, które wydały rozkaz zamordowania sześciu milionów ludzi. Zacisnąłem na jego twarzy ręce i trzymałem, dopóki się nie zamknął. Zaczął się trząść, dostał konwulsji. Myślałem, że przyprowadziłem go o atak serca. Zapytał mnie, czy miałem zamiar go zabić. Błagał, żebym nie skrzywdził jego syna. Człowiek, który wyrwał dzieci z ramion rodziców i wrzucał je do ognia, bał się o swoje własne dziecko, jakbyśmy byli tacy jak on, jakbyśmy mordowali dzieci.

I przy porysowanym drewnianym stoliku w opuszczonym ogródku piwnym:

- Chcieliśmy, żeby dobrowolnie wrócił z nami do Izraela. Oczywiście nie zgodził się. Chciał być sądzony w Argentynie lub w Niemczech. Powiedziałem mu, że to niemożliwe. Tak czy owak zostanie sądzony w Izraelu. Zaryzykowałem całą swoją karierę, dając mu odrobinę czerwonego wina i papierosa. Nie piłem z mordercą. Nie mogłem. Zapewniłem go, że będzie miał szansę przedstawić swój punkt widzenia, że otrzyma prawdziwy proces i prawo do prawdziwej obrony. Nie miał złudzeń co do wyniku, ale pomysł, żeby się przed

światem wytłumaczyć, zdawał się do niego przemawiać. Zwróciłem mu też uwagę, że przynajmniej będzie wiedział, kiedy umrze, czego odmówił milionom ludzi maszerującym do przebieralni i komór gazowych przy akompaniamencie melodii granej przez Maksa Kleina. Podpisał dokument, jak na dobrego niemieckiego urzędnika przystało, wstawił datę, i było po wszystkim.

Gabriel słuchał uważnie. Kołnierz płaszcza miał podniesiony, ręce wsunął w kieszenie. Szamron zaczął mówić o Erichu Radku.

- Masz przewagę, bo już raz się z nim spotkałeś twarzą w twarz w Café Central. Ja widziałem Eichmanna tylko z daleka, gdy obserwowaliśmy jego dom i planowaliśmy porwanie. Nigdy z nim nie rozmawiałem ani nie stałem obok niego. Wiedziałem dokładnie, ile miał wzrostu, ale nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Miałem pojęcie, jak brzmi jego głos, ale wcześniej go nie słyszałem. Znasz Radka, ale, niestety, on ciebie też trochę zna, dzięki Manfredowi Kruzowi. Będzie chciał wiedzieć więcej. Będzie się czuł bezbrony i odsłonięty. Będzie próbował wyrównać szanse, zadając ci pytania. Będzie chciał wiedzieć, czemu go ścigasz. Pod żadnym pozorem nie wolno ci wdać się z nim w zwyczajną rozmowę. Pamiętaj, że Erich Radek nie był zwykłym strażnikiem czy operatorem komory gazowej. Był członkiem SD, wyszkolonym śledczym. Spróbuje wykorzystać swoje umiejętności po raz ostatni, żeby uniknąć przeznaczenia. Nie ułatwiał mu zadania. Tym razem ty będziesz górą. Odwrócenie ról okaże się dla niego szokiem.

Gabriel spuścił wzrok, jakby czytał wyryte na drewnianym stoliku słowa.

- Dlaczego w takim razie Eichmann i Radek zasłużyli na pozory sprawiedliwości - zapytał wreszcie - a Palestyńczycy z Czarnego Września tylko na zemstę?

- Byłbyś świetnym talmudystą, Gabrielu.

- Wymigujesz się od odpowiedzi.

- Jasne, że naszą decyzją wzięcia na cel terrorystów Czarnego Września kierowała po części zemsta, ale chodziło o coś więcej. Stanowili ciągłe zagrożenie. Gdybyśmy ich nie zabili, oni zabiliby nas. To była wojna.

- Dlaczego ich nie aresztowaliście, nie postawiliście przed sądem?

- Żeby mogli głosić swoją propagandę z izraelskiego sądu? - Szamron pokręcił powoli głową. - Już to zrobili. - Podniósł dłoń i wskazał na wieżę wznoszącą się nad Parkiem Olimpijskim.

- Tu, w tym mieście, przed obiektywami kamer z całego świata. Nie mogliśmy dać im kolejnej szansy na usprawiedliwianie masakry niewinnych ludzi.

Opuścił rękę i pochylił się nad stołem. Wtedy właśnie powiedział Gabrielowi o

życzeniu premiera. Jego oddech zamarzał w powietrzu.

- Nie chcę zabijać starca - zaprotestował Gabriel.

- To nie starzec. Ubiera się jak starzec i ma twarz starca, ale wciąż jest Erichem Radkiem, potworem, który zabił w Auschwitz kilkunastu ludzi, dlatego że nie potrafili zidentyfikować utworu Brahmsa. Potwór, który zabił dwie dziewczyny na skraju polskiej drogi, dlatego że nie chciały zaprzeczyć okropności Birkenau. Potwór, który otworzył groby milionów i po raz ostatni upokorzył ich ciała. Niedoleżność nie kasuje takich grzechów.

Gabriel podniósł wzrok i wytrzymał natarczywe spojrzenie Szamrona.

- Wiem, że to potwór. Ale po prostu nie chcę go zabijać. Chcę, by świat dowiedział się o jego czynach.

- W takim razie lepiej przygotuj się do starcia. - Szamron spojrział na zegarek. - Ściągnąłem tu kogoś, kto ci pomoże w przygotowaniach. Powinien niedługo przyjechać.

- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Myślałem, że to ja podejmuję wszystkie decyzje.

- Podejmujesz - odparł Szamron. - Ale czasem muszę wskazać ci drogę. Po to są starzy ludzie.

\*

Ani Gabriel, ani Szamron nie wierzyli w przesady i złe wróżby. Gdyby tak było, operacja dostarczenia Moszego Riwlina z Yad Vashem do lokalu konspiracyjnego w Monachium z pewnością rzuciłaby cień na wiarę ekipy w powodzenie czekającego ich zadania.

Szamron chciał, by Moszego Riwlina podejść cicho. Niestety, bulwar Króla Saula przydzielił do tego dwóch będących świeżo po akademii praktykantów o dość sefardyjskim wyglądem. Postanowili skontaktować się z Riwlinem na trasie z Yad Vashem do domu niedaleko Targu Jehudy. Riwlin wychował się w Bensonhurst, dzielnicy Brooklynu, i chodząc po ulicy, był zawsze czujny. Szybko zauważył, że śledzi go dwóch mężczyzn w samochodzie. Uznał, że to zamachowcy-samobójcy z Hamasu albo bandziory. Gdy samochód zatrzymał się obok niego, a pasażer poprosił o rozmowę, Riwlin zaczął zygzakiem uciekać. Ku zaskoczeniu wszystkich przysadzisty archiwista okazał się trudną zdobyczą i przez dobrych parę minut udawało mu się unikać schwytania przez swoich prześladowców, nim w końcu dopadli go na ulicy Ben Jehudy.

Przybył do lokalu konspiracyjnego w Lehel późnym wieczorem tego samego dnia, niosąc ze sobą dwie walizki wypakowane materiałami, i bardzo zniesmaczony sposobem, w jaki go wezwano.

- Jak macie zamiar schwytać kogoś takiego jak Erich Radek, jeśli nie możecie dogonić jednego grubego archiwisty? Chodź ze mną. - Pociągnął Gabriela w zacisze sypialni. - Mamy do omówienia wiele spraw, a czasu jest mało.

\*

Siódmego dnia do Monachium przybył Adrian Carter. To była środa; do mieszkania wszedł późnym popołudniem, gdy zmrok zamieniał się już w ciemność. W kieszeni kraciastego płaszcza ciągle jeszcze miał paszport na nazwisko Brad Cantwell. Gabriel i Szamron wracali właśnie z Englischer Garten, owinięci szalikami i w czapkach. Gabriel odesłał resztę członków ekipy na swoje pozycje, w mieszkaniu nie było więc nikogo z biura. Został tylko Riwlin. Przywitał się z zastępcą dyrektora CIA ubrany w wywleczoną ze spodni koszulę i bosy, przedstawiając się jako Jaakow. Archiwista dobrze przystosował się do reguł operacji.

Gabriel zaparzył herbatę. Carter rozpiął płaszcz i przeszedł się po mieszkaniu, lustrując wszystko z najwyższą uwagą. Długi czas spędził przed mapami. Wierzył w mapy. Mapy nigdy nie kłamią. Mapy nigdy nie mówią ci tego, co chcesz usłyszeć.

- Dobrze urządziliście to miejsce, Herr Heller. - Carter wreszcie zdjął płaszcz. - Neowspółczesna nędza. I ten zapach. Z pewnością skądś go znam. Dania na wynos z Wienerwaldu na parterze, o ile się nie mylę.

Gabriel wręczył mu kubek z herbatą. Znad krawędzi wciąż zwisała nitka „szczura”.

- Po co tu przyjechałeś, Adrian?

- Pomyślałem sobie, że wpadnę i spytam, czy się na coś nie przydam.

- Nie pieprz.

Carter wytarł plamkę z kanapy i usiadł ciężko jak biznesmen po długiej i bezowocnej podróży.

- Szczerze mówiąc, jestem tu na życzenie mojego szefa. Wygląda na to, że dostaje przedoperacyjnych palpacji. Ma wrażenie, że razem siedzimy na jednej gałęzi, a wy, chłopaki, trzymacie piłę. Chce, żeby agencja poznała obraz sytuacji.

- To znaczy?

- Chce znać plan rozgrywki.

- Znasz plan rozgrywki, Adrian. Opisałem ci go w Wirginii. Nic nie uległo zmianie.

- Znam ogólne zarysy planu - sprostował Carter. - Teraz chcę przeczytać to, co jest drobnym drukiem.

- Innymi słowy twój szef chce przejrzeć plan i podpisać pokwitowanie.

- Coś w tym rodzaju. Chce też, żebym stał przy boku Ariego, kiedy plan nawali.

- A jeśli każemy mu iść w diabły?

- Macie moim zdaniem pięćdziesiąt procent szans na to, że ktoś szepnie Radkowi słówko ostrzeżenia i straciecie go. Pozwól szefowi zagrać z wami. Tylko tak dostaniecie Radka.

- Jesteśmy gotowi do akcji, Adrian. Nie mamy czasu na pomocne rady z siódmego piętra.

Szamron usiadł obok Cartera.

- Gdyby twój szef miał choć krztynę rozumu, trzymałby się od tej sprawy jak najdalej.

- Próbowałem mu to wyjaśnić - oczywiście nie tymi słowami, ale dość podobnie. Nie chciał słuchać. Nasz dyrektor przyszedł z Wall Street. Uważa się za bezpośredniego i odpowiedzialnego za wszystko faceta, który zawsze wie, co robi każdy oddział firmy. Tak samo próbuje kierować agencją. Poza tym, jak wiecie, jest przyjacielem prezydenta. Jeśli go zdenerwujecie, zadzwoni do Białego Domu i będzie po sprawie.

Gabriel spojrzął na Szamrona, który zacisnął zęby i skinął głową. Carter usłyszał, co chciał. Szamron przez parę minut siedział, ale wkrótce wstał i zaczął przechadzać się po pokoju jak kucharz, którego tajne przepisy zostały przekazane konkurentowi z tej samej ulicy. Gdy było po wszystkim, Carter spędził dłuższą chwilę na nabijaniu fajki tytoniem.

- Wygląda na to, że jesteście gotowi, panowie - powiedział. - Na co czekacie? Na waszym miejscu zacząłbym, nim mój bezpośredni szef postanowi zostać członkiem drużyny porywaczy.

Gabriel był tego samego zdania. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Zurychu, do Uziego Nawota.

Klaus Haider zapukał cicho do drzwi gabinetu. Głos z drugiej strony pozwolił mu wejść. Pchnął drzwi i zobaczył siedzącego w półświatle starca, wpatzonego w migoczący ekran telewizora: popołudniowy wiec Metzlera w Grazu, pełne uwielbienia tłumy, rozmowy na temat składu przyszłego rządu. Starzec zgasił obraz pilotem i zwrócił niebieskie oczy w stronę ochroniarza. Haider zerknął w stronę telefonu. Na aparacie migiała zielona lampka.

- Kto to?

- Herr Becker dzwoni z Zurychu.

Starzec podniósł słuchawkę.

- Dobry wieczór, panie Konradzie.

- Dobry wieczór, Herr Vogel. Przykro mi, że panu przeszkadzam o tak późnej porze, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki.

- Czy coś nie w porządku?

- Nie, wręcz przeciwnie. Biorąc pod uwagę dochodzące z Wiednia wieści wyborcze, postanowiłem przyspieszyć moje przygotowania i postępować tak, jakby zwycięstwo Petera Metzlera było faktem.

- Bardzo mądrze, panie Konradzie.

- Wiedziałem, że zgodzi się pan ze mną. Mam parę dokumentów, które wymagają pańskiego podpisu. Uznałem, że lepiej zacząć cały proces teraz, zamiast czekać do ostatniej chwili.

- Co to za dokumenty?

- Może mój prawnik będzie w stanie to lepiej wytłumaczyć. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przylecimy do Wiednia spotkać się z panem. To zajmie tylko kilka minut.

- Co pan powie na piątek?

- Pasuje mi, ale dopiero późnym popołudniem. Rano jestem umówiony na spotkanie, którego nie mogę przełożyć.

- Czy może być na przykład czwartą?

- Wolałbym piątą, Herr Vogel.

- Dobrze, niech będzie, w piątek o piątej po południu.

- Do widzenia.

- Panie Konradzie?

- Tak, Herr Vogel?

- Ten prawnik - jak on się nazywa?

- Oskar Lange, Herr Vogel. To bardzo uzdolniony człowiek. W przeszłości wielokrotnie korzystałem z jego usług.

- Rozumiem, że to ktoś znający znaczenie słowa „dyskrecja”?

- Słowo „dyskretny” nie oddaje mu sprawiedliwości nawet częściowo. Będzie pan w bardzo dobrych rękach.

- Do widzenia, panie Konradzie.

Starzec odwiesił słuchawkę i spojrzał na Haidera.

- Ktoś z nim przyjeżdża?

Powolne skinienie.

- Dotąd zawsze był sam. Po co mu nagle pomocnik?

- Herr Becker ma właśnie otrzymać sto milionów dolarów, Klaus. Jeśli na świecie jest ktoś, komu możemy ufać, to właśnie temu gnomowi z Zurychu.

Ochroniarz ruszył w stronę drzwi.

- Klaus?

- Tak, Herr Vogel?

- Może masz rację. Zadzwoń do paru naszych przyjaciół w Zurychu. Sprawdź, czy ktoś słyszał kiedykolwiek o prawniku Oskarze Lange. Godzinę później nagranie rozmowy Beckera zostało przesłane zabezpieczoną transmisją z biura banku Becker & Puhl w Zurychu do mieszkania w Monachium. Przesłuchali je raz, potem drugi i trzeci. Adrianowi Carterowi nie podobało się to, co usłyszał.

- Zdajecie sobie sprawę z tego, że Erich Radek natychmiast po odłożeniu słuchawki zadzwonił do Zurychu i sprawdził Oskara Langego. Mam nadzieję, że wzięliście to pod uwagę.

Szamron zdawał się być zawiedziony postawą Cartera.

- Co ty sobie wyobrażasz, Adrian? Że nigdy nie robiliśmy nic podobnego? Że jesteśmy dziećmi, które trzeba prowadzić za rączkę?

Carter przyłożył zapalnik do fajki i wypuścił kłąb dymu, czekając na odpowiedź.

- Słyszałeś kiedyś termin *sajan* albo *sajanim*?

Carter przytaknął, wciąż trzymając w zębach fajkę.



- Wasi mali pomocnicy - powiedział. - Urzędnicy hotelowi, którzy załatwiają wam pokoje bez zameldowania. Wypożyczalnie samochodów, które dają wam samochody nie do namierzenia. Lekarze, którzy leczą waszych agentów z ran mogących wywołać trudne pytania. Bankierzy, którzy w nagłej potrzebie udzielają wam pożyczek.

Szamron skinął głową.

- Jesteśmy małą agencją, tysiąc dwustu pełnoetatowych pracowników, to wszystko. Nie moglibyśmy robić tego, co robimy, bez wsparcia *sajanim*. To jeden z niewielu pożytków płynących z diaspory, moja osobista armia małych pomocników.

- A Oskar Lange?

- Jest zuryskim prawnikiem, specjalistą od podatków i nieruchomości. Tak się składa, że jest Żydem. Parę lat temu zabrałem Oskara na kolację do cichej restauracji nad jeziorem i dodałem go do listy pomocników. Tydzień temu poprosiłem go o wyświadczenie mi przysługi. Chciałem pożyczyć jego paszport i biuro i zapyłałem, czy nie mógłby zniknąć na parę tygodni. Kiedy powiedziałem mu po co, aż nadto zaczął palić się do pomocy. Nawet chciał sam pojechać do Wiednia i pomóc w schwytaniu Radka.

- Mam nadzieję, że jest w bezpiecznym miejscu.

- Można tak powiedzieć, Adrian. Teraz jest w lokalu konspiracyjnym w Jerozolimie.

Szamron wyciągnął rękę w stronę magnetofonu i wcisnął po kolei REW, STOP i PLAY:

- Co powie pan na piątek?

- Pasuje mi, ale dopiero późnym popołudniem. Rano jestem umówiony na spotkanie, którego nie mogę przełożyć.

- Czy może być na przykład czwartą?

- Wolałbym piątą, Herr Vogel.

- Dobrze, niech będzie, w piątek o piątej po południu.

STOP.

\*

Mosze Riwlin opuścił lokal konspiracyjny następnego ranka i wrócił do Izraela samolotem El Al z gorylem z biura. Gabriel został w mieszkaniu do siódmej wieczorem w czwartek, kiedy to furgonetka marki Volkswagen z dwiema parami nart na dachu zajeżdżała przed dom i zatrafiła. Wsunął za pasek spodni berettę. Carter życzył mu powodzenia; Szamron ucałował go w policzek i wysłał na dół.

Szamron rozsunał zasłony i wyjrzał na pogrążoną w mroku ulicę. Gabriel wyłonił się z bramy i podszedł do okna po stronie kierowcy. Po chwili rozmowy drzwi otworzyły się i

wysiadła Chiara. Obeszła furgonetkę, a nim wsiadła od strony pasażera, na moment oświetliły ją reflektory.

Furgonetka odjechała od krawężnika. Szamron śledził ją wzrokiem, póki szkarłatne tylne światła nie zniknęły za rogiem. Nie poruszył się. Czekanie. Ciągłe czekanie. Błysnęła zapalniczka, do szyby przylgnął kłęb dymu.

Konrad Becker i Uzi Nawot wyłonili się z biura banku Becker & Puhl w piątek dokładnie cztery minuty po pierwszej. Siedzący w szarym fiacie po drugiej stronie Talstrasse obserwator biura o nazwisku Zalman zanotował czas i pogodę - potworna ulewa - po czym przesłał wiadomość siedzącemu w lokalu konspiracyjnym w Monachium Szamronowi. Becker był ubrany jak na pogrzeb, w szary garnitur w prążki i ciemnografitowy krawat. Nawot, naśladując stylowy ubiór Oskara Langego, miał na sobie marynarkę od Armaniego oraz dopasowaną do niej jaskrawoniebieską koszulę i krawat. Becker zamówił taksówkę na lotnisko. Szamron wolałby prywatny samochód z kierowcą z biura, ale Becker zawsze jeździł na lotnisko taksówką i Gabriel nie chciał zmieniać jego zwyczajów. Więc taksówką kierowaną przez tureckiego imigranta wyjechali z centrum Zurychu i spowitą mgłą doliną dotarli do lotniska Kloten. Całą drogę podążał za nimi obserwator Gabriela.

Wkrótce zaczęły się pierwsze trudności. Nad Zurych przesunął się zimny front, zamieniający ulewę w deszcz ze śniegiem i lód, co na krótko zmusiło władze lotniska Kloten do zawieszenia startów i lądowań. Pasażerowie czekający na lot numer 1578 Międzynarodowych Szwajcarskich Linii Lotniczych do Wiednia weszli na pokład o czasie, po czym musieli tkwić beczynn timer na płycie lotniska. Szamron i Carter, obserwujący rozwój sytuacji na ekranach komputerów w lokalu konspiracyjnym w Monachium rozważali następny ruch. Czy nakazać Beckerowi, by zadzwonił do Radka i uprzedził go o opóźnieniu? A jeśli Radek ma jakieś plany i postanowi przesunąć spotkanie na inny termin? Ekipy i pojazdy były na pozycjach. Opóźnienie mogłoby zagrozić bezpieczeństwu operacji. Czekajmy, poradził Szamron, i tak też zrobili.

O wpół do trzeciej pogoda się poprawiła. Kloten znów zaczęło działać i samolot do Wiednia zajął miejsce w kolejce na końcu pasa startowego. Szamron wykonał obliczenia. Podróż trwała niecałe półtorej godziny. Jeśli niedługo wystartują, mają szansę zdążyć.

O drugiej czterdzieści pięć samolot wzniósł się w powietrze i uniknięto katastrofy. Szamron poinformował ekipę powitalną na lotnisku Schwechat w Wiedniu, że przesyłka jest w drodze.

Burza nad Alpami wywołała w czasie lotu więcej wstrząsów, niż mógł wytrzymać Becker. Żeby uspokoić nerwy, wypił trzy miniaturowe buteleczki stolicznej i dwa razy odwiedził toaletę. Wszystko zarejestrował siedzący trzy rzędy za nim Zalman. Nawot, żywe wcielenie spokoju i koncentracji, wyglądał przez okno na czarne morze chmur, nawet nie tknąwszy swojej gazowanej wody.

Wylądowali na Schwechat parę minut po czwartej w szarzyźnie pochmurnego wieczoru. Zalman śledził ich przez cały terminal aż do kontroli paszportowej. Becker jeszcze raz poszedł do toalety. Nawot prawie niedostrzegalnym ruchem oczu kazał Zalmanowi iść za nim. Po skorzystaniu z łazienki bankier spędził trzy minuty, poprawiając fryzurę - trochę za długo, pomyślał Zalman, jak na kogoś praktycznie łysego. Obserwator rozważał kopnięcie bankiera w kostkę, żeby go trochę popędzić, postanowił jednak zostawić mu swobodę. Był w końcu działającym pod przymusem amatorem.

Po przejściu przez kontrolę paszportową Becker i Nawot wkroczyli do hali przylotów, gdzie wśród tłumu stał wysoki, chudy ekspert od inwigilacji Mordechaj. Miał na sobie ponury czarny garnitur i trzymał napis „Bauer”. Jego samochód, duży czarny mercedes, czekał na parkingu godzinnym. Dwa miejsca dalej stało srebrne audi kombi. Kluczyki do niego spoczywały w kieszeni Zalmana.

Jadąc do Wiednia, Zalman starał się trzymać z daleka. Zadzwoił do mieszkania w Monachium i w paru ostrożnie dobranych słowach dał Szamronowi znać, że Nawot i Becker zmieścili się w czasie i jadą w stronę celu. Za piętnaście piąta Mordechaj dotarł do Kanału Dunajskiego. Pięć minut później wjechał do Pierwszej Dzielnicy i przedzierał się przez popołudniowy ruch na Ringstrasse. Skreślił w prawo, w wąską brukowaną uliczkę, a potem w pierwszą ulicę w lewo. Po chwili zatrzymał się przed ozdobną żelazną bramą prowadzącą do domu Ericha Radka. Zalman przemknął obok mercedesa i pojechał dalej.

\*

- Zamrugaj światłami - powiedział Becker - a ochroniarz nas wpuści.

Mordechaj zrobił tak, jak mu kazano. Przez kilka pełnych napięcia sekund brama pozostała nieruchoma. Nagle rozległ się krótki metaliczny szczęk, po którym nastąpił chrzęst uruchamianego silnika. Gdy brama powoli się otworzyła, w drzwiach wejściowych stanął ochroniarz Radka. Mocne światło z wiszącego wewnątrz domu zyrandola otaczało jego głowę i ramiona niczym aureola. Mordechaj poczekał, aż brama otworzy się do końca, po czym wjechał powoli na mały podjazd w kształcie podkowy.

Pierwszy wysiadł Nawot, po nim Becker. Bankier uściśnął dłoń ochroniarza i przedstawił mu „swojego współnika z Zurychu, Herr Oskara Langego”. Ochroniarz skinął

głową i poprosił, by weszli. Drzwi się zamknęły.

Mordechaj spojrział na zegarek: 4.58. Wziął do ręki komórkę i wykręcił numer w Wiedniu.

- Spóźnię się na obiad - powiedział.
- Czy wszystko w porządku?
- Tak - odparł. - Wszystko w porządku.

\*

Parę sekund później, w Monachium, na ekranie komputera Szamrona wyświetliła się wiadomość. Spojrział na zegarek.

- Ile czasu im dajesz? - spytał Carter.
- Pięć minut - oświadczył Szamron - i ani sekundy dłużej.

\*

Czarne audi z wystającą z bagażnika wysoką anteną stało parę ulic dalej. Zalman zatrzymał się za nim, po czym wysiadł i podszedł do drzwi od strony pasażera. Za kierownicą tkwił Oded, mały człowieczek o łagodnych brązowych oczach i nosie spłaszczonym jak u pięściarza. Usiadłszy obok, Zalman poczuł w jego oddechu napięcie. Miał nad nim tego popołudnia przewagę, bo był zajęty; Oded, zamknięty w wiedeńskim lokalu konspiracyjnym, nie miał do roboty nic poza wyobrażaniem sobie konsekwencji porażki. Na fotelu leżał połączony z Monachium telefon komórkowy. Zalman słyszał spokojny oddech Szamrona. W jego pamięci powstał obraz - młodszy Szamron idący pewnym krokiem przez argentyńską ulewę, Eichmann wysiadający z miejskiego autobusu i zmierzający w jego stronę... Oded zapalił silnik. Zalman wrócił do rzeczywistości. Spojrział na zegarek na desce rozdzielczej: 5.03...

\*

E461, znana większości Austriaków jako Brünnerstrasse, to dwupasmowa szosa prowadząca z Wiednia na północ przez falujące wzgórza Weinviertel, austriackiej krainy wina. Do czeskiej granicy jest osiemdziesiąt kilometrów. Przejście graniczne, skryte pod wysokim, wygiętym w łuk zadaszeniem, obsługują zwykle dwaj strażnicy, którzy niechętnie opuszczają swój wygodny barak z blachy i szkła nawet po to, żeby przeprowadzić najbardziej pobieżną kontrolę wyjeżdżających pojazdów. Po czeskiej stronie kontrola często trwa trochę dłużej, chociaż pojazdy z Austrii wita się tu z otwartymi ramionami.

Trochę ponad kilometr za granicą, wśród wzgórz południowych Moraw, leży stare typowo przygraniczne miasteczko Mikulov. Pasowało do nastroju Gabriela. Stał za ceglanyimi murami średniowiecznego zamku, wysoko nad czerwonymi dachówkami starówki, pod

dwiema uginającymi się od wiatru sosnami. Zimny deszcz zamieniał się na jego wodoodpornej kurtce w pojedyncze krople, wyglądające jak łzy. Patrzył w dół wzgórza, w stronę granicy. W ciemności widać było jedynie światła na autostradzie, białe wznoszące się ku niemu, czerwone opadające ku Austrii.

Spojrzał na zegarek. Powinni właśnie wejść do willi Radka. Gabriel wyobrażał sobie otwierane walizki, nalewaną kawę i drinki. Nagle przed jego oczami stanął inny obraz, kolumna ubranych na szaro kobiet przedzierających się przez nasiąkniętą krwią, pokrytą śniegiem drogę. Jego matka, płacząca lodowymi łzami.

- Mów, Żydówko! Co powiesz swojemu dziecku o wojnie?

- Prawdę, Herr Sturmbannführer. Powiem mu prawdę.

- Nikt ci nie uwierzy.

Oczywiście nie powiedziała mu prawdy. Spisała prawdę na papierze i zamknęła ją w archiwach Yad Vashem. Może Yad Vashem wydało jej się najlepszym miejscem. Może są prawdy tak odrażające, że lepiej zostawić je w archiwach potworności, odizolowane od niezarażonych. Matka nie potrafiła mu powiedzieć, że była ofiarą Radka, tak jak Gabriel nigdy nie umiał jej wyznać, że był katem pracującym dla Szamrona. Tyle że ona wiedziała. Wiedziała, jaką twarz ma śmierć, i widziała śmierć w oczach Gabriela. Jego telefon w kieszeni kurtki bezgłośnie zawibrował. Powoli przyłożył go do ucha i usłyszał głos Szamrona. Włożył telefon z powrotem do kieszeni i przez chwilę stał bez ruchu, obserwując światła unoszące się ku niemu z ciemnej austriackiej równiny.

„Co mu powiesz, kiedy go spotkasz?“, spytała Chiara.

„Prawdę - pomyślał w tej chwili Gabriel. - Powiem mu prawdę“.

Ruszył w dół wąskimi uliczkami starego miasta, w ciemność.

Uzi Nawot wiedział co nieco o przeszukiwaniu osobistym. Klaus Haider był bardzo dobry w tym, co robił. Zaczął od kołnierza koszuli Nawota, a skończył na nogawkach jego spodni od Armaniego. Następnie swoją uwagę skierował na aktówkę. Pracował powoli, jak ktoś mający całą wieczność, ze skrupulatnością mnicha. Gdy wreszcie skończył, wyrównał ostrożnie zawartość walizki i zamknął z powrotem zatrzaski.

- Herr Vogel spotka się z panami - powiedział. - Proszę za mną.

Minęli cały korytarz i przez dwoje podwójnych drzwi weszli do salonu. Erich Radek w rdzawym krawacie i marynarce w jodełkę siedział przy kominku. Przyjął gości skinieniem wąskiej głowy, ale nie wstawał. Radek, uznał Nawot, był przyzwyczajony do przyjmowania gości na siedząco.

Ochroniarz po cichu wymknął się z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Becker z uśmiechem podszedł i uściśnął Radkowi dłoń. Nawot nie zamierzał dotykać mordercy, ale w tych okolicznościach nie miał wyboru. Podana mu ręka była chłodna i sucha, uścisk silny i pewny. Powitanie miało sprawdzić jego odporność. Nawot wyczuł, że zdał test.

Szybkim ruchem palców Radek wskazał im puste miejsca, po czym jego ręka wróciła do spoczywającego na oparciu fotela kieliszka. Zaczął nim obracać w tę i z powrotem - dwa razy w prawo, dwa razy w lewo. W tym ruchu było coś, co przyprawiło Nawota o nieprzyjemne uczucie w żołądku.

- Słyszałem wiele dobrego o pańskiej praktyce, Herr Lange - odezwał się zniecka Radek. - Ma pan świetną reputację wśród swoich zuryskich kolegów.

- Zapewniam pana, Herr Vogel, że to wszystko kłamstwa.

- Jest pan zbyt skromny. - Obrócił kieliszek. - Parę lat temu wykonał pan zlecenie dla mojego znajomego, dżentelmena o nazwisku Helmut Schneider.

„Aha, próbujesz zwabić mnie w sidła”, pomyślał Nawot. Był przygotowany na takie wybiegi. Prawdziwy Oskar Lange dostarczył mu listę klientów z ostatnich dziesięciu lat, a Nawot ją zapamiętał. Helmut Schneider na niej nie występował.

- W ciągu kilku ostatnich lat miałem wielu klientów, ale obawiam się, że nie było

wśród nich żadnego Schneidera. Możliwe, że pański znajomy pomylił mnie z kimś innym.

Nawot spuścił wzrok, otworzył zatrząski swojej aktówki i podniósł wieko. Gdy znów spojrzał przed siebie, zobaczył, że Radek świdruje go niebieskimi oczami, a na poręczy fotela obraca się kieliszek. We wzroku Austriaka ujrzał przerażający spokój. Jakby przyglądał ci się obraz.

- Pewnie ma pan słuszość. - Ugodowy ton Radka nie pasował do wyrazu twarzy. - Pan Konrad powiedział, że potrzebuje pan mojego podpisu na pewnych dokumentach dotyczących zlikwidowania środków na koncie.

- Tak, w istocie.

Nawot wyjął dokumenty z aktówki i postawił ją na podłodze. Radek śledził oczami opuszczaną walizkę, po czym jego spojrzenie znów spoczęło na twarzy Nawota, który otworzył teczkę na papiery i podniósł wzrok. Chciał coś powiedzieć, ale w momencie gdy otworzył usta, przerwał mu dzwonek telefonu. Gwałtowny, elektroniczny sygnał przypominał Nawotowi krzyk na cmentarzu.

Radek nie poruszył się. Nawot spojrzał w stronę biedermeierowskiego biurka. Telefon zabręczał po raz drugi. Zaczął dzwonić po raz trzeci, ale nagle ucichł, jakby krzyk został gwałtownie przerwany w połowie. Nawot słyszał, jak Haider, ochroniarz, rozmawia z aparatu stojącego na korytarzu.

- Dobry wieczór... Niestety, przykro mi, ale Herr Vogel ma właśnie spotkanie...

Nawot wyjął z tecki pierwszy dokument. Radek był wyraźnie zdekoncentrowany, wzrok miał nieobecny. Wsłuchiwał się w głos swojego ochroniarza. Nawot przesunął się w fotelu lekko do przodu i wysunął kartkę pod takim kątem, żeby Radek mógł ją zobaczyć.

- Oto pierwszy dokument, który wymaga...

Radek podniósł dłoń, żądając milczenia. Nawot usłyszał na korytarzu kroki, a potem dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł ochroniarz i stanął przy boku Radka.

- Dzwoni Manfred Kruz - powiedział szeptem. - Chce zamienić słowo. Mówi, że to pilna sprawa i nie może zaczekać.

\*

Erich Radek wstał powoli z fotela i podszedł do telefonu.

- O co chodzi, Manfredzie?

- O Izraelczyków.

- Co z nimi?

- Mam dane wywiadowcze wskazujące na to, że w ciągu kilku ostatnich dni zebrała się w Wiedniu spora grupa agentów, mająca za zadanie pana porwać.



- Jak bardzo ufasz swojemu wywiadowi?

- Wystarczająco, by dojść do wniosku, że w domu nie jest pan dłużej bezpieczny.

Wysłałem jednostkę Staatspolizei, żeby pana zabrali i zawieźli w inne miejsce.

- Nie ma szans, żeby ktoś dostał się do środka, Manfredzie. Po prostu postaw przed domem uzbrojonego strażnika.

- Mamy do czynienia z Izraelczykami, Herr Vogel. Chcę, żeby opuścił pan dom.

- Dobrze, skoro nalegasz... Ale każ swoim ludziom zawrócić. Klaus da sobie radę.

- Jeden ochroniarz to za mało. Jestem odpowiedzialny za pańską ochronę i chcę, by znalazł się pan pod opieką policji. Muszę nalegać. Informacje z wywiadu są bardzo precyzyjne.

- Kiedy twoi policjanci tu będą?

- Mogą przyjechać w każdej chwili. Proszę się zbierać.

Radek odwiesił słuchawkę i spojrzał na siedzących przy kominku mężczyzn.

- Przykro mi, proszę panów, ale to sytuacja awaryjna. Dokończymy spotkanie kiedy indziej. - Odwrócił się do ochroniarza.

- Otwórz bramę, Klaus, i przynieś mój płaszcz. Szybko!

\*

Włączyły się silniki bramy. Siedzący za kierownicą mercedesa Mordechaj spojrzał we wsteczne lusterko i zobaczył skręcający z ulicy na podjazd samochód z błyskającym za przednią szybą niebieskim kogutem. Wóz ostro zahamował i zatrzymał się za mercedesem. Ze środka wyskoczyło dwóch mężczyzn i pognało po schodach do wejścia. Mordechaj sięgnął do kluczyków i powoli przekręcił je w stacyjce.

\*

Erich Radek wyszedł na korytarz. Nawot spakował rzeczy do aktówki i wstał. Becker zastygł bez ruchu na swoim miejscu. Nawot złapał bankiera pod pachami i postawił na nogi.

Podążyli za Radkiem na korytarz. Oświetlone kogutem ściany i sufit błyskały na niebiesko. Radek stał obok swojego ochroniarza i mówił mu coś szeptem do ucha. Haider trzymał w ręku płaszcz i wyglądał na zdenerwowanego. Gdy pomagał Radkowi się ubrać, jego oczy spoczęły na Nawocie.

Rozległo się pukanie do drzwi, dwa huknięcia odbijające się echem od wysokiego sufitu i marmurowej podłogi. Ochroniarz puścił płaszcz Radka i przekręcił klamkę. Dwaj mężczyźni po cywilnemu odsunęli Haidera i weszli do domu.

- Czy jest pan gotów, Herr Vogel?

Radek skinął głową i po raz kolejny spojrzał na Nawota i Beckera.

- Panowie, proszę jeszcze raz przyjąć moje przeprosiny. Bardzo mi przykro z powodu tego zamieszania.

Radek odwrócił się w stronę drzwi z Klausem przy boku. Jeden z policjantów stanął przed ochroniarzem i położył mu na piersi rękę. Haider ją odepchnął.

- Co to ma znaczyć?

- Herr Kruz dał nam wyraźne instrukcje. Mamy wziąć pod opiekę jedynie Herr Vogla.

- Kruz nigdy nie wydałby takiego rozkazu. Wie, że podążam za nim wszędzie. Tak zawsze było.

- Przykro mi, ale takie mamy rozkazy.

- Chcę zobaczyć wasze legitymacje i odznaki.

- Nie ma czasu. Proszę pójść z nami, Herr Vogel.

Ochroniarz zrobił krok do tyłu i sięgnął pod połę marynarki.

Gdy pojawił się pistolet, Nawot rzucił się do przodu. Lewą ręką schwycił ochroniarza za nadgarstek i przycisnął mu broń do brzucha, a otwartą prawą dłonią dwukrotnie zdzielił go potężnie w kark. Pierwszy cios zachwiał Haiderem; drugi sprawił, że ugięły się pod nim nogi. Dłoń ustąpiła i glock upadł z brzękiem na podłogę.

Radek spojrzał na broń i przez mgnienie oka rozważał podniesienie jej, ale zamiast tego odwrócił się i dopadł drzwi swojego gabinetu, po czym zatrzęsął je za sobą.

Nawot pociągnął za klamkę. Zamknięte.

Cofnął się parę kroków i ramieniem natarł na drzwi. Drewno trzasnęło, Nawot wpadł do ciemnego pokoju. Podniósł się szybko. Radek zdążył już odsunąć fałszywą półkę z książkami i stał w małej windzie rozmiarów budki telefonicznej.

Nawot rzucił się w jego stronę w momencie, gdy drzwi windy zaczęły się zamykać. Udało mu się wsunąć obie ręce do środka i złapać Radka za połę płaszcza. Drzwi uderzyły Nawota w lewie ramię. Radek złapał go za nadgarstki i próbował się uwolnić. Nawot nie puszczał.

Oded i Zalman przybiegli z pomocą. Wyższy Zalman sięgnął nad głowę Nawota i spróbował rozepchnąć drzwi. Oded wpełzł Nawotowi między nogi i napierał na nie od dołu. Wreszcie drzwi się otwały.

Nawot wyciągnął Radka z windy. Nie było czasu na podstępny i zwody. Dłonią zatkał starcowi usta, podczas gdy Zalman złapał go za nogi i podniósł do góry. Oded znalazł włącznik i zgasił światło.

Nawot spojrzał na Beckera.

- Wskakuj do wozu. Rusz się, idioto.

Staszcyli Radka po schodach w stronę audi. Radek ciągnął Nawota za rękę, próbując rozluźnić żelazny uścisk na ustach i wierząc z całej siły nogami. Nawot słyszał, jak Zalman klnie pod nosem. Jakimś cudem nawet w wirze walki kłął po niemiecku.

Oded otworzył tylne drzwi i obiegając samochód dookoła, usiadł za kierownicą. Nawot wepchnął Radka głową naprzód do samochodu i przycisnął do siedzenia. Zalman wgramolił się do środka i zatrzasnął drzwi. Becker wsiadł do mercedesa. Mordechaj wcisnął gaz do dechy i wystrzelił na ulicę. Audi wyjechało tuż za nim.

Ciało Radka nagle zamarło. Nawot zdjął rękę z jego ust. Austriak łączywie zaczął łykać powietrze.

- To boli - wycharczał. - Nie mogę oddychać.

- Pozwolę ci się podnieść, ale musisz obiecać, że będziesz grzeczny. Obiecujesz?

- Daj mi usiąść. Zgniatasz mnie, durniu.

- Pozwolę ci, stary. Ale wyświadczyć mi najpierw przysługę. Powiedz mi proszę, jak masz na nazwisko.

- Wiesz, jak mam na nazwisko. Nazywam się Vogel. Ludwig Vogel.

- Nie, nie, nie o to nazwisko mi chodzi. Jak naprawdę się nazywasz?

- To moje prawdziwe nazwisko.

- Chcesz usiąść i wyjechać z Wiednia jak człowiek czy mam na tobie siedzieć przez całą drogę?

- Chcę usiąść. O cholera, to boli!

- Powiedz mi, jak się nazywasz.

Stary zamilkł na chwilę, po czym wymamrotał:

- Jestem Erich Radek.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem. Czy możesz powtórzyć swoje nazwisko? Tym razem głośno.

Nabrał w płuca powietrza i jego ciało zeszywniało, jakby stawał na baczność, a nie leżał rozciągnięty na tylnym siedzeniu samochodu.

- Jestem... Sturmbannführer... Erich... R a d e k!

\*

W lokalu konspiracyjnym w Monachium na ekranie komputera Szamrona zamrugała wiadomość: DOSTALIŚMY PRZESYŁKĘ. Carter klepnął go w plecy.

- Niech mnie cholera! Mają go! Naprawdę go mają!

Szamron wstał i podszedł do mapy.

- Dostanie go to najłatwiejszy etap operacji, Adrian. Wydostanie go stamtąd to

zupełnie inna sprawa.

Spojrzał na mapę. Osiemdziesiąt kilometrów do czeskiej granicy. „Jedź, Oded - pomyślał. - Jedź, jak jeszcze nigdy w życiu”.

Oded kilkanaście razy jechał wcześniej tą trasą, ale nigdy w taki sposób - z wyjąca syreną, błyskającym przy szybie światłem i spoglądającym mu w oczy przez wsteczne lustro Erichem Radkiem. Ucieczka z centrum poszła im lepiej, niż się spodziewali. Panował duży ruch, ale samochody rozstępowały się przed syreną i kogutem. Radek dwukrotnie się buntował, ale obie próby sprzeciwu zostały bezlitośnie stłumione przez Nawota i Zalmana.

Gnali na północ po E461. Wiedeński ruch zniknął, deszcz nieustannie bębnił o szybę i zamarzał na jej krawędziach. Minęli pędem znak: CZECHY 42 KM. Nawot obejrzał się przez ramię i przez dłuższą chwilę obserwował drogę za nimi, po czym po hebrajsku nakazał Odedowi wyłączyć syrenę i koguta.

- Dokąd jedziemy? - spytał, oddychając ciężko, Radek. - Dokąd mnie zabieracie? Dokąd?!

Nawot się nie odezwał, tak jak polecił mu Gabriel. „Niech pyta, aż pęknie - mówił Gabriel. - Nie daj mu tej satysfakcji, nie odpowiadaj. Niech niepewność zżera mu umysł. On właśnie tak by zrobił, gdyby role się odwróciły”.

Nawot więc obserwował przemykające za oknem miasteczka - Mistelbach, Wilfersdorf, Erdberg - i myślał tylko o jednym, o nieprzytomnym ochroniarzu, którego zostawił w drzwiach domu Radka przy Stöbbergasse. Wyrosło przed nimi miasteczko Poysdorf. Oded przemknął przez nie, po czym skręcił w dwupasmową szosę i przez pokryty śniegiem las pojechał na wschód.

- Dokąd jedziemy? Dokąd mnie zabieracie?

Nawot nie wytrzymał.

- Jedziemy do domu - warknął. - A ty jedziesz z nami.

Radek wysilił się na lodowaty uśmiech.

- Dzisiejszej nocy, Herr Lange, popełnił pan tylko jeden błąd. Trzeba było zabić mojego ochroniarza, kiedy nadarzała się po temu okazja.

\*

Klaus Haider najpierw otworzył jedno oko, a potem drugie. Panowała zupełna

ciemność. Przez moment trwał zupełnie bez ruchu, chcąc ustalić pozycję, w której leżał. Upadł w przód, z rękami po bokach, prawym policzkiem na marmurową posadzkę. Spróbował unieść głowę - jego kark przeszył potworny ból. Przypomniawszy sobie naraz wszystko, moment, w którym to się stało. Sięgał po broń, kiedy ktoś dwukrotnie uderzył go z tyłu. Prawnik z Zurychu, Oskar Lange. Jasne, że Lange nie był zwykłym prawnikiem. Od początku był w to zamieszany, tak jak Haider się obawiał.

Z trudnością podniósł się na kolana i usiadł, opierając głowę o ścianę. Zamknął oczy i poczekał, aż pokój przestanie wirować, po czym potarł kark. Tył głowy spuchł mu do rozmiarów jabłka. Uniósł lewy nadgarstek i spojrzawszy na fosforyzującą tarczę zegarka: 5.57. Kiedy to wszystko się stało? Parę minut po piątej, najpóźniej dziesięć po. Jeśli nie czekał na nich na Stephansplatz helikopter, wciąż istniała szansa, że nie wyjechali z Austrii.

Poklepał się po prawej kieszeni sportowej marynarki i stwierdził, że wciąż spoczywa w niej telefon komórkowy. Wygrzebał go i wystukał numer. Dwa dzwonki. Znajomy głos.

- Kruz przy telefonie.

Trzydzieści sekund później Manfred Kruz trzasnął słuchawką o widełki i zaczął rozważać swoje możliwości. Najoczywistszym rozwiązaniem byłoby włączyć syreny alarmowe, powiadomić wszystkie jednostki policji w kraju, że Starego porwali izraelscy agenci, zamknąć granice i lotnisko. Oczywiście, owszem, ale też bardzo niebezpieczne. Takie posunięcie wywołałoby masę niewygodnych pytań. „Dlaczego Herr Vogel został porwany? Kim jest naprawdę?”. Szanse Petera Metzlera na zostanie kanclerzem przepadłyby, a wraz z nimi kariera Kruza. Nawet w Austrii takie sprawy zaczynały żyć własnym życiem i Kruz widział dosyć, by mieć pewność, że śledztwo nie zakończy się na progu domu Vogla.

Izraelczycy wiedzieli, że będzie miał związane ręce, i zrećźnie wybrali moment. Kruz musiał wymyślić jakąś subtelniejszą interwencję, sposób, by zatrzymać Izraelczyków bez zniszczenia wszystkiego po drodze. Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił odpowiedni numer.

- Mówi Kruz. Amerykanie poinformowali nas, że ich zdaniem przez kraj może dziś wieczorem przejeżdżać samochodem oddział Al-Kaidy. Podejrzewają, że członkowie organizacji podróżują ze swoimi europejskimi sympatykami, żeby wtopić się w otoczenie. Od tej chwili uruchamiam antyterrorystyczną sieć alarmową. Zwiększcie środki bezpieczeństwa na przejściach granicznych, lotniskach i dworcach kolejowych do poziomu drugiego.

Rozłączył się i spojrzawszy za okno. Rzucił staremu linę ratunkową. Zastanawiał się, czy zdoła ją złapać. Kruz wiedział, że jeśli się uda, stanie wkrótce przed następnym problemem - co zrobić z izraelską ekipą porywaczy. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zwitek papieru.

- „Jeśli wykręcę ten numer, kto mi odpowie?

- Przemoc".

Manfred Kruz sięgnął po słuchawkę.

\*

Od powrotu do Wiednia Zegarmistrz rzadko znajdował wystarczający powód, by wyjść z zacisza swojego sklepiku w dzielnicy Stephansdom. Częste podróże spowodowały, że uzbierało się wiele mechanizmów, które wymagały uwagi, między innymi biedermeierowski zegar z regulatorem, skonstruowany w 1840 roku przez słynnego wiedeńskiego zegarmistrza Ignaza Marenzellera. Mahoniowa obudowa była nieskazitelnie czysta, ale wykonana z jednego kawałka srebra tarcza wymagała wielu godzin renowacji. Oryginalny, ręcznie zrobiony biedermeierowski mechanizm z siedemdziesięciopięciodniowym napędem leżał na blacie stołu do pracy w kilku ostrożnie ułożonych częściach.

Zadzwoił telefon. Ściszył głos w swoim przenośnym odtwarzaczu płyt i *IV Koncert Brandenburski* Bacha G-dur zamienił się w szept. Bach to dość banalny wybór, ale jego precyzja według Zegarmistrza świetnie współgrała z rozmontowywaniem i składaniem na powrót starych zegarów. Lewą ręką sięgnął po telefon. Ramię przeszył mu ból, pamiątka po wyprawie do Rzymu i Argentyny. Przyłożył słuchawkę do prawego ucha i przycisnął ją ramieniem.

- Tak? - odezwał się z roztargnieniem. Jego ręce znów pracowały.

- Dostałem ten telefon od naszego wspólnego znajomego.

- Rozumiem - powiedział niezobowiązująco Zegarmistrz. - W czym mogę panu pomóc?

- To nie ja potrzebuję pomocy. To nasz znajomy.

Zegarmistrz odłożył narzędzia.

- Znajomy? - spytał.

- Wykonał pan dla niego pewne zlecenie w Rzymie i Argentynie. Mam nadzieję, że pan wie, o kim mówię.

Zegarmistrz w rzeczy samej wiedział. A więc Stary wprowadził go w błąd i dwukrotnie naraził na kompromitację w terenie. Teraz popełnił śmiertelny w tym zawodzie grzech, wyjawiając jego imię obcej osobie. Najwyraźniej wpadł w kłopoty. Zegarmistrz podejrzewał, że miało to jakiś związek z Izraelczykami. Doszedł do wniosku, że nadarzył się właśnie świetny moment na zerwanie znajomości.

- Przykro mi - odparł - ale chyba pomylił mnie pan z kimś innym.

Człowiek na drugim końcu linii próbował zaprotestować. Zegarmistrz odłożył

słuchawkę i podkreślił głos w odtwarzaczu. Warsztat wypełnił się dźwiękami muzyki Bacha.

\*

W monachijskim lokalu konspiracyjnym Carter odłożył słuchawkę i spojrzał na Szamrona, który wciąż stał przed mapą, jakby wyobrażał sobie przemieszczającego się na północ ku czeskiej granicy Radka.

- Dzwonili z naszej wiedeńskiej komórki. Śledzą austriacką sieć telekomunikacyjną. Wygląda na to, że Manfred Kruz podniósł stan gotowości antyterrorystycznej na poziom drugi.

- Poziom drugi? Co to znaczy?

- To znaczy, że najprawdopodobniej będziecie mieli na granicy kłopoty.

\*

Zmiana czekała w kotlinie na skraju zamrożonego strumienia. Stały tam dwa samochody, opel sedan i furgonetka Volkswagen. Za jej kierownicą siedziała Chiara, reflektory miała zgaszone, silnik wyłączony, a na kolanach czuła uspokajający ciężar beretty. Nie było innych śladów życia, żadnych świateł z miasteczka ani ruchu na szosie, jedynie bębnienie o dach deszczu ze śniegiem i świst wiatru w koronach jodeł.

Obejrzała się i obrzuciła spojrzeniem tył volkswagena. Przygotowano ją na przyjazd Radka. Tylne składane łóżko było rozstawione. Pod nim znajdowała się specjalnie w tym celu skonstruowana komora, w której zamierzano go ukryć na czas przekraczania granicy. Będzie mu tam wygodnie, wygodniej niż na to zasługiwał.

Wyjrzała przez przednią szybę. Niewiele widziała, tylko wąską drogę wznoszącą się w ciemnościach ku szczytowi wzgórza. I nagle coś błysnęło, czysta, jasna poświata, która rozjaśniła horyzont i zamieniła drzewa w czarne minarety. Przez parę sekund widać było padający deszcz ze śniegiem, wirujące na wietrze płatki wyglądały jak chmura owadów. Następnie pojawiły się reflektory. Zza wzgórza wyjechał samochód, omiatając ją światłem i rzucając na boki cienie drzew. Chiara owinęła dłoń wokół rękojeści beretty i oparła palec wskazujący na bezpieczniku.

Ślizgając się, samochód zahamował obok furgonetki. Na tylnym siedzeniu między Nawotem i Zalmanem siedział morderca, wyprężony jak radziecki komisarz czekający na krwawą czystkę. Chiara precyzyjnie się do tylnej części furgonetki i po raz ostatni sprawdziła komorę.

\*

- Zdejmij płaszcz - rozkazał Nawot jeńcowi.

- Dlaczego?



- Bo ja ci każę.
- Mam prawo wiedzieć dlaczego.
- Nie masz żadnych praw! Rób, co każę.

Radek siedział bez ruchu. Zalman pociągnął go za połę płaszcza, ale starzec zacisnął ręce na piersi. Nawot westchnął ciężko. Skoro stary drań chciał jeszcze raz wziąć udział w zapasach, to należało mu się. Siłą rozwarł mu ręce, a Zalman ściągnął najpierw prawy, a potem lewy rękaw. Następna poszła marynarka w jodełkę, a na koniec Zalman rozerwał rękaw koszuli i odkrył pomarszczoną skórę na ramieniu. Nawot wyjął wypełnioną środkiem uspokajającym strzykawkę.

- To dla twojego dobra - powiedział Nawot. - Środek jest łagodny, a skutki krótkotrwałe. Lepiej zniesiesz podróż. Nie będzie ci doskwierać klaustrofobia.

- Nigdy nie miałem klaustrofobii.
- Nieważne.

Nawot wbił igłę w ramię Radka i wcisnął tłok. Po kilku sekundach ciało Austriaka zwiotczało, jego głowa przechyliła się, a szczęka luźno opadła. Nawot otworzył drzwi i wysiadł. Złapał bezwładne ciało Radka pod pachami i wyciągnął z samochodu.

Zalman złapał nogi i niczym zabitego żołnierza razem przenieśli go do volkswagena. W środku siedziała przykucnięta Chiara, trzymając butlę z tlenem i przezroczystą plastikową maskę. Nawot i Zalman położyli Radka na podłodze, a Chiara włożyła mu na nos i usta aparat oddechowy. Plastik natychmiast zaparował, znak, że Radek oddychał prawidłowo. Sprawdziła puls - równy i silny. Włożyli go ostrożnie do komory i zamknęli pokrywę.

Chiara usiadła za kierownicą i włączyła silnik. Oded zasunął drzwi i postukał dłonią w szybę. Chiara wrzuciła bieg i wyprowadziła volkswagena z powrotem na autostradę. Reszta wsiadła do opla i pojechała za nią.

\*

Po pięciu minutach pojawiły się światła przejścia granicznego, wyglądające jak rząd latarni sygnalizacyjnych na horyzoncie. Podjeżdżając bliżej, Chiara zobaczyła czekającą na przejazd krótką kolejkę - sześć samochodów. Dwaj pogranicznicy mieli wyjęte latarki, sprawdzali paszporty i zaglądali przez okna. Spojrzała przez ramię. Kłapa komory była zamknięta. Radek leżał cicho.

Stojący przed nią samochód przeszedł kontrolę i pozwolono mu przejechać na czeską stronę. Strażnik przywołał Chiare ręką. Opuściła szybę i zmusiła się do uśmiechu.

- Proszę o paszport.

Podowała mu dokument. Drugi policjant przeszedł na stronę pasażera i Chiara widziała

migający wewnątrz furgonetki promień latarki.

- Czy coś jest nie w porządku?

Pogranicznik przyglądał się jej fotografii i nic nie odpowiedział.

- Kiedy wjechała pani do Austrii?

- Dzisiaj.

- Skąd?

- Z Włoch, przez Tarvisio.

Przez moment porównywał jej twarz ze zdjęciem w paszporcie. Następnie otworzył drzwi i ruchem ręki nakazał jej wysiąść.

\*

Uzi Nawot obserwował całą scenę z przedniego siedzenia opla. Spojrzał na Odeda i zaklął cicho pod nosem. Następnie wystukał na komórce numer telefonu lokalu konspiracyjnego w Monachium. Szamron zgłosił się od razu po pierwszym sygnale.

- Mamy problem - powiedział Nawot.

\*

Pogranicznik nakazał Chiarze stanąć przed furgonetką i zaświecił jej latarką w twarz. Przez poświatę widziała, jak drugi kontroler odsuwa boczne drzwi volkswagena. Zmusiła się, by patrzeć na stojącego przed nią strażnika. Starła się nie myśleć o wbijającej jej się w plecy beretce ani o Gabrielu, czekającym w Mikulovie, po drugiej stronie granicy. Ani o Nawocie, Zalmanie i Odedzie, patrzących bezsilnie z opla.

- Dokąd pani jedzie?

- Do Pragi.

- Po co jedzie pani do Pragi?

Posłała mu gwałtowne spojrzenie - „nie twój interes” - po czym wyjaśniła:

- Spotkać się z moim chłopakiem.

- Z chłopakiem - powtórzył. - Co pani chłopak robi w Pradze?

„Uczy włoskiego”, powiedział Gabriel.

Odpowiedziała na pytanie.

- Gdzie uczy?

„W Praskim Instytucie Studiów Językowych”, powiedział Gabriel.

Znowu odparła tak, jak została poinstruowana.

- Od jak dawna jest nauczycielem w Praskim Instytucie Studiów Językowych?

„Od trzech lat”.

- Często się widujecie?

„Raz w miesiącu, czasem dwa razy”.

Drugi pogranicznik wszedł do furgonetki. Przed oczami Chiary mignął obraz Radka leżącego z zamkniętymi oczami i w masce tlenowej na twarzy. „Tylko się nie obudź”, pomyślała. Nie porusz się. Nie wydaj żadnego dźwięku. Raz w swoim przeklętym życiu zachowaj się przyzwoicie.

- To kiedy wjechała pani do Austrii?

- Już to panu mówiłam.

- Proszę powtórzyć.

- Dzisiaj.

- O której godzinie?

- Nie pamiętam, o której godzinie.

- Rano? Po południu?

- Po południu.

- Wczesnym popołudniem? Późnym popołudniem?

- Wczesnym.

- Więc było wciąż jasno?

Zawahała się; spytał, tym razem ostrzej:

- Tak? Było jasno?

Skinęła głową. Z wnętrza furgonetki dobiegł do niej dźwięk otwieranych drzwi szafki. Zmusiła się, by patrzeć prosto w oczy przepytującego ją strażnika. Jego twarz, niewyraźna z powodu ostrego światła, zaczęła przypominać Ericha Radka - nie tego żalсного Radka, który leżał nieprzytomny w furgonetce, ale Radka, który wyciągnął dziewczynę o nazwisku Irene Frankel z szeregów marszu śmierci w Birkenau w 1945 roku i zaprowadził ją do polskiego lasu na jeszcze jedną, ostatnią katorgę.

- „Powiedz to, Żydówko! Przeniesiono cię na wschód. Miałaś dość jedzenia i odpowiednią opiekę medyczną. Komory gazowe i krematoria to kłamstwa Żydów i bolszewików”.

„Potrafię być tak silna, jak ty, Irene - pomyślała. - Przetrwam. Dla ciebie”.

- Zatrzymywała się pani gdzieś w Austrii?

- Nie.

- Nie skorzystała pani z okazji, żeby zobaczyć Wiedeń?

- Byłam w Wiedniu - odparła. - Nie podoba mi się.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy.

- Pani jest Włoszką, prawda?

- Trzyma pan w ręku mój paszport.

- Nie chodzi mi o paszport. Mówię o pani pochodzeniu etnicznym. Jest pani włoskiego pochodzenia czy też imigrantką, dajmy na to z Bliskiego Wschodu bądź Afryki Północnej?

- Jestem Włoszką - zapewniła go.

Drugi pogranicznik wysiadł z volkswagena i pokręcił głową. Przesłuchujący strażnik oddał jej paszport.

- Przepraszamy za opóźnienie - powiedział. - Miłej podróży.

Chiara usiadła za kierownicą, wrzuciła bieg i przejechała powoli przez granicę. Do oczu napłynęły jej łzy, łzy ulgi i wściekłości. Najpierw próbowała je powstrzymać, ale nie potrafiła. Droga rozmyła się, tylne światła zamieniły się w czerwone wstęgi, a łzy wciąż płynęły.

- Dla ciebie, Irene - powiedziała głośno. - Zrobiłam to dla ciebie.

\*

Stacja kolejowa w Mikulovie leży u stóp starówki, w miejscu, gdzie równina styka się ze zboczem wzgórza. Ma tylko jeden peron, smagany prawie bez przerwy przylatującym z Karpat wiatrem. Obok znajduje się przygnębiający zwirowany parking, w czasie deszczu zamieniający się w staw. Przy kasie stoi pomazana napisami wiata przystanku autobusowego i to właśnie tam, stojąc od zawietrznej strony, czekał oparty o ścianę Gabriel, trzymając ręce w kieszeniach sztormiaka.

Podniósł wzrok w momencie, gdy na parking wjechała furgonetka. Poczekał, aż się zatrzyma, nim wyszedł spod wiaty na deszcz. Chiara przechyliła się nad siedzeniem i otworzyła drzwi. Gdy zapaliło się światło, zobaczył, że jej twarz jest mokra.

- Dobrze się czujesz?

- Wszystko w porządku.

- Chcesz, żebym poprowadził?

- Nie, dam sobie radę.

- Na pewno?

- Po prostu wsiądź, Gabrielu. Nie potrafię być z nim sama.

Wsiadł i zamknął drzwi. Chiara zawróciła i wyjechała z powrotem na szosę. Chwilę później gnali na północ w stronę Karpat.

\*

Dotarcie do Brna zajęło im pół godziny, a do Ostrawy kolejną godzinę. Dwukrotnie Gabriel otworzył klapę komory, żeby sprawdzić, jak się ma Radek. Gdy dotarli do polskiej

granicy, dochodziła ósma. Tym razem nie było żadnej kontroli, jedynie wysunięta z ceglanej stróżówki ręka, pozwalająca im przejechać.

Gabriel wcisnął się na tył furgonetki i wyciągnął Radka z komory. Następnie otworzył szufladę w szafce i wyjął strzykawkę, tym razem z łagodną dawką środka pobudzającego, wystarczającą, by przywrócić Radkowi świadomość. Gabriel wbił mu igłę w ramię, wstrzyknął narkotyk i przetarł nakłucie spirytusem. Radek powoli otworzył oczy. Przez chwilę rozglądał się po wnętrzu, nim jego wzrok spoczął na twarzy Gabriela.

- Allon? - wymamrotał przez maskę tlenową.

Gabriel powoli pokiwał głową.

- Dokąd mnie zabieracie?

Gabriel nic nie powiedział.

- Czy ja umrę? - spytał, ale nim Gabriel zdążył odpowiedzieć, po raz kolejny zapadł się w nieświadomość.

Bariera oddzielająca przytomność i stan śpiączki była jak kurtyna w teatrze, mógł przez nią przechodzić do woli. Nie wiedział, ile razy to zrobił. Stracił poczucie czasu, tak jak stracił poprzednie życie. Jego piękny dom w Wiedniu wydawał się należeć do kogoś innego, w nieznanym mieście. Gdy wykrzyczał swoje nazwisko Izraelczykowi, coś się stało. Teraz Ludwig Vogel stał się mu obcy, jak znajomy niewidziany od wielu lat. Znowu był Radkiem. Niestety, czas nie okazał się dla niego łaskawy. Pięknego, wyniosłego mężczyznę teraz więziło wątłe, słabnące ciało.

Żyd położył go na rozkładanym łóżku. Ręce i kostki spętali mu grubą, srebrną taśmą do pakowania, przypięli do pośłania jak psychicznie chorego. Między dwoma światami przemieszczał się za pomocą nadgarstków. Wystarczyło, że przekręcił je pod odpowiednim kątem, a taśma wbijała mu się boleśnie w skórę i przechodził ze świata snów z powrotem do rzeczywistości. Sny? Czy nawiedzające go wizje można nazwać snami? Nie, były zbyt dokładne, zbyt trafne. To wspomnienia, nad którymi nie miał władzy, mógł tylko na chwilę je przerwać, raniąc się taśmą do pakowania zawiązaną przez tego Żyda.

Twarz miał przy oknie, a szyby nie zasłonięto. Gdy był przytomny, widział niekończący się czarny krajobraz i ciemne, posępne miasteczka. Mógł też czytać znaki drogowe, ale nie musiał tego robić, by wiedzieć, gdzie jest. Kiedyś, całe życie temu, rządził nocą na tych terenach. Pamiętał tę drogę: Dachnów, Żuków, Narol... Wiedział, jak nazywa się następna wieś, jeszcze nim przemknęła za oknem. Bełzec...

Zamknął oczy. Dlaczego teraz, po tylu latach? Po wojnie nikt się szczególnie nie interesował zwyczajnym, służącym na Ukrainie oficerem SD - oczywiście nikt oprócz Rosjan - a gdy jego nazwisko wypłynęło na wierzch w związku z Ostatecznym Rozwiązaniem, generał Gehlen zaaranżował ucieczkę i zniknięcie. Poprzednie życie Radek zostawił bezpiecznie za sobą. Wybaczył mu Bóg, Kościół, a nawet wrogowie, którzy łąpczywie pożąдали jego umiejętności, gdy także poczuli się zagrożeni żydobolszewizmem. Rządy szybko straciły zainteresowanie ściganiem tak zwanych zbrodniarzy wojennych, a amatorzy pokroju Wiesenthala skoncentrowali się na grubych rybach jak Eichmann czy Mengele,

mimowolnie pozwalając plotkom jak on sam znaleźć bezpieczną przystań. Raz tylko naprawdę się bał. W połowie lat siedemdziesiątych amerykański dziennikarz - oczywiście Żyd - przyjechał do Wiednia i zaczął zadawać zbyt wiele pytań. Na drodze prowadzącej z Salzburga na południe wleciał do wąwozu i zagrożenie minęło. Wtedy zadziałał bez wahania. Może trzeba było wrzucić Maksa Kleina do wąwozu, gdy tylko pojawiły się pierwsze oznaki kłopotów? Zauważył go tamtego dnia w Café Central, później też go obserwował. Instykt podpowiadał mu, że Klein oznaczał kłopoty. Zawahał się. W końcu Klein poszedł ze swoją opowieścią do Żyda Lavona i było za późno.

Znów przeszedł przez kurtynę. Był w Berlinie, siedział w gabinecie Gruppenführera Heinricha Müllera, dowódcy gestapo. Müller czyści zęby z resztek obiadu i macha listem, który właśnie otrzymał od Luthera z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jest rok 1942.

- Wygląda na to, że na Wschodzie pogłoski o naszych działaniach zaczęły dochodzić do uszu wrogów. Mamy też problemy z jednym z miejsc w prowincji Warthegau. Skargi na temat pewnego szczególnego rodzaju zanieczyszczeń.

- Jeśli wolno mi zadać oczywiste pytanie, Herr Gruppenführer, jakie znaczenie ma to, że pogłoski dotrą na Zachód? Kto uwierzy, że coś takiego jest naprawdę możliwe?

- Pogłoski to jedno, Erich. Dowody to zupełnie inna sprawa.

- Kto odkryje dowody? Jakiś durny polski chłop? Kaprawy ukraiński robot?

- Możliwe, że ruscy.

- Rosjanie? Skąd mieliby...

Müller podniósł swoją murarską dłoń. Koniec dyskusji. W tym momencie Radek zrozumiał. Rosyjska przygoda Führera nie przebiegała zgodnie z planem. Zwycięstwo na wschodzie nie było już pewne.

Müller pochylił się ku niemu.

- Erich, wysyłam cię do piekła. Wsadzę tę twoją nordycką gębę w gówno tak głęboko, że nigdy więcej nie zobaczysz światła dziennego.

- Jak będę mógł się panu odwdzięczyć, Herr Gruppenführer?

- Posprzątaj bałagan. Dokładnie. Wszędzie. Twoje zadanie to upewnić się, że to stanie się tylko pogłoską. A gdy operacja dobiegnie końca, chcę, żebyś był jedynym ocalałym.

Ocknął się. Twarz Müllera rozpląnęła się wśród polskiej nocy. Dziwne, prawda? Jego prawdziwym wkładem w Ostateczne Rozwiązanie nie było zabijanie, lecz zatajanie i ochrona, a mimo to wpadł w tarapaty teraz, po sześćdziesięciu latach, z powodu głupiej gry, w którą zagrał po pijanemu pewnej niedzieli w Auschwitz. Aktion 1005? Owszem, to było jego zadanie, ale żaden Żyd nie mógł poświadczyć jego obecności na skraju rowu śmierci, bo

zaden Żyd nie przetrwał. Jego operacja była bezpieczna. Eichmann i Himmler powinni działać tak samo. Głupio postąpili, pozwalając tyłu ujść z życiem.

Pojawiło się kolejne wspomnienie, styczeń 1945 roku, łańcuch odzianych w szmaty Żydów wlokących się wzdłuż drogi bardzo podobnej do tej. Drogi prowadzącej z Birkenau. Tysiące Żydów, każdy ma swoją historię, każdy z nich jest świadkiem. Obstawiał za likwidacją wszystkich jeńców przed ewakuacją. Nie, usłyszał. W Rzeszy pilnie potrzebowano niewolniczej siły roboczej. Siły roboczej? Większość Żydów opuszczających Birkenau ledwo szła, co tu mówić o trzymaniu kilofa albo łopaty. Nie byli zdolni do pracy, mogli jedynie pójść na rzeź, sam zresztą kilku zabił. Dlaczego, na Boga, kazali mu oczyszczać groby, a potem pozwolili tysiącom świadków wyjść z miejsca takiego jak Birkenau?

Zmusił się do otwarcia oczu i wyjrzał na zewnątrz. Jechali wzdłuż brzegów rzeki, wzdłuż ukraińskiej granicy. Znał tę rzekę, rzekę popiołów, rzekę kości. Zastanawiał się, ile setek tysięcy ludzi spoczywało w mule na dnie Bugu.

Uśpiona wieś Uhrusk. Pomyślał o Peterze. On ostrzegwał, że to się może stać. „Jeśli kiedykolwiek poważnie zagrożę urzędowi kanclerza - mówił Peter - ktoś spróbuje nas wydać”. Wiedział, że Peter miał rację, ale ufał też, że potrafi poradzić sobie z każdym zagrożeniem. Omylił się i skutkiem tego jego syn stał w obliczu niewyobrażalnego upokorzenia w wyborach, a wszystko przez niego. Miał wrażenie, że Żydzi zaprowadzili Petera na skraj rowu śmierci i wycelowali w jego głowę pistolet. Czy zdoła powstrzymać ich od pociągnięcia za spust, czy może zawrzeć ostatni układ, zaprojektować jeszcze jedną ucieczkę?

A ten Żyd, wpatrujący się teraz we mnie nieznanymi przebaczenia zielonymi oczami? Czego się po mnie spodziewa? Przepraszy? Że niby załamie się, zacznie łkać i rzucę parę sentymentalnych bzdur? Ten Żyd nie rozumie, że wcale nie czuję winy za to, co zrobiłem. Popchnęła mnie do tego ręka Boga i nauki mojego Kościoła. Czyż księża nie powiedzieli nam, że Żydzi zamordowali Boga? Czy Ojciec Święty i jego kardynałowie nie zachowali milczenia, mimo że dokładnie wiedzieli, co robiliśmy na Wschodzie? Czy ten Żyd spodziewa się, że nagle wszystkiego się wyprę i powiem, że to był straszny błąd? I czemu on tak na mnie patrzy?

Skądś znał te oczy. Widział je kiedyś wcześniej. Może to narkotyk, który mu podano. Nie był pewny niczego. Nawet tego, że żyje. Może jest już martwy. Może to jego dusza podróżuje wzdłuż Bugu. Możliwe, że jest w piekle.

Kolejna wioska: Wola Uhruska. Wiedział, jak nazywa się następna osada. Sobibór...

Zamknął oczy, ogarnęła go aksamitna kurtyna. Jest wiosna 1942 roku, wyjeżdża z



Kijowa drogą na Żytomierz z dowódcą oddziału Einsatzgruppen przy boku. Jadą zbadać wąwóz, który stał się zagrożeniem dla bezpieczeństwa, miejsce zwane przez Ukraińców Babim Jarem. Gdy docierają na miejsce, słońce już muska horyzont, prawie zapada zmrok. Ale wciąż jest dość światła, by zobaczyć dziwne zjawisko na dnie jaru. Ziemia zdaje się mieć ataki epilepsji. Grunt trzęsie się, w powietrze wystrzeliwuje gaz, a z nim gejzery gnijącej cieczy. Co za smród! O Jezu, co za smród! Wciąż wszystko pamięta.

- Kiedy się zaczęło?

- Zaraz po zimie. Najpierw rozmarzła ziemia, a potem ciała. Gwałtownie się rozłożyły.

- Ilu ich tam jest?

- Trzydzieści trzy tysiące Żydów, trochę Cyganów i sowieckich jeńców na dokładkę.

- Otoczcie cały jar szczelnym kordonem. Zajmiemy się tym najszybciej, jak się da, ale na razie inne miejsca mają pierwszeństwo.

- Jakie inne miejsca?

- Takie, o których nigdy nie słyszeliście: Birkenau, Bełżec, Sobibór, Treblinka. Nasza praca tutaj dobiegła końca. Gdzie indziej wciąż spodziewają się nowych przybyszów.

- Co macie zamiar z tym zrobić?

- Otworzymy groby i spalimy zwłoki, następnie zgnieciemy kości i rozrzucimy resztki po lasach i rzekach.

- Spalicie trzydzieści tysięcy ciał? Próbowaliśmy podczas zabijania. Używaliśmy miotaczy ognia, na Boga. Masowa kremacja nie działa na świeżym powietrzu.

- To dlatego, że nigdy nie zrobiliście prawdziwego stosu. Udowodniłem w Chełmnie, że to możliwe. Uwierz mi, Kurt, pewnego dnia Babi Jar stanie się pogłoską, tak jak i mieszkający tu kiedyś Żydzi.

Przekreślił nadgarstki. Tym razem ból nie wystarczył, by go obudzić. Kurtyna nie chciała się podnieść. Pozostał zamknięty w więzieniu wspomnień, brnąc przez rzekę popiołów.

\*

Jechali dalej w głąb nocy. Czas zamienił się w pamięć. Taśma odcięła dopływ krwi. Nie czuł już rąk ani nóg. Raz paliła go gorączka, po chwili ogarniały zimne dreszcze. Miał w pewnym momencie wrażenie, że się zatrzymali. Poczł zapach benzyny. Tankowali? A może to tylko wspomnienie nasączonych paliwem podkładów kolejowych?

Skutki działania narkotyku wreszcie ustąpiły. Był zupełnie rozbudzony, czujny, świadomy i zupełnie pewny, że wciąż żyje. Coś w zdecydowanej postawie Żyda powiedziało

mu, że zbliżają się do końca podróży. Minęli Siedlce, a potem, w Sokołowie Podlaskim, skręcili w boczną szosę. Następny był Dybów, po nim Kosów Lacki.

Z szosy skręcili w drogę gruntową. Furgonetka zatrzęsa się: łup, łup... łup, łup. Stara linia kolejowa, pomyślał. Oczywiście wciąż tu była. Wjechali w gęstą kępę jodeł i brzoź. Chwilę później zatrzymali się na małym betonowym parkingu.

Na polanę ze zgaszonymi światłami wjechał drugi samochód. Wysiadło z niego trzech mężczyzn i podeszło do furgonetki. Rozpoznał ich. To oni zabrali go z Wiednia. Żyd stanął nad nim i ostrożnie rozciął taśmę do pakowania, poluzował też skórzane pasy.

- Chodź - powiedział uprzejmie. - Przejdziemy się.

Ścieżką weszli między drzewa. Zaczął prószyć śnieg. Płatki opadały miękko w nieruchomym powietrzu i osiadały im na ramionach jak popiół z rozpalonego gdzieś dalej ogniska. Gabriel trzymał Radka za łokieć. Z początku Austriak stąpał niepewnie, ale wkrótce krew zaczęła mu znów krążyć w stopach i poprosił Gabriela, by pozwolił mu iść samemu. Jego ciężki oddech zamarzał w powietrzu, czuło się w nim kwaśny zapach strachu.

Zagłębili się w las. Ścieżka była piaszczysta, pokrywała ją gruba warstwa sosnowych igieł. Parę kroków przed nimi kroczył Oded, ledwo widoczny przez padający śnieg. Zalman i Nawot szli za nimi obok siebie. Chiara została na polanie, pilnując samochodów.

Zatrzymali się. Luka między drzewami, szeroka na jakieś pięć metrów, zapadała dalej w ciemność. Gabriel oświetlił ją latarką. Wzdłuż drogi stało w równych odstępach kilka dużych kamieni. Znaczyły dawną krawędź ogrodzenia. Dotarli na skraj obozu. Gabriel zgasił latarkę i pociągnął Radka za łokieć. Radek próbował się opierać, aż upadł.

- Rób, co ci każę, Radek, a wszystko będzie w porządku. Nie próbuj uciekać, bo nie ma dokąd. Nie męcz się wołaniem o pomoc. Nikt nie usłyszy twoich krzyków.

- Czy mój strach sprawia ci przyjemność?

- Raczej chce mi się od niego wymiotować. Nie lubię cię dotykać. Nie lubię twojego głosu.

- Więc czemu tu jesteśmy?

- Chcę, byś zobaczył parę rzeczy.

- Tu nie ma nic do oglądania, Allon. Tylko polski pomnik.

- O to chodzi. - Gabriel szarpnął go za łokieć. - Chodź, Radek. Szybciej. Musisz iść szybciej. Nie mamy zbyt wiele czasu. Wkrótce wstanie ranek.

Chwilę później znowu stanęli, tym razem przy pozbawionej szyn linii kolejowej, bocznicą dowożącej transporty ze stacji w Treblince do samego obozu. Podkłady odbudowano z kamienia, pokrywał je świeży śnieg. Wzdłuż torów poszli do obozu i zatrzymali się w miejscu, gdzie stała rampa. Ją także odbudowano z kamienia.

- Pamiętasz to, Radek?

Stał w milczeniu z otwartymi ustami, oddychając nierówno.

- Skończ z tym, Radek. Wiemy, kim jesteś, wiemy, co zrobiłeś. Tym razem nie uciekniesz. Nie ma sensu bawić się w chowanego ani próbować czemukolwiek zaprzeczać. Nie ma na to czasu, jeśli chcesz ocalić syna.

Radek gwałtownie odwrócił głowę. Jego usta zmieniły się w cienką linię, spojrzenie stało się ostre.

- Zrobicie krzywdę mojemu synowi?

- Raczej sam to za nas zrobisz. My tylko powiemy światu, kim jest jego ojciec. To go zniszczy. Dlatego podłożyłeś bombę w biurze Eliego Lavona - żeby chronić Petera. Nikt cię nie mógł tknąć, nie w kraju takim jak Austria. Twój czas minął dawno temu. Byłeś bezpieczny. Jedyłą osobą, która może zapłacić za twoje zbrodnie, jest twój syn. Dlatego zamordowałeś Maksa Kleina.

Radek odwrócił się od Gabriela i wbił wzrok w ciemność.

- Czego chcesz? Co chcesz wiedzieć?

- Opowiedz mi o wszystkim. Czytałem o tym, widzę pomnik, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak to naprawdę działało. Jak można było zamienić w dym pełen pociąg ludzi zaledwie w czterdzieści pięć minut? Czterdzieści pięć minut, co do sekundy. Czy to nie tym chwaliło się tutejsze SS? Potrafiło zamienić Żyda w dym w czterdzieści pięć minut. Tysiąc dwustu Żydów dziennie. W sumie osiemset tysięcy.

Radek parsknął wymuszonym śmiechem, jak śledczy, który nie uwierzył w stwierdzenie przesłuchiwanego. Gabrielowi legł na sercu ciężki kamień.

- Osiemset tysięcy? Skąd wzięliście taką liczbę? - zapytał jeniec.

- To oficjalne ustalenia polskiego rządu.

- A wy myślicie, że banda podludzi pokroju Polaków potrafi stwierdzić, co stało się w tych lasach? - Jego głos zabrzmiał nagle inaczej, bardziej młodo i rozkazująco. - Proszę cię, Allon, jeśli już musimy rozmawiać, rozmawiajmy o faktach, a nie o kretynizmie Polaków. Osiemset tysięcy? - Pokręcił głową i nawet się uśmiechnął. - Nie, to nie było osiemset tysięcy. Prawdziwa liczba jest o wiele większa.

\*

Nagły podmuch wiatru poruszył koronami drzew. Gabrielowi zdawało się, że to dźwięk górskiej rzeki. Radek wyciągnął rękę i poprosił o latarkę. Gabriel zawahał się.

- Nie sądzisz chyba, że cię nią zaatakuję?

- Wiem o niektórych twoich sprawkach.

- To było dawno temu.

Gabriel podał mu latarkę. Radek skierował snop światła w lewo, oświetlając kępę iglastych drzew.

- To miejsce nazywali dolnym obozem. Stały tu kwatery SS. Za nimi przebiegało zewnętrzne ogrodzenie. Z przodu rozciągała się brukowana droga, latem porośnięta krzewami i kwiatami. Może trudno ci w to uwierzyć, ale była naprawdę przyjemna. Oczywiście nie rosło tu tyle drzew. Zasadziliśmy je po zburzeniu obozu. Wtedy były ledwie sadzonkami. Teraz są zupełnie dojrzałe i całkiem piękne.

- Ilu esesmanów?

- Zwykle koło czterdziestu. Sprzątały dla nich żydowskie kobiety, ale to Polki gotowały - trzy dziewczyny, które przychodziły z okolicznych miasteczek.

- A Ukraińcy?

- Mieli kwatery po drugiej stronie drogi, w pięciu barakach. Dom Stangla stał pośrodku, na skrzyżowaniu dwóch dróg. Miał śliczny ogród. Zaprojektował go dla niego architekt z Wiednia.

- Ale przybywający nigdy nie widzieli tej części obozu?

- Nie, nie, każda część była starannie oddzielona od innych. Na ogrodzeniach wieszano gałęzie sosny. Gdy przybywali do obozu, widzieli tylko to, co wyglądało jak wiejski dworzec kolejowy. Mieli nawet fałszywy rozkład jazdy pociągów. Oczywiście z Treblinki nikt nie wyjeżdżał. Peron opuszczały tylko puste pociągi.

- Tutaj stał budynek, prawda?

- Zbudowano go tak, by przypominał zwykły dworzec, ale w rzeczywistości był wypełniony kosztownościami zabranymi przybyłym. Tę część nazywano placem dworcowym. Tam był plac przyjęć, zwany też placem sortowania.

- Widziałeś kiedyś przyjeżdżające transporty?

- Nie miałem z tym nic wspólnego, ale owszem, widziałem, jak przyjeżdżały.

- To prawda, że były dwie procedury? Jedna dla Żydów z Europy Zachodniej, a druga dla Żydów ze Wschodu?

- Tak, to prawda. Wobec zachodnioeuropejskich Żydów stosowano podstęp. Nie było batów, nikt nie krzyczał. Proszono ich grzecznie, by wysiedli z pociągu. Na placu przyjęć czekał personel medyczny w białych mundurach, by zająć się chorymi i niedołącznymi.

- Ale to było oszustwo. Chorych i niedołącznych zabierano na bok i natychmiast rozstrzeliwano.

Radek skinął głową.

- A Żydzi ze Wschodu? Co ich spotykało na peronie? - pytał Gabriel.

- Ukraińskie baty.

- A potem?

Radek uniósł latarkę i poświecił na znajdujący się w pewnej odległości drugi koniec polany.

- Tutaj był sektor ogrodzony drutem kolczastym. Za płotem stały dwa budynki. W jednym z nich rozbierano przybyłych. W drugim pracujący tu Żydzi obcinali kobietom włosy. Gdy było po wszystkim, szli tam. - Radek oświetlił latarką ścieżkę. - Tutaj było przejście, coś jak rynna dla krów, szeroka na trochę ponad metr, ogrodzona drutem kolczastym i gałęziami sosen. Nazywano je rurą.

- Ale esesmani mieli własną nazwę, prawda?

Radek skinął głową.

- Nazywali ją drogą do nieba.

- Dokąd prowadziła droga do nieba?

Radek uniósł promień latarki.

- Do górnego obozu - odparł. - Obozu śmierci.

\*

Poszli przed siebie na sporą polanę, zastawioną setkami kamieni. Każdy kamień odpowiadał jednej gminie żydowskiej wymordowanej w Treblince. Na największym kamieniu widniał napis WARSZAWA. Gabriel spojrzął ponad kamieniami w niebo, na wschód. Powoli zaczynało się przejaśniać.

- Droga do nieba prowadziła wprost do ceglanego budynku, gdzie znajdowały się komory gazowe - powiedział Radek, przerywając ciszę. Zdawało się, że nagle zapragnął mówić. - Każda komora miała cztery na cztery metry. Początkowo były tylko trzy, ale wkrótce zorientowali się, że potrzeba więcej, żeby zaspokoić potrzeby. Dodano dziesięć. Dieslowski silnik pompował do komór tlenek węgla. Uduszenie następowało po niecałych trzydziestu minutach. Później wyjmowano zwłoki.

- Co z nimi robiono?

- Przez parę miesięcy zakopywali je tutaj w dużych jamach. Ale dziury szybko się zappełniły, a rozkładające się ciała zanieczyściły obóz.

- I wtedy ty wkroczyłeś na scenę?

- Nie od razu. Treblinka była czwartym obozem na naszej liście. Wpierw oczyściliśmy jamy w Birkenau, potem w Bełżcu i Sobiborze. Do Treblinki dotarliśmy dopiero w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Kiedy wreszcie tu przyjechałem... - Zamilkł.  
- To było potworne.

- Co zrobiliście?
- Otworzyliśmy groby, rzecz jasna, i wyjęliśmy zwłoki.
- Rękami?

Pokręcił głową.

- Mieliśmy mechaniczną koparkę. Dzięki temu praca szła znacznie szybciej.
- Nazywaliście ją szponem, prawda?
- Tak, rzeczywiście.
- A potem, gdy już wyjęliście zwłoki?
- Spalano je na wielkich żelaznych stelażach.
- Mieliście na nie swoją nazwę, czyż nie?
- Ruszty - odparł Radek. - Mówiliśmy na nie ruszty.
- A gdy ciała spłonęły?
- Kruszyliśmy kości i zakopywaliśmy z powrotem w jamach albo wywoziliśmy nad

Bug i wrzucaliśmy do rzeki.

- A gdy wszystkie stare jamy opróżniono?
- Wtedy wszystkie ciała zabierano bezpośrednio z komór gazowych na ruszty. System działał do października tego roku, kiedy obóz zamknięto, a wszelkie ślady zatarto. Pracował niewiele dłużej niż rok.

- I pomimo to udało się zamordować osiemset tysięcy ludzi.
- Nie osiemset tysięcy.
- Ile więc?
- Ponad milion. To naprawdę coś, prawda? Ponad milion ludzi, w takim malutkim miejscu, w środku polskiego lasu.

\*

Gabriel zabrał mu latarkę i wyciągnął beretę. Popchnął Radka naprzód. Poszli ścieżką przez pole kamieni. Zalman i Nawot zostali z tyłu w górnym obozie. Na żwirze za plecami Gabriel słyszał odgłos kroków Odeda.

- Gratuluję, Radek. Dzięki tobie to tylko symboliczny cmentarz.
  - Czy teraz mnie zabijesz? Nie powiedziałem tego, co chciałeś usłyszeć?
- Gabriel popychał go dalej po ścieżce.
- Możesz z pewnością być dumny z tego miejsca, ale dla nas to święta ziemia. Naprawdę myślisz, że zbrukałbym ją twoją krwią?
  - Więc po co to wszystko? Dlaczego mnie tu przywieźliście?
  - Musiałeś zobaczyć to miejsce jeszcze raz. Musiałeś odwiedzić miejsce zbrodni, żeby

odświeżyć sobie pamięć i przygotować się na złożenie świadectwa. Tak ocalisz swojego syna od upokorzenia. To wstyd mieć takiego ojca. Wrócisz ze mną do Izraela i zapłacisz za swoje zbrodnie.

- To nie były moje zbrodnie! Ja ich nie zabijałem! Robiłem tylko to, co kazał mi Müller. Sprzątałem bałagan!

- Sam miałeś swój udział w zabijaniu, Radek. Pamiętasz swoją zabawę z Maksem Kleinem w Birkenau? A marsz śmierci? Też tam byłeś, prawda?

Radek zwolnił i odwrócił głowę. Gabriel popchnął go między łopatkami. Weszli do sporej, prostokątnej kotlinki. Tu znajdowała się jama, w której zwłoki poddawano kremacji. Teraz jej dno pokrywały czarne bazaltowe kamienie.

- Zabij mnie, do cholery! Nie zabieraj mnie do Izraela! Zrób to teraz i skończmy ze wszystkim. Przecież właśnie w tym jesteś dobry, prawda, Allon?

- Nie tutaj - odparł Gabriel. - Nie w tym miejscu. Nie zasługujesz nawet, by tu stać, a co dopiero, by tu umrzeć.

Radek upadł na kolana na krawędzi jamy.

- A jeśli zgodzę się z tobą pojechać? Co mnie czeka?

- Czeką cię prawda, Radek. Staniesz przed izraelskim ludem i wypowiadasz się ze swoich zbrodni. Ze swojej roli w Aktion 1005. Z mordowania więźniów w Birkenau. Z zabójstw podczas marszu śmierci z Birkenau. Czy pamiętasz chociaż dziewczyny, które zamordowałeś, Radek?

Radek gwałtownie się odwrócił.

- Skąd...

Gabriel gwałtownie mu przerwał.

- Nie staniesz przed sądem za swoje zbrodnie, ale resztę życia spędzisz za kratkami. Podczas pobytu w więzieniu będziesz współpracował z badającą Holocaust komisją uczonych z Yad Vashem nad sporządzeniem szczegółowej historii Aktion 1005. Powiesz tym, którzy wątpią i zaprzeczają, jakich dokładnie środków użyliście, by ukryć największe masowe morderstwo w historii. Po raz pierwszy w życiu powiesz prawdę.

- Czyją prawdę, waszą czy moją?

- Jest tylko jedna prawda, Radek. Treblinka jest prawdą.

- A co dostanę w zamian?

- Więcej niż zasługujesz - rzekł Gabriel. - Nic nie powiemy o podejrzanym pochodzeniu Metzlera.

- Macie zamiar dopuścić do wybrania austriackiego kanclerza ze skrajnej prawicy,



żeby mnie dorwać?

- Coś mi mówi, że Peter Metzler zostanie wielkim przyjacielem Izraela i Żydów. Nie zrobi nic, co mogłoby nas rozzłościć. W końcu będziemy trzymać klucze do jego zniszczenia jeszcze długo po tym, jak ciebie zabraknie.

- Jak przekonaliście Amerykanów, żeby mnie zdradzili? Pewnie szantażem - to typowy żydowski sposób. Nie wątpię, że przysięgliście nie dać mi szansy na omówienie moich powiązań z Organizacją Gehlena i CIA. Zapewne tak daleko sięga wasze oddanie prawdzie.

- Odpowiedz, Radek.

- Jak mogę zaufać tobie, Żydowi, że dotrzymasz swojej części umowy?

- Znowu czytałeś „Der Stürmer”? Musisz mi zaufać, bo nie masz innego wyboru.

- A jaki będzie z tego pożytek? Czy przywróci to życie chociaż jednemu z tych, którzy tu zginęli?

- Nie - przyznał Gabriel - ale świat pozna prawdę, a ty spędzisz resztę życia tam, gdzie powinienes. Zawrzyjmy umowę, Radek. Zrób to dla swojego syna. Myśl o tym jak o ostatniej ucieczce.

- To nie będzie zawsze tajemnicą. Któregoś dnia prawda o całej sprawie wyjdzie na jaw.

- Kiedyś - zgodził się Gabriel. - Prawdy chyba nie można ukryć na zawsze.

Radek powoli odwrócił głowę i spojrzał współczująco na Gabriela.

- Gdybyś był prawdziwym mężczyzną, sam byś to zrobił. - Wysilił się na drwiący uśmiech. - A jeśli chodzi o prawdę, to nikogo nie obchodziła, gdy cała operacja miała miejsce. Teraz też nikt się nią nie przejmie.

Odwrócił się i spojrzał do jamy. Gabriel schował berettę do kieszeni i odszedł. Za nim, na ścieżce, stali bez ruchu Oded, Zalman i Nawot. Gabriel bez słowa przecisnął się obok nich i przez obóz poszedł w stronę rampy kolejowej. Nim skręcił między drzewa, zatrzymał się na moment i spojrzał przez ramię. Uczepiwszy się ramienia Odda, Radek powoli wstawał na nogi.

# Część czwarta

*Więzień Abu Kabir*

Tel Awiw-Jafa, Izrael

Poważnie dyskutowano, gdzie go umieścić. Lew uznawał go za zagrożenie dla bezpieczeństwa i domagał się, by pozostawał pod stałą opieką biura. Szamron, jak zwykle, był przeciwnego zdania choćby tylko dlatego, że nie chciał, by jego ukochane służby zajmowały się prowadzeniem więzień. Premier pół żartem, pół serio zaproponował, żeby zaprowadzić Radka na pustynię Negew i wydać go na pastwę skorpionów i sępów. W końcu zwyciężył Gabriel. Argumentował, że najgorszą karą dla człowieka pokroju Radka byłoby traktowanie go jak zwykłego przestępcę. Zaczęli szukać miejsca, w którym można by go umieścić, i w końcu zgodzili się na więzienie dla kryminalistów, zbudowane przez Brytyjczyków za czasów mandatu, leżące w zaniedbanej części Jafy, wciąż nazywanej po arabsku Abu Kabir.

Z upublicznieniem wiadomości o schwytaniu Radka odczekano siedemdziesiąt dwie godziny. Komunikat premiera był lakoniczny i celowo mylący. Włożono wiele wysiłku w uniknięcie niepotrzebnego wprawiania w zakłopotanie Austriaków. Z oświadczenia premiera wynikało jedynie, że kiedy go wykryto, Radek żył w bliżej nieokreślonym kraju pod fałszywym nazwiskiem. Po trwających pewien czas negocjacjach zgodził się przyjechać do Izraela dobrowolnie. Zgodnie z umową nie stanie przed sądem, ponieważ w myśl izraelskiego prawa jedynym możliwym wyrokiem byłaby kara śmierci. Zamiast tego miał zostać na stałe osadzony w areszcie, gdzie faktycznie „przyzna się” do swoich zbrodni przeciwko ludzkości, współpracując z komisją historyków z Yad Vashem i Uniwersytetu Hebrajskiego nad spisaniem ostatecznej wersji historii Aktion 1005.

Sprawa przeszła bez echa i nie towarzyszyło jej takie podniecenie, jak przy porwaniu Eichmanna. Co więcej, wieści o schwytaniu Radka w ciągu paru godzin przysłonił zamachowiec - samobójca, który zamordował na rynku w Jerozolimie dwadzieścia pięć osób. Lew czerpał z tego rozwoju wypadków dość prostą satysfakcję, bo dowodził, że państwo ma na głowie poważniejsze sprawy niż ściganie hitlerowców. Zaczął nazywać całą sprawę „głupstwem Szamrona”, dzięki czemu prędko stracił posłuch wśród swoich podwładnych. Wyglądało na to, że w biurze przy bulwarze Króla Saula porwanie Radka rozbudziło na nowo

stare animozje. Lew dopasował swoje stanowisko do ogólnych nastrojów, ale było już za późno. Wszyscy wiedzieli, że zatrzymanie Radka zostało uknute przez *Memuneha* i Gabriela, a Lew starał się je storpedować przy każdej możliwej okazji. Reputacja szefa wśród szeregowych żołnierzy spadła do niebezpiecznie niskiego poziomu.

Podjęta bez przekonania próba zachowania w tajemnicy narodowości Radka została zniweczona przez taśmę przedstawiającą jego przybycie do Abu Kabir. Wiedeńska prasa prędko i bezbłędnie rozpoznała w więźniu Ludwiga Vogla, dość znanego austriackiego biznesmena. Czy rzeczywiście opuścił Wiedeń dobrowolnie? A może tak naprawdę porwano go z jego przypominającego fortecę domu w Pierwszej Dzielnicy? Przez parę następnych dni kolumny gazet wypełniały oparte jedynie na przypuszczeniach opisy zdumiewającej kariery i politycznych powiązań Vogla. Dochodzenia prasowe niebezpiecznie zbliżyły się do Petera Metzlera. Renate Hoffmann z Koalicji dla Lepszej Austrii wzywała do przeprowadzenia oficjalnego śledztwa w tej sprawie, sugerując, że Radek mógł być zamieszany w zamach na Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych oraz w tajemniczą śmierć starego Żyda Maksa Kleina. Jej spostrzeżenia właściwie puszczono mimo uszu. Zamach to dzieło islamskich terrorystów, oświadczył rząd. A co do nieszczęśliwej śmierci pana Maksa Kleina, popełnił on samobójstwo. Dalsze śledztwo, powiedział minister sprawiedliwości, jest bezcelowe.

Akcja następnego rozdziału sprawy Radka rozegrała się nie w Wiedniu, ale w Paryżu. We francuskiej telewizji pojawił się zgrzybiały dawny agent KGB i dał do zrozumienia, że jego zdaniem w Wiedniu Radek działał na rzecz Moskwy. Były szef siatki szpiegowskiej Stasi, w zjednoczonych Niemczech często goszczący na łamach gazet, również przyznał się do Radka. Z początku Szamron sądził, że oba głosy to część operacji dezinformacyjnej, mającej na celu zaszczerpić CIA przed wirusem o nazwie Radek. Na miejscu Amerykanów sam by to tak rozegrał. Ale wkrótce dowiedział się, że wewnątrz agencji insynuacje, jakoby Radek pracował na dwa fronty, wywołały potężną panikę. Z archiwów wyciągano dawno zamrożone akta, zebrano w pośpiechu ekipę podstarzałych sowieckich współpracowników. Szamron w skrytości ducha upajał się zaniepokojeniem kolegów z Langley. Gdyby okazało się, że Radek był podwójnym agentem, mówił, sprawiedliwości stałoby się naprawdę zadość. Adrian Carter poprosił o zgodę na przesłuchanie Radka, gdy skończą z nim izraelscy historycy. Szamron obiecał, że starannie sprawę przemyśli.

\*

Więzień Abu Kabir nie miał pojęcia o burzy, która rozpętała się wokół jego osoby. Zamknięto go w odosobnieniu, ale w niezbyt surowych warunkach. Utrzymywał celę i ubrania w porządku, jadł przydzielone mu porcje i zanadto się nie skarżył. Strażnicy chcieli

go nienawidzić, ale nie potrafili. W głębi duszy był policjantem i wydawało się, że pilnujący dostrzegają w nim coś znajomego. Traktował ich uprzejmie, w zamian za co sam spotykał się z uprzejmością. Był też swego rodzaju ciekawostką. Strażnicy czytali o ludziach takich jak on w szkole i przez cały dzień i noc chodzili przed celą tylko po to, żeby go zobaczyć. Radek coraz bardziej czuł się jak eksponat w muzeum.

Zgłosił tylko jedno żądanie. Chciał codziennie dostawać gazetę, żeby być na bieżąco z wydarzeniami na świecie. Pytanie dotarło aż do Szamrona, który wyraził zgodę, pod warunkiem że będzie to dziennik izraelski, a nie niemiecki, tak więc co rano Radek znajdował na tacy ze śniadaniem „Jerusalem Post”. Zwykle wertował artykuły o sobie samym - w większości i tak nieprecyzyjne - i przechodził od razu do wiadomości zagranicznych, w poszukiwaniu informacji o rozwoju wypadków w austriackiej kampanii wyborczej.

Mosze Riwlin złożył Radkowi kilka wizyt, żeby przygotować go do składania świadectwa. Postanowiono, że sesje będą nagrywane na wideo i transmitowane wieczorem w izraelskiej telewizji. Zdenerwowanie Radka wzrastało wraz ze zbliżającym się pierwszym publicznym wystąpieniem. Po cichu Riwlin poprosił szefa więzienia o ciągłą obserwację więźnia na wypadek, gdyby próbował popełnić samobójstwo. Naprzeciwko celi, tuż za kratami, ustawiono w korytarzu wartownika. Z początku Radek był poirytowany dodatkową obserwacją, ale wkrótce zaczął czerpać przyjemność z nowego towarzystwa.

W dniu pierwszej sesji Riwlin przyjechał na ostatnią wizytę. Spędzili razem godzinę; Radek był zatroskany i po raz pierwszy trudno się z nim współpracowało. Riwlin spakował dokumenty oraz notatki i poprosił strażnika o otworenie drzwi celi.

- Chcę się z nim spotkać - odezwał się Radek. - Niech pan go spyta, czy mógłby mnie zaszczyścić wizytą. Proszę mu powiedzieć, że mam parę pytań.

- Nie mogę nic obiecać - odparł Riwlin. - Nie mam żadnych powiązań z...

- Niech go pan po prostu spyta - powtórzył Radek. - W najgorszym razie po prostu powie nie.

\*

Gabriela poproszono o zostanie w Izraelu do początku składania przez Radka świadectwa. Niechętnie się zgodził, bo z niecierpliwością wypatrywał powrotu do Wenecji. Zatrzymał się w lokalu konspiracyjnym przy Bramie Syjońskiej. Codziennie rano budziły go dzwony kościelne z dzielnicy armeńskiej. Siadywał na zacienionym tarasie z widokiem na mury Starego Miasta, niespiesznie popijając kawę i przeglądając gazety. Uważnie śledził sprawę Radka. Cieszył się, że z porwaniem powiązano Szamrona, a nie jego. Gabriel mieszkał za granicą pod przybranym nazwiskiem i nie chciał, żeby jego twarz pojawiała się

na pierwszych stronach gazet. Poza tym Szamronowi należało się jeszcze trochę słońca po wszystkim, co zrobił dla kraju.

Dni miały powoli i Gabriel zauważył, że Radek stawał mu się coraz bardziej obcy. Mimo swojej fotograficznej pamięci Allon musiał się bardzo wysilić, żeby przywołać twarz Radka albo dźwięk jego głosu. Treblinka wydawała się jak wzięta z sennego koszmaru. Zastanawiał się, czy tak samo było z jego matką. Czy Radek pozostał jak nieproszony gość w pokojach jej pamięci, czy też musiała go przywoływać, żeby nanieść jego sylwetkę na płótno? Czy tak czuli się wszyscy, którzy mieli styczność z doskonałym złem? Może tu kryło się wyjaśnienie milczenia tych, którzy przetrwali. Może w odruchu instynktu samozachowawczego zostali miłosiernie uwolnieni od bolesnych wspomnień. W głowie Gabriela bez przerwy kołatała jedna myśl: gdyby tamtego dnia w Polsce zamiast dwóch innych dziewczyn Radek zamordował jego matkę, on sam nigdy by nie istniał. On też zaczął odczuwać winę, że przetrwał.

Był pewny tylko jednego - jeszcze nie może zapomnieć. Dlatego też ucieszył się, gdy pewnego popołudnia zadzwonił jeden z akolitów Lwa z pytaniem, czy nie zechciałby spisać oficjalnej historii całego zdarzenia. Zgodził się, pod warunkiem że oprócz tego pozwołam mu sporządzić złagodzoną wersję, którą umieści się w Yad Vashem. Długo ustalano, kiedy można będzie podobne dokumenty upublicznić. Zdecydowano w końcu, że ujawnienie nastąpi za czterdzieści lat, i Gabriel wziął się do pracy.

Pisał przy stole kuchennym na dostarczonym mu przez biuro laptopie. Co wieczór zamykał komputer w sejfie ukrytym w podłodze pod kanapą w salonie. Nie miał doświadczenia w pisaniu, więc instynktownie podszedł do swojej pracy jak do obrazu. Zaczął od szkicu, ogólnego i niewyraźnego, po czym powoli dodawał warstwy farby. Używał nieskomplikowanej palety kolorów, a pędzlem poruszał ostrożnie. Z upływem dni twarz Radka wróciła do niego jakby namalowana dłonią jego matki.

Pracował do wczesnego popołudnia, po czym robił sobie przerwę i szedł do Uniwersyteckiego Szpitala Hadassah, gdzie Eli Lavon - od miesiąca nieprzytomny - dawał oznaki budzenia się ze śpiączki. Gabriel siedział zwykle około godziny przy jego łóżku i opowiadał mu o przebiegu sprawy. Następnie wracał do domu i pracował do zmroku.

W dniu, w którym skończył raport, został w szpitalu do wczesnego wieczoru i przypadkiem był na miejscu, kiedy Lavon otworzył oczy. Przez moment Eli nieobecny wzrokiem wpatrywał się przed siebie, ale po chwili dawna dociekliwość pojawiła się w jego spojrzeniu, które zlustrowało nieznane otoczenie szpitalnej sali, nim wreszcie spoczęło na twarzy Gabriela.

- Gdzie jesteśmy? W Wiedniu?
- W Jerozolimie.
- Co ty tu robisz?
- Sporządzam raport dla biura.
- O czym?
- O schwytaniu nazistowskiego zbrodniarza wojennego Ericha Radka.
- Radka?
- Mieszkał w Wiedniu jako Ludwig Vogel.

Lavon uśmiechnął się.

- Opowiedz mi wszystko - wyszeptał, ale nim Gabriel zdążył powiedzieć choć słowo, znowu odpłynął.

\*

Gdy Gabriel wieczorem wrócił do mieszkania, na automatycznej sekretarce mrugała lampka. Wcisnął guzik odtwarzania i usłyszał głos Moszego Riwlina.

„Więzień Abu Kabir chciałby zamienić słowo. Ja kazałbym mu iść do diabła, ale to pańska decyzja”.

Więzienie otaczał zwieńczony drutem kolczastym mur koloru piaskowca. Gabriel stanął się przy zewnętrznej bramie następnego dnia rano i bez żadnych problemów został wpuszczony przez strażników do środka. Żeby znaleźć się wewnątrz, musiał przejść wąskim, ogrodzonym przejściem, które za bardzo przypominało mu drogę do nieba w Treblince. Na drugim końcu również czekał strażnik. W milczeniu poprowadził Gabriela do odosobnionej części więzienia, a następnie do pozbawionego okien pokoju przesłuchań z gołymi ceglanyścianami. Radek zastygł przy stole niczym posąg. Ubrany był w czarny garnitur z krawatem, który nosił przy składaniu świadectwa. Skute kajdankami ręce położył na stole. Przyjął Gabriela niezauważalnym skinieniem głowy, nie wstał.

- Zdejmij mu kajdanki - powiedział Gabriel do strażnika.

- To wbrew przepisom.

Gabriel spojrział na niego i po chwili kajdanki zostały zdjęte.

- Jesteś w tym dobry - stwierdził Radek. - To twoja kolejna sztuczka psychologiczna? Próbujesz mi pokazać, że masz nade mną władzę?

Gabriel odsunął proste żelazne krzesło i usiadł.

- Nie wydaje mi się, żeby w tych okolicznościach podobna demonstracja była konieczna.

- Pewnie masz rację - przyznał Radek. - Mimo wszystko naprawdę doceniam sposób, w jaki zająłeś się całą sprawą. Chciałbym móc myśleć, że sam zrobiłbym to równie dobrze.

- Na czyje zlecenie? - spytał Gabriel. - Amerykanów czy Rosjan?

- Masz na myśli zarzuty, które czyni mi w Paryżu ten idiota Biełow?

- Są prawdziwe?

Przez chwilę Radek lustrował Gabriela w milczeniu i na ledwie parę sekund w jego niebieskich oczach pojawił się dawny błysk stali.

- Gdy ktoś bierze udział w grze od tak dawna jak ja, zawiera tyle sojuszy i angażuje się w tyle oszustw, że w końcu trudno zorientować się, gdzie biegnie granica między prawdą i fałszem.



- Wydaje się, że Bielów jest pewny swego.

- Tak, ale obawiam się, że to pewność głupca. Widzisz, Bielów nie miał szans znać prawdy - Radek zmienił temat. - Domyślam się, że czytałeś poranne gazety?

Gabriel skinął głową.

- Zwyciężył nawet wyraźniej, niż się tego spodziewał. Najwidoczniej moje aresztowanie miało z tym związek. Austriacy nigdy nie lubili, gdy obcy mieszały się w ich sprawy.

- Nie chełpisz się zwycięstwem, prawda?

- Jasne, że nie - odparł Radek. - Żałuję tylko, że w Treblince nie naciskałem mocniej. Może nie powinienem był się tak łatwo zgodzić. Nie jestem wcale pewien, czy kampania wyborcza Petera ległaby w gruzach na skutek ujawnienia mojej przeszłości.

- Są rzeczy politycznie nie do strawienia, nawet w kraju takim jak Austria.

- Nie doceniasz nas, Allon.

Gabriel pozwolił, by na chwilę zapadła cisza. Już zaczął żałować decyzji, by tu przyjść.

- Mosze Riwlina mówił, że chcesz się ze mną spotkać - powiedział lekceważącym tonem. - Nie mam za wiele czasu.

Radek wyprostował się nieznacznie.

- Zastanawiałem się, czy byłbyś skłonny wyświadczyć mi zawodową przysługę i odpowiedzieć na parę pytań.

- To zależy od pytań. Ja i ty, Radek, mamy różne zawody.

- Tak - zgodził się Radek. - Ja byłem agentem amerykańskiego wywiadu, a ty zabójcą.

Gabriel wstał. Radek podniósł dłoń.

- Poczekaj - zawołał. - Usiądź. Proszę.

Gabriel wrócił na miejsce.

- Ten człowiek, który do mnie zadzwonił w noc porwania...

- Masz na myśli aresztowanie?

Radek spuścił głowę.

- Dobrze, niech będzie, w noc aresztowania. Rozumiem, że był podstawiony?

Gabriel skinął głową.

- Był naprawdę dobry. Jakim sposobem udało mu się tak dobrze udawać Kruza?

- Nie sądzisz chyba, że ci na to odpowiem, Radek? - Gabriel spojrzał na zegarek. - Mam nadzieję, że nie ciągnąłeś mnie taki kawał drogi do Jafy tylko po to, żeby zadać mi jedno pytanie.

- Nie. Jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałbym wiedzieć. W Treblince powiedziałeś, że brałem udział w ewakuacji więźniów z Birkenau.

Gabriel przerwał mu.

- Czy moglibyśmy raz na zawsze darować sobie eufemizmy? To nie była ewakuacja, tylko marsz śmierci.

Radek przez chwilę milczał.

- Wspomniałeś także, że osobiście zabiłem paru więźniów.

- Wiem, że zamordowałeś co najmniej dwie dziewczyny - oświadczył Gabriel. - Ale na pewno było ich więcej.

Radek zamknął oczy i pokiwał powoli głową.

- Było ich więcej - powtórzył głucho. - O wiele, wiele więcej. Pamiętam tamten dzień, jakby to było wczoraj. Już od pewnego czasu zdawałem sobie sprawę, że koniec jest bliski, ale widząc kolumnę jeńców maszerujących w stronę Rzeszy... wiedziałem, że to *Götterdämmerung*. To naprawdę był zmierzch bogów.

- Więc zacząłeś ich zabijać?

Znowu skinął głową.

- Powierzili mi zadanie zatajenia ich strasznej tajemnicy, a potem pozwolili kilku tysiącom świadków wyjść żywcem z Birkenau. Z pewnością wyobrazasz sobie, jak się czułem.

- Nie - odparł zgodnie z prawdą Gabriel. - Nawet nie potrafię zacząć sobie wyobrażać, jak się czułeś.

- Była pewna dziewczyna - mówił dalej Radek. - Pamiętam, że spytałem ją, co powie swoim dzieciom o wojnie. Odpowiedziała, że powie im prawdę. Kazałem jej kłamać. Odmówiła. Zabiłem te dwie dziewczyny, a ona wciąż zaprzeczała. Z jakiegoś powodu pozwoliłem jej odejść. Od tego czasu przestałem zabijać więźniów. Po tym, jak spojrzałem jej w oczy, wiedziałem, że to nie ma sensu.

Gabriel spuścił wzrok i zaczął przyglądać się swoim dłoniom, nie dając się złowić Radkowi na przynętę.

- Zakładam, że ta kobieta była twoim świadkiem.

- Tak, była.

- Zabawne - zauważył Radek - ale masz jej oczy.

Gabriel podniósł wzrok. Zawahał się, po czym przyznał;

- Tak słyszałem.

- To była twoja matka?

Kolejna chwila wahania, a po niej prawda.

- Powiedziałbym, że mi przykro - powiedział Radek - ale wiem, że moje przeprosiny nic by dla ciebie nie znaczyły.

- Masz rację - odparł Gabriel. - Nie mów.

- Więc to wszystko zrobiłeś dla niej?

- Nie. Zrobiłem to dla nich wszystkich.

Drzwi się otwały. Do pokoju wszedł strażnik i ogłosił, że czas jechać do Yad Vashem. Radek powoli wstał i wyciągnął dłonie. Wzrok miał wciąż wbity w Gabriela, nawet gdy na nadgarstkach zatraskiwano mu kajdanki. Gabriel odprowadził go do wyjścia, po czym patrzył, jak przemierza wąskie ogrodzone przejście i wsiada na tył furgonetki. Widział już dosyć. Teraz chciał tylko zapomnieć.

\*

Po opuszczeniu Abu Kabir Gabriel pojechał do Safed spotkać się z Cioną. Zjedli lunch w małym barze z kebabami w dzielnicy artystów. Próbowła nawiązać rozmowę w sprawie Radka, ale Gabriel, ledwie dwie godziny po rozstaniu się z mordercą, nie był w nastroju dłużej o nim opowiadać. Poprosił Cionę, by przysięgła, że nie ujawni jego zaangażowania w całą rzecz, po czym pospiesznie zmienił temat.

Przez pewien czas rozmawiali o sztuce, potem o polityce, wreszcie o sytuacji życiowej Gabriela. Ciona słyszała o znajdującym się parę ulic od jej domu mieszkaniu. Było wystarczająco duże, by zmieścić się w nim warsztat, a poza tym obdarzone najlepszym oświetleniem w całej Górnej Galilei. Gabriel obiecał rozważyć taką możliwość, ale Ciona wiedziała, że tylko stara się ją udobruchać. Jego oczy znów stały się niespokojne. Był gotów do wyjazdu.

Przy kawie powiedział jej, że znalazł miejsce dla części prac matki.

- Gdzie?

- W Galerii Sztuki w Yad Vashem.

Oczy Ciony wypełniły łzy.

- To piękne - szepnęła.

Po lunchu weszli po wykładanych kamieniami schodach do mieszkania Ciony. Otworzyła magazynek i ostrożnie wyjęła obrazy. Przez godzinę wybierali dla Yad Vashem dwadzieścia najlepszych dzieł. Ciona odkryła dwa kolejne płótna przedstawiające Ericha Radka. Spytała Gabriela, co ma z nimi zrobić.

- Spal je - odparł.

- Ale teraz są prawdopodobnie warte dużo pieniędzy.

- Nie obchodzi mnie, ile są warte - krzyknął Gabriel. - Nie chcę więcej widzieć jego twarzy.

Ciona pomogła mu zapakować obrazy do samochodu. Gdy wyruszył do Jerozolimy, niebo zasnuło się chmurami. Najpierw pojechał do Yad Vashem. Kustosz zabrał obrazy, po czym pospiesznie wrócił do środka, żeby obejrzeć początek spowiedzi Ericha Radka. Wydawało się, że reszta kraju zajęta była tym samym. Gabriel przejechał przez ciche ulice na Górę Oliwną. Położył na grobie matki kamień i wyrecytował za nią kadysz. To samo uczynił na grobie ojca. Następnie ruszył na lotnisko i zdążył na wieczorny lot do Rzymu.

Następnego ranka w *sestiere* Cannaregio do kościoła Świętego Jana Chryzostoma wszedł Francesco Tiepolo i powoli przemierzył nawę. Zjrzał do kaplicy Świętego Hieronima. Na przykrytym zasłoną podeście paliły się światła. Podkraść się bliżej, złapał rusztowanie potężną niedźwiedzią łapą i potrząsnął gwałtownie. Konserwator podniósł powiększające szkła i spojrzał na niego niczym gargulec.

- Witamy w domu, Mario - zawołał Tiepolo. - Zaczynałem się o ciebie martwić. Gdzieżeś ty bywał?

Konserwator opuścił szkła i znów zaczął przyglądać się Belliniemu.

- Zbierałem iskry, Francesco.

„Zbierał iskry?”. Tiepolo wiedział, że lepiej nie pytać. Ważne dla niego było tylko to, że konserwator wrócił do Wenecji.

- Kiedy skończysz?

- Za trzy miesiące - odparł konserwator. - Może cztery.

- Lepiej za trzy.

- Tak, Francesco, wiem, że lepiej za trzy, ale jeśli dalej będziesz potrząsał moim podestem, nie skończę nigdy.

- Nie masz w planach żadnych spraw do załatwienia, prawda, Mario?

- Jeszcze tylko jedną - oznajmił, trzymając pędzel przy płótnie. - Ale obiecuję, że to nie potrwa długo.

- Zawsze tak mówisz.

\*

Dokładnie trzy tygodnie później do warsztatu zegarmistrzowskiego w Pierwszej Dzielnicy Wiednia kurier na motocyklu przywiózł paczkę. Zegarmistrz odebrał ją osobiście. Złożył podpis w notatniku kuriera i dał mu drobny napiwek za kłopot. Następnie zaniósł paczkę do warsztatu i położył na stole.

Kurier wsiadł z powrotem na motocykl i odjechał, zwalniając na chwilę przy końcu ulicy, by dać sygnał siedzącej za kierownicą renault kobiecie. Wystukała numer na komórce i

nacisnęła wybieranie. Chwilę później odebrał Zegarmistrz.

- Właśnie wysłałam panu zegar - powiedziała. - Dostał go pan?

- Kto mówi?

- Przyjaciółka Maksa Kleina - wyszeptała. - I Eliego Lavona. I Rebeki Gazit. I Sarah Greenberg.

Opuściła telefon i szybko wystukała cztery cyfry, po czym odwróciła głowę w samą porę, by zobaczyć jasną czerwoną kulę ognia buchającą z frontu sklepu Zegarmistrza.

Odjechała od krawężnika i ruszyła w stronę Ringstrasse. Ręce trzęsły jej się na kierownicy. Gabriel zostawił motocykl i czekał na rogu. Zatrzymała się, żeby wsiadł, po czym skręciła w szeroki bulwar i zniknęła w wieczornym ruchu. Przemknął obok nich pędzący w przeciwnym kierunku samochód Staatspolizei. Chiara nie odrywała oczu od drogi.

- Dobrze się czujesz?

- Chyba zaraz zwymiotuję.

- Mam poprowadzić?

- Nie, dam sobie radę.

- To ja powinienem wysłać sygnał detonacji.

- Nie chciałam, żebyś czuł się odpowiedzialny za kolejną śmierć w Wiedniu. - Gwałtownym ruchem otarła łzę z policzka. - Myślałeś o nich, kiedy słyszałeś wybuch? Myślałeś o Leah i Danim?

Zawahał się, po czym pokręcił głową.

- O czym myślałeś?

Wyciągnął rękę i otarł jej kolejną łzę.

- O tobie, Chiara - powiedział łagodnie. - Myślałem tylko o tobie.